

Wulf Dorn

PO DRUGIEJ STRONIE JAŻNI

Z języka niemieckiego przełożył
Wojciech Łygaś

*Dla Anity
Trzy magiczne cyfry: 603*

*I dla K.-D.
Gdziekolwiek teraz jesteś, brakuje nam Ciebie*

*Kto się boi Czarnego Luda?
Nikt!
A jeśli przyjdzie?
Lepiej bierz nogi zapas!
(dziecięca gra)*

Prolog

Istnieją legendy na temat miejsc, które przyciągają Zło, miejsc, w których złe rzeczy zdarzają się nieustannie, jakby były one spragnione takich wydarzeń.

Właśnie do takich miejsc należały ruiny starej posiadłości Sallingerów. Hermann Talbach był o tym przekonany, podobnie jak wszyscy mieszkańcy w jego wiosce. Niektórzy twierdzili nawet, że każdy, kto się do nich zbliży, popada w szaleństwo. Jak Sallinger, który pewnej majowej nocy podpalił swój dom. On, jego żona i dwójka dzieci ponieśli śmierć w płomieniach.

Talbach nie był w stanie dotrzeć do ruin zbyt szybko. Idąc leśną drogą ze swoim sąsiadem Paulem, modlił się w myślach, żeby nie zjawił się tam za późno. Tym razem to od niego zależy, czy przeciwstawi się złu.

W niebieskim kombinezonie roboczym, z rękami pobrudzonymi olejem, Talbach minął szybkim krokiem porośnięte mchem pozostałości luku dawnej bramy. Już dawno skończył czterdzieści lat. Kiedyś był mechanikiem samochodowym, ale na skutek wypadku w warsztacie spowodowanego awarią podnośnika zaczął kuleć. Mimo to Paul ledwo mógł za nim nadążyć.

Być może powodem były także pentagramy. Ktoś namalował je kiedyś na stosach kamieni, aby odpędzić Zło. W miarę upływu lat wiele z nich wyblakło, ale mimo to nadal dało się je rozpoznać. Przypominały o ciemnych mocach rządzących tym miejscem. Zachowanie i wygląd Paula wskazywały, że oddziałują one także na kolejne pokolenie. Kiedy Stwórca rozdzielał między ludzi różne cechy, Paula obdarzył pracowitością i ufnością. Niestety, wszystko wskazywało na to, że akurat tego dnia skończyły mu się zapasy innych przymiotów: odwagi i sprytu.

Kiedy Talbach dotarł w końcu do miejsca, które dawniej pełniło funkcję wewnętrznego dziedzińca, obejrzał się na Paula. Ten podbiegł do niego zdyszany i otarł pot z czoła – pozostała na nim plama tłustego oleju.

– To musi być gdzieś tutaj – wysapał Talbach, rozglądając się wokół. – Słyszysz coś?

Paul pokręcił przecząco głową.

Obaj wsłuchiwali się w napięciu w cichy szum lasu. Z daleka dochodził świergot ptaków, pod ciężarem butów Talbacha trzasnął jakiś suchy patyk. Nad gałęziami jarzębiny zahuczał trzmiel, wszędzie brzęczały komary. Talbach prawie nie czuł, jak mali krwiopijcy wbijają swoje żądła w jego szyję i ramiona. Całkowicie skupił się na tym, aby pośród wszystkich tych dźwięków wychwycić jakiś ludzki odgłos, bez względu na to, jak słabo słyszalny.

Niestety, niczego nie usłyszał. Nad tym przeklętym miejscem zalegała przerażająca cisza, jak ciężki, mroczny całun. Mimo żaru lejącego się z nieba Talbach dostał gęsiej skórki.

– Tam! – zawołał Paul. Zrobił to tak nagle, że Talbach zadrżał.

Spojrzał w kierunku, który wskazywał Paul, i zauważył błyski na kawałku cynfolii, na którą padał promień słońca. Obaj mężczyźni podbiegli tam i zobaczyli zdeptaną trawę, odciski ludzkich stóp i kolejny błyszczący kawałek srebrnego papierka, leżący za porośniętym mchem pniem drzewa.

Talbach podniósł jeden ze skrawków. Nadal pachniał czekoladą, która wcześniej była w niego owinięta.

– Były tutaj, ale dokąd...

Talbach nie dokończył zdania, bo całą uwagę skupił na polanie. Miał nadzieję, że znajdzie na niej kolejne ślady. Przecież musiały tam być.

Potem zaczął badać wzrokiem gęstwinę otaczającą zarośnięty dziedziniec. Kiedy podszedł bliżej, ujrzał połamane gałęzie, a tuż za nimi rozrzucony stos kamieni.

– Jest tutaj!

Talbach ruszył w dół na tyle szybko, na ile pozwalały mu zarośnięte mchem i osłonięte listowiem dwa schodki. Paul szedł tuż za nim. Po chwili dotarli do dawnej spiżarni. Talbach zobaczył otwarte dębowe drzwi z zardzewiałymi okuciami i wydał okrzyk zdziwienia.

Paul spojrział na to miejsce w taki sam sposób, jak patrzy myśliwski pies, który zauważył zająca. Jednak Paul nie zobaczył zająca. Widok, który ujrzał, sprawił, że śmiertelnie zbladł.

– Co, do diabła... – zaczął Talbach, ale więcej słów nie był w stanie z siebie wydobyć.

Obaj mężczyźni z przerażeniem spoglądali na plamę na lewej ścianie niewielkiego pomieszczenia.

Krew nie zdążyła jeszcze zaschnąć. W blasku promieni popołudniowego słońca wpadających do piwniczki lśniła na kamieniach jak plama ciemnoczerwonego oleju.

Część 1

Pacjentka

„Scary monsters, super creeps,
Keep me running, running scared”

Scary Monsters

David Bowie

Rozdział 1

*Witamy w zakładzie opieki zdrowotnej
Leśna Klinika
Specjalizacja:
psychiatria, psychoterapia, psychosomatyka*

Na rozległym terenie wokół kliniki obowiązywało ograniczenie do dwudziestu kilometrów na godzinę. Prędkościomierz w samochodzie doktor Ellen Roth wskazywał szybkość o trzydzieści kilometrów większą.

Ellen jechała w stronę budynku, w którym mieścił się Oddział IX. Po raz setny tego ranka spojrzała na zegarek, jakby miała nadzieję, że drobne cyferki wskażą wcześniejszą godzinę. Niestety, bezlitośnie potwierdzały, że jest już spóźniona o ponad pół godziny.

Znowu zakłęła na wspomnienie rozkopanych remontowanych dróg. Ciągnęły się od lotniska w Stuttgarcie aż po zjazd z autostrady w kierunku miejscowości Fahlenberg. Z powodu robót wszelkie wyliczenia czasu okazały się całkowicie nierealne. Po drodze Ellen co chwilę stała w korku, a kiedy już się z niego wydostała i ruszyła z dużą prędkością, modliła się, aby nie złapał jej jakiś radar.

Gdyby w tej chwili był z nią Chris, na pewno by stwierdził, że złość w niczym jej nie pomoże. „Jeśli ktoś się spóźnia, to i tak jest spóźniony. Kilka minut więcej nic nie zmienia”. Właśnie tak by powiedział.

Chris był jej przyjacielem i kolegą z pracy. W tym momencie znajdował się w samolocie na wysokości dziesięciu tysięcy metrów nad ziemią. Ellen już teraz czuła, że jej go brakuje.

Tego ranka Chris nie był skory do żartów. Przeciwnie: to, co jej powiedział, zabrzmiało niezwykle poważnie. Prawie ją zmusił, żeby dotrzymała obietnicy. Na samą myśl o tym poczuła się nieswojo. Co będzie, jeśli go zawiedzie i rozczaruje? Wołała o tym nie myśleć.

Kiedy zahamowała na parkingu, żwir aż prysnął spod kół. Wyłączyła silnik i głęboko odetchnęła. Serce waliło jej tak mocno, jakby te sześćdziesiąt kilometrów od lotniska pokonała biegiem, a nie samochodem.

– Tylko spokojnie. Spóźniłaś się i nie da się tego zmienić – mruknęła, przeglądając się szybko we wstecznym lusterku.

Przez chwilę zdawało jej się, że ujrzała w nim jakąś znacznie starszą od siebie kobietę. Pod brązowymi oczami zrobiły jej się worki, a ciemne, krótko obcięte włosy, które nadawały jej uroczy wygląd, w półcieniu panującym wewnątrz samochodu wydawały się prawie szare.

Ellen westchnęła.

– Wyrzuc dowód osobisty i rób tak dalej – powiedziała do odbicia w lustrze. – Wtedy już w wieku dwudziestu dziewięciu lat będziesz mogła się starać o rentę.

Musi się mniej stresować i więcej czasu przeznaczać na sen.

Wysiadła z samochodu, trzasnęła drzwiami i nagle uświadomiła sobie, że zostawiła kluczyk w stacyjce. Szybko wróciła do wozu i wyjęła kluczyk. W tym samym momencie odezwał się jej pager. To już drugi raz od chwili, gdy znalazła się w strefie zasięgu.

– Wiem! – powiedziała i wyłączyła go.

Kiedy biegła w stronę Oddziału IX, pager znowu się odezwał. Ellen strasznie zniechęciła w tym momencie ten okropny plastikowy przedmiot. Był niewiele większy od pudełka zapalek i działał jej na nerwy. Na przykład odzywał się w niezwykłych miejscach – podczas przerwy na lunch w stołówce albo „w miejscu, do którego nawet dyrektor kliniki chodzi piechotą”. Tak to określał Chris.

W poniedziałkowe przedpołudnie ten mały potworek przypomniał jej, że pierwszy raz w życiu spóźniła się na dyżur. „His Master’s Voice” – to kolejne określenie z niewyczerpanego repertuaru Chrisa – włączył się po raz trzeci w ciągu ostatnich dwóch minut i wyemitował ten denerwujący dźwięk nie pozwalający jej wątpić, że ktoś z niecierpliwością na nią czeka. Miała nadzieję, że nie zdarzyło się to, czego obawiał się Chris.

Rozdział 2

Mężczyzna nazywał się Walter Brenner i wydawał z siebie niezrozumiały bełkot, który miał niewiele wspólnego z ludzkim językiem. Ellen zdawało się, że słyszy słowo „simmmmmmmmsnnn”.

Z danych w formularzu osobowym wynikało, że Brenner ma sześćdziesiąt pięć lat i jest kawalerem. Nosił wytarte, brązowe sztruksowe spodnie i flanelową koszulę z plamami na piersiach. Wyglądało na to, że pan Brenner ma słabość do potraw z dużą ilością sosu.

Zewnętrzny wygląd Brennera dowodził, że obce mu są takie przyrządy jak grzebień czy maszynka do golenia. Jego pomarszczoną twarz z zapadniętymi policzkami pokrywał twardy zarost. Fryzura – jeśli w odniesieniu do rozczochranych włosów można w ogóle użyć tego słowa – przypominała Ellen słynne zdjęcie Alberta Einsteina, na którym uczony pokazuje fotografowi język.

Uzupełnieniem tego wszystkiego był bijący od niego smród. Kojarzył się z camembertem, który dojrzał już bardzo dawno temu. Fetor, będący mieszanką odoru moczu, potu i łoju, unosił się nad tym nieszczęsnym człowiekiem jak niewidzialna chmura.

Ellen żałowała, że wyjeżdżając rano z domu, nie skropiła się – zwłaszcza dekoltu – większą ilością perfum Calvina Kleina. Jednak niczego nie dała po sobie poznać. Powiedziała tylko „Dzień dobry” i podała Brennerowi rękę.

Nie zauważył jej gestu, tylko nadal wpatrywał się przed siebie jak zahipnotyzowany.

– Pan Brenner został do nas przywieziony z ostrego dyżuru w Szpitalu Miejskim – wyjaśniła siostra Marion, podając Ellen kartę pacjenta.

Siostra Marion była dość otyłą kobietą; kilka lat temu skończyła pięćdziesiątkę. Ani Ellen, ani reszta personelu nie darzyła jej zbyt wielką sympatią. Religijną gorliwością i troskliwością kwoki Marion potrafiła doprowadzić do wściekłości najbardziej cierpliwie osoby. Na Oddziale IX pracowała od tak dawna, że złośliwcy zaczęli rozpowiadać, iż na skórze ma wytatuowany szpitalny numer inwentarzowy.

– Ten biedak nie wypowiedział jeszcze ani jednego zrozumiałego słowa – dodała Marion, głaszcząc Brennera po ramieniu. Pacjent zachowywał się tak, jakby nadal nic do niego nie docierało.

– Jak trafił do szpitala? – chciała wiedzieć Ellen.

– Jedna z sąsiadek przywiozła go na pogotowie, bo zauważyła, że stracił orientację na klatce schodowej. Nie można z nim porozmawiać, jest całkowicie zagubiony. Poza tym cierpi na zaburzenia równowagi. Biedaczek ledwo może chodzić.

Jakby na potwierdzenie jej słów Brenner znowu zaczął coś bełkotać. Wpatrywał się tępych wzrokiem w jeden punkt gdzieś na podłodze, obok krzesła Ellen. Smród wydobywający się z jego ust sprawił, że obie kobiety musiały odwrócić głowy.

– Faj – powiedziała Marion. – Czegóż pan się najadł, panie Brenner?

– Krmzwwwąąą – brzmiała odpowiedź.

Ellen domyśliła się, co mężczyzna chciał powiedzieć i skąd pochodzą brązowe wyschnięte plamy na jego koszuli.

– Prawdopodobnie karmy dla zwierząt.

Gruba pielęgniarka spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Nie jest pierwszym emerytem, który nie ma innego wyboru – stwierdziła Ellen i przyjrzała się Brennerowi uważnie. – Tania karma dla psów jest pożywniejsza niż tanie konserwy. Czyż nie mam racji, panie Brenner?

Brenner zareagował w podobny sposób jak wcześniej, ale tym razem wydał z siebie dźwięk przypominający syczenie. Ellen nie zwróciła na to uwagi. Zbadła jego odruchy

warunkowe i powiedziała, że musi się zapoznać z jego kartą. Tak jak poprzednio Brenner wydawał się zainteresowany tylko podłogą.

Ellen przestudiowała kartę przyjęcia pacjenta na oddział, zwracając szczególną uwagę na dane opisujące dziwne odruchy neurologiczne. Być może Brenner doznał wylewu krwi do mózgu – wskazywałyby na to zaburzenia mowy i problemy z utrzymaniem równowagi. Niewykluczone jednak, że chodzi o zaawansowaną demencję starczą, co wyjaśniałoby, dlaczego doktor März z pogotowia zdecydowała o wysłaniu pacjenta na oddział psychiatryczny.

Jeśli diagnoza jest właściwa, Brenner powinien się tak zachowywać już od dłuższego czasu. Nie zdołałby zrobić niczego samodzielnie. Nie byłby nawet w stanie kupić tej karmy dla zwierząt.

W sumie oznacza to, że nie chodzi o demencję starczą. W takim razie dlaczego trafił na psychiatrię? Ellen długo się nad tym zastanawiała i ostatecznie doszła do wniosku, że skierowanie Brennera na jej oddział nie miało sensu.

Jeszcze raz zerknęła do karty z opisem sporządzonym przez lekarzkę pogotowia. Przeczytała postawioną diagnozę i zdumiała się. Spojrzała na Brennera, a potem znów na kartę.

Diagnoza: F20.0. Zapisano ją kodem stosowanym przez lekarzy w korespondencji z innymi medykami, zatwierdzonym przez Światową Organizację Zdrowia i obowiązującym na całym świecie. F20.0 to jedna z najczęściej stawianych diagnoz – Ellen stykała się z nimi na co dzień. Pod tym oznaczeniem kryła się schizofrenia paranoidalna.

Ellen przeczytała uważnie opis rozpoznania, żeby się upewnić, czy został wpisany właściwy kod diagnozy. Charakter pisma pozostawiał wiele do życzenia – Chris, który lubił porządek, pewnie by powiedział, że jest niechlujny – więc jakiś drobny błąd mógł się wkraść. Doktor März wpisała kod F20.0. Dlaczego miałyby wysłać Brennera do kliniki psychiatrycznej, gdyby nie była przekonana, że jest on schizofrenikiem?

– Czy pan już kiedyś u nas był? – zapytała Ellen pacjenta. Ponieważ nie doczekała się odpowiedzi, zaczęła szukać informacji w komputerowej bazie danych. Gdy wpisała do wyszukiwarki nazwisko Brenner, otrzymała jeden wynik. Wpisu dokonał doktor Mark Behrendt. Kiedy czytała jego treść, ze zdumienia zaparło jej dech.

Ponownie odwróciła się w stronę Brennera i chwyciła go za rękę. Miała przy tym wrażenie, że dotyka mumii. Pierwszy raz zwrócił na nią uwagę, choć nadal patrzył na nią niewidzącym wzrokiem i nic nie wskazywało na to, że rozpoznaje siedzącą naprzeciwko lekarzkę. W jego spojrzeniu brakowało charakterystycznego blasku zrozumienia, takiego, gdy ktoś myśli: „Aha, więc to jest kobieta, która nosi biały kitel”. Przeciwnie: można w nim było wyczytać dokładnie to samo, co w wypowiedzianych wcześniej bełkotliwych słowach, to znaczy absolutnie nic.

Ellen uszczypnęła Brennera w nadgarstek. Fałda skóry odkształciła się jak plastyczna masa i pozostała w tym stanie.

– Niewiarygodne! – zawołała Ellen, a widząc pytający wzrok siostry Marion, dodała: – Proszę mu jak najszybciej podać sól fizjologiczną. Myślę, że za kilka godzin będziemy mieć do czynienia z zupełnie innym panem Brennerem.

Siostra Marion zmarszczyła czoło. Wyglądała teraz jak mops.

– Słucham? – spytała.

– Nie tylko Bóg może dokonywać drobnych cudów. Prawda, panie Brenner?

– Garrrrsslll – wybełkotał mężczyzna i puścił bąka.

Ellen z wielką ulgą wyszła z pokoju. Szybkim krokiem przeszła przez korytarz, wpadła do swojego gabinetu i zamknęła drzwi na klucz.

Dopiero po dłuższej chwili pielęgniarki z izby przyjęć Szpitala Miejskiego udało się dodzwonić do doktor März. Ellen czekała niecierpliwie. Położyła słuchawkę w zasięgu ręki,

otworzyła laptopa i zagłębiła się w historię choroby Brennera. W słuchawce przez cały czas słyhać było powitalną melodyjkę. Ellen rozpoznała fragment *Eine kleine Nachtmusik* Mozarta. Za każdym razem, gdy automat odtwarzał ten kawałek od nowa, narastała w niej złość.

W końcu w słuchawce rozległ się trzask i Ellen usłyszała zdecydowany kobiecy głos:

– März, słucham!

– Mówi doktor Roth z Leśnej Kliniki. Dzwonię w sprawie Waltera Brennera, którego pani nam przysłała.

– Czy nie mogłybyśmy z tym poczekać? Mam tyle pracy, że nie wiem, w co ręce włożyć. Moi pacjenci...

– Właśnie o to mi chodzi. O jednego z pani pacjentów. Czy takie pojęcia jak nadmierna utrata płynów i dehydratacja cokolwiek pani mówią? Jeśli nie, to pozwolę sobie je pani przypomnieć. Na pewno pani wie, że starsi ludzie zapominają o picciu.

– Słucham?

– Na pewno też pani wie, że zaburzenia procesu myślenia, utrata zdolności mówienia i tak łatwy do rozpoznania objaw, jak to, że uszczygnięta skóra nie jest sprężysta i nie można jej wygładzić, to pierwsze oznaki odwodnienia prowadzącego w końcu do śmierci. I właśnie to, droga pani doktor, dzieje się z panem Brennerem, którego mi pani podesłała. Z pacjentem, który rzekomo cierpi na schizofrenię, że wyrażę to dobitniej.

Ellen musiała nabrać powietrza – doktor März skorzystała z okazji i się odezwała.

– Aha – powiedziała. – Widzę, że zapoznała się pani z jego kartą?

– Co pani ma na myśli?

– Jedna z sąsiadek Brennera mówiła mi, że już raz przebywał w klinice. Policja przywiozła go do was po tym, jak wszedł na parapet kuchennego okna i w samym środku dnia sikał na ulicę, wygadując przy tym jakieś brednie. Do ludzi na ulicy wołał, żeby się wynieśli z jego ubikacji.

– Szanowna pani doktor, nie kwestionuję, że tak było. Uważam jednak, że zamiast opierać się na wypowiedziach sąsiadki, powinna pani skontaktować się najpierw z nami. Dowiedziałyby się pani wtedy, że Brenner był odwodniony i dlatego miał zaburzenia procesu myślenia. Całkiem możliwe, że od czasu do czasu ma problemy z przyjmowaniem płynów, co jednak wcale nie oznacza, że jest schizofrenikiem. Może pani spytać o to także doktora Behrendta, który go wtedy badał.

Przez kilka sekund w słuchawce panowała cisza. W końcu doktor März spytała:

– Czy pani coś insynuuje?

– Niczego nie insynuuję, tylko stwierdzam. Przez pani zaniedbanie było zagrożone życie pacjenta. W dodatku zdiagnozowała pani u niego schizofrenię. Nie muszę pani przypominać, co taki wpis w historii choroby może dla niego oznaczać, nawet jeśli to tylko błędna diagnoza.

– Wystarczy! – parsknęła do słuchawki doktor März. – Zarzuca mi pani, że jestem...

– Niekompetentna. W tym przypadku tak...

Ellen wypowiedziała te słowa, zanim zdążyła się zastanowić nad jakimś bardziej dyplomatycznym określeniem. Chwilę później w słuchawce rozległ się ciągły sygnał. Doktor März rozłączyła się. Ellen spojrzała skonsternowana na słuchawkę.

A czego się spodziewałaś? Podziękowań i bukietu kwiatów? Owacji na stojąco w wykonaniu fanklubu doktor Ellen Roth Superstar?

To prawda, bardzo surowo osądziła swoją koleżankę po fachu, ale uznała, że ma do tego prawo. Nie zamierzała robić z tego żadnej afery ani wpędzać doktor März w kłopoty, ale uważała, że lekarka powinna była jej wysłuchać, przyjąć do wiadomości, że popełniła błąd i stwierdzić, że jest jej przykro. Jest to winna Brennerowi. Biedakowi, który ostatnie lata swojego życia spędza samotnie w niewielkim mieszkaniu. A gdy zapłaci miesięczny czynsz, z

tęgo, co mu zostaje, kupuje makaron z przeceny i gotuje go z karmą dla psów. Pewnie sobie przy tym wmawia, że „jeśli jest w niej wszystko, co jest dobre dla psa”, to musi w niej być także „wszystko, co jest dobre dla człowieka”.

Gdyby chodziło o młodego i zamożnego pacjenta, którego stać na zatrudnienie świetnego prawnika, doktor März na pewno wiedziałaby, jak za wszystko przeprosić, i z pewnością uczyniłaby to w czarujący sposób. Ale jeśli lekarz ma do czynienia z kimś takim jak Brenner, może się wytłumaczyć brakiem czasu i wrócić do codziennych zajęć.

Świat jest niesprawiedliwy, okrutny i brutalny, pomyślała Ellen.

Słowo brutalny jeszcze przez chwilę dźwięczało jej w głowie. Przez następną godzinę przyjmowała pacjentów. W końcu z radością zaszyła się w swoim gabinecie, aby zająć się dokumentami, które poprzedniego wieczoru zostawił jej Chris.

Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, widząc żółtą kartkę z zeszytu. Był to jeden z wielu drobiazgów, którymi ją od czasu do czasu zaskakiwał. Tym razem narysował emotikonka przedstawiającego uśmiechniętą buźkę. Pod spodem dopisał:

„Nie stresuj się, skarbie”.

– Żebyś wiedział – mruknęła Ellen i przyczepiła kartkę do ściany nad biurkiem.

Czuła się zestresowana, zmęczona i wyczerpana. Ostatni tydzień był pełen napięcia i pracy. W ostatni weekend pomagała Chrisowi w remoncie domu. Zeszłej nocy z powodu wyjazdu na lotnisko prawie nie spała.

Zmęczenia nie usunął nawet napój energetyzujący, który wbrew rozsądkowi kupiła w kiosku na lotnisku. Trochę ją ożywił, ale nie całkiem rozbudził. Później uznała, że filiżanka espresso i banan stanowiłyby o wiele lepszy wybór. Niestety, było już za późno – na siedzeniu jej sportowego wozu leżała pusta puszka po napoju.

W sumie nie był to dobry początek nowego tygodnia pracy. Ellen uważała, że w stanie, w jakim się obecnie znajduje, mogłaby bez problemu zdobyć pierwsze miejsce w nocnym maratonie tańca.

Odłożyła na bok dwa formularze przeznaczone dla kasy chorych. W ostatnich latach stały się prawdziwą zmorą lekarzy. Przeleciała wzrokiem notatkę jednego z członków personelu i znalazła to, czego szukała.

Formularz przyjęcia chorego na oddział przywołał w jej pamięci pewien obraz: na siedzeniu obok kierowcy siedział Chris. Był przypięty pasem bezpieczeństwa, w oddali migotały światła lotniska.

„Może nie powinienem wyjeżdżać” – Ellen przypomniała sobie jego słowa. – „To zbyt ważna sprawa, żebym teraz tak po prostu...”

W tym miejscu Ellen mu przerwała i po raz setny tego ranka zapewniła, że zajmie się tym przypadkiem, więc Chris nie musi się o nic martwić.

Chris spojrział na nią poważnym wzrokiem i powiedział: „Nie chciałbym znowu przeżywać tego samego, co w przypadku Margitty Stein”.

Słyszając to nazwisko, Ellen dostała gęsiej skórki. Jednak nie dała tego po sobie poznać.

„Do tego na pewno nie dojdzie” – zapewniła go. – „Bez względu na to, co się stanie, zajmę się nią”.

Teraz trzymała w dłoni formularz z danymi osobowymi nowej pacjentki, a wspomnienie rozmowy sprzed kilku godzin stało się tak silne, że zaczęło jej się wydawać, iż Chris nadal siedzi obok niej. Prawie czuła na sobie przenikliwy wzrok jego niebieskich oczu. Z wielkim trudem powstrzymywała się, żeby nie zacząć szukać go wzrokiem po pokoju. W końcu zdała sobie sprawę, że nie chodzi o wzrok Chrisa, tylko o to, co mu obiecała, choć nie była pewna, czy temu podoła.

Po chwili otrząsnęła się z tych wątpliwości i skoncentrowała uwagę na formularzu. Kiedy na oddział jest przyjmowany nowy pacjent, lekarz wypełnia właśnie taki formularz i wpina go do akt. Tymczasem Chris z pełną świadomością włożył go do przegródki zawierającej sprawę „do załatwienia”. Chciał w ten sposób przypomnieć Ellen, że ten przypadek ma dla niego – a więc także dla niej – najwyższy priorytet.

Ellen przeczytała górną rubrykę, w którą wpisuje się imię i nazwisko pacjenta.

„Nieznane”.

„Miałem zbyt mało czasu, żeby to ustalić” – powiedział Chris.

Także w rubrykach „Adres zamieszkania” i „Miejsce urodzenia” wstawił słowo „nieznane”. Pod spodem dopisał: „Pacjentka została przywieziona karetką Szpitala Miejskiego”.

To tak samo jak nasz odwodniony pan Brenner, pomyślała Ellen. Tyle że w przypadku tej niezidentyfikowanej pacjentki nie było wątpliwości co do jej stanu. Potwierdzał to także wpis w rubryce „Obserwacje”.

„Widoczne ślady pobicia. Reaguje pozytywnie na próby nawiązania kontaktu. Brak danych osobowych. Wiek od trzydziestu do trzydziestu pięciu lat. Wstępna diagnoza: zespół stresu pourazowego”.

Bez względu na to, kim ta kobieta jest, musiała zaznać w życiu wiele złego. Odkryte przez Chrisa ślady pobicia nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do tego, czym były wywołane jej cierpienia.

Ellen westchnęła głęboko. W ostatnich latach gwałty i przemoc w małżeństwie zdarzały się coraz częściej. Nie potrzeba zbyt wiele wyobraźni, żeby powiązać tego rodzaju przypadki z bezrobociem, brakiem integracji i zwiększającym się wskaźnikiem spożycia alkoholu. Zwariowany świat!

Po chwili zauważyła trzy litery, które Chris wpisał w dolnym rogu formularza:

SIP

„Szczególnie Interesujący Przypadek”. Chris dość często posługiwał się tym skrótem, ale rozszyfrować go potrafiła tylko Ellen. Jednak nigdy wcześniej nie podkreślał tych liter, i to podwójną kreską.

W rubryce „Informacje dodatkowe” Chris zanotował: „Pacjentka twierdzi, że grozi jej niebezpieczeństwo. Wierzę jej”.

– No dobra – powiedziała Ellen, spoglądając na formularz. Odetchnęła głęboko i dodała: – Najwyższy czas, żebyśmy się poznały osobiście.

Rozdział 3

Pokój nr 7 znajdował się na końcu korytarza. Był to jeden z trzech pokoiów jednoosobowych na Oddziale IX. Umieszczano w nich szczególnie trudne przypadki. Czasami – gdy brakowało wolnych łóżek – do jedynek kładziono dwóch pacjentów, ale teraz w pokoju nr 7 leżała tylko jedna osoba.

Zasłony były zasunięte. Do środka przenikały tylko pojedyncze promienie słońca, przez co w całym pomieszczeniu panował upiorny półmrok. Chociaż na dworze temperatura sięgała dwudziestu stopni, a wewnątrz wszystkie pomieszczenia były klimatyzowane, Ellen odnosiła wrażenie, że akurat w tym pokoju jest chłodniej. Ale najgorszy był smród unoszący się w powietrzu.

W porównaniu z tym smród, jaki bije od pana Brennera, wydaje się całkiem znośny, pomyślała Ellen. Z trudem powstrzymywała odruch wymiotny.

Odór w pokoju świadczył, że pacjentka nie dba o higienę. Stanowił mieszankę czegoś trudnego do określenia i jeszcze trudniejszego do zniesienia. Ellen pomyślała, że jeśli zbyt długo tu zostanie, smród doprowadzi do jakichś nieodwracalnych zmian w jej organizmie.

Strach, pomyślała. To zapach wywołany strachem.

Wprawdzie było to dość nieprofesjonalne określenie, ale w tym momencie tylko ono nasunęło jej się na myśl. Jakby na potwierdzenie tej tezy poczuła, że na jej rękach pojawiła się gęsia skórka.

Po chwili zauważyła kobiecą postać przykucniętą na podłodze między łóżkiem a ścianą. W panującym półmroku Ellen trudno było oszacować wzrost i wagę kobiety. Pacjentka podkurczyła nogi i głowę oparła na kolanach. Na dresowe spodnie opadały długie, potargane kosmyki jej włosów. Przedstawiała obraz nędzy i rozpacz.

– Dzień dobry – powiedziała Ellen.

W pierwszym momencie kobieta nie zareagowała. Dopiero po chwili uniosła głowę. Uczyniła to powoli, jak na filmie puszczonej w zwolnionym tempie. W pokoju było zbyt ciemno, żeby Ellen mogła rozpoznać rysy jej twarzy.

– Jestem doktor Ellen Roth. A pani?

Żadnej odpowiedzi.

– Czy mogę podejść bliżej?

Milczenie.

Ellen podeszła ostrożnie do kobiety, a ta od razu oparła się plecami o kaloryfer wiszący na ścianie. Ellen zatrzymała się w bezpiecznej odległości i usiadła na łóżku. Zauważyła, że kobieta z niego do tej pory nie korzystała. Czyżby całą noc spędziła w kącie na podłodze?

Smród, jaki bił od pacjentki, z tak małej odległości był jeszcze intensywniejszy. Ellen oparła się jednak pokusie i nie otworzyła okna. Bez względu na to, co przydarzyło się tej biedaczce, poczucie bezpieczeństwa wynikające z faktu, że przebywa w zamkniętym pomieszczeniu, w którym panuje półmrok, jest dla niej niezwykle ważne. Ellen ani przez sekundę nie wątpiła, że kobieta sama zamknęła okno i zasunęła zasłony. Być może otwarte okno wywoływało w niej poczucie niepewności lub zdenerwowanie, a to mogłoby uniemożliwić jakąkolwiek rozmowę. Przynajmniej na początku.

No dobrze, pani doktor, od tej pory musisz działać w sposób profesjonalny, chociaż najchętniej zatkałabyś nos i uciekła z tego pokoju. Najważniejsze to zdobyć zaufanie pacjentki, oddychać można ustami. Dopiero kiedy zdobędziesz jej zaufanie, będziesz mogła ten pokój przewietrzyć.

Ellen wpatrywała się w kobietę. Ta jeszcze bardziej wcisnęła się w kąt pokoju, jakby chciała wbić się w ścianę. W tym samym momencie na jej twarz padł promień światła. Była

nabrzmiała, dodatkowo podkreślała to opuchlizna na brodzie, wargach i skroniach. Liczne krwiste wybroczyny na przedramionach i na twarzy wyglądały w półmroku jak ślady po sadzy, jakby kobieta gołymi rękami grzebała w zwale węgla i potem ocierała nimi pot z twarzy.

Ktokolwiek ją tak pobił, musiał się nieźle namęczyć. Ellen doszła do wniosku, że kobieta nie jest prostytutką. Alfonsi rzadko biją swoje podopieczne po twarzy. Wybierają raczej mniej widoczne miejsca, żeby ich kobiety mogły przyciągać klientów wyglądem.

Widząc, w jakim stanie jest pacjentka, Ellen zrozumiała, dlaczego Chris na jej karcie umieścił skrót SIP. Zrozumiała też, co miał na myśli, mówiąc: „Być może będzie lepiej, jeśli to ty się nią zajmiesz”.

Ellen wcale by się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że Chrisowi nie udało się porozumieć z pacjentką tylko dlatego, że jest mężczyzną. Przecież to ofiara pobicia – jest w stanie tak silnego szoku, że wbiła się w kąt zaciemnionego pokoju. W takich przypadkach nawet lekarce trudno porozmawiać z pacjentką. Często bywa tak, że ofiara zamyka się w sobie nie z powodu szoku, lecz dlatego, że się wstydzi. Zdarza się, że odrzuca wszelką oferowaną pomoc.

Mogło też być tak, że kobieta nie odpowiadała na pytania, bo nie znała języka niemieckiego.

Ostatnimi czasy Ellen miała trochę do czynienia z kobietami z Europy Wschodniej. Nierzadko ich mężczyźni wyładowywali na nich swoją agresję. Znakomite podłoże do rozwoju tego rodzaju zachowań stanowiła trudna sytuacja społeczna panująca w małych miasteczkach – takich jak Fahlenberg. Ofiarami przemocy padały najczęściej słabe i bezbronne kobiety, które ze względu na nieznamość języka nie mogły zwrócić się do kogoś o pomoc. Niewykluczone, że kobieta, która kuciała na podłodze, też pochodziła z Europy Wschodniej. Za tym przemawiał jej wygląd – ciemne włosy i równie ciemne oczy.

Ty też masz ciemne włosy i brązowe oczy, a przecież nie pochodzisz z Kazachstanu, Chorwacji albo Turcji, pomyślała o sobie Ellen.

– Czy pani mówi po niemiecku? Czy pani mnie rozumie?

Wprawdzie i tym razem kobieta nie odpowiedziała, ale przynajmniej zareagowała, choć dość słabo – najwidoczniej sprawiło jej to ból – skinęła głową. Ellen zauważyła kolejną plamę na jej policzku, ale inną, wyglądała jak smuga po maźnięciu czekoladą.

– Jest pani u nas bezpieczna. Nikt nie zrobi pani krzywdy. Jestem tutaj, żeby pani pomóc.

Kobieta lekko zmarszczyła czoło. Ale nawet to musiało jej sprawić ból.

– Mężczyzna.

Słowo to wypowiedziała szeptem.

– Czy zrobił to pani jakiś mężczyzna?

Lekkie skinienie głową, a potem ledwo słyszalne:

– Tak.

– Czy chce mi pani o tym opowiedzieć?

Kobieta nie odpowiedziała, tylko przekrzywiła głowę. Spoglądała na pustą ścianę przez strąki włosów opadające jej na twarz i wyglądała na dziwnie obojętną.

– Czy zrobił to pani mąż? Może konkubin?

Ellen musiała bardzo ostrożnie zadawać pytania i w żadnym wypadku nie mogła naciskać kobiety ani zmuszać jej do odpowiedzi. Ale chciała drążyć temat, dopóki pacjentka nie pokaże, że ma już dosyć.

– Każda ma mężczyznę.

Kobieta wypowiedziała te słowa niezwykle wysokim tonem. Tak mówi ktoś, kto próbuje naśladować głos dziecka.

– Czy zechce mi pani o tym dokładniej opowiedzieć?

Ellen ogarnęły złe przeczucia. Mężczyzna, którego ma każda kobieta, niekoniecznie musi być jej mężem. Być może kobieta miała na myśli jakąś osobę publiczną. Może listonosza,

policjanta albo księdza? Przez cztery lata, odkąd pracowała jako lekarz psychiatra, Ellen nauczyła się przede wszystkim jednego: nie ma rzeczy niemożliwych. Naprawdę.

Powoli, jakby była elektryczną lalką, której baterie prawie się wyczerpały, kobieta odwróciła głowę w jej stronę. Oczy miała szeroko otwarte ze strachu.

– Musicie mnie przed nim ochronić.

Ellen znowu wyobraziła sobie przestraszone dziecko. Zwróciła też uwagę na dialekt kobiety. Słowa wypowiadała z lekko śpiewnym akcentem, podobnym do tego, jakim posługują się mieszkańcy niektórych regionów Badenii-Wirtembergii. Bez wątplenia nie pochodziła stąd. Na terenach rozciągających się wokół Fahlenbergu dominuje twarde szwabski akcent.

– Oczywiście, że będziemy panią chronić. Ale najpierw muszę się dowiedzieć, kogo ma pani na myśli.

– Czarnego Luda.

– Czarnego Luda? Ma pani na myśli mężczyznę o ciemnej skórze? Może Afrykanina?

– Czarny Lud, Czarny Lud, kto się boi Czarnego Luda? – zaśpiewała kobieta dziecięcym głosem. Potem wydała z siebie ostry krzyk, obnażając przy tym przebarwione zęby.

– Czy to mężczyzna z królestwa dzieci?

Kobieta jeszcze szerzej otworzyła oczy i zrozpaczona spojrzała na Ellen.

– Gdy się zjawi, lepiej bierzmy nogi za pas!

I znowu spojrzała na Ellen zdesperowanym wzrokiem.

– Ale jemu nie można uciec. Nie da się. Jest za sprytny.

Chris powiedział, że nie chce po raz drugi przeżyć tego, czego doświadczył w związku z przypadkiem Margitty Stein. Ellen pamiętała tę pacjentkę. Przed dwoma laty przyjęto ją na prywatny oddział, ponieważ została brutalnie pobita przez męża – szanowanego, acz agresywnego przedsiębiorcę. Kobieta była tak wzburzona, że nocą uciekła z domu. Zauważył ją patrol policji i przywiózł do Leśnej Kliniki.

Margitta Stein była tak samo przerażona jak ta bezimienna kobieta. Mimo to Chris dość szybko dotarł do jej świadomości i równie szybko odnotował pierwsze sukcesy po zastosowaniu odpowiedniej terapii. Tak mu się przynajmniej wydawało. Tymczasem Stein zdecydowała się na drastyczny krok. Na dzień przed wypisaniem z kliniki zabrała ze stołówki w czasie lunchu nóż i tęym ostrzem przecięła sobie tętnicę szyjną. Kiedy ją znaleziono, na pomoc było już za późno. Tuż przed śmiercią Stein na linoleum pokrywającym podłogę napisała własną krwią pięć słów:

NIGDY PRZED NIM NIE UCIEKNĘ

Wiele bitych kobiet jest na tyle silnych, że potrafi zrobić skok w bok, wystąpić o rozwód albo poszukać schronienia w domach opieki dla ofiar przemocy rodzinnej. Ale niektóre nie są w stanie znaleźć w sobie tyle siły. Wolą szybki i straszny koniec od niekończących się traumatycznych przeżyć. Chris obawia! się, że bezimienna pacjentka może sobie zrobić krzywdę, tak jak Stein.

Jakiś wewnętrzny głos, który przypominał jej głos Chrisa, potwierdzał jej obawy: Tym razem to ty ponosisz odpowiedzialność za ludzkie życie.

– Tutaj pani nie znajdzie – zapewniła Ellen pacjentkę. – Tu będzie pani bezpieczna.

W tym samym momencie odezwał się jej pager. Zarówno Ellen, jak i kobieta wzdygnęły się na ten dźwięk.

Cholerne gówno!

Przepisy obowiązujące na terenie kliniki zabraniały wyłączać pager przed zakończeniem dyżuru. Nawet gdy lekarz bada pacjenta, musi być łatwo osiągalny dla personelu na wypadek,

gdyby doszło do jakiegoś nieszczęścia. Był to kolejny powód, dla którego Ellen tak bardzo zniechęciła to małe plastikowe urządzenie.

Prawie natychmiast wcisnęła wyłącznik. Kobieta wydała kilka przerażonych okrzyków.

– Wszystko w porządku – uspokajała ją Ellen. – Wszystko w porządku. Nie musi się pani niczego obawiać. Ten dźwięk oznacza, że muszę na chwilę wyjść. Ale obiecuję, że zaraz wrócę.

– Nie, nie odchodź. Nie zostawiaj mnie samej. Proszę!

– Ja naprawdę wyjdę tylko na chwilę.

– Ale wtedy on wejdzie przez drzwi!

– Czarny Lud?

– Tak.

– Na pewno tego nie zrobi. Nie może tu wejść. A ja zaraz wrócę, obiecuję.

Kobieta umilkła, a gdy Ellen ostrożnie się wyprostowała, jeszcze mocniej przycisnęła się do ściany. Ellen starała się unikać gwałtownych ruchów, żeby pacjentka nie poczuła się zagrożona.

Z korytarza docierały odgłosy kroków i zamieszania. Co tam się, do diabła, dzieje?

– To naprawdę nie potrwa długo.

Kobieta nie zareagowała, tylko spojrzała na Ellen. Źrenice miała tak rozszerzone, że przypominały dwie szklane kulki.

Ellen oczy kobiety skojarzyły się z dziecięcymi lalkami, które miały doklejone do policzków łyzy. Lalki wpatrywały się w ludzi wielkimi, ruchomymi oczami. Widok ten wzbudzał u niektórych osób uczucia opiekuńcze. I właśnie temu ich producenci i sprzedawcy zawdzięczali sukces rynkowy. Jak gdyby zmuszały klienta, żeby je kupić i zabrał do domu, gdzie wśród czterech ścian, z dala od wszelkiego zła, znajdą bezpieczny świat. I właśnie tego rodzaju przymus odczuwała w tej chwili Ellen, chociaż w tym wypadku nie chodziło ani o lalkę, ani o łyżę z przypominającego szkło plastiku.

Ale spojrzenie kobiety kryło jeszcze coś. Ellen doszła do wniosku, że kojarzy jej się ze wzrokiem kogoś, kto o włos uniknął śmierci.

Ellen z trudem przyszło zmuszenie się do tego, żeby to biedne, przestraszone stworzenie o dziecięcym głosie zostawić samo w ciemnym pomieszczeniu. Ponieważ jednak pager nadal ją wzywał i natarczywie przypominał o obowiązkach, które na niej spoczywały, w końcu jej się to udało.

Ledwo doszła do drzwi, gdy usłyszała za sobą szmer. Odwróciła się i w tej samej chwili została pchnięta na ścianę.

Uderzyła ramieniem o obrazek przedstawiający Anioła Stróża z wielką miłością spoglądającego z góry na modlące się dziecko o kręconych blond włosach. Obrazek spadł na podłogę. Przez ułamek sekundy Ellen czekała na brzęk rozpryskującego się szkła. Ale na oddziałach zamkniętych nie było szkła – istniało zbyt duże ryzyko, że ktoś mógłby się zranić odłamkiem.

Twarz kobiety znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od twarzy Ellen. Młoda lekarka czuła potężną siłę dłoni, które zacisnęły się na jej ramionach. Zachowanie kobiety było typowe dla człowieka całkowicie obezwładnionego strachem. Uścisk sprawiał Ellen potworny ból.

– Kiedy się zjawi, musisz natychmiast uciekać – syknęła kobieta. Z jej ust wydobywał się odór przypominający o mdłości. Ellen kojarzył się ze smrodem, jaki wydobywa się z psich pysków. Cóż za absurdalne skojarzenie. Z trudem powstrzymała odruch wymiotny. Musi się pilnować, żeby głośno nie krzyknąć. Przynajmniej nie od razu.

– Obiecuj, że mnie ochronisz, kiedy po mnie przyjdzie!

Kobieta mówiła stłumionym głosem, jakby się bała, że jej prześladowca ją dorwie. Spoglądała na Ellen ze strachem, coraz mocniej się do niej przyciskała i czekała na odpowiedź.

Ellen zawahała się. Rano, kiedy jechała na lotnisko, tego rodzaju obietnicę byłoby jej łatwiej złożyć. Myślała wtedy głównie o Chrisie i o tym, żeby zrobić to, czego od niej oczekuje. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką na siebie wzięła.

– Proszę! Obiecuj mi!

– Obiecuję... – wystękała Ellen.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę – odparła Ellen, przełykając ślinę. Miała nadzieję, że jej to pomoże, bo z trudem powstrzymywała wymioty.

I rzeczywiście, pomogło.

Oj, Chris, ale mnie wrobiłeś!

Kobieta puściła Ellen i wróciła do swojego kąta.

– On jest strasznie zły – mruknęła. – I sprytny. Cholernie sprytny.

Potem zaczęła nucić dziecięcą piosenkę o Czarnym Ludzie. *Tak, to rzeczywiście Szczególnie Interesujący Przypadek*, pomyślała Ellen, rozcierając bolące ramię.

Znowu odezwał się pager. Tym razem Ellen już nie czekała, tylko podążyła tam, dokąd ją wzywał „His Master’s Voice”.

Rozdział 4

Na korytarzu panowało ogromne zamieszanie. Pacjenci stali w półkolu wokół czegoś, czego Ellen nie mogła jeszcze rozpoznać, bo była zbyt daleko. Personel oddziału starał się to zbiegowisko rozpedzić. Musiało się zdarzyć coś niezwykłego, ponieważ pacjenci bardzo się starali, aby nie wpaść pielęgniarzom w ręce.

Wśród pielęgniarzy Ellen zauważyła kilka nieznanych twarzy. Nagle ktoś zaczął wołać o pomoc i Ellen nie musiała się zbytnio wysilać, żeby się domyślić, do kogo należy ten głos. W samym środku zbiegowiska, jak statua wyróżniająca się rozmiarami, stała siostra Marion. W jednej ręce trzymała telefon, a drugą przyciskała do piersi, jakby za chwilę miała dostać ataku serca.

Ellen nie wierzyła własnym oczom. Czegoś takiego jeszcze na tym oddziale nie widziała. Na drugim końcu korytarza, za wszystkimi ciekawskimi, usłyszała głos mężczyzny.

– Nie będę tego jadł! – A potem rozległ się histeryczny krzyk: – Niiiiiiigdy!

Prawie w tym samym momencie na Ellen wpadła siostra Marion.

– Pani doktor! Nareszcie! Wszędzie pani szukałam!

– Tylko nie w pokoju numer siedem. Co tu się dzieje?

– To Bock – odparła siostra Marion podenerwowanym głosem, szukając czegoś w kieszeni fartucha. Ellen zauważyła, że kitel na wysokości ogromnego biustu siostry Marion jest poplamiony jakąś czerwoną wodnistą cieczą. Wydawało jej się, że obok plakietki z nazwiskiem widzi pestki jabłek. Tak to przynajmniej wyglądało.

– Pan Bock? Ten Bock?

Marion skinęła głową.

– Ale przecież on cierpi na katatonię.

– No właśnie. Dotąd nawet słowa nie pisał. Jak zwykle zresztą. Aż do chwili, gdy...

Siostra Marion nie dokończyła zdania, tylko odwróciła się w stronę, gdzie kończył się korytarz.

– Gdy co?

– Ten pan jest świadkiem, sama nie umiem tego wytłumaczyć – mruknęła pielęgniarka.

– Siostrzo, niechże się siostra skupi. Co tu się stało?

– Rany boskie, sama nie wiem!

Ellen uznała, że więcej się od niej nie dowie, więc odwróciła się na pięcie i zostawiła ją samą z jej histerią. Podeszła do starszego mężczyzny, który stale powtarzał „Jezusie, Mario, święty Józefie” i gwałtownie przestępował z nogi na nogę. Tego rodzaju zachowanie nie jest wśród osób chorych psychicznie niczym szczególnym, ale teraz, w całym tym zamieszaniu, takie dreptanie przypominało trochę taniec Freda Astaire’a. Jedna z pielęgniarek, którą w ramach uzupełnienia kadr przysłano na oddział zamknięty, wzięła go za ramię i zaprowadziła z powrotem do pokoju.

Co się takiego wydarzyło, że aż trzeba było ściągać dodatkowy personel do pomocy? Ellen przecisnęła się przez tłum i zobaczyła lekarza z pierwszego piętra. Doktor Mark Behrendt stał przed drzwiami prowadzącymi do wspólnej łaźni. Ze środka dochodziły krzyki Bocka.

Zachowanie i wygląd Marka nie zwiastowały niczego dobrego. Stał z jedną ręką opartą o biodro, spod kitla wystawała mu koszulka z napisem „Who killed Laura Palmer?”. Drugą dłonią przeczesywał swoje ciemne włosy. Martwym wzrokiem wpatrywał się w drzwi prowadzące do łaźni.

– Panie Bock, proszę otworzyć – powiedział Mark zdecydowanym głosem.

Na Bocku nie zrobiło to żadnego wrażenia. Zza drzwi rozległ się jego wrzask:

– Kanibale! Bezbożne kanibale! Tak, właśnie takimi kanibalami jesteście!

– Co tu się, do diaska... – zaczęła Ellen.

Mark rzucił jej szybkie spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „To poważna sprawa, cholernie poważna!”. Potem znowu odwrócił się w stronę drzwi, jakby widział, co się dzieje za zieloną matową szybą.

– Cholera, gdzie ty się podziewałaś?

– Rozmawiałam z pacjentką. Co z Bockiem?

– Nie mam pojęcia. W czasie obiadu nagle sfiksował. Najpierw zaatakował Marion, a potem zabarykadował się w łazni.

W drzwiach prowadzących do łazni nie było zamka, podobnie jak we wszystkich drzwiach w pokojach pacjentów. Wyglądało jednak na to, że Bock od wewnątrz czymś je zastawił. Mark podjął kolejną próbę, żeby je odblokować, ale zdołał je przesunąć tylko o kilka centymetrów; w końcu zrezygnował.

– Zostawcie mnie w spokoju! Odwalcie się ode mnie!

Ellen zdziwiła się, słysząc, że Bock mówi tak zdecydowanym głosem. Podczas pierwszego spotkania z nim odniosła wrażenie, że jest nieśmiały. W dodatku na całym oddziale ani ona, ani nikt inny nie słyszał wcześniej jego głosu. Kiedy go przywieziono, miał martwy wzrok, w ogóle się nie odzywał i nie reagował na próby nawiązania kontaktu. Od razu zaprowadzono go do pokoju. Fakt, że jego zachowanie tak drastycznie się zmieniło, był zdumiewający i dowodził, że będzie on potrzebował specjalnej opieki.

– Nie możemy tak po prostu odejść, sam pan o tym wie – zawołał Mark przez wąską szczelinę w drzwiach. – Niech pan mnie wpuści do środka, to pogadamy.

– Pogadamy? Pogadamy! Ha! Pan chce, żebym pana zjadł. Chce pan, żebym zjadł moją żonę. Ale nie zrobię tego. Nigdy!

– O czym on bredzi? – spytała Ellen szeptem. – Bock doznał szoku, ale nie wyglądał na obłąkanego.

– Obłąkany czy nie, najważniejsze jest to, że w tym momencie nie chce zjeść swojej żony.

Mark ponownie przysunął twarz do szpary w drzwiach i zawołał:

– Panie Bock, jest tu ze mną doktor Roth. Chyba ją pan pamięta, prawda?

– Niech się stąd wynosi! Oboje się wynoście. Bo inaczej to zrobię.

– Co pan zrobi?

– Gównno was to obchodzi!

Mark wymienił spojrzenia z Ellen. Oboje doszli chyba do tego samego wniosku: Bock zamierza popełnić samobójstwo. Może to tylko groźba, ale lepiej od razu nie wykluczać, że Bock znalazł w łazni coś, co może mu pomóc w jej spełnieniu. Pacjentom nie wolno się golić na mokro, ale czy to problem ukryć gdzieś brzytwę? Pacjenci odbierali sobie życie też w inny sposób: zawiązywali pasek od płaszcza kąpielowego wokół szyi i podczepiali go do rurki prysznicowej, na której wisi zasłonka.

– Panie Bock – zawołała Ellen. – Chcemy tylko z panem porozmawiać, nic więcej. W czasie rozmowy wolałabym patrzeć panu w oczy. Dlatego doktor Behrendt i ja chcemy wejść do środka.

– A jak twoim zdaniem wyważymy drzwi? – prychnął Mark.

– Przecież jesteś silnym mężczyzną, prawda? – szepnęła Ellen.

– Mój Boże, przecież to są drzwi z metalu, a ja nie jestem Bruce'em Willisem!

– Trzymajcie się ode mnie z daleka! – zawołał Bock.

Ellen usłyszała szum wody. Widocznie Bock chciał napełnić wannę. Bez względu na to, co zamierza zrobić, nie mają zbyt dużo czasu, żeby mu w tym przeszkodzić.

– W takim razie wchodzimy do pana – zawołał Mark i skinął ręką na siostrę Marion. – Proszę mi przynieść poduszki. Szybko!

– Niiieeee! – zawył Bock.

Chwilę potem Mark usłyszał głośny plusk wody. Kilka sekund później odgłos powtórzył się wielokrotnie.

– Co on tam wyprawia?

Ellen rozglądała się za czymś, czego mogłaby użyć do wyważenia drzwi. Na przykład stojaka infuzyjnego albo czegoś w tym rodzaju. Nic jednak nie znalazła.

W końcu wróciła Marion. Mark wyrwał jej poduszkę, przyłożył ją do ramienia, rozpędził się i z całych sił zaatakował ramieniem drzwi łaźni. Niestety, nie był zawodnikiem wagi ciężkiej, więc drzwi nie ustąpiły.

– Odejdźcie stąd! – rozległ się zza drzwi głos Bocka.

– Spróbuj jeszcze raz! – zawołała Ellen.

Mark podjął kolejną próbę. Tym razem z lepszym skutkiem. Szpara w drzwiach zrobiła się na tyle szeroka, że zdołał się przez nią precyzyjnie.

Ledwo znalazł się w środku, Ellen usłyszała jego krzyk:

– Nie! Niech pan tego nie robi!

Ellen wpadła do łaźni. Bock zablokował drzwi od wewnątrz metalowym krzesłem dla niepełnosprawnych używanym podczas kąpieli pacjentów. To dlatego Markowi nie udało się ich odblokować.

Bock stał w jednej z trzech wanien ubrany w piżamę i płaszcz kąpielowy. Woda nadal się do niej lała. Płaszcz kończył się na wysokości drżących łydek Bocka. Mężczyzna miał zmierzwiene włosy i szeroko otwarte, pozbawione wyrazu guzikowate oczy – wydawało się, że zaraz wyskoczą z oczodołów.

Mark i Ellen z przerażeniem ujrzeni, że Bock trzyma w lewej ręce suszarkę do włosów. Urządzenie było włączone do kontaktu – kabel sięgał do wanny.

Cholera, przemknęło Ellen przez głowę, skąd on wytrzasnął tę suszarkę?

Spojrzała na gniazdko i przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy nie podbiec i nie wyrwać kabla. Jednak zrezygnowała z tego pomysłu. Od ściany dzieliły ją przynajmniej trzy kroki, podczas gdy Bocka od śmierci tylko jeden ruch. Wystarczy, że upuści suszarkę do wody. Ellen zrozumiała, że zbyt pochwonne działanie może doprowadzić do tego, że Bock zrobi to, co zamierzał. Jednak najgorsze było to, że Bock nie groził – on naprawdę chciał to zrobić.

Jakby na potwierdzenie jej obaw w głosie Bocka pojawiła się nagle spokojna, niebezpieczna nuta.

– Zaraz to zrobię. Lepiej odwróćcie wzrok.

No tak, pomyślała Ellen. On naprawdę to robi, a jeśli ktoś spróbuje mu w tym przeszkodzić, zabierze go ze sobą w podróż, z której się nie wraca.

Bock trząsał się jak osika. Zbielała mu skóra na kościach dłoni, którą kurczowo ścisnął suszarkę. Ellen wyraźnie to widziała.

– Możecie mi grozić, jak wam się tylko podoba, ale nie zmusicie mnie, żebym pożałował moją Margot.

– To oczywiście – odparł Mark. – Muszę to tylko wyjaśnić naszemu kucharzowi. A na co miałby pan apetyt?

Pytanie było tak zabawne, że Ellen przez moment poczuła się zaskoczona. Potem zrozumiała, że Mark chce Bocka sprowokować. Dopóki Bock jest w stanie furii i tylko się broni, nie spełni swej groźby.

– Przestań robić ze mnie głupka, chłopcze! Chociaż skończyłeś studia, jeszcze długo nie uda ci się udowodnić, że jestem obłąkany. Myślisz, że cię nie przejrzałem? I tak wiem, że poćwiartowaliście moją Margot, wy bestie!

– A na jakiej podstawie pan tak sądzi? – spytał Mark. Zadał to pytanie poważnym, spokojnym, rzeczowym, pełnym zainteresowania głosem.

Słusznie, pomyślała Ellen. Kontynuuj tę rozmowę, potrzebujemy czasu. Czasu i dobrego pomysłu.

– Ja... ja... – zaczął się jąkać Bock.

– Dlaczego pan chce to zrobić? – spytała Ellen. – Dlaczego chce pan umrzeć?

Bock zaczął szlochać i wyjaśnił, że jest winien śmierci pewnej kobiety, którą kochał ponad wszystko. Gdyby wtedy trzymał język za zębami i nie zawołał jej, do niczego by nie doszło.

Po tym wyznaniu włączył suszarkę.

– A teraz wynocha! Muszę zapłacić za swoją głupotę.

– Mam jeszcze jedno pytanie – powiedział Mark, starając się przekrzyczeć szum suszarki.

– Bez pańskiej pomocy będę miał duże problemy.

– Co takiego? – spytał Bock zdziwionym głosem.

– Proszę, niech mi pan pomoże – błagał go Mark. Wyglądało na to, że jego nowa taktyka przynosi efekty.

– No to niech pan pyta.

– Co mam powiedzieć mojemu szefowi? Jeśli pan się teraz zabije, winą obciążą mnie.

– Ja... nie wiem... ja... Czy to nie wszystko jedno?

– Nie. Absolutnie. Nie dla mnie. Jest mi pan winien konkretną odpowiedź. A więc?

Wspaniale, pomyślała Ellen. Jest już twój.

Powoli wycofała się z pokoju i wypadła na korytarz. Dzięki interwencji personelu kliniki wszędzie zapanował porządek. Pacjenci wrócili do swoich pokojów, ale co chwilę wystawiali głowy zza drzwi, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Ellen pobiegła w kierunku jednego z pokojów. Tuż za nią ruszył miody pacjent o bladej twarzy z czarnym makijażem i fryzurą, która przypominała wielką czarną koronę.

– Skąd miałem wiedzieć, że jak zostawię suszarkę w łazience, to ten głupek ją zabierze, żeby się zabić? – wołał pacjent za Ellen. – Kurna, skąd mogłem wiedzieć, że tu nie wolno mieć suszarek?

Ellen zignorowała go i zwróciła się do siostry Marion.

– Gdzie jest skrzynka z bezpiecznikami?

– Skrzynka z bezpiecznikami?

– Tak! Macie tu taką?

Ellen rozglądała się za skrzynką. Zerwała ze ściany szkic z planem drogi ewakuacyjnej i kilka afiszy, które wisiały od początku istnienia oddziału. Jednak skrzynki nigdzie nie znalazła.

– Nie ma jej – odparła Marion. – W każdym razie ja...

Ellen podeszła do służbowego telefonu i wybrała numer centrali.

– Poproszę z działem technicznym. Natychmiast!

Wróciła na korytarz. Wprawdzie nie sądziła, że znajdzie tam skrzynkę z bezpiecznikami – bo jej obecność w takim miejscu mogłaby skłonić niektórych pacjentów do zabawy w elektryka – ale mimo to uważnie oglądała wszystkie ściany. Jeśli bowiem w tym remontowanym co jakiś czas budynku zainstalowano gniazdko elektryczne, które umożliwiają popełnienie samobójstwa za pomocą suszarki, to możliwe, iż na zamkniętym oddziale psychiatrycznym zamontowano też skrzynkę z bezpiecznikami.

Niestety, żadnej skrzynki nie udało jej się znaleźć.

W końcu zgłosił się jakiś konserwator. Z tego, co mówił, Ellen zrozumiała, że jest na lunchu.

Przerwa obiadowa, pomyślała Ellen. Tego jeszcze brakowało.

– Gdzie na Oddziale DC jest skrzynka z bezpiecznikami? – spytała, nie wdając się w wyjaśnienia.

– A kto pyta?

– Doktor Ellen Roth, do cholery. No więc, gdzie ona jest?

W łaźni znowu rozległ się krzyk Bocka. Prawdopodobnie Mark nie będzie mógł ciągnąć swojej gry w nieskończoność. Wszystko się kiedyś kończy.

– Przepraszam, ale nie mogę pani pozwolić grzebać w skrzynce z bezpiecznikami. To zbyt niebez...

– Tu chodzi o życie pacjenta!

Słowa Ellen chyba przekonały konserwatora, bo powiedział:

– W piwnicy. Zaraz tam będę.

Ellen wiedziała jednak, że konserwator może nie zdążyć, ponieważ dział techniczny znajduje się na drugim końcu kliniki. Kazała mu więc zadzwonić na jej telefon komórkowy, bo aparat na oddziale ma ograniczony zasięg.

– I niech Bóg się nad panem zmiłuje, jeśli pan tego nie zrobi! – dodała na zakończenie.

Rzuciła słuchawkę siostrze Marion, ale pielęgniarka była tak skołowana, że nie zdołała jej złapać i upuściła ją na podłogę.

Ellen w pośpiechu dwa razy pomyliła kod otwierający drzwi i dopiero za trzecim razem wybrała właściwe cyfry. Szybko opuściła teren oddziału.

Kiedy znalazła się na klatce schodowej, usłyszała za sobą krzyk Bocka:

– Tego już za wiele, mówię poważnie!

Kiedy zbiegała schodami do piwnicy, zadzwonił jej telefon komórkowy. Zgłosił się konserwator.

– Proszę uważnie słuchać – powiedział i zaczął jej wyjaśniać, jak dotrzeć do bezpieczników.

Niestety, okazało się, że skrzynka jest zamknięta na klucz. Ellen z wściekłością zaczęła w nią walić dłonią. Ale cóż w tym dziwnego? Przecież to klinika psychiatryczna, gdzie zamknięte jest wszystko, do czego pacjenci nie powinni mieć dostępu. Wszystko z wyjątkiem suszarki do włosów znalezionej w łaźni.

W końcu Ellen wpadła na pomysł i wyjęła z kieszeni spodni klucz od mieszkania. Był to jedyny płaski przedmiot, jaki przy sobie miała, zdolny do podważenia klapki w skrzynce. Konserwator, który był już w drodze na Oddział IX, instruował ją przez telefon, jak to zrobić. Oboje wiedzieli, że nie zdąży przybyć na czas. Konserwator doradził, żeby jakoś podważyła plastikowe drzwiczki z boku, przy zawiasach.

W chwili, gdy Ellen uznała, że nie da rady i tylko złamie klucz, usłyszała odgłos pękającego plastiku. Złapała pokrywę i wyrwała ją.

– Który bezpiecznik jest od łaźni? – spytała.

– Nie potrafię pani teraz dokładnie powiedzieć! Niech pani po prostu wyłączy główny bezpiecznik!

Ellen chwyciła największą dźwignię i przeciągnęła ją w przeciwne położenie. W piwnicy natychmiast zgasło światło.

Chwilę później włączyło się oświetlenie awaryjne.

Rozdział 5

Mark wszedł do gabinetu Ellen z dwoma kubkami kawy, zamknął piętą drzwi i postawił jeden kubek przed Ellen.

- Proszę. Napij się, to może poczujesz się lepiej. Dodałem cukru. Dobrze działa na nerwy.
- Dziękuję.

Ellen podziękowała Markowi za jego troskę uśmiechem, ale nie odważyła się sięgnąć po kubek. Dłonie ciągle jeszcze silnie jej drżały.

Mark przesunął kilka segregatorów, które leżały na krześle dla pacjentów, i usiadł.

- Lepiej ci? Jesteś blada jak ściana.
- Już mi lepiej – odparła Ellen, zaciskając dłonie w pięści, żeby ukryć ich drżenie.

Mark przechylił głowę i unióśł brew.

- Nie brzmi to zbyt przekonująco.

Ellen westchnęła.

– Dość często czytałam o ludziach, którzy w ekstremalnych sytuacjach działali racjonalnie i z dużą pewnością siebie. A potem, gdy było już po wszystkim, trzęśli się jak osika. Teraz tak reaguje moje ciało.

– To oczywiste – odparł Mark, popijając kawę. Zrobił przy tym pełną współczucia minę. – Niewiele brakowało, a doszłoby do tragedii. Udało się dosłownie w ostatniej chwili.

- A jak się czuje Bock?

– Unosi się gdzieś w traumatycznym świecie marzeń. Zaordynowałem mu dawkę Tavoru.

Ellen tylko skinęła głową. Sięgnęła po kubek z kawą, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła.

Dopóki nie zapanuje nad drżeniem, będę pić przez słomkę, pomyślała.

Jej zachowanie nie uszło uwadze Marka.

– Ellen, widzę, że nie czujesz się dobrze. Może weźmiesz sobie wolne na resztę dnia? Zaproponuję profesorowi Fleischerowi, że cię zastąpię. Na moim oddziale jest na razie spokój, więc dla mnie byłoby to dodatkowe...

– To miło z twojej strony – przerwała mu Ellen – ale poradzę sobie. Lepiej będzie, jak profesor nie dowie się o tym zdarzeniu. Potem będę musiała wysłuchiwać od Chrisa, że sobie nie poradziłam z zastępstwem.

– Jak chcesz – odparł Mark, wzruszając ramionami. – Uważam jednak, że Fleischer doskonale by cię zrozumiał. To się może zdarzyć każdemu. I tylko na kimś zupełnie zobojeźniałym na wszystko albo otepiałym nie wywarłoby to żadnego wrażenia.

Po tych słowach Mark wyjął z fartucha paczkę papierosów.

- Pozwolisz?

– Jak cię przydybie nasz behapowiec, zlincuje i ciebie, i mnie – odparła Ellen, starając się zażartować. – Ale jeśli koniecznie musisz, to zaryzykuję.

Mark uśmiechnął się z wdzięcznością i zaciągnął się camelem, łamiąc zakaz palenia obowiązujący na terenie całej kliniki.

– O tak, właśnie tego mi było trzeba. Obiecuję, że z wdzięczności za twoje przyzwolenie gotów jestem wziąć na siebie całą winę za ten gęsty dym.

Po chwili z jego twarzy zniknął uśmiech. Teraz mówił cichym głosem.

– Odkąd tu jestem, dwoje moich pacjentów popełniło samobójstwo. Kilka tygodni po tym, jak podjąłem tu pracę, jeden z nich rzucił się pod ekspres InterCity. Stało się to w tym samym roku, w którym zjawiałaś się w klinice. Ostatniej zimy moja pacjentka wskoczyła do Dunaju.

Mark nie wymienił nazwisk obu ofiar. Wyglądało na to, że jeszcze nie pozbył się koszmarnych myśli. Ellen przypomniała sobie, że kobieta nazywała się Maren Weiss.

Pacjentka w zaawansowanej depresji. Gdy pojawiły się objawy nagłej poprawy, dostała przepustkę – było to jej pierwsze wyjście poza zakład. Tego samego dnia wskoczyła do rzeki.

Jej zwłoki znaleziono dopiero półtora tygodnia później przy zaporze wodnej. Żeby zidentyfikować ciało, Mark musiał poświęcić tydzień urlopu.

– W obu przypadkach byłem przekonany, że uczyniłem dla tych ludzi wszystko, co w ludzkiej mocy – kontynuował Mark. Starał się ukryć wzburzenie, ale zdradziła go barwa głosu. Kiedy mówił, obserwował dym, który pod wpływem powietrza wpadającego przez otwarte okno wirował nad nim. – Uświadomiłem sobie wtedy, że ludzi, którzy chcą popełnić samobójstwo, nie można powstrzymać. Bo jeśli ktoś naprawdę postanowił odebrać sobie życie, nie rozpowiada o tym dokoła, tylko po prostu to robi. Ale w łaźni było inaczej. Po raz pierwszy miałem szansę, żeby pociągnąć za sznurki. Oczywiście nie wszystkie, ale już to wystarczyło, aby uratować Bockowi życie. Mimo to strasznie się bałem, że on też znajdzie się na liście ofiar.

– Na początku myślałam tylko o tym, żeby wyciągnąć wtyczkę – powiedziała Ellen. – Niestety, stałam zbyt daleko. Gdybym podbiegła do gniazdka, prawdopodobnie Bock szybciej by się zdecydował, żeby zamienić się w soczysty befsztyk.

Mark uśmiechnął się szeroko.

– Soczysty befsztyk. Naprawdę dobre. Zaczynasz już naśladować Chrisa.

– Tak uważasz?

Mark zgasił papierosa w popielniczce.

– Tak, tak właśnie uważam. Czym on się właściwie zajmuje, pan Złota Rączka? Nadal remontuje dom?

Ellen pokręciła przecząco głową. Chris zamierzał wykorzystać urlop na dokończenie podłóg. Chciał położyć parkiet i kafle, a jeśli zostanie mu trochę czasu, poszukać ofert sprzedaży drzwi. Niestety, wszystko poszło nie tak, jak powinno.

– Dzisiaj rano poleciał do Australii.

– Do Australii? – spytał zdumiony Mark. – Nic mi o tym nie wspominał. Tak po prostu leci sobie do Australii, i to bez ciebie?

– Towarzyszy swojemu przyjacielowi, Axelowi. Dwa dni temu Axela rzuciła dziewczyna, stało się to dość niespodziewanie, a bilety kupił wcześniej w jakiejś specjalnej taryfie, bez możliwości zwrotu. No to spytał Chrisa, czyby z nim poleciał.

– No i teraz pan doktor zabawia się ze swoim kumplem na drugim końcu świata, podczas gdy ty dzielnie radzisz sobie z pracą. Szacunek!

Ellen zrozumiała aluzję, ale nie zareagowała. Mark nigdy nie robił tajemnicy z faktu, że nie przepada za Chrisem. Różnili się jak dzień i noc. Chris cenił Marka jako fachowca, ale uważał, że jego swobodny tryb życia – i w ogóle sposób bycia – jest niewłaściwy, zwłaszcza w ich zawodzie. Na przykład, jak można nosić pod fartuchem T-shirt z wizerunkiem Marilyną Mansona?

Z kolei Mark uważał Chrisa za typowego filistra, któremu nikt nie potrafi dogodzić, nawet on sam sobie. Mark rzucił mu to w twarz w obecności całego personelu, kiedy skoczyli sobie do oczu w czasie odprawy na oddziale.

W odniesieniu do Marka i Chrisa Ellen była pewna jednego: bez względu na to, czy powiedzenie o przyciągających się przeciwieństwach jest słuszne, czy nie, na pewno nie ma ono zastosowania w ich przypadku.

– Jeszcze się okaże, czy ta podróż będzie dla nich taka przyjemna – powiedziała Ellen, z niewinnym uśmiechem ignorując uwagę Marka. – Po pierwsze, Chris nie jest wymarzonym towarzyszem wakacyjnej wyprawy, a po drugie, przebywają teraz na niewielkiej wyspie w pobliżu wybrzeża Australii. Nazywa się Hinchinbrook Island. Niewiele tam jest oprócz przyrody. Nie ma telewizji, telefonu, komórek, zero cywilizacji. Za to wszędzie rośnie gęsty las i roi się od aligatorów.

– Mimo to na jego miejscu zabrałbym cię ze sobą. Zasłużyłaś na wypoczynek. Już sam fakt, że cię zostawił ze wszystkimi swoimi pacjentami, coś o nim mówi. O tym, że przynajmniej dwa z tych przypadków są ciężkie, przekonał nas kochany pan Bock.

– Przystań tak mówić. Nie jestem już początkującą lekarką. Wszystkim się zajmę, bo tak obiecałam Chrisowi. Myślę, że jest mu tam dobrze beze mnie. A jeśli mam być szczerą, to ja też nie narzekam. Ostatnimi czasy Chris ciągle tylko pracował, co dla nas obojga było czasem trudne. Poza tym nigdy nie wiadomo, czy w następnych latach trafi mu się tak egzotyczny urlop.

– Aha – stwierdził Mark. – Widzę, że planujecie już coś więcej niż wspólne mieszkanie?

– Kto wie? W każdym razie uważam, że to dobrze, iż Chris przyjął propozycję Axela, choć zapewniam cię, że trudno go było do tego przekonać. Dobrze mu robi, jak nabierze trochę dystansu do wszystkiego. Chris ciągle jeszcze nie może się pogodzić ze śmiercią ojca. To dlatego remont odziedziczonego po nim domu nie idzie mu tak łatwo, jak sobie zaplanował.

– Powiem ci, że to dość typowe – stwierdził Mark, podsuwając jej kubek. – Widzę, że terapeutką jesteś przez całą dobę. Dlaczego po prostu nie sprzeda tej chaty i nie poszuka sobie czegoś innego? Jakiegoś lokum w pobliżu kliniki, żeby nie musiał płacić za to ciasne mieszkanie w hotelu pracowniczym.

– Bo mu na tym domu zależy, a poza tym chce tam w przyszłości otworzyć praktykę lekarską. W środku jest dużo miejsca, no i okoliczna infrastruktura jest niezła.

– W Jurze Szwabskiej?

– A czemu nie? – spytała Ellen. Spojrzała na lampkę stojącą na biurku i przewód łączący ją z gniazdkiem elektrycznym. Przypomniał jej się kabel suszarki i poczuła, że drżenie rąk staje się coraz silniejsze. Zmieniła temat: – To, co się zdarzyło, jest czystym szaleństwem. Zadaję sobie pytanie, co wywołało u Bocka tak silne emocje. Wcześniej nie reagował na jakiegokolwiek działania terapeutyczne, ani moje, ani Chrisa.

– A jaki był właściwie powód jego dotychczasowego otepienia?

– Szok spowodowany śmiercią żony – wyjaśniła Ellen. – To dość ponura historia.

Wzięła z biurka i podała Markowi dokumentację chorobową Bocka. Miał do niej jeszcze trafić raport w sprawie wydarzeń w łaźni.

Mark otworzył teczkę i zaczął przeglądać dokumenty. I chociaż wszystkie raporty i protokoły były konkretne, między wierszami dało się wiele wyczytać o ludzkiej tragedii. Ellen była głęboko poruszona, kiedy po raz pierwszy usłyszała o przypadku Bocka. Z wyrazu twarzy Marka domyśliła się, że i nim targają uczucia.

Jeszcze przed sześcioma tygodniami emerytowany archiwista Cornelius Bock i jego żona, Margot, prowadzili spokojne i skromne życie. Zajmowali trzypokojowe mieszkanie własnościowe na siódmym piętrze wieżowca na przedmieściu Fahlenbergu. Była to ładna okolica. Ellen znała ją dobrze, bo często nad brzegiem Dunaju uprawiała jogging.

Z raportu policyjnego wynikało, że pan Bock sześć tygodni temu udał się na tradycyjne czwartkowe zakupy. Jego żona postanowiła wykorzystać nieobecność męża, aby wysprzątać mieszkanie.

Jeden z sąsiadów widział, jak w drodze powrotnej Bock zatrzymał się nagle przed wieżowcem i zamarł ze zdumienia. Policjant zacytował w raporcie słowa sąsiada: „Stał tam z dwoma torbami zakupów w rękach i gapił się, jakby zobaczył UFO”.

Tyle że Bock nie patrzył na UFO, tylko na swoją żonę. Stała jedną nogą na parapecie okna, podczas gdy drugą trzymała w powietrzu, na tej samej wysokości, od strony mieszkania. Podobno wycierała zewnętrzną roletę na dużym oknie.

Bock musiał być zszokowany tym widokiem. Nic więc dziwnego, że zrobił w tym momencie najgorszy błąd, jaki tylko można popełnić w takiej sytuacji: zawołał żonę. Sąsiad zeznał, że jego słowa: „Margot, nie!” odbiły się głośnym echem między dwoma wieżowcami.

Mark oderwał na chwilę wzrok od dokumentów i potrząsnął głową.

– Zawołał do niej. Był przerażony i zawołał ją po imieniu. To wyjaśnia, co miał na myśli, gdy krzyczał w łazni, że gdyby wtedy trzymał język za zębami i nie zawołał jej, do niczego by nie doszło.

Podobnie jak za pierwszym razem, gdy Ellen czytała kartę pacjenta założoną Bockowi w dniu, gdy przyjęto go na oddział, tak i teraz miała przed oczami obraz stojącego przed nią przerażonego człowieka.

Wyglądało to tak, jakby opowieść świadka przesuwiała się w jej myślach jak kolejne klatki filmu akcji, tyle że w zwolnionym tempie, z przerażającą dokładnością. Tak jak w audycjach telewizyjnych, które ostrzegają przed różnymi niebezpieczeństwami. Na przykład o tym, jak zostawiona bez dozoru choinka świąteczna lub niewyłączona płyta elektryczna mogą wywołać pożar w mieszkaniu; albo o ludziach, którzy siadając na krześle obrotowym na kółkach, spadają na podłogę i łamią sobie wszystko, co tylko można złamać; albo o tym, że suszarka w pobliżu wody stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo. Kiedy ktoś ogląda takie programy, zazwyczaj komentuje ich treść słowami: „Aż tak głupi chyba nikt nie jest”, po czym sięga po pilota i zmienia kanał.

Jednak to, co przydarzyło się Bockowi, nie było sceną z wieczornego programu telewizyjnego. Ellen wyobraziła sobie, jak zareagowała Margot Bock, gdy usłyszała krzyk męża: zrobiła szybki ruch do przodu, chociaż doskonale wiedziała, że stoi na jednej nodze na parapiecie okiennym na siódmym piętrze. Wszystko wskazywało na to, że doszło do czegoś, co można by nazwać „odruchem Pawłowa między małżonkami”.

Być może pani Bock nie spadłaby na ziemię, gdyby była trochę młodsza i miała lepszy refleks. Być może zdążyłaby się złapać czegoś innego niż uchylne okno, które nie mogło jej utrzymać.

Ellen wyobraziła sobie pana Bocka, jak stoi i obserwuje spadającą żonę, która przez ułamek sekundy rozpaczliwie macha rękami, jakby miała nadzieję, że nagle zamieni się w skrzydła, a jej upadek zamieni się w ostatniej chwili w łagodny lot.

Margot Bock spadła na betonowy chodnik obok stojaka na rowery i pojemników na śmieci. Upadek nie trwał nawet sekundę.

– Niesamowite! – zawołał Mark, zamykając teczkę z dokumentami. – Nic dziwnego, że człowiek przeżył taki szok.

Ellen skinęła głową. Przypomniała sobie, że kilka dni po wypadku przebiegała obok wieżowca, w którym mieszkali Bockowie. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafiła zrozumieć – być może było to spowodowane empatią i pewną dozą ciekawości – przerwała bieg i poszła na trawnik po drugiej stronie budynku, gdzie znaleziono Bocka. Stała tam tabliczka z napisem:

*Uwaga właściciele psów!
Trawnik to nie psia toaleta!
Administracja*

Jeden z sanitariuszy opowiadał, że Bock siedział przy tej tabliczce i wpatrywał się pustym wzrokiem w rosnące obok drzewko.

Ellen opowiedziała o tym Markowi i dodała:

– W tym momencie zrozumiałam, dlaczego Bock wolał pogrążyć się we wspomnieniach, niż żyć dniem dzisiejszym. Wydaje mi się, że to straszliwe przeżycie, gdy ktoś widzi śmierć bliskiej osoby, a na dodatek jest przekonany, że to on jest temu winien.

– I od tej pory nie dało się z panem Bockiem porozmawiać?

– Nie – odparła Ellen kręcąc głową. – Sprawiał wrażenie, jakby po śmierci żony uciekł do jakiegoś odległego świata ukrytego w głębi swojej głowy. Pacjent, który dzieli z nim pokój, nazwał go nawet panem „Nikogo Nie Ma w Domu”.

Ellen wypila łyk kawy i zmarszczyła brwi. Zimna, zbyt mocna, zbyt słodka. Na szczęście drżenie rąk ustało.

– Wydaje mi się, że wiem, dlaczego przedtem zareagowałem tak gwałtownie – powiedział Mark, odkładając na stół teczkę z dokumentacją Bocka. – Teraz, kiedy już znam jego historię i łączę ją z tym, co mi opowiedział w stanie silnego wzburzenia, wszystko zaczyna nabierać sensu.

– Kolejny szok? – spytała Ellen, unosząc z ciekawością brwi.

– Coś w tym rodzaju. Myślę, że Bock zademonstrował nam to, co nazywane jest bodźcem spustowym, który pojawia się w wyniku zespołu stresu pourazowego. Moja dysertacja doktorska dotyczyła po części tego bodźca. Powinienem być na to wpaść jeszcze w łaźni. Tymczasem zachowałem się jak idiota, bo go jeszcze sprowokowałem, żeby skupił się na mnie. Mogło się to źle skończyć.

Ellen machnęła ręką.

– Daj już sobie spokój. Skąd mogłeś o tym wiedzieć? Gdyby wcześniej rzeczywiście zdarzyło się coś złego, winę za wszystko ponosiłabym tylko ja. Po pierwsze dlatego, że nie wiedziałam, iż przestał nad sobą panować, po drugie, zbyt późno do tego doszłam. Poza tym aż tak spontanicznej reakcji Bocka nie dało się przewidzieć. Bez względu na to, co przydarzyło się jego Margot, nie mogłam przewidzieć, że Bock aż w tak dużym stopniu straci nad sobą panowanie.

– Być może masz rację – odparł Mark, choć nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

– Oczywiście, że mam rację – stwierdziła Ellen i szeroko się uśmiechnęła. – Kobiety zawsze mają rację. Nie wiedziałeś?

– W takim razie brakuje mi chyba doświadczenia – odparł Mark i zakaszłał. – A teraz poważnie: w tej sprawie fascynuje mnie właśnie ten brak przewidywalności. Pacjent wypiera ze świadomości złe przeżycia, a czasem musi wykorzystać do tego celu całą swoją energię, przez co sprawia na swoim otoczeniu wrażenie, że jest odrętwiały. W mojej praktyce lekarskiej zetknąłem się kiedyś z grupą dziewcząt i kobiet z Kosowa, które przeszły przez prawdziwe piekło. Poddano je wymyślnym torturom. Niektóre rzeczy, o których mi opowiadały, zapadły mi głęboko w pamięć.

– Wierzę ci. Musiało je spotkać wielkie nieszczęście!

– Wiele z nich było pozbawionymi życia lalkami. Jakby w swej świadomości zegnały się przed podróżą bez gwarancji powrotu. Inne wykreowały dla siebie zupełnie nową rzeczywistość. Były absolutnie przekonane, że razem z przyjaciółmi uczestniczyły w pikniku albo wraz z rodziną pracowały w polu. Nie istniały dla nich takie wydarzenia jak gwałty albo śmierć najbliższych.

Mark sięgnął machinalnie po kolejnego papierosa. Już miał go zapalić, gdy rozejrzał się i włożył go z powrotem do pudełka.

– Jednak najbardziej martwiły mnie te, które wyglądały jak odrętwiałe. Widać było, że zachodzą w nich jakieś gwałtowne zmiany. Przypominało to trochę sytuację, gdy w parowarze zbiera się para, co za chwilę może doprowadzić do wybuchu, jeśli ktoś jej w porę nie wypuści. I chyba do czegoś takiego doszło w przypadku Bocka. Od wypadku znajdował się pod ogromną presją psychiczną. Jego wewnętrzny mechanizm obronny działał na wysokich obrotach, podczas gdy od zewnątrz on sam wyglądał na wyłączonego z rzeczywistości i nieobecnego duchem.

– A co twoim zdaniem wyzwoliło w nim taką agresję? Co takiego zrobiła mu Marion?

– Swoim histerycznym zachowaniem Bock dostarczył mi w pewnym sensie wyjaśnienia. Czy pamiętasz, co krzyczał?

– Oczywiście. Był przekonany, że chcemy go zmusić, aby zjadł swoją żonę.
– No właśnie. Być może wcześniej udało mu się usunąć z pamięci obraz zmasakrowanych zwłok żony, a w jego miejsce pojawił się jakiś inny. Niewykluczone, że Marion w jakiś sposób przywołała ten poprzedni.

– Co to mogło być?

– Do incydentu doszło w porze posiłku i musiało to mieć coś wspólnego zjedzeniem, bo inaczej Bock nie wymyśliłby czegoś tak absurdalnego. Czy to Marion go karmiła?

– Chyba tak. Bock nie chciał jeść z własnej woli i dlatego najczęściej karmiła go Marion. Do czego zmierzasz?

– Na pewno zauważyłaś plamy na jej fartuchu?

Ellen przypomniała sobie plamy na potężnym biuście siostry Marion. Miały jasnoczerwony kolor. Obok plam zauważyła też pestki – wtedy jej się wydawało, że jabłka.

– Czy to był arbuż?

– Być może zabrzmiało to dość makabrycznie, ale kiedy Bock zobaczył na ziemi skrwawioną głowę żony, musiała mu przypominać arbuza. Podczas naszej rozmowy posłużył się pewnym określeniem. Powiedział: „Jak rozkwaszony arbuż”. Jego podświadomość musiała podstawić widok tego arbuza w miejsce obrazu przedstawiającego rozkwaszoną czaszkę jego żony. Dlatego nie myślał już o niej, tylko o arbuzie. Ten obraz wcale nie jest taki zły, bo ułatwił mu snucie wspomnień. Kiedy jednak nasza poczciwa Marion przyniosła mu na deser kawałek arbuza, jego umysł nie był w stanie dostrzec różnicy.

– A więc Bock uważał, że Marion chce go zmusić, aby zjadł swoją martwą żonę? – podsumowała Ellen.

– Właśnie tak. Z powodu traumy Bock nie był w stanie wyjaśnić sobie takich skojarzeń w rozsądny sposób. Usłyszał słowo „arbuż”, a do jego świadomości dotarło słowo „mózg”.

Ellen oparła się o krzesło i zaczęła się zastanawiać nad teorią Marka. W całej swojej karierze spotkała się już z wieloma niesamowitymi rzeczami. Na przykład miała do czynienia ze schizofrenikami, którzy twierdzili, że ścigają ich demony; szaleńcami, którzy uważali, że ich sąsiedzi ukryli pod tapetą telepatyczny nadajnik i za jego pomocą sterują ich myślami i zachowaniami; nawiedzonymi, którzy głosili, że Jezus objawił im się w syfonie i przepowiedział koniec świata. Jedną z jej pierwszych pacjentek miała halucynacje, w których pojawiały się latające pizze. Inna wybuchała śmiechem za każdym razem, kiedy stała koło szafy – twierdziła, że w środku ktoś siedzi i opowiada jej dowcipy. Ellen знаła wiele takich przypadków.

Gdyby kazano jej sporządzić listę dziesięciu najdziwniejszych przypadków, z jakimi zetknęła się w czasie swojej pracy, sprawę Bocka umieściłaby na którymś z pierwszych miejsc. Prawdopodobnie na trzecim, a może nawet na drugim.

Przypadek Bocka to typowy SIP, pomyślała. Dopiero gdy usłyszała pytanie Marka, uświadomiła sobie, że zdanie to wypowiedziała także głośno.

– Typowy co? – spytał Mark.

– SIP – odparła Ellen. – Szczególnie Interesujący Przypadek. To określenie Chrisa.

– Chrisa – westchnął Mark. – Wielkiego doktora Christopha Lorcha, który zostawił cię samą, a sam w tym czasie przemierza australijską dżunglę.

– Ten sam. No, ale muszę już wracać do pracy. Dzięki za kawę i za wykład, kolego doktorze.

– Nie ma za co – odparł Mark. Wstał i skierował się do drzwi. Jeszcze raz odwrócił się w stronę Ellen, ale tym razem nie miał już tak pewnej miny jak podczas rozmowy. – Powiedz mi – chrząknął – czy nie wybrałaś się ze mną po dyżurze na kolację? Jesteś przecież słomianą wdową.

– Może innym razem. Teraz marzę tylko o swoim łóżku.

– Świetnie cię rozumiem – odparł Mark z pewnym rozczarowaniem w głosie. – Musisz się wyspać po takiej dawce strachu. Widać po tobie trudy ostatniego dnia.

– No właśnie. Twoja teoria o wypieraniu pewnych wspomnień ze świadomości brzmi całkiem sensownie. To, co się stało, było czymś strasznym. Jeśli masz rację, może to oznaczać, że praktycznie rzecz biorąc, każdy z nas ma coś do wyparcia z własnej świadomości. I nawet o tym nie wie.

– Jest coś o wiele straszniejszego – dodał Mark. – A mianowicie ewentualność, że we wszystkich takich przypadkach nie mamy do czynienia z teorią. Nie jest to moja teza, bo na ten temat już mądrzejsi ode mnie łamali sobie głowy. Dodam, że nie wszyscy nasi koledzy wierzą w siłę wyparcia. Niektórzy uważają ją nawet za urojenia mózgu.

– Ale ty w to wierzysz?

Mark skinął głową.

– Tak jak wierzę, że jakiś drobny czynnik może wywołać potężną reakcję. Na przykład taką, jaką oglądaliśmy w przypadku Bocka.

Mark był już na korytarzu, ale ponownie wsunął głowę do środka.

– Jeszcze jedna sprawa...

– Tak?

– Przepraszam cię za tamto... No wiesz, chodzi mi o Chrisa. To wspaniałe, że jesteś wobec niego tak wyrozumiała. Mam nadzieję, że potrafi to docenić. Jest prawdziwym szczęściarzem. Mówię poważnie.

– Ja też jestem szczęściarą – odparła Ellen. Pomyślała o Chrisie. – Tak, na pewno.

Rozdział 6

Ciemność, cisza, nieprzyjemny zapach i znowu to dziwne uczucie, które napawało ją drżeniem.

Gdyby Ellen nie wiedziała, jak jest naprawdę, przez chwilę mogłaby przysiąc, że w tym małym pokoju dla pacjentów na końcu korytarza stoi zupełnie sama.

– Halo?

Grobowa cisza.

Wolałaby zawołać kobietę po imieniu, ale ponieważ go nie znała, jeszcze raz powiedziała „halo” i weszła głębiej do środka.

Powoli podeszła do łóżka i spojrzała na puste miejsce, na którym jeszcze nie tak dawno kuliła się biedna istota. Sprawdziła nawet pod łóżkiem, ale tam też jej nie znalazła.

– Gdzie pani jest?

Kobieta nie mogła się ukryć w skromnie umeblowanym pokoju. Ale bezimienna pacjentka w stanie głębokiego przerażenia z pewnością nie wyszłaby przecież na korytarz.

Ellen podeszła ostrożnie do dwudrzwiowej szafy z szufladami, w której pacjenci trzymali zazwyczaj czyste skarpety i bieliznę. Doszła do wniosku, że kobieta pilnie potrzebuje świeżego ubrania. Trzeba ją w coś przebrać, bo wygląda na to, że nie ma nic innego oprócz nędznego, częściowo podartego odzienia. Musi też koniecznie wziąć prysznic. A jeszcze lepiej długą kąpiel w wannie wypełnionej wodą z dużą ilością soli. Trzeba będzie się sporo natrudzić, żeby ją przekonać, aby się rozebrała i weszła do wanny. Dlaczego? Bo siedząc w wannie, będzie odcięta od jakiegokolwiek drogi ucieczki. Zresztą czy ktoś jest w stanie przewidzieć, co może się zdarzyć, gdy będzie całkowicie albo tylko częściowo rozebrana?

Potrzebna będzie umiejętność przekonywania, zaufanie i wielka cierpliwość, a dopiero potem kąpiel i czyste ubranie, pomyślała Ellen.

Najpierw jednak musi znaleźć kobietę bez imienia i nazwiska.

Chwyciła gałkę drzwi szafy i odsunęła się na bezpieczną odległość – na wypadek, gdyby pacjentka ponownie wpadła na pomysł, aby ją zaatakować. Otworzyła drzwi, ale w środku nikogo nie było. Poczula jedynie zapach starego drewna i antybakteryjnych środków chemicznych. Nie licząc trzech wieszaków z ubraniami, które rozkołysały się po otwarciu drzwi, szafa była pusta.

Istniała jeszcze jedna możliwość. Ellen podeszła do niewielkich drzwi obok tych, które prowadziły na korytarz. Za nimi znajdowała się toaleta. Ze środka przez wąską szparę dobiegał ledwo słyszalny dźwięk. Przypominał szuranie skarpet po linoleum.

Ellen otworzyła delikatnie drzwi. Kabina z prysznicem była nie większa niż budka telefoniczna. Jednak bezimienna kobieta zdołała się położyć w brodziku w skulonej pozycji. Wciśnięta między miskę a rurkę prysznicza, przypominała w ciemności zwiniętego w kłębek jeża. Ellen zauważyła zmięty ręcznik, który kobieta kurczowo do siebie przyciskała, jakby to był jakiś pluszak.

– A więc tu pani jest – powiedziała łagodnym tonem. – Nie chcę przeszkadzać, ale pomyślałam, że mogłybyśmy dokończyć rozmowę. Oczywiście pod warunkiem, że pani też będzie tego chciała. Ma pani ochotę?

Kobieta pokręciła bojaźliwie głową.

– Nie wyjdę stąd, bo wtedy on mnie dopadnie – odparła.

Tym razem jej dziecięcy głos brzmiał jeszcze bardziej przekonywająco. Gdyby Ellen nie wiedziała, do kogo należy, mogłaby sądzić, że ma przed sobą sześć-, ośmioletnią dziewczynkę.

– Czy powie mi pani, kim on jest?

- Ciebie też dopadnie, kiedy tylko się o tobie dowie.
- A dlaczego chciałby mnie dopaść?
- Bo będzie chciał się z tobą zabawić.

Ellen przypomniała sobie słowa Marka. Próba wyparcia w celu obrony przed negatywnymi wspomnieniami. Czy ma do czynienia z podobnym przypadkiem? Wytrzeszczone oczy kobiety, wydęte usta i ten ręcznik, który przyciskała do siebie tak, jak dziecko tuli ulubioną lalkę albo pluszowego misia, nasunęły Ellen właśnie to skojarzenie. Podobnie jak wysoki, zmieniony głos i sposób, w jaki kobieta się wyrażała. Przypominała Ellen córeczkę znajomej, która w czasie burzy zawsze chowa się pod schodami.

Czyżby kobieta uciekła w dziecięcy świat, bo za pomocą dziecięcych słów i myśli łatwiej może wyrazić to, co czuje? „Zabawić” na pewno nie miało dla niej tak negatywnego wydźwięku jak słowa „zbić” albo „zgwalczyć”, chociaż mogły dla niej znaczyć to samo.

Ellen nie posuwała się do przodu. Uważała jednak, że to lepsze niż pozwolenie, by kobieta ukryła się za barykadą milczenia.

Jeśli chcesz nawiązać z nią kontakt, na początku nie przejmuj się jej zachowaniem. Zapomnij o całej gadaninie na temat terapeutycznego dystansu i o tym, że do pacjenta należy zwracać się per pan i pani. Jeśli pacjentka uważa się za dziecko, rozmawiaj z nią tak, jakby była dzieckiem.

- Czy zdradzisz mi, jak się nazywasz?

Kobieta pokręciła energicznie głową i jeszcze mocniej przycisnęła do siebie zwinięty ręcznik.

- Możesz wyjawić swoje imię. Tutaj nic ci się nie stanie – zapewniała ją Hellen.
- Nie!
- Dlaczego nie?

- Bo wtedy on mnie usłyszy i przyjdzie po mnie. I po ciebie też!

I znowu to stwierdzenie, że nieznajomy nie daruje także Ellen.

Przez co ta kobieta przeszła? Czy przed nią były jakieś inne ofiary? I czy kobieta o nich wie?

- A czy wiesz, gdzie on teraz przebywa?

Kobieta znowu pokręciła przecząco głową. Tym razem przycisnęła obie dłonie do uszu, zamknęła oczy i zacisnęła usta.

– Powiedz mi, proszę cię – powiedziała Ellen, próbując przebić się do jej świadomości. – Możesz mi zaufać. Ochronię cię przed nim, ale będę to mogła zrobić tylko wtedy, gdy mi powiesz, kim on jest. Muszę też wiedzieć, kim ty jesteś.

Kobieta znowu pokręciła głową i zaczęła śpiewać zmienionym głosem:

- Jeśli jednak przyjdzie, lepiej przed nim uciekajmy.

Głos kobiety i tak już brzmiał niesamowicie. Jednak w niewielkiej kabinie prysznicowej nabrał jeszcze bardziej upiornego brzmienia.

Jakbym słyszała głos dziecka wydobywający się spod zamkniętej pokrywy trumny, pomyślała Ellen.

Kiedy wróciła do gabinetu, zaczęła spisywać swoje przemyślenia na temat chorej kobiety. Notatki Chrisa uzupełniła własnymi spostrzeżeniami. Zrobiła to jak zwykle bardzo szczegółowo. Mogła to uczynić między innymi dlatego, że obserwowała pacjentkę w konkretnym otoczeniu i sytuacji.

Tak, to rzeczywiście Szczególnie Interesujący Przypadek, pomyślała. Dotarcie do pacjentki będzie wymagać olbrzymiej pracy. Jest jednak ktoś, kto może jej w tym pomóc. Ktoś, kto ma doświadczenie w pracy z ofiarami traumy.

Podniosła słuchawkę i wybrała numer, a gdy po drugim sygnale zgłosił się Mark, spytała:

- Czy lubisz sushi?

Rozdział 7

– Czarny Lud.

Mark spoglądał w zamyśleniu na talerzyk. Jeszcze nie zabrał się za smaczne sushi.

W czasie, gdy Mark się zastanawiał, Ellen spokojnie się posilała i co jakiś czas dokładała sobie następną porcję. Była ciekawa opinii Marka na temat bezimiennej pacjentki.

Mark zwlekał z odpowiedzią. Spoglądał na talerz z jedzeniem, jakby chciał zahipnotyzować leżące na nim potrawy, i nie zwracał uwagi na tłum klientów, którzy jak co wieczór wypełniali restaurację A Dong – Running Sushi.

Ellen zaczynała już żałować, że przyprowadziła Marka do swojego ulubionego lokalu. Sprawiał wrażenie człowieka, na którym ani japońska kuchnia, ani wystrój lokalu nie robią najmniejszego wrażenia.

– Mark? Dobrze się czujesz? – spytała.

Mark drgnął na dźwięk jej głosu.

– Słucham? Oczywiście. Rozmyślałem o twojej pacjentce.

Ellen wskazała na jego talerz.

– Nie smakuje ci?

– Oczywiście, że tak. To... – zaczął, rzucając szybkie spojrzenie na kartę dań – ...to *hosomaki* wygląda całkiem smacznie.

Słyszając to wymuszone kłamstwo, Ellen uśmiechnęła się.

– Osobiście dałabym się pokroić za ten przysmak – powiedziała, wkładając do ust ostatni kawałek *sazazushi*. – Jednak jako osoba tolerancyjna daruję życie każdemu, kto woli kiełbasę z curry i frytkami.

Mark chrząknął.

– Zapomniałaś, że przed postawieniem diagnozy należy przeprowadzić wywiad lekarski.

– Naprawdę?

– No jasne! Przeczytalibyśmy w nim, że doktor Behrendt nie tylko ma na kuchennej półce na książki całą kolekcję dzieł najlepszych włoskich kucharzy, ale także słynie ze swego *ragù alla Bolognese*. Nie wspomnę już o przyrządzanym przez niego *fettuccine*. Proponuję, abyś przeprowadziła lokalną ankietę na ten temat.

Mark sięgnął po szklankę z piwem i wzniosł toast za jej zdrowie.

– Czy to zaproszenie na wspólny posiłek? – spytała Ellen.

Twarz Marka przybrała ciemnoczerwony kolor – jakby ktoś przyłapał go na czymś wstydlwym.

– Właściwie to tak – odparł. – Gdybyś miała ochotę... Lubię gotować dla... miłych gości.

Ellen pomyślała, że kiedy Mark jest zakłopotany, wygląda uroczo.

– Zastanowię się nad tym – obiecała, a gdy spostrzegła, że jej odpowiedź wprawiała go w jeszcze większe zakłopotanie, doszła do wniosku, że najwyższy czas poruszyć główny temat ich spotkania. Odsunęła talerz i pochyliła się nad stołem.

– Co sądzisz o tej pacjentce? Jak najlepiej do niej dotrzeć?

Zmiana tematu odniosła zamierzony skutek. Mark znowu się rozluźnił. Zmarszczył czoło i podrapał się w zamyśleniu po nosie.

– Nie będzie to takie proste. Już wcześniej opowiadałaś mi o jej dziecięcym zachowaniu. Zastanawiałem się, czy nie chodzi tu o dziecko, które było kiedyś bite. Oznaczałoby to, że powinniśmy się martwić o jeszcze jedną osobę.

Ellen prawie podskoczyła na krześle.

– O rany, o tym nie pomyślałam! Ale to całkiem możliwe. Ten bydlak, którego nazywa Czarnym Ludem, mógł pobić nie tylko ją, ale i jej dziecko.

Mark skinął głową i machnął ręką.

– To wcale nie taki rzadki przypadek. Myślę jednak, że mamy do czynienia z inną sytuacją. Fakt, że wymieniła jakiegoś Czarnego Luda i że sama zachowuje się jak dziecko, świadczy moim zdaniem o tym, że chodzi tylko o nią samą.

Ellen nie zadowoliliła ta odpowiedź.

– A dlaczego tak uważasz?

– Bo użyła rymowanki z okresu naszego dzieciństwa. Sama mówiłaś, że kobieta jest mniej więcej w naszym wieku, może trochę starsza.

– Tak, to prawda, ale nie rozumiem, do czego zmierzasz?

– To bardzo proste. Mam na myśli poprawność polityczną. Dzisiaj uczymy nasze dzieci, że wyrażenie „Czarny Lud” ma wydźwięk rasistowski. I tego, że nie należy mówić, że jemy ciasto o nazwie „Murzynek”, tylko raczej „ciasto czekoladowe”. Na określenie mieszkańców Afryki wolno nam co najwyżej użyć określenia „ciemnoskóry”, przez co Czarny Lud stał się Dzikim Ludem albo po prostu Złym Człowiekiem, i to bez względu na to, czy słowo „czarny” oznaczało w tym kontekście kolor skóry. Wprawdzie zmiany te nie do końca przebiły się jeszcze do naszej świadomości, ale mimo to nie sądzę, żeby twoja pacjentka cytowała swoje dziecko. Nie, ona po prostu nawiązuje do jakichś wcześniejszych wydarzeń, które sobie przypomina.

– Tak myślisz?

– Tak właśnie myślę. Poza tym takie dziecięce rymowanki w epoce gier komputerowych i młodzieżowego slangu przestały być popularne. Gdyby podświadomie chciała nam zwrócić uwagę na swoje dziecko, wybrałaby coś bardziej współczesnego. W dzisiejszych czasach strach u ośmio-, dziesięcioletniego dziecka wywołują raczej psychopaci posługujący się piłą łańcuchową, Freddy Kruger albo jacyś inni bohaterowie horrorów. Jeśli mi nie wierzysz, przenieś się na kilka dni na psychiatrię dziecięcą. Dlatego jeśli mnie pytasz, co się dzieje, odpowiadam, że ta kobieta ucieka ze strachu w świat własnego dzieciństwa, w którym wolno było pokazać, że jest się czymś przerażonym albo zranionym. Właśnie tak, jak przypuszczałaś.

– To tak jak w przypadku kobiet z Kosowa, o których mi opowiadałeś? Czy ty też miałeś podobny przypadek?

Mark wypił łyk piwa i skinął głową.

– Nie tylko jeden. Zapamiętałem zwłaszcza przypadek kobiety w wieku około dwudziestu lat. Jej wieś najechali i zniszczyli partyzanci. Ona sama została postrzelona, podczas gdy pozostali członkowie jej rodziny zginęli pod gradem kul. Później dowiedziałem się, że przez kilka godzin ukrywała się pod zwłokami matki, dzięki czemu napastnicy uznali ją za martwą. Mordercy zasiedli potem do stołu, żeby zjeść obiad, który matka kobiety ugotowała tuż przed napadem. Kiedy po raz pierwszy z nią rozmawiałem, w ogóle nie pamiętała tego wydarzenia. Twierdziła, że bawiła się wtedy ze swoim młodszym bratem na łące, a kiedy spytałem ją, jaki dziś mamy dzień, podała mi datę sprzed dziesięciu lat.

– Czy udało ci się jej pomóc?

Mark wzruszył ramionami.

– O tyle, o ile było to możliwe. Kiedyś wróciła w końcu do teraźniejszości, ale – że użyję tej pięknej metafory – musiała pokonać trudną, kamienistą drogę. Niestety nie wiem, co stało się z nią później.

Do stolika podszedł kelner. Z obojętną miną sprzątnął naczynia i spytał, czy ma jeszcze coś podać. Mark zamówił następne piwo, Ellen pokręciła przecząco głową. Rozmowa na tematy medyczne sprawiła, że nie była już głodna. Zaczęła odczuwać lekkie kłucie w głowie. Miała nadzieję, że to nie początek migreny.

– Jeśli chcesz, mogę obejrzeć twoją pacjentkę – zaproponował Mark. – Będzie to bardziej pożyteczne niż zasięganie cudzej opinii. Co byś powiedziała, gdybym jutro rano przed dyżurem wpadł na twój oddział?

– Byłabym ci bardzo wdzięczna.

Mark odpowiedział uśmiechem, ale zaraz znikł on z jego twarzy.

– Jest jeszcze jedna sprawa, która mnie martwi, droga koleżanko. Ty sama.

– Ja?

– Tak, ty. Nie będzie to dla ciebie niczym nowym, jeśli ci powiem, że zdarzają się przypadki, na których można sobie połamać zęby. Przypadki, które są tak skomplikowane, że nawet najlepsi psychiatrzy nie mogą pomóc. Potrafią jedynie przynieść pacjentom ulgę.

– Ja...

– Jakoś nie mogę się pozbyć obaw, że z powodu tej kobiety w coś się wplączesz.

Mark pochylił się jeszcze głębiej nad stolikiem, a jego słowa zabrzmiały nadzwyczaj poważnie.

– Nie chciałem cię urazić, ale mamy dopiero poniedziałek, a ty już wyglądasz na całkiem wykończoną. Poprzedni tydzień też był dla ciebie dość stresujący. Ostatnio, kiedy byliśmy w stołówce, sprawiałaś wrażenie podenerwowanej.

Ellen chciała mu przerwać, ale Mark nie pozwolił jej dojść do głosu.

– Nie wolno ci się angażować za bardzo w ten przypadek. Dlatego uważam, że dla odmiany powinnaś zająć się czymś przyjemnym. Kiedy ostatni raz byłaś w swojej ulubionej kawiarni na rynku? Kiedy ostatni raz uprawiałaś jogging nad Dunajem?

Ellen starała się unikać jego wzroku. Spojrzała na filiżankę z resztkami jaśminowej herbaty, która na pewno była już gorzka.

– Na pewno się w tym wszystkim nie pogubię – odparła. – Kiedy jutro spojrzysz jej w twarz i zobaczysz na niej krwawe wybroczyny i opuchlizny, kiedy zobaczysz, jak bardzo się boi, na pewno mnie zrozumiesz. Jeśli ktoś – obojętnie z jakiego powodu – porwa się na słabszą od siebie osobę, to jest dla mnie najgorszym ze wszystkich przestępców.

Mark westchnął głęboko i oparł się o krzesło. Upił trochę piwa i skinął głową.

– Rozumiem, co masz na myśli. Czasem mamy do czynienia z przypadkiem, który ty nazywasz SIP. Wywiera on na nas silniejsze wrażenie niż inni pacjenci, których leczymy. Ale właśnie w takich sytuacjach należy utrzymywać właściwy dystans emocjonalny.

Ellen podrapała się w głowę. Mark ma rację, to oczywiste. Ale czasem nie jest to wcale takie proste. Nie zawsze można oddzielić profesjonalizm od współczucia.

– Chodzi mi o dwie rzeczy – powiedziała Ellen. – Po pierwsze, chcę pomóc tej kobiecie wyjść z traumy. Po drugie, chcę dopaść tego, kto ponosi winę za jej obecny stan. Obiecałem to Chrisowi, a przede wszystkim jej.

Rozejrzała się po lokalu, przypatrując się gościom. Byli to zwykli, przeciętni ludzie. Najprawdopodobniej sprawca też jest takim zwykłym, przeciętnym człowiekiem, o którym sąsiedzi opowiadają później w mediach, że nigdy by go o coś takiego nie podejrzewali, bo zawsze był wobec nich miły i nigdy niczym się nie wyróżniał.

Przez krótką chwilę Ellen zastanawiała się nawet, czy Czarnym Ludem nie jest przypadkiem któryś z gości znajdujących się w lokalu.

A jeśli siedzi przy sąsiednim stoliku? Może przybrał maskę typowego, miłego człowieka?

Już na samą myśl o tym dostała gęsiej skórki. Od razu przypomniała sobie słowa kobiety: „Obiecuj, że mnie ochronisz, kiedy po mnie przyjdzie!”

Głośny wybuch śmiechu na sali sprawił, że Ellen wróciła do rzeczywistości. Rozejrzała się wokół siebie. Wyczuła na sobie wzrok mężczyzny w garniturze, który rozmawiał z kimś też ubranym w garnitur. Mężczyzna zmierzył ją wzrokiem od góry do dołu i posłał w jej stronę szeroki dwuznaczny uśmiech. W tym samym momencie w głowie Ellen ponownie rozbrzmiały słowa kobiety: „Ciebie też dopadnie, gdy się o tobie dowie”.

Około wpół do dziesiątej Ellen odwiozła Marka do domu. Nie spytał jej, czy chciałaby jeszcze wejść do niego na kawę, co bardzo ją ucieszyło. Zanim wysiadł z jej sportowego wozu i skierował się w stronę drzwi wejściowych, po raz kolejny ją zapewnił, że pomoże jej zając się bezimienną kobietą.

Kiedy niecałe dwadzieścia minut później Ellen jechała przez teren Leśnej Kliniki i podziwiała, jak srebrny blask księżyca widocznego na rozgwieżdżonym niebie pada na rosnące wokół lipy, wiązy i dęby, uświadomiła sobie, jak trafna jest nazwa szpitala. Pewien lekarz z Hamburga, który pół roku wcześniej wizytował jej oddział, opisał później klinikę jako „idylliczne małe miasteczko położone wśród lasów”. Rzeczywiście, lepszego określenia nie mógł znaleźć.

Większość fasad budynków objęto ochroną konserwatora zabytków. Powstały na początku XX wieku, kiedy klinika nosiła jeszcze urzędową nazwę „Okręgowy Zakład dla Psychiczenie Chorych”.

W ciągu następnych dziesięciu lat stale się rozrastała. Zgodnie z duchem ówczesnej epoki nowo powstałe budynki różniły się od siebie pod względem wyglądu. Część z nich stanowiły wysokie, pozbawione ozdób obiekty, które wzniesiono w okresie dynamicznego rozwoju gospodarczego. Nie brakowało też niskiej zabudowy w typowym stylu lat siedemdziesiątych, to znaczy z okresu, w którym – jak mawiali cynicy – najchętniej wykonano by z betonu także całe umeblowanie.

Najbardziej wyróżniało się centrum zaopatrzeniowe. Był to potężny kompleks otwarty w 1980 roku, który na pierwszy rzut oka przypominał fabrykę. W środku znajdowały się gigantyczne urządzenia grzewcze, kuchnia, pralnia, apteka i wiele innych obiektów gospodarczych, dzięki którym klinika była samowystarczalna i niezależna od otoczenia. Za kompleksem rozciągały się szpitalne ogrody, które niezależnie od swojego pierwotnego przeznaczenia zaopatrywały szpitalną kuchnię w świeże warzywa. Ogrody wykorzystywano także na potrzeby terapii – pacjenci w nich pracowali.

Ten architektoniczny miszmasz uzupełniał leśny park, w którym oprócz kilku plantacji znajdowało się pole do minigolfa i kompleks sportowy.

Jednak tej nocy klinika nie sprawiała na Ellen aż tak idyllicznego wrażenia i nie przypominała jej leśnego miasteczka. Kiedy jechała w stronę domu, miała wrażenie, że podąża raczej czymś w rodzaju drogi dla duchów.

Nad jej głową szumiały gałęzie drzew. Przypominało to szept niezliczonych głosów. Na asfalt padały wydłużone cienie lamp stojących na skraju drogi. Niektóre z nich wyglądały jak zdeformowane głowy. Ellen wiedziała wprawdzie, że to cienie przydrożnych roślin, ale mimo to ich widok wywoływał w niej dość nieprzyjemne uczucia.

Z daleka dobiegł ją przytłumiony dźwięk brzącający jak ryk zwierzęcia. Najprawdopodobniej był to huk przelatującego wysoko nad ziemią samolotu.

Jednak mimo tych wszystkich racjonalnych wyjaśnień Ellen nie potrafiła pozbyć się niepokoju, który coraz bardziej ją ogarniał. Tylko jednego nie mogła sobie wytłumaczyć: czuła się tak, jakby ktoś ją obserwował.

To kompletna bzdura, wmawiała sobie w myślach. Żałowała, że mimo panujących ciemności odsunęła dach w samochodzie.

Kiedy mijala zjazd prowadzący do wschodniej części kliniki, była już tak przerażona, że w pewnym momencie z całej siły nacisnęła hamulec. Mniej więcej sto metrów przed sobą zauważyła postać stojącą przy drzewie. Był to wysoki, szczupły mężczyzna.

Czarny Lud!

Ellen włączyła długie światła i natychmiast roześmiała się z ulgą.

– Boże, natychmiast muszę się położyć – powiedziała, mijając nowy drogowskaz pokazujący dojazd na Oddział Neurochirurgii.

Niestety ulga, jaką poczuła, gdy pozbyła się optycznego złudzenia, nie trwała długo. Ellen nadal się wydawało, że ktoś ją obserwuje.

W końcu zatrzymała się na parkingu przed hotelem pracowniczym. Szybko zasunęła dach w samochodzie i pobiegła w stronę drzwi wejściowych do budynku. Ktoś tam już na nią niecierpliwie czekał.

Kiedy Sigmund ją zobaczył, uniósł się z szacunkiem i przywitał ją żalonym miauczeniem. Ellen znowu rozejrzała się wokół siebie, obrzucając całą okolicę uważnym spojrzeniem. Było jednak zbyt ciemno, żeby mogła zobaczyć coś, czego nie dostrzegła przy włączonych długich światłach.

– Nikogo tam nie ma – zapewniała samą siebie. – Coś sobie wmawiam. Mark ma rację, powinnam odpocząć.

Jakby na potwierdzenie tych słów Sigmund szturchnął ją głową w nogę. Stary włóczęga zaprzyjaźnił się z nią pewnego zimowego wieczoru, gdy stał przed jej tarasem, a ona zaoferowała mu nocleg i miseczkę mleka. Od tej pory zjawiał się w nieregularnych odstępach czasu. W ostatnich tygodniach jego wizyty stawały się coraz częstsze.

Imię, jakie nadała mu Ellen, zawdzięczał swojemu mądrym i aroganckiemu spojrzeniu, które na pierwszy rzut oka przypominało jej zdjęcie Freuda. Kot sprawiał wrażenie zadowolonego. Przynajmniej reagował, gdy przywoływała go tym imieniem.

– Witaj, zwierzaczkę – powiedziała, głaszcząc go po głowie. Dla kota była to ulubiona forma powitania. Ellen jeszcze raz rozejrzała się po parku, ale nikogo nie zauważyła.

Oczywiście, że nikogo tam nie ma.

– Co byś powiedział, grubasku, gdybym ci zaoferowała świeżą rybkę i trochę cię pogłaskała?

Podsunała mu pod nos plastikową puszkę pełną przysmaków, które jak zwykle dała jej właścicielka restauracji A Dong.

Sigmund zareagował tak, jakby zgodził się na jej propozycję. Wślizgnął się obok niej do środka i pewien siebie towarzyszył jej w drodze do mieszkania, jakby nie wiedział, że w hotelowcu nie wolno trzymać zwierząt domowych.

Kiedy Sigmund pałaszował swoją rybkę, Ellen włączyła CD z nagraniem fantazji Wędrowiec Schuberta. Nalała sobie kieliszek *ripasso* i wyjrzała na zewnątrz przez okno tarasu. Światła nieodległego miasta prześwitywały w ciemnym ogrodzie między pniami dwóch czerwonych buków.

Pomyślała o Chrisie. Tęskni za nim. Czy on też teraz o niej myśli? Zanim wyjedzie z Sydney na wyspę, na pewno jeszcze do niej zadzwoni albo przynajmniej wyśle SMS-a. Dłuższą część lotu ma już chyba za sobą. Już wkrótce znajdzie się na drugiej półkuli i będzie się grzał w promieniach słońca.

Tymczasem tu, w Fahlenbergu, jest noc, a gdzieś na zewnątrz ukryty w ciemnościach czai się mężczyzna, którego jej pacjentka nazywa Czarnym Ludem. Człowiek, który bez skrupułów pobił swoją żonę, i to tak bardzo, że musiała szukać ucieczki w świetle dziecka, którym kiedyś była.

Ellen wzdrygnęła się. Szkoda, że nie ma tu teraz Chrisa. Na pewno wzięłyby ją w ramiona.

Nie wolno ci się za bardzo angażować w ten przypadek, pomyślała. Przypomniała sobie słowa Marka, które utkwily jej w głowie. Była przekonana, że Chris też udzieliłby jej teraz takiej rady. „Każdego pacjenta należy traktować poważnie” – dodałby – „ale w żadnym razie nie wolno się w to zbyt mocno angażować”.

Ellen westchnęła i poczuła się jak ktoś, kto pływa zbyt blisko niebezpiecznego wiru. Teraz to ona musi wykonać odpowiedni ruch, żeby ten wir jej nie wciągnął. Jednak w tej chwili jest zbyt zmęczona, aby zastanawiać się nad kolejnym ruchem. Marzy tylko o tym, żeby zagłębić się w muzykę Schuberta i odzyskać spokój.

Sigmund ruszył miękkim, bezszelestnym krokiem w stronę jej sypialni, przypominając miauczeniem o drugiej części obietnicy, jaką mu złożyła. Ellen poszła za nim, żeby położyć się do łóżka.

Wprawdzie była to jak na nią dość wczesna pora, ale miała już tak ciężkie powieki, jakby to była późna noc.

Mrucząc jak stara maszyna, która żąda, aby ją natychmiast naoliwić, kot zwinął się u jej stóp.

– Dobrej nocy, mój ty puszysty grzejniku – mruknęła Ellen i wyłączyła światło.

Zdażyła jeszcze zauważyć, że wskazówka na jej budziku przesunęła się z godziny 22.04 na 22.05, i natychmiast głęboko zasnęła.

Niestety, nie była to dla niej spokojna noc, ponieważ...

...ponieważ chwilę później nawiedził ją sen o wiele bardziej rzeczywisty niż ten, którego doświadczyła wcześniej. Był jakiś taki... konkretny.

Jak Alicja, która wchodzi do Krainy Czarów, chociaż wie, że taka kraina właściwie nie istnieje, pomyślała Ellen.

– Słusznie – przytaknął jej jakiś głos obok.

Ku swemu zdumieniu ujrzała, że stoi przy niej jej dawny promotor, profesor Bormann. Dopiero teraz upewniła się na sto procent, że to sen. Nie ma żadnych wątpliwości. Przecież Bormann zmarł dwa lata temu na raka jelita.

– Zresztą to nie Kraina Czarów, a pani nie jest Alicją, moja droga – powiedział Bormann i wykonał szeroki gest ręką. Oboje stali pośrodku zimnego, ponurego pomieszczenia z betonu. Z obu stron odchodziły korytarze przypominające tunele. Ich końce skrywała ciemność. W świetle skąpego światła emitowanego przez neonówki cera profesora sprawiała wrażenie niezdrowej i bladej.

– *Gdzie jesteście?*

– Tego, moja droga Ellen, będziemy musieli się dowiedzieć – odparł Bormann, mrugając do niej. Kiedy żył, takie mrugnięcia czyniły go jeszcze bardziej sympatycznym, niż był.

– *To sen na jawie, prawda?*

Profesor skinął głową z zadowoleniem.

– *Zawsze była pani moją najlepszą studentką i nadal nią jest. Tak, to sen na jawie. Przeżywa go pani z pełną świadomością i może pani wywierać na niego wpływ. Może pani sterować jego przebiegiem, a właściwie wszystkim z wyjątkiem jednej rzeczy: nie może się pani obudzić. A teraz do roboty, proszę jak najlepiej wykorzystać tę sytuację.*

Profesor odwrócił się, żeby odejść.

– *Nie, proszę zostać* – poprosiła Ellen. – *Niech mnie pan nie zostawia samej.*

– *Nie mogę* – odparł Bormann. – *Pojawiam się tu tylko jako Prolog, jeśli chce pani wiedzieć. To pani sen, nie mój. Kiedyś w końcu przychodzi taka chwila, gdy każdy z nas musi po raz pierwszy w życiu zastosować to, czego się nauczył, wobec samego siebie. A wtedy nauczycielowi nie pozostaje nic innego, jak tylko odejść.*

Ledwo wypowiedział te słowa – czy w trakcie tego poruszał w ogóle wargami? – jego postać zaczęła stawać się coraz bardziej niewyraźna i przezroczysta. W końcu całkiem znikła.

Ellen rozejrzała się niepewnie wokół siebie. No dobrze, to jej sen.

Zobaczmy więc, co będzie dalej, pomyślała.

Miała do wyboru dwie możliwości: albo skierować się w prawy korytarz, albo w lewy.

Nagle poczuła chłód. Spojrzała na siebie i z przerażeniem stwierdziła, że jest zupełnie naga.

Kolejny dowód na to, że to tylko sen, pomyślała. Typowa niedogodność, *gdy w określonej sytuacji ktoś czuje się obnażony i porzucony.*

Ale o jaką sytuację chodzi? O prosty wybór, gdy trzeba zdecydować, czy iść w lewo czy w prawo, czy też może o coś zupełnie innego?

To chłodne, okropne miejsce, w którym się teraz znajduje, stanowi tylko punkt wyjścia. Jeśli ma iść dalej, musi zdecydować teraz. Niestety, oba korytarze niczym się od siebie nie różniły, co utrudniało jej podjęcie decyzji.

No więc? Co robić? Rzucić kości? Analizować?

Naga, drżąca i bezradna osłoniła górną część ciała ramionami. Jaką rolę odgrywają oba korytarze i to pomieszczenie? Podłogę i ściany zrobione były z ciemnego betonu kamyczkowego, który pachniał wilgotnym mchem i pleśnią.

Ellen przypomniała sobie piwnicę w domu należącym do rodziców Chrisa, tym, który stał się dla niej jakby drugim domem rodzinnym, choć tylko w weekendy. Na razie nie czuła się w nim jak u siebie. Pewnie dopiero po pewnym czasie zdoła się przyzwyczaić.

Czyżby pomieszczenie ze snu miało jej uświadomić, że w głębi duszy sama jeszcze nie wie, czy w ogóle chce mieszkać z Chrisem w domu jego rodziców?

Chłód bijący od snu wydawał się jej dość niezwykły. Wyraźnie czuła, że ma chłodne stopy. Jak dwa lodowe bloki. Jakby rzeczywiście stała na chłodnej, śliskiej betonowej podłodze, zamiast grzać stopy o puchową kołdrę i futro Sigmunda.

Czuję, że bardziej ciągnie mnie w głąb tego korytarza. Wprawdzie mogę się mylić, ale odnoszę wrażenie, że prawy biegnie do przodu, a lewy do tyłu. Nie mam pojęcia, czy faktycznie tak jest, ale to przecież mój sen, co oznacza, że to prawy zaprowadzi mnie do przodu. Koniec, kropka.

Weszła więc do prawego korytarza, gdzie mimo światła bijącego z rtęciówek wiszących na zardzewiałych przewodach nie było dużo jaśniej. Podłoga pod jej gołymi stopami tu też była w nieprzyjemny sposób śliska. Kiedy przesuwała je do przodu lub do tyłu, po każdym kroku tworzyły się pod nimi małe, jakby lśniące od tłuszczu kłęбки z mchu i pleśni albo z jakichś alg. Zostawały na nich ślady pięt i palców.

Im dalej szła, tym większą czuła wokół siebie wilgoć. Kilka razy musiała ominąć kałuże.

Dach chyba przecieka, pomyślała. Ze ścian i z góry kapła woda i tworzyła kałuże.

Coraz bardziej drżała na całym ciele. Było jej już nie tylko zimno, ale opanowało ją także inne uczucie. Czuła się po prostu strasznie.

No, wyduś to wreszcie z siebie, Ellen Roth. Jesteś wśród swoich. Po prostu masz stracha. Na sto procent. Możesz być tego absolutnie pewna, i to bez substancji psychoaktywnych.

Tak, do cholery, boi się. Chociaż dobrze wie, że to tylko sen, odczuwa ogromny strach. Kiedy więc się do tego przed sobą przyznała, doznała nagłego olśnienia. Jakby nagle uświadomiła sobie coś, co rozbłysło w jej głowie jak błyskawica:

Ktoś albo coś się za mną skrada w ciemnościach. Za moimi plecami. Obserwuje mnie!

Przerażona rozejrzała się wokół. Znajdowała się niezbyt daleko od pomieszczenia, z którego niedawno wyszła. Mimo to już go nie widziała, bo znalazło się w ciemnej tubie korytarza, który w miarę jak głębiej się w niego zapuszczała, bardziej pochłaniał blask bijący od rtęciówek.

I nagle coś usłyszała. Na początku był to delikatny szmer, który stopniowo przybierał na sile. Był jednak zdecydowanie szybszy niż szum spadających kropli wody. Chwilę potem dźwięk znacznie się przybliżył, stał się głośniejszy. Ellen domyśliła się, że coś biegnie w jej stronę.

Na razie niczego jeszcze nie widziała, bo to „coś” kryło się w mroku korytarza. Jednak wcale jej nie zależało, żeby zobaczyć, z czym ma do czynienia. A na pewno nie w tym momencie. Coś ją ostrzegało, że to, co biegnie w jej stronę, nie jest ani jej przyjacielem, ani dobrym bliźnim – jak określiliby to Chris – tylko stanowi dla niej zagrożenie.

Charakterystyczny dźwięk, który słyszała na początku, stawał się coraz bardziej wyraźny i coraz głośniejszy.

Ellen rzuciła się do ucieczki.

Muszę to kontrolować, obojętne, w jaki sposób. Tylko jak? Co mam zrobić, żeby mój prześladowca znikł? Wyrazić życzenie, żeby go tu nie było? Powiedzieć „hokus-pokus”? Tak bardzo cię proszę, moja podświadomości, pozwól mi się już obudzić. Już się zabawiłaś moim kosztem, ale dłużej już tego nie chcę. Spraw, żebym się obudziła!

Niestety, jej podświadomość, włókna nerwowe albo coś, co zagnieździło się w jej mózgu i wywołało ten sen, było akurat zbyt zajęte czymś innym i nie miało czasu, żeby jej wysłuchać. A może po prostu nie chciało jej pomóc? Może uważało, że i tak się obudzi w odpowiednim momencie, gdy w swoim śnie, który oddziaływał na nią w tak przerażający sposób, przebiegnie odpowiedni dystans?

I dlatego biegła, chociaż właściwszym określeniem na to, co robiła, byłoby stwierdzenie, że się ślizgała po betonowym podłożu.

Biegła w przeciwnym kierunku niż ten, z którego dobiegał tamten dźwięk – stał się teraz jeszcze bardziej wyraźny i głośny.

Czuła się tak, jakby biegła na bosaka po zamrzniętym jeziorze. Zimne podłoże sprawiało jej stopom ból i przez cały czas musiała uważać, żeby się nie poślizgnąć i nie przewrócić. Z kolei jej prześladowcy śliskie podłoże najwyraźniej w niczym nie przeszkadzało. Ellen słyszała go coraz bliżej, na dodatek doszło do tego przerażające sapanie.

Niechże mi ktoś pomoże! To mój sen i mogę nim kierować, więc niechże się ktoś w końcu zjawi i pomoże mi!

Niestety, oprócz przerażającego echa własnego głosu i tupotu swoich nagich stóp nie usłyszała żadnej odpowiedzi.

W miejscu, gdzie korytarz skręcał w lewo, stało się to, co w końcu musiało się stać: Ellen poślizgnęła się, upadła i uderzyła się w oba kolana tak mocno, że aż krzyknęła z bólu. Poczowała, że kiedy upadła i uderzyła w beton, zdarła sobie skórę na kolanach.

Wpadła w panikę, ale jakoś się pozbierała. Potem znowu się poślizgnęła i jeszcze raz upadła. Obejrzała się, żeby sprawdzić, gdzie jest jej prześladowca, i w tym momencie zobaczyła, co ją ściga. Widok, jaki ujrzała, skuł jej serce lodem.

Z głębi tunelu pędził w jej stronę czarny, wielki jak cielak pies. Futro miał powalane błotem. Popatrzył na Ellen oczami, które lśniły w półmroku korytarza, i wydał z siebie głębokie, groźne warczenie przypominające grzmot. Lepkie strużki śliny ściekały mu po wargach, a przez zaciśnięte zęby wydobywał się nieświeży oddech przypominający kłęby chmur. Zwierzę zbliżało się do Ellen potężnymi susami.

W jego rozżarzonych oczach czaiło się jakieś zło i Ellen od razu zrozumiała, dlaczego w tunelu jest tak zimno. Chłód nie pochodził z betonowych płyt ani z wilgoci bijącej od ścian i sufitu. Jego źródłem był ten przerażający, potworny pies, którego dzieliło od niej już tylko kilka kroków.

Zaraz mnie pożre. Wbije we mnie swoje długie żółte zęby, odgryzie mi głowę od reszty ciała i rozszarpie mnie na kawałki. Jak jakieś monstrum z horroru. Właśnie tak się to skończy.

Ledwo to pomyślała, usłyszała za sobą szmer. Odwróciła się i ujrzała swoją pacjentkę, kobietę bez imienia i nazwiska. Jednak inaczej niż po południu, w jej brązowych oczach nie było ani śladu przerażenia. Przeciwnie, nawet się uśmiechała.

– Szybko – powiedziała kobieta i wskazała na dłonie Ellen. Ellen ujrzała nagle, że trzyma w nich dziwny przedmiot. Był niewiele szerszy niż zwykła linijka szkolna i w dotyku przypominał kamień. Nie miała pojęcia, co to jest ani co ma z tym zrobić, więc uczyniła po prostu pierwszą lepszą rzecz, jaka jej przyszła na myśl.

Jednym ruchem rzuciła przedmiot w stronę nadbiegającego psa. Był on jednak zbyt ciężki i upadł na ziemię tuż przed nią. Tam zaczął błyskawicznie rosnąć, aż w końcu zamienił się w mur, który zagroził korytarz na całą szerokość – sięgał Ellen do brody.

W ostatniej chwili, tuż przed uderzeniem w mur, pies zatrzymał się i stanął na tylnych łapach. Złośliwym spojrzeniem swoich głębokich brązowych oczu obrzucił obie kobiety. Potem uniósł wyżej łeb i zaczął węszyć, dzięki czemu Ellen i kobieta zobaczyły, że jego wyciągniętą szyję porasta szare futro.

Nie było to jednak typowe węszenie, jak w przypadku innych psów. Pies jakby wsysał ich zapach, podobnie jak człowiek, który nie jest pewien, czy to, co czuje, to zapach czy smród.

Po chwili potężny zwierz opuścił łeb i spojrzał na obie kobiety, jakby chciał powiedzieć: „Wasz czas jeszcze nie nadszedł. Ale jeszcze się spotkamy”.

Następnie odwrócił się i z opuszczonym łbem ruszył z powrotem w głąb korytarza. Ellen spoglądała za nim, aż znikł w ciemnościach, i dopiero wtedy odwróciła się do bezimiennej kobiety.

– *Czy to naprawdę był pies?*

– *Nie* – odparła kobieta. – *Na razie jeszcze nie wiesz, kto to był. Ale kiedyś z całą pewnością się dowiesz. Przypomnij sobie obietnicę!*

– *Ale kim ty jesteś i dlaczego prześladujesz mnie w moim śnie?*

Dźwięk własnego głosu obudził Ellen. Zamiast kobiety ujrzała przed sobą okrągły pyszczek Sigmunda. Znajdował się tak blisko jej twarzy, że Ellen poczuła w jego oddechu zapach ryby.

Okropnie wyglądasz, zdawało się mówić jego spojrzenie.

– *I właśnie tak się teraz czuję* – powiedziała Ellen.

Rozdział 8

Ellen sama poprosiła o ranne dyżury. Zdążyła polubić krótkie spacerunki z hotelu na oddział, zwłaszcza wiosną, kiedy w całym parku pachnie żywicą i kwiatami, a śpiew ptaków zapowiada nadejście świtu. Do połowy października, gdy dni stają się krótsze, a ciemność coraz bardziej męcząca, ranne dyżury były dla Ellen najmiłszym czasem pracy. Z wyjątkiem tego wtorku.

Tamtego ranka nawet jej przez myśl nie przeszło, że prognoza pogody się nie sprawdzi, chociaż jasne niebo zapowiadało słoneczny dzień.

Ciągle jeszcze nie mogła się otrząsnąć ze wspomnień o swoim przerażającym śnie. Było w nim coś niesamowitego. Równie dziwne sny miewała już wcześniej i za każdym razem udawało jej się o wszystkim zapomnieć. Jednak nie tym razem. Jej spotkanie ze śp. profesorem Bormannem – a propos, jak długo już o nim nie myślała? Od kilku miesięcy? A może od kilku lat? – i ze strasznym ogromnym psem, którego nie tylko widziała, ale także czuła bijący od niego obrzydliwy smród, nie dawało jej spokoju. Podobnie jak bezimienna pacjentka, która zakradła się do jej snu.

Już dawno nie marzyła o pracy tak bardzo jak teraz.

Jakimś sposobem potrafiła zostawić wszystko, co wiązało się z pracą, na oddziale, razem z fartuchem, gdy kończyła dyżur. Zdarzało się, że razem z Chrisem dyskutowali od czasu do czasu o szczególnie interesujących przypadkach. Jednak nigdy żaden z pacjentów nie zakradł się do jej snu.

Mark ją ostrzegł, żeby nie utożsamiała się za bardzo ze swoją pacjentką, a ona zupełnie zignorowała jego ostrzeżenie. Ciągle jej się to jeszcze zdarza. Możliwe, że ta kobieta obchodzi ją bardziej niż inni pacjenci, z którymi miała do czynienia do tej pory. Jednak nigdy przedtem nie angażowała się w żaden przypadek zbyt głęboko. Być może Mark, jako mężczyzna, podchodzi do tego inaczej, ale ona jest kobietą i dobrze wie, co czuje jej nowa pacjentka, w przypadku której koszmar wszystkich kobiet zamienił się w rzeczywistość. Zresztą należy to do jej obowiązków lekarskich: zaopiekować się pacjentką i pomóc jej w jak najszerszym zakresie.

Szkoda, że Chris jeszcze nie dzwonił. Oczywiście nie będzie z nim rozmawiać o tym konkretnym przypadku, bo powinien odpocząć i nie myśleć o pracy. Chętnie by jednak usłyszała jego głos albo przeczytała kilka słów wysłanych esemesem. Po tej strasznej nocy na pewno by jej to dobrze zrobiło. Niestety, jej telefon komórkowy milczał.

Kiedy dotarła na Oddział IX, Mark stał już w pobliżu głównego wejścia i rozmawiał z konserwatorem, który naprawiał mechanizm drzwiowy.

– Strasznie stary – powiedział konserwator, a Ellen po głosie poznała, że to ten sam mężczyzna, który doprowadził ją przez telefon do skrzynki z bezpiecznikami. – Niewykłuczone, że na którymś z przełączników znajdziemy stempel z przedwojennym niemieckim godłem państwowym. Wcale by mnie to nie zdziwiło. Oszczędzają tu nie na tym, co trzeba. Konserwacja tego złomu kosztuje na dłuższą metę więcej niż zakup nowego mechanizmu.

Mark skinął na potwierdzenie głową.

– Niech pan spojrzy na to z innej strony: dopóki ze względu na oszczędności nie możemy sobie pozwolić na nowy mechanizm, może pan u nas liczyć na stałą pracę.

– Hm – mruknął konserwator, nie odrywając się od pracy. – I tu ma pan absolutną rację.

Ellen nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

– Dzień dobry, panowie. Jakiś problem?

– Typowy fałszywy alarm – odparł Mark. – Jesteś strasznie blada. Dobrze się czujesz?
– To nic takiego, czemu nie można by zaradzić dzbankiem mocnej kawy. Miło cię widzieć.

Mark uniósł brwi.

– Byliśmy umówieni. Już zapomniiałaś?

– Oczywiście, że nie.

Sposób, w jaki Mark na nią patrzył, wcale jej się nie podobał.

– O co chodzi? – spytała. – Dlaczego mi się tak przyglądasz?

– Bez powodu – padła krótka odpowiedź.

– Mam prośbę – przerwał im konserwator. – Czy mogłaby pani odsunąć od drzwi tamtego typu? Działa mi na nerwy.

Dopiero teraz Ellen zauważyła pacjenta, o którego chodziło konserwatorowi. Rüdiger Maler miał około dwudziestu lat, gładko ogoloną głowę i nosił okulary z grubymi szklarni. Stał w odległości kilku centymetrów od konserwatora z nosem przyciśniętym do szklanych drzwi i lizał szybę. Jego język wyglądał jak gruba pijawka.

– Zaraz to zrobię, jeśli tak panu zależy.

Konserwator tak długo grzebał w otwartej skrzynce rozdzielczej, aż w końcu rozległ się dźwięk wskazujący na to, że urządzenie znowu działa.

Maler odsunął się zdziwiony od szyby. Mark i Ellen weszli wreszcie na oddział.

– Dzień dobry – powiedziała Ellen, zwracając się do Malera.

– Pan nie na śniadaniu?

– Dlaczego ten człowiek po drugiej stronie psuje drzwi? – odparł Maler pytaniem na pytanie. Chociaż imponował potężną posturą – miał bowiem sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu – jego umysł rozwinął się mniej więcej do poziomu kilkuletniego dziecka. Głos pasował do niego jak ulał: brzmiał tak, jakby Maler miał przechodzić mutację dopiero za kilka lat.

– On ich nie psuje – wyjaśniła Ellen. – On je naprawia.

– Aha – powiedział Maler, a na jego twarzy pojawił się krzywy uśmiech. – Obciągałem go sobie – dodał i z dumą wskazał na miejsce, gdzie pod dżinsami kryło się jego krocze. – Chcesz se popatrzeć?

Zanim Ellen zdążyła odrzucić tę ofertę, z pokoju, który Maler dzielił z Brennerem, wyszła nowa pielęgniarka, Carola. Właśnie skończyła nocny dyżur.

– Rüdiger, chodź tu do mnie natychmiast!

Dopiero teraz ujrzała Marka i Ellen i podeszła do nich zaczerwieniona. Z początku Ellen pomyślała, że nagle zmieszanie pielęgniarki spowodowane jest tym, iż wie ona, jak dużą wagę Ellen przykłada do właściwego traktowania pacjentów. Jeśli ktoś zwracał się do pacjenta per ty albo po imieniu, uważała to za brak profesjonalizmu i za rzecz naganną, i to niezależnie od tego, czy dany pacjent cokolwiek rozumiał.

Dopiero po chwili Ellen zdała sobie sprawę, że powodem zakłopotania Caroli jest coś innego. Coś, co starała się ukryć za plecami.

– Co tu się dzieje? – spytała Ellen.

– Gdybym wiedziała, co tu się dzieje, zapewniam, że nigdy bym się nie zgodziła, żeby mnie tu przenieśli z intensywnej terapii – odparła pielęgniarka nadąsanym głosem. – Przez tych niedorozwiniętych musimy być na pełnych obrotach przez całą noc. Muszę sprzątać ich gówna, pilnować, żeby jak najszybciej podano im śniadanie, reagować na fałszywe alarmy, a teraz jeszcze to tutaj!

Szybkim ruchem wyciągnęła rękę zza pleców i podsunęła Ellen przed oczy dwa pisemka pornograficzne.

– Uff – wymknęło się Markowi, którego widok świerszczyków najwidoczniej rozbawił. – I to tak wcześniej rano.

Ellen obrzuciła go krótkim spojrzeniem, co odniosło zamierzony skutek.

– Mój drogi – powiedziała, spoglądając na Marka. – Za ten oddział odpowiadam ja. A jeśli mój personel – to znaczy pielęgniarze i pielęgniarki – czuje się urażony takimi gazetkami, podchodzę do tego poważnie.

Mark natychmiast umilkł.

Siostra Carola bardzo wyraźnie pokazała, że takie gazetki ją obrażają. Zrobiła to z takim zaangażowaniem, że w rzeczywistości wyglądało to nawet trochę zabawnie. Oba czasopisma trzymała kciukiem i palcem wskazującym, jakby miała do czynienia z czymś zainfekowanym. Wyglądało to tak, jakby zamierzała je wrzucić do najbliższego kosza na śmieci. Ellen nie chciała nawet myśleć, do czego mogłoby dojść, gdyby to nie Carola znalazła obie gazetki, tylko mająca skłonności do histerycznych reakcji siostra Marion.

W porównaniu z tym alarm bombowy ogłoszony na wypełnionym do ostatniego miejsca stadionie piłkarskim wydałby się zaledwie niewinnym epizodem.

– Pół godziny temu powlekłam nową pościel na łóżku pana Brennera. Musiałam też wytrzeć podłogę, bo wszystko było zarzygane. Za-rzy-ga-ne! Wszystko! Odniosłam wrażenie, że wczoraj wyżarł wszystkie resztki z wózka najedzenie. Na dodatek cały pokój pełen jest tego gówna!

Carola zamachała świerszczykami, jakby chciała przez to powiedzieć: „No niechże pani to w końcu ode mnie weźmie!”.

– Niech pani wyrzuci to badziewie po prostu do kosza – powiedziała Ellen. – A co się tyczy pana Brennera: w ciągu kilku najbliższych dni zostanie zwolniony do domu. Jeśli więc do tego czasu chce się u nas najść do syta, powinniśmy mu na to pozwolić. Proszę go tylko przekonać, żeby z tym nie przesadził.

Pielęgniarka zamierzała wygłosić kolejny komentarz, ale Mark i Ellen nie dali jej ku temu okazji. Mark musiał stawić się za niecały kwadrans na dyżurze, a wolny czas, jaki mu jeszcze pozostał, chciał wykorzystać, aby wyrobić sobie pogląd na temat bezimiennej kobiety.

– Wygląda na to, że na terenie kliniki jest ktoś, kto handluje tymi gazetkami – powiedział. – Pielęgniarki na moim oddziale podchodzą do takich spraw spokojniej.

– Być może dlatego, że są mężczyznami.

– Jeden zero dla ciebie. Myślę jednak, że pornosy to ostatnia rzecz, jaką powinniśmy sobie teraz zaprzętać głowy.

Mark nadal przyglądał się Ellen dziwnym wzrokiem, w którym można było wyczytać troskę, zdziwienie i sceptycyzm.

– No dobrze, powiedz mi, o co chodzi? Co to za aluzje?

– Jak by ci to powiedzieć... – zaczął Mark, przesuwając dłonią po włosach; w końcu westchnął i powiedział: – Chodzi mi o tę bezimienną pacjentkę, o której mi opowiadałaś.

– A konkretnie?

– Wczoraj, po naszym spotkaniu, wróciłem do kliniki. Nie byłem jeszcze zmęczony, więc pomyślałem, że sprawdzę, czy nie śpi.

– Pojechałeś wczoraj o dziesiątej wieczorem do mojej pacjentki?

– Tak – odparł Mark i skinął głową. – Uznałem, że sprawa jest dla ciebie na tyle ważna, że dobrze by było, abym dziś rano mógł cię zaskoczyć pierwszą opinią.

Ellen była nie tylko zdumiona, ale także pełna podziwu dla kolegi z pracy. Fajny facet, a ona potrafi takich docenić. W jej przypadku nie jest to aż tak oczywiste.

– No i? Jakie było twoje pierwsze wrażenie?

Mark unikał jej pytającego wzroku. Wskazał tylko głową na pokój numer siedem.

– Sama wejdź i zobacz.

– Dlaczego? Co się stało?

– Proszę cię: wejdź i sprawdź sama.

Na drzwiach pokoju nie było jeszcze tabliczki z nazwiskiem kobiety. Zresztą jakie to by miało być nazwisko, zastanawiała się Ellen. Pani X całkiem tu nie pasuje. Ellen zapukała do drzwi. Spodziewała się, że nikt nie odpowie. Miała rację.

Ostrożnie otworzyła drzwi i zamarła w bezruchu.

Kiedy weszła do pokoju i zobaczyła, że zasłony są szeroko rozsunięte, a okno uchylone, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Jednak wzrok jej nie mylił, podobnie jak nie zawiódł jej nos – od razu poczuła zapach antybakteryjnych środków czyszczących.

Odwróciła się w stronę Marka.

– Co tu się dzieje? Gdzie jest ta kobieta?

– Nie ma jej – odparł Mark, wzruszając ramionami. – Wczoraj wieczorem też jej tu nie było.

Ellen poczuła, jak coś ją ściska w żołądku. Jakby jechała windą, która zatrzymała się nagle w połowie piętra.

– To niemożliwe. Przecież wczoraj po południu z nią rozmawiałam.

– Nie wiem, z kim wczoraj rozmawiałaś w tym pokoju, ale na pewno nie była to żadna pacjentka z tego oddziału. W każdym razie żadnej nie umieszczono w tym pomieszczeniu.

– O czym ty mówisz? – spytała Ellen, czując, że zaczyna drżeć.

– Posłuchaj, Ellen. Ta kobieta nie figuruje w spisie pacjentów. Nikt z personelu nigdy o niej nie słyszał. Wczoraj to sprawdziłem.

– To jakaś bzdura – odparła Ellen. Kazała Markowi nie ruszać się z miejsca, a sama pobiegła do pokoju, w którym siostra Carola z przesadną dokładnością myła ręce.

– Co się stało z pacjentką z pokoju numer siedem? – spytała.

Zanim Carola odwróciła się, żeby odpowiedzieć na pytanie, nacisnęła dozownik z płynnym mydłem. Oczy miała zaczerwienione, a wyraz jej twarzy świadczył o tym, że niedawno płakała, a jej umysłem wstrząsała myśl: „Proszę, przenieście mnie z powrotem na intensywną terapię”.

– Pokój numer siedem? Przecież wyjaśniałam to już wczoraj doktorowi Behrendtowi. Nic mi nie wiadomo na temat jakiegokolwiek pacjentki w siódemce. Ten pokój stoi pusty.

Siostra Carola wycisnęła z dozownika tyle mydła w płynie, że jej dłonie były spod niego ledwo widoczne.

– To niemożliwe! – zawołała Ellen i zerwała z metalowej tablicy listę z nazwiskami pacjentów. Magnesy, które ją przytrzymały, spadły na podłogę. I rzeczywiście: według spisu pokój numer siedem był pusty.

– Ellen?

Mark stanął obok niej i spojrzał na skonsternowaną pielęgniarkę.

– Może porozmawiamy na osobności.

– Co tu się dzieje? – spytała Ellen. – Gdzie jest pacjentka z siódemki? Dlaczego nie wpisano jej na listę? Przecież nawet jeśli nie znamy jej nazwiska, pokój, do którego ją przydzielono, powinien być zakreślony.

– A jeśli oprócz Chrisa i ciebie nikt inny nie wiedział, że przyjęto ją na oddział?

– Ta kobieta przebywa na naszym oddziale od trzech dni. Nie da się jej ot tak nie zauważyć. Przecież musiała coś jeść i... chwileczkę – zawołała Ellen, porywając z biurka listę pacjentów. – Od piątku dostarczano na oddział dwanaście posiłków. Dwanaście! Jeśli uwzględnić posiłki dla siódemki, powinno ich być trzynaście.

– A ja twierdzę, że w siódemce nikogo nie było – oświadczyła siostra Carola, która zdumiewająco szybko powróciła do swojego przekornego tonu głosu. – Kiedy robiłam obchód, zaglądałam do tego pokoju przynajmniej dwa razy. A ja zawsze sprawdzam wszystko dokładnie, tego nikt mi nie odmówi. Gdyby w środku ktoś był, na pewno bym to zauważyła.

Ellen musiała się z tym jakoś pogodzić. Czasem się zdarzało, że niektórzy pacjenci korzystali z pustych pokoi i urządzali w nich randki. Nic dziwnego – w klinice nie ma oficjalnie wyznaczonego miejsca na takie rzeczy, choć często o tym dyskutowano. Dlatego personel, który pracuje na nocnym dyżurze, ma obowiązek regularnego sprawdzania wszystkich pomieszczeń bez względu na to, czy na planie piętra są zaznaczone jako zajęte, czy puste.

W trakcie obchodu jest też sprawdzany składzik ze sprzętem dla sprzątaczek, pokój pierwszej pomocy i łazienka. Ellen nie miała odwagi spytać Caroli, czy tam też zajrzała. Na szczęście przyszło jej do głowy co innego.

– Fałszywy alarm! Jeśli w siódmym nikogo nie było, to skąd się wziął fałszywy alarm?

– A jak pani myśli, gdzie ja byłam za każdym razem, gdy alarm się włączał? – spytała Carola. Gdyby była postacią z komiksu, wokół jej głowy pojawiłaby się w tej chwili gęsta gradowa chmura z błyskawicami. – Ten głupi alarm sam się trzy razy włączył, ale za każdym razem okazywało się, że drzwi są porządnie zamknięte na klucz. Nie sądzę też, żeby pani doktor wyjawiała tej pacjentce swój kod dostępu?

Każdego innego dnia Ellen nie pozwoliłaby pielęgniarce na taką bezczelność. Jednak w tym momencie była tak roztrzęsiona, że nie zwróciła uwagi na jej sarkazm. Tym bardziej że przynajmniej pod jednym względem Carola miała rację: bez klucza i kodu dostępu drzwi nie można otworzyć.

Do tej pory alarm włączał się za każdym razem z powodu popsutego przekaźnika. Jak było tym razem?

Ellen podbiegła do drzwi, wprowadziła swój kod i zdążyła jeszcze złapać konserwatora w chwili, gdy wychodził z budynku.

– Tak, to ta sama część mechanizmu – odparł na jej pytanie. – Dam sobie rękę uciąć, że niedługo znowu się zepsuje. Moim zdaniem należałoby wymienić wszystko. Proszę to jednak powiedzieć administratorowi. Wyrzuci panią z biura, zanim zdąży powiedzieć, ile to będzie kosztowało.

– Jest pan absolutnie pewien, że ten przekaźnik nie miał nic wspólnego z mechanizmem otwierającym drzwi?

– Absolutnie. On tylko uruchamia alarm, ale drzwi nadal pozostają zamknięte. To właśnie dlatego administrator budynku nic nie robi w tej sprawie. Przepraszam, ale muszę już iść. Do widzenia, do następnego fałszywego alarmu.

Konserwator jeszcze raz spojrzął na Malera, który machał mu na pożegnanie zza szklanych drzwi, odwrócił się i wyszedł.

– To strasznie dziwna historia – powiedział Mark. Siedział na krześle w pokoju Ellen i marszczył czoło. – Po pierwsze dlatego, że oprócz ciebie nikt nie wie o istnieniu tej pacjentki. Coś takiego jeszcze nigdy mi się nie zdarzyło. Aż trzy dni. Przecież przez tak długi czas ktoś powinien ją zauważyć, nie sądzisz?

Ellen chodziła po pokoju, ale słysząc te słowa, gwałtownie się zatrzymała.

– Przysięgam, że ta kobieta była wtedy w pokoju. Rozmawiałam z nią. Już ci o tym mówiłam!

– Tak, to prawda, opowiadałaś mi o niej.

– Mnie też trudno zrozumieć, że przez trzy dni... Chwileczkę! Co masz na myśli, mówiąc, że ci o niej opowiadałam?

– To, co powiedziałem. Że mi o niej opowiadałaś. Bo widzieć jej nie widziałem.

– Ale chyba mi wierzysz?

Mark przez chwilę się zawahał – ta chwila trwała dla Ellen zbyt długo.

– Nie pojmuję tego!

– Posłuchaj – powiedział Mark. – Pokój jest pusty i nic nie wskazuje na to, że ktoś w nim przebywał. Wspominałaś, że ta kobieta okropnie śmierdziała. W takim razie ktoś inny na

oddziale też powinien poczuć ten smród. Niestety, nikt tego nie potwierdził. Na dodatek nikt jej nawet nie widział. Powinnaś może zadać sobie pytanie, czy to nie była jakaś inna...

– O nie, mój drogi. Chris też ją widział!

Mark wykonał bezradny gest.

– Teraz trudno nam będzie go o to spytać.

W tym momencie Ellen eksplodowała.

– To niewiarygodne! Mówisz do mnie takim tonem, jakbym to wszystko sobie wmówiła. Nie mam pojęcia, dlaczego to robisz, ale udowodnię ci, że Chris też ją widział.

Gwałtownym ruchem wyciągnęła górną szufladę szafy z aktami pacjentów. Znajdowały się w niej formularze przyjęć na oddział i wszystkie inne dokumenty. Szybko przeczuciła brązowe skoroszyty znajdujące się pod literą „B”. Ponieważ jednak nazwisko pacjentki było nieznanne, zaczęła przeglądać teczki oznaczone jako SIP.

– Sandberg, Sehlars... jest, SIP! Proszę bardzo. Tują mam i tu znajdziemy też formularz wypełniony przez Chrisa...

Niestety, skoroszyt był pusty.

Spojrzenie, jakim Mark obrzucił w tym momencie Ellen, wcale jej się nie spodobało. Domyśliła się, że Mark nie wierzy w ani jedno jej słowo.

– Nie wiem, co tu jest grane – powiedziała – ale przysięgam, że w tej teczce były jej dokumenty! Ta kobieta musi tu gdzieś być. Przecież osobiście wkładałam tu jej papiery!

Oczywiście, że to zrobiłaś. Jeśli więc wystarczająco długo będziesz się wpatrywać w to miejsce, akta kobiety na pewno się odnajdą, podpowiadał jej wewnętrzny głos.

– Wczoraj miałaś bardzo stresujący dzień – stwierdził Mark. – Sama mi to powiedziałaś. Mało snu, długi przejazd z lotniska, elektryczne show pana Bocka. Moim zdaniem to nawet cała góra stresów. Czy nie można więc uznać, że...

– Mark! – przerwała mu Ellen. Starła się mówić spokojnie i przekonująco, co ku jej zdumieniu nawet jej się udało. – Przecież nie można sobie tak po prostu wmówić, że istnieje jakiś człowiek. A nawet gdyby to było możliwe, to przecież rozmawiałam z tą pacjentką. Tak jak Chris rozmawiał ze mną.

– Według tego, co mi opowiadałaś, w pokoju było wtedy ciemno, prawda? A czy Chris też widział tę tajemniczą pacjentkę przez krótką chwilę?

– Do czego zmierzasz?

– Załóżmy, że znany wszystkim dowcipniś zabawił się waszym kosztem. Jeśli to zrobił, to co wtedy?

– Masz na myśli Rüdiger Malera?

– Tak – odparł Mark. – Może cię po prostu wprowadził w błąd? Przecież każdego już tu jakoś nabrał.

Ellen wybuchła śmiechem. Był to jednak krótki, gorzki śmiech.

– Chcesz powiedzieć, że nie potrafisz odróżnić Malera od kobiety?

– Nie zapominaj, że przeżyłaś stres, tak samo jak Chris tuż przed wyjazdem na wakacje. A przecież doznania, które stają się naszym udziałem w czasie stresu, kierują się swoimi własnymi zasadami.

– No to posłuchaj mnie, panie specjalisto od analiz. Problem, jaki masz z Chrisem, to twoja własna sprawa. Jeśli jednak twierdzisz, że wczoraj byłam nie do końca przy zdrowych zmysłach, to zapewniam cię, że się mylisz. To prawda, przeżyłam stres, ale przecież my tu codziennie pracujemy w stresie. Chyba nie muszę ci o tym przypominać? Nie próbuj mi więc wmawiać, że jestem paranoiczką albo kimś w tym stylu.

– Przecież nie twierdzę, że nią jesteś. Mówię tylko, że w czasie waszych spotkań ani razu nie widziałaś tej kobiety wyraźnie. Czy nie możemy więc założyć, że Maler albo jakiś inny dowcipniś...

– Tego już za wiele. Mam tego dosyć. Strasznie ci dziękuję za pomoc.

– Ellen, przecież nikt nie znika tak po prostu ze szpitalnego oddziału. Chcę tylko powiedzieć, że...

– Daruj sobie. Teraz już wiem, co o mnie myślisz. Nie musisz mi tego dawać wyraźniej do zrozumienia.

– No dobrze, niech będzie. Wybacz, ale powinienem już od dawna być na dyżurze – westchnął Mark, ruszając w stronę drzwi. – Nie tak łatwo uwierzyć w całą tę historię. Postaw się na moim miejscu.

– A może ty postawisz się na moim?

Mark spuścił wzrok i przez chwilę się nad czymś zastanawiał. Po chwili zadał jej jeszcze jedno pytanie:

– Bierzesz jakieś lekarstwa, coś na rozładowanie napięcia?

– Nie pytasz chyba poważnie?

– Wszyscy coś od czasu do czasu bierzemy.

– Podobno spieszysz się na dyżur?

Mark wzruszył ramionami i wyszedł z pokoju.

Przez chwilę Ellen myślała, że wybuchnie płaczem, ale w końcu jakoś się pozbierała.

Beczenie w niczym ci nie pomoże, pomyślała. Spróbuj się lepiej nad tym wszystkim zastanowić.

Powoli obracała się na fotelu, próbując sobie przypomnieć rozmowę z bezimienną kobietą.

W myślach, jak na ekranie kinowym, zobaczyła długie, rozczochrane włosy kobiety. Maler na pewno nie umiałby nałożyć peruki, bo jest na to za głupi. A jeśli nawet, to kobieta i tak wyglądała inaczej. Miała... no właśnie, moment!

Kątem oka Ellen zauważyła coś, o czym poinformował ją wewnętrzny system ostrzegania. Musiało to być coś ważnego. Odwróciła się w tamtą stronę i znowu to zobaczyła.

Przedtem, kiedy prawie pieniała się ze złości – stres, to był stres; wściekłość to też stres! – ten drobny szczegół uszedł jej uwagi. Teraz jednak krzyczał do niej ze zdwojoną siłą.

Powoli, jakby się bała, że jeśli poruszy się szybciej, ów szczegół znowu zniknie jej z oczu, wstała z fotela i podeszła do szafy z aktami pacjentów. Dlaczego szafa nie była wcześniej zamknięta? Przecież tak nakazują przepisy, a ty zawsze ich przestrzegasz.

To pytanie przyszło jej na myśl dopiero teraz, gdy odpowiedź miała już przed oczami. Palec, którym przesuwiała po zadrapaniu na metalowej szarej warstwie lakieru, zostawił smugę potu. Tuż obok miejsca, w którym rygiel zamka blokuje szufladę, zauważyła ryse. Ktoś tam grzebał jakimś długim, wąskim przedmiotem. Robił to tak długo, aż udało mu się otworzyć. Ellen czuła się tak, jakby znowu w pełni kontrolowała swoje uczucia. Zauważyła nożyk do otwierania listów – leżał na szafce z aktami, obok podręcznika profesora Pschyrembela i wykazu lekarzy.

– A więc włamałaś się i zabrałaś akta – mruknęła Ellen, nie zdradzając, kogo ma na myśli.

Może kobietę bez nazwiska? Tylko czy naprawdę tak by się narażała, żeby zabrać bezwartościowy formularz? Ryzyko wpadki było duże, a jej przecież zależało, żeby dyskretnie zniknąć z oddziału. Czy nie jest do tego potrzebna dogłębna wiedza i jasny umysł, nie poddające się takim odczuciom jak strach i szok?

Nie, raczej nie ona, bo ktoś, kto chowa się w toalecie i śpiewa na głos piosenkę o Czarnym Ludzie, nie jest w stanie tego zrobić.

W takim razie kto?

Może Czarny Lud we własnej osobie?

Ellen wzdygnęła się. A jeśli Czarny Lud się dowiedział, gdzie kobieta przebywa? Przecież nie można wykluczyć, że tak się stało. W okolicy nie ma zbyt wielu miejsc, do

których kobietę w jej stanie można przyprowadzić bez zwracania uwagi. Ellen nie musiała się zbytnio wysilać, żeby dojść do wniosku, że na pewno ktoś by ją zauważył.

– Na pewno o nią wszędzie rozpytywałeś, aż w końcu ją znalazłeś – mruknęła. – Pewnie udawałeś zatroskanego członka rodziny, którym prawdopodobnie jesteś. Jednak twoja troska jest innego rodzaju. Nie chciałeś, żeby ktoś cię obciążył.

To by wyjaśniało, dlaczego tej nocy alarm włączał się trzy razy. Za pierwszym razem nie udało mu się otworzyć drzwi, ale ponieważ ma trochę wiedzy technicznej i zręczne palce, w końcu poradził sobie z zamkiem.

Jeśli rzeczywiście tak było, rodzi się pytanie, co zrobił z kobietą. Przecież nie przyszedł tu po to, żeby zaprosić ją do domu na romantyczną kolację przy świecach.

Ciężko ją pobije i raz na zawsze wbije jej do głowy, kto jest panem domu i co spotyka kobiety, które nie chcą się podporządkować jego woli.

Ellen sięgnęła po słuchawkę, ale rozmyśliła się. Kogo ma poinformować? Marka? Wierzy jej w takim samym stopniu jak pielęgniarka z nocnego dyżuru albo konserwator, który jest święcie przekonany, że to tylko uszkodzenie zamka.

Mogłaby oczywiście opowiedzieć o swoich przypuszczeniach Markowi, ale powstrzymywała ją przed tym wrodzona duma. Nie robi tego. Przecież kilka minut temu potraktował ją jak rozhisteryzowaną krowę.

Policja? I co im opowie? Przecież nawet nie wie nic o pacjentce. Zresztą jeśli nawet kolega po fachu i personel kliniki nie wierzą w jej istnienie, to w co uwierzy policja?

Nie, odpowiedź na tak postawione pytanie była tak oczywista jak fakt, że sobie tego wszystkiego nie wmówiła.

Tego, co się stało, musi się dowiedzieć na własną rękę. I nawet wiedziała, gdzie zacznie swoje poszukiwania.

Rozdział 9

Kiedy przeszła przez szklane drzwi, w nozdrza uderzył ją silny odór środków dezynfekcyjnych, dość powszechny w zakładach opieki zdrowotnej. Nigdy nie umiała się do niego przyzwyczaić.

Czuła, jak z powodu smrodu i głodu – bo przez cały dzień nic nie jadła – zaczyna się buntować jej żołądek. Jednak w tym momencie jedzenie nie było aż tak ważne. Ellen szukała prawdy i miała nadzieję, że ją tu znajdzie. To tu, w izbie przyjęć, ktoś przyjął bezimienną kobietę i to stąd odesłał ją do Leśnej Kliniki na Oddział IX. Tak to właśnie zanotował Chris w zaginionym – albo raczej należałoby powiedzieć: wykradzionym – formularzu przyjęć. Jeśli tak było, to właśnie tutaj powinny znajdować się wcześniejsze dokumenty.

Niestety, problem polegał na tym, że Szpital Miejski jest samodzielnym zakładem leczniczym, co oznaczało, że Ellen nie miała prawa zwracać się tam z podobnymi zapytaniami ani przeszukiwać bazy danych pacjentów. Trudno jej też było zwracać się pisemnie albo przez Internet o informacje w sprawie pacjentki bez nazwiska. Nie miała więc innego wyjścia, jak tylko załatwić tę sprawę oficjalną drogą służbową.

Wymagało to oczywiście większego zachodu, ale doszła do wniosku, że nie jest to najgorsze rozwiązanie. Żeby dojść piechotą z oddziału do izby przyjęć, potrzebowała dziesięciu minut. Szła przez park i trochę ruchu dobrze jej zrobiło. Spacer sprawił, że prawie minęła jej złość na Marka i pielęgniarkę z powodu sceptycyzmu, jaki okazali. Przeszła jej także złość na siebie, że nie potrafiła udowodnić swoich racji i wyszła na idiotkę.

Jednak nadal czuła się spięta. Nie ma się co dziwić: zdarzyła się najgorsza rzecz, jaka mogła się jej przytrafić. Kobieta, którą Chris powierzył jej opiece, znikła. A może nawet została uprowadzona?

„Pacjentka twierdzi, że grozi jej niebezpieczeństwo. Wierzę jej” – napisał Chris.

Ellen wzdygnęła się na wspomnienie jego słów. To jedno słowo – niebezpieczeństwo – jawiło jej się w postaci gigantycznego potwora. Na przykład wielkiego czarnego psa...

Ellen obawiała się, że nie będzie jedyną osobą, która zgłosi się w izbie przyjęć z prośbą o pomoc w uzyskaniu informacji. Miała rację. Młoda pielęgniarka siedząca za kontuarem musiała odpierać ataki niewielkiej grupy ludzi, którzy mówili mieszanką niemieckiego i tureckiego. Z tego, co zrozumiała Ellen, chodziło im o to, że chłopiec, który siedział w wózku inwalidzkim obok swojego ojca, zeskoczył skądś w czasie zabawy i złamał nogę w kostce.

To pewnie potrwa, pomyślała zdenerwowana Ellen i rozejrzała się po korytarzu w poszukiwaniu kogoś z personelu. Ujrzała inną pielęgniarkę, która szła szybkim krokiem. Zanim jednak Ellen zdołała się przebić przez turecką rodzinę, pielęgniarka zdążyła przewieźć chłopca przez drzwi, na których widniały dwa napisy: „Gabinet zabiegowy” i „Wstęp wzbroniony!”.

Wyglądało na to, że z wyjątkiem ojca chłopca, który włożył do ust papierosa i wyszedł przez główne wejście na zewnątrz, rodzina nic sobie z tych napisów nie robi. Pielęgniarka siedząca za kontuarem dała znak kobietom, które nadal z nią histerycznie dyskutowały, żeby poszły do poczekalni. „To tamta sala, widzą panie?”. Jej prośba dotarła do kobiet mniej więcej po dwóch minutach. Dopiero wtedy odeszły od kontuaru, a ich miejsce mogła wreszcie zająć Ellen.

– Niestety, nie jestem upoważniona do udostępnienia pani naszej bazy danych – odparła pielęgniarka po wysłuchaniu jej prośby. W odróżnieniu od personelu zatrudnionego w Leśnej Klinice na jej identyfikatorze widniało pełne imię i nazwisko: Lucia Hagemeyer. – Czy do

formularza, na podstawie którego skierowaliśmy do państwa tę kobietę, nie była dołączona karta chorego wypełniona przez lekarza?

Ellen pominęła informację o tym, że dokumentacja zaginęła i że oprócz krótkiej notatki sporządzonej przez Chrisa nic więcej nie ma. Wyjaśniła, że prosi o te dane z powodu awarii systemu komputerowego w klinice.

Awaria systemu to zawsze zręczna wymówka, pomyślała. Jeśli coś się wali, zawsze można zrzucić winę na komputer i każdy to zaakceptuje. Pielęgniarka skinęła ze zrozumieniem głową, co oznaczało, że i dla niej awarie komputerów nie były czymś nieznanym.

– Porozmawiam z lekarką oddziałową, gdy tylko będzie wolna. Proszę w tym czasie zająć miejsce w poczekalni. To tam, widzi pani?

Ellen wiedziała oczywiście, dokąd ma się udać. „Zająć miejsce w poczekalni” mogło w tych okolicznościach oznaczać, że czekanie potrwa nawet kilka godzin. A przecież ona nie ma czasu. Przede wszystkim jednak czasu nie ma bezimienna kobieta, jeśli faktycznie ktoś ją porwał.

Ellen postanowiła więc jeszcze raz podkreślić wagę całej sprawy. Pielęgniarka odpowiedziała: „Zobaczę, co da się zrobić”, postawiła na kontuarze tabliczkę z napisem „Zaraz wracam” i znikła w korytarzu po drugiej stronie recepcji.

Wkrótce potem wróciła w towarzystwie postawnej blondynki. Ellen nie spodobało się coś w uśmiechu tej kobiety, a gdy przeczytała nazwisko na jej identyfikatorze, od razu zrozumiała, skąd wzięło się to uczucie. Przed nią stała doktor Anna März.

– No proszę – powiedziała doktor März, zdejmując niedbałym ruchem lateksowe rękawiczki. – To pani jest doktor Ellen Roth?

Chociaż Ellen ani przez chwilę nie uważała, że jej reakcja na przypadek odwodnionego pana Brennera była przesadzona – bo w tym momencie też była przekonana o swojej racji – od razu zrozumiała, że używając w rozmowie z panią doktor słowa „niekompetentna”, nie tyle się jej naraziła, co kompletnie straciła szansę na porozumienie z nią.

Teraz starała się nie pogarszać napiętej atmosfery. Rzeczowym tonem wyjaśniła istotę sprawy, która sprowadziła ją do izby przyjęć, i poprosiła doktor März o koleżeńską przysługę. Musiała sobie przy tym zadać wiele trudu. Doktor März wyraźnie rozkoszowała się swoją przewagą. Na dodatek, ponieważ była wyższa od Ellen, spoglądała na nią z góry.

Kiedy Ellen przedstawiła swą prośbę, doktor März sprawiała wrażenie, jakby przez kilka sekund intensywnie się nad czymś zastanawiała. Po chwili sformułowała odpowiedź. Niestety, Ellen usłyszała to, czego się obawiała.

– Strasznie mi przykro, pani doktor, ale obawiam się, że nie będę mogła pani pomóc. Chyba że poda mi pani nazwisko pacjentki. Czyżby pani nie znała nazwisk swoich pacjentów?

– W tym konkretnym przypadku nie znam go. Dlatego byłabym pani niezmiernie wdzięczna, gdyby pozwoliła mi pani zajrzeć do waszej bazy danych. Ta kobieta ma około trzydziestu lat, jest mniej więcej mojego wzrostu i ma ciemne włosy. Na twarzy i na całym ciele ma ślady ciężkiego pobicia.

Doktor März znowu zaczęła się nad czymś zastanawiać.

– Czy może mi pani powiedzieć, kiedy ta kobieta do nas trafiła?

– Nie znam godziny, ale to było w piątek.

Ellen wydawało się przez chwilę, że w oczach doktor März ujrzała błysk przypomnienia. A więc udało się!

Niestety, reakcja doktor März nadal była bardzo umiarkowana.

– No cóż, w takim razie będę musiała sprawdzić. Niestety nie teraz, bo mam zbyt dużo pracy. Sprawdzę to dla pani później. Proszę tu poczekać albo wrócić za jakiś czas.

Ellen poczuła, że wściekłość zbiera się w niej jak lawa w wulkanie, który za chwilę wybuchnie.

– Jeszcze raz proszę panią o koleżeńską przysługę. Zdaję sobie sprawę, że ma pani mnóstwo pracy, ale może w takim razie pozwoli mi pani, żebym osobiście przeszukała waszą bazę danych?

Doktor März pokręciła przecząco głową. Na jej twarzy pojawił się wyraz żalu, ale był to żal udawany.

– Przykro mi, ale to niemożliwe. Po pierwsze, zabrania tego ustawa o ochronie danych osobowych, po drugie – uśmiechnęła się złośliwie – nawet gdybym zrobiła dla pani wyjątek, czego oczywiście nie wolno mi zrobić, nie potrafi pani obsługiwać naszego systemu informatycznego.

– Co pani chce przez to powiedzieć? – spytała Ellen, chociaż domyśliła się, co za chwilę usłyszy.

Złośliwy uśmiech na twarzy doktor März zamienił się w zarozumiały.

– Kto wie? Może powodem awarii waszego systemu informatycznego nie jest problem z oprogramowaniem, tylko niekompetentna obsługa?

Ellen czuła, że za chwilę wybuchnie. Ta obrażona baba rewanżuje jej się złośliwością, a ona nie może nic zrobić. Zupełnie nic. Może tylko powtarzać, jak pilna jest jej sprawa i wspomnieć, że pacjentka być może została porwana. Wiedziała jednak, że tym samym dałaby swej rozmówczyni okazję do następnej złośliwości, na przykład na temat „lekceważenia obowiązków służbowych”. Na razie nie mogła udowodnić, że kobietę porwano, a nie miała najmniejszej ochoty, żeby ta głupia siksa dalej ją poniżała.

Dlatego znowu zaczęła podkreślać wagę sprawy. W tym momencie drzwi wejściowe gwałtownie się otworzyły i do środka wpadła kobieta z białą jak kreda twarzą.

Jedną ręką wskazała na samochód stojący przed wejściem do budynku, drugą, w której trzymała plastikową przezroczystą torbę, uniosła do góry. Ellen ujrzała w środku coś, co przypominało trociny albo wióry wymieszane z krwią. Wśród nich leżały trzy obcięte palce.

– Mój mąż – wydusiła z siebie kobieta, która najwyraźniej nie panowała nad sobą. – Piła tarczowa. Wypadek. Jest w aucie.

Ledwo wypowiedziała te słowa, Ellen ujrzała, jak przednie drzwi vana otwiera mężczyzna w kombinezonie roboczym. Wysiadł i wyciągnął rękę, u której brakowało trzech palców. Ellen zauważyła, że krew zdążyła już wyschnąć.

Ten człowiek jest jeszcze w szoku, pomyślała.

– Muszę panią przeprosić – powiedziała doktor März z przesadną grzecznością. – Odezwę się do pani we właściwym czasie.

Odwrociła się i razem z siostrą Lucią skierowała w stronę mężczyzny, aby się nim zająć.

– Czy będzie można je przyszyć? – spytała kobieta, podsuwając Ellen przed oczy torebkę z obciętymi palcami.

Ellen obserwowała przez szklane drzwi, jak doktor März i pielęgniarka biorą mężczyznę między siebie i prowadzą go do wejścia.

W tym momencie zrozumiała, że druga taka szansa już się nie powtórzy. Zrozumiała też, że będzie się to wiązało z dużym ryzykiem. Może się skończyć nie tylko postępowaniem dyscyplinarnym, ale także utratą pracy.

Nadal jednak miała przed oczami obraz pobitej, przerażonej kobiety i nie potrafiła się go pozbyć. Poza tym obiecała coś Chrisowi. Na dodatek przypomniała sobie Margittę Stein, która odebrała sobie życie.

– Będzie je można przyszyć? – spytała ponownie kobieta.

– Być może – odparła Ellen i znowu się rozejrzała. Doktor März była dwa kroki od wejścia. Po chwili znikła za wahadłowymi drzwiami.

– Na początek zrobimy rentgen – usłyszała męski głos. – Potem obejrzyj sobie, jak wygląda kość twojej stopy.

Ellen zajrzała do drugiego gabinetu zabiegowego i zobaczyła lekarza, który stał przed tureckim chłopcem, tyłem do niej. Kiedy upewniła się, że lekarz i doktor März są zajęci swoimi pacjentami, poszła do gabinetu lekarki.

Drzwi były otwarte. Ellen znowu się rozejrzała, weszła do środka i cicho zamknęła za sobą drzwi.

W pokoju, trochę większym od jej gabinetu, unosił się zapach kwiatowych perfum doktor März. Ellen usiadła przy biurku, na którym leżał stos teczek i dokumentów luzem. Na monitorze widniał wygaszacz ekranu z latającymi wzorkami.

Ellen wiedziała, że nie ma zbyt dużo czasu. Albo będzie miała szczęście, bo komputer nie jest zabezpieczony hasłem, albo...

Lepiej stąd znikaj, pomyślała. Spróbuj to załatwić z tym miłym lekarzem, który zajmuje się chłopcem.

Okazało się jednak, że ma o wiele więcej szczęścia, niż się spodziewała. W izbie przyjęć używano tego samego oprogramowania co w Leśnej Klinice.

Ellen weszła w wyszukiwarkę i wpisała piątkową datę. Po chwili na ekranie wyświetliła się lista nazwisk, godziny przyjęć i numery dokumentacji medycznej. Lista była zadziwiająco długa. W piątki chyba naprawdę wiele się tu dzieje, zwłaszcza wieczorami i nocą. Nic dziwnego: ludzie piją w weekendy więcej alkoholu, więc wypadki są jakby zaprogramowane z góry.

Ellen jeszcze raz weszła w wyszukiwarkę i wybrała nazwiska samych kobiet. Mimo to lista nadal miała aż dwadzieścia pozycji. Ellen nie знаła daty urodzenia bezimiennej kobiety, więc musiała wejść w opis każdej z pacjentek wymienionych na liście.

Cholera!

Na korytarzu rozległ się nagle męski głos:

– Ale ja jej potrzebuję!

Ellen zerknęła na zegarek stojący na regale przy ścianie. Ma jeszcze osiemnaście minut. Jeśli do tego czasu nie wróci na oddział, będzie miała nieprzyjemności. Zresztą bez porównania mniejsze od tych, których może się spodziewać, jeśli ktoś ją tu teraz zastanie.

Szybko przejrzała całą listę. Rany cięte, złamanie nadgarstka, zwichnięte ramię... Jest!

Ellen zatrzymała kursor na nazwisku Silvia Janov. Wyglądało na to, że trafiła w dziesiątkę.

„Urodzona 20 stycznia 1974 roku”. Pasuje. „Zawód: gospodyni domowa”.

Lekarz, który ją badał – niejaki B. Drexler – stwierdził „liczne krwiaki na twarzy, na klatce piersiowej i na rękach”. Jego zdaniem „niektóre z nich nie mogły powstać na skutek nieszczęśliwego wypadku”, przez co jasno i wyraźnie dał do zrozumienia, że kobieta była ostatnio często bita. Doktor Drexler nie sprecyzował jednak swoich podejrzeń do końca, tylko opisał okoliczności wypadku następująco: „Kobieta twierdzi, że spadła ze schodów”.

Ellen czytała dalej. Kiedy lekarz badał kobietę, była ona w stanie szoku. Nie stwierdził „złamań ani obrażeń wewnętrznych”. W rubryce „Inne widoczne objawy” napisał: „wysoki poziom alkoholu we krwi, brak dbałości o higienę ciała, grzybica w okolicach łopatek i części intymnych”.

Chociaż w całej swojej karierze Ellen sama przygotowała wiele podobnych rozpoznań, niezwykle rzeczowy opis sporządzony przez doktora Drexlera wywołał w niej obrzydzenie. Przypadek Silvii Janov został ujęty w kilku liniijkach, a ona sama była dla lekarza kolejną brudną, zaniedbaną alkoholizką. Jedną z wielu kobiet z patologicznych rodzin, które są bite przez własnych mężów, bo być może „na nic lepszego nie zasłużyły”.

– Na pewno nie chciałyby pan mieszkać z nią w jednym pokoju, panie doktorze – mruknęła Ellen i wcisnęła „drukuj”.

Była święcie przekonana, że Silvia Janov to poszukiwana przez nią bezimienna kobieta. Tak jej podpowiadał wewnętrzny głos. Mimo to postanowiła przejrzeć dane pozostałych kobiet. Niestety nie zdążyła, bo w chwili, gdy rozwinęła kolejny opis, otworzyły się drzwi i do pokoju weszła doktor März.

Rozdział 10

Pierwszą rzeczą, jaka rzucała się w oczy każdemu, kto wchodził do gabinetu dyrektora Leśnej Kliniki, było stojące na środku olbrzymie dębowe biurko przypominające ołtarz. Kiedy jednak zasiadał za nim profesor doktor Raimund Fleischer, pokój jakby się kurczył. Fleischer był bowiem potężnie zbudowanym mężczyzną. Miał około pięćdziesięciu lat, atletyczną budowę ciała i ostre rysy twarzy. Gęste szpakowate włosy próbował okiełznać za pomocą pomady, co nadawało mu wygląd gwiazdy wielkiego ekranu lat pięćdziesiątych.

Z powodu tej fryzury oraz zbyt wielkiej dbałości o wygląd zewnętrzny niektórzy pracownicy kliniki za jego plecami nazywali go „Pięknisiem”. Jednak żaden z nich nigdy by się nie odważył użyć tego określenia oficjalnie, nawet gdyby oferowano za to worek pieniędzy.

Fleischer był nie tylko dyrektorem do spraw medycznych kliniki, ale także naukowcem i wykładowcą uniwersyteckim. Słynął z tego, że w ciągu dnia nie dysponował ani jedną minutą wolnego czasu. Jednak gdy Ellen włamała się do bazy komputerowej sąsiedniego szpitala, Fleischer natychmiast znalazł czas, żeby ją do siebie wezwać.

Ellen spodziewała się, że ją zbeszta i udzieli surowego upomnienia. Tymczasem wbrew swojemu temperamentowi zachowywał się zadziwiająco spokojnie. Ellen uznała, że nawet zbyt spokojnie. Fleischer poczęstował ją nawet herbatą. Ellen zwróciła uwagę na jego delikatne długie palce, które w ogóle nie pasowały do potężnego ciała.

– Droga pani doktor – zaczął Fleischer. Jego spokojny ton przyprawił ją o gęsią skórkę. – Chyba nie muszę pani wyjaśniać, dlaczego panią tu wezwałem. Nie pytam o powód pani postępowania. Oboje pracujemy w tym zawodzie wystarczająco długo, aby wiedzieć, że zawsze istnieje powód takiego lub innego zachowania, bez względu na to, czy otoczenie uznaje za słuszne, czynie.

– Mimo to wolałabym wyjaśnić, co się stało – zaczęła Ellen, ale Fleischer od razu jej przerwał gestem ręki.

Zwolni mnie, pomyślała Ellen. To dlatego zachowuje się tak spokojnie. Nie chce, żebym się głośno usprawiedliwiała, woli, żebym zachowywała się tak samo spokojnie jak on, nawet wtedy, gdy już mi powie, że mnie zwalnia.

– Pani doktor, Leśna Klinika to renomowany zakład leczniczy o długiej tradycji. Specjalizuje się w leczeniu chorób psychicznych. Tworzy go osiemnaście oddziałów, w których poradę otrzymuje ponad dwanaście tysięcy pacjentów rocznie. Zatrudniamy tu prawie sześćuset pracowników. Każdy z nich jest specjalistą o wysokich kwalifikacjach. Możemy się pochwalić nie tylko naszym parkiem. Nasza klinika zawdzięcza swoją reputację przede wszystkim fachowym i kompetentnym pracownikom. Jesteśmy zgranym zespołem, od sprzątaczek poczynając, a na lekarzu naczelnym kończąc. Od czterech lat, to znaczy od dnia, kiedy zaczęła pani u nas pracować, sprawiała pani zawsze pozytywne wrażenie.

Fleischer prawie teatralnym gestem upił trochę herbaty i odstawił filiżankę na spodeczek.

– Jednak zespół funkcjonuje dobrze tylko wtedy, gdy nikt nie wychodzi przed szereg – kontynuował. – Tymczasem to, co pani zrobiła, można by nazwać... hm... na przykład solowym popisem wykraczającym poza wszelkie reguły.

– Z mojego oddziału znikła pacjentka, a razem z nią dokumentacja jej choroby – wyrzuciła z siebie Ellen. – Chcę tylko...

– Wiem, czego pani chce – przerwał jej Fleischer. – Zapoznałem się z tym przypadkiem. Wiem też o ogromnym wstrząsie psychicznym, jakiego doznała pani wczoraj w związku z nieudaną próbą samobójczą pacjenta.

Ellen poczuła, że jej twarz czerwienieje. Co to ma znaczyć? Czyżby Mark rozmawiał z Fleischerem? Przecież wyraźnie go prosiła, żeby tego nie robił. Czy Fleischer uważa, że ona żyje w zbyt dużym napięciu?

Ugryzła się jednak w język i zachowała swoje komentarze dla siebie. *No dobrze, miejmy to już za sobą, pomyślała. Wywal mnie z roboty. Bo przecież to mi chcesz powiedzieć, prawda?*

– Potrafię sobie wyobrazić, że wydarzenie miało wpływ na pani samopoczucie – kontynuował Fleischer, spoglądając na nią przenikliwym wzrokiem. – Mogę panią zapewnić, że absolutnie to rozumiem. Mimo to nie mogę przejść do porządku dziennego nad pani zachowaniem. Muszę wyciągnąć konsekwencje w stosunku do pani. Z drugiej strony nie chciałbym stracić tak doświadczonej lekarki. Dlatego proszę wziąć tydzień urlopu. Na pewno ma pani jeszcze trochę dni do wykorzystania. Jeśli przyjmie pani moją propozycję, nie udzielię pani upomnienia i nie wpiszę go do akt osobowych. Spróbuję nawet przekonać dyrektora szpitala, żeby nie podejmował wobec pani działań prawnych.

– Aleja chciałam tylko...

– To, co pani chciała, nie ma nic do rzeczy. Czy przyjmuje pani moją propozycję?

Ellen nie pozostało nic innego, jak się zgodzić. Upomnienie z wpisaniem do akt albo zwolnienie dyscyplinarne mogłyby mieć fatalny wpływ na jej dalszą karierę zawodową.

– Bardzo dobrze – stwierdził Fleischer z widocznym zadowoleniem. – Wiedziałem, że się jakoś porozumiemy. Zobacz pani, że ten krótki urlop na pewno dobrze pani zrobi. Potem wróci pani świeża i wypoczęta do swoich normalnych zajęć. Cóż, czasem trzeba ludzi zmusić, żeby pogodzili się ze swoim szczęściem. Pod tym względem jest pani bardzo podobna do pani partnera życiowego, jeśli wolno mi go tak określić. Kolega Chris Lorch udał się na trzytygodniowy urlop też na moje wyraźne życzenie. W tym wypadku chodziło o wykorzystanie reszty wolnych dni.

Fleischer wstał ze skórzanego fotela i spojrzał na Ellen z protekcyjnym uśmiechem.

– Niech pani wypocznie. A sprawę uznajemy za załatwioną.

Ellen też wstała z krzesła, ale nie chciała, żeby Fleischer ją tak szybko odprawił.

– Chciałabym jeszcze o coś spytać – powiedziała.

– A mianowicie?

– Chwali mnie pan za kompetencje, ale wcale mi pan nie wierzy, kiedy twierdzę, że ta kobieta istniała i że znikła z mojego oddziału.

– Oczywiście, że pani wierzę. Muszę jednak dodać, że wydaje mi się dziwne, iż poza panią nikt o niej nic nie wie. Jednak... – Fleischer przerwał na chwilę, wykonując bezradny gest ręką – nawet w najlepszym zespole zdarzają się błędy.

– Błędy? To, co się stało, jest dla pana tylko błędem?

– Ellen, niech pani spojrzy na to z mojej strony, z punktu widzenia dyrektora kliniki. Ciągłe się zdarza, że pacjenci uciekają z zamkniętych oddziałów. Jednak nie jestem pewien, czy w takich sytuacjach moi lekarze powinni bawić się w Sherlocka Holmesa. To sprawa dla policji.

– A czy przypomina pan sobie przypadek pewnego bezdomnego mężczyzny bez dokumentów, który dwa lata temu w czasie pożaru uciekł z naszego oddziału? Chociaż policja od razu podjęła pościg, do dzisiaj nie wiemy, co się z nim stało. Czy pan naprawdę sądzi, że policja zada sobie więcej trudu z powodu pacjentki, o której nic nie wiemy?

W tym momencie Fleischer stracił cierpliwość. Spojrzał na zegarek i zerknął do kalendarza.

– Tego rodzaju przypadki są godne ubolewania, ale musimy się z nimi pogodzić. Przede wszystkim to pani musi się z nimi pogodzić. Proszę wziąć tydzień urlopu. W tym czasie proszę nie przychodzić do kliniki. Wszystkie decyzje w tej sprawie proszę pozostawić mnie. Czy wyraziłem się jasno?

– O tak, aż nadto.

– No to wszystko jasne – stwierdził Fleischer. Wyszedł zza biurka i podszedł do drzwi. – A teraz proszę mi wybaczyć. Mam zaraz spotkanie.

Kiedy Ellen wyszła z budynku administracji, uświadomiła sobie dwie rzeczy: że natychmiast powinna zacząć szukać nowej pracy i że musi złożyć wizytę Silvii Janov.

Coś jej się w tym wszystkim nie zgadza. Musi się więc dowiedzieć co. Tym razem do samego końca!

Rozdział 11

Żaden z mieszkańców ulicy Kanta nie wiedział oczywiście, kim był ten, którego upamiętniono w jej nazwie. Dzielnica, w której mieszkali, została uznana za „teren zagrożony problemami społecznymi”.

Przy ulicy wznosiły się brudnoszare domy wielorodzinne i niewielkie zaniedbane budynki z początku lat pięćdziesiątych. Kiedyś mieszkali w nich robotnicy z rodzinami zatrudnieni w dużej firmie produkującej sprzęt elektryczny. Trwało to do dnia, w którym zakład został zamknięty.

Od tej pory dzielnica zaczęła stopniowo zamieniać się w miejsce zesłania dla bezrobotnych i osób żyjących z zasiłków. Na białych niegdyś fasadach, gdzie kiedyś stały skrzynki z kwitnącymi geraniami, pojawiło się graffiti o treści: „Precz z nazistami”, „Fuck!” i „No future”.

Budynek numer 27b, w którym mieszkała Silvia Janov, też był w fatalnym stanie. Już z daleka dało się zobaczyć, że dach przecieka, a szarobrązowy tynk odpadł w wielu miejscach od ściany. Anteny satelitarne i skrzynki pocztowe pomalowane na jaskrawoczerwony kolor wyglądały na tym tle, jakby pochodziły z innej planety. Wydawało się, że mieszkańcy budynku numer 27b przykładają większą wagę do oferty programów telewizyjnych niż do zabezpieczenia dachu czy dbania o ogródek przed domem.

Ellen zaparkowała samochód przed nieopróżnionym kontenerem na śmieci, w którym wychudzony kot szukał czegoś do jedzenia. Po drugiej stronie ulicy stali czterej młodzi mężczyźni w zbyt luźnych dresach. Sprawdzali na ścianie domu, który z nich nasika wyżej. Kiedy zauważyli Ellen, najwyższy z nich odwrócił się w jej stronę i bezceremonialnie zademonstrował jej swój męski narząd, zyskując aplauz kolegów.

Ellen udała, że ich nie widzi, i zaczerpnęła głęboko powietrza. Ścigana wybuchami szyderczego śmiechu otworzyła skrzypiące drzwi ogródka, przeszła przez niego i stanęła przed wejściem do mieszkania.

Ledwo to zrobiła, ze środka wyszedł silnie zbudowany mężczyzna w wieku czterdziestu kilku lat. Jego wygląd świadczył o tym, że już dość dawno wymienił swoją maszynkę do golenia na butelkę Jagermeistra. Z wyblakłych batikowych spodni wylewał mu się potężny brzuch. Mężczyzna miał na sobie T-shirt z napisem „Piwny Król”. Widać było, że jest na niego za ciasny. Jego pokryta siecią cienkich naczyń krwionośnych twarz świadczyła o tym, że w pełni na swój tytuł zasłużył. W kąciu jego ust tkwił skręt.

– O co chodzi? – spytał.

Ellen poczuła, jak sztywnieją jej mięśnie. Jeśli jej podejrzenia się potwierdzą i okaże się, że to Silvia Janov jest bezimienną kobietą, będzie to też znaczyć, że stoi przed nią Czarny Lud.

– Dzień dobry – zaczęła, starając się mówić spokojnym tonem, aby mężczyzna nie zauważył jej zdenerwowania. – Nazywam się Ellen Roth. Szukam pani Silvii Janov.

– Po co?

– Wolalabym porozmawiać z nią osobiście.

– Nie ma jej tutaj.

W półmroku, jaki panował we wnętrzu mieszkania, coś się poruszyło. Ellen usłyszała kobiecy głos:

– Eddi, co się dzieje?

Głos był zbyt cichy, żeby Ellen mogła go rozpoznać. Może należał do kobiety z pokoju numer siedem, a może nie.

– Zamknij się! Jakaś paniusia chce z tobą gadać.

Mężczyzna odwrócił się do Ellen i spytał:

– Czego pani tu chce?

– Jestem lekarką i chciałabym o coś spytać pana żonę.

Znowu rozległ się głos kobiety:

– Czego ona tu chce?

Niestety, głos znowu był zbyt cichy.

– Nikt tu nie jest chory. A teraz spadaj albo wezwę gliny!

Było oczywiste, że Eddi raczej się umyje, niż zadzwoni na policję. Z drugiej strony Ellen wiedziała, że mężczyzna nie pozwoli jej rozmawiać z żoną i że nie powinna wdawać się z nim w kłótnie.

– No dobrze, w takim razie pójdę sobie – odparła z udaną obojętnością. – Ale to oznacza, że rezygnujecie państwo z pieniędzy.

Oczy mężczyzny rozbłyły. Wypluł papierosa i spytał:

– Z jakich pieniędzy?

– Z dwudziestu euro, które bym wam dała, gdyby pozwolił mi pan porozmawiać przez chwilę z żoną.

– Jaja sobie ze mnie robisz?

– Nigdy bym sobie na to nie pozwoliła.

– Daj pięćdziesiątka i sprawa załatwiona.

– Powiedziałam dwadzieścia.

– A ja mówię pięćdziesiąt. Jak będzie?

– Zgoda, niech będzie pięćdziesiąt.

– Gotówką do ręki.

Mężczyzna wyciągnął do niej rękę. Ellen cofnęła się o krok.

Przyszło jej do głowy, że to może ta sama ręka, którą mężczyzna pobił jej pacjentkę, potężna dłoń z połamanymi paznokciami i krótkimi, grubymi palcami, które wyglądały tak, jakby z łatwością mogły zmiażdżyć delikatne ramię kobiety.

Ellen musiała się opanować, aby ukryć drżenie. Wyjęła z portmonetki banknot o wartości pięćdziesięciu euro i podała go mężczyźnie w taki sposób, żeby jej nie dotknął. Janov sięgnął gwałtownie po pieniądze.

Uważnie obejrzał banknot pod światło i obrzucił Ellen nieufnym spojrzeniem.

– Gadka z tą starą jedzą naprawdę jest dla ciebie warta pięćdziesiątka? – spytał mężczyzna.

– Być może pomoże mi w prywatnej sprawie.

– No proszę.

– Dostał pan pieniądze, więc proszę dotrzymać naszej umowy.

– A nie jesteś czasem z jakiegoś urzędu?

Ellen zapewniła go, że nie pracuje dla władz. Po jej słowach mężczyzna kiwnął ręką w stronę korytarza. Ellen miała nadzieję, że Silvia Janov do niej wyjdzie. Tak się jednak nie stało.

Ellen musiała sobie zadać wiele trudu, żeby się zmusić do wejścia do środka. Korytarz był nieoświetlony. W jednym z pokoi huczał telewizor. Ellen domyśliła się, że leci transmisja meczu piłkarskiego. W mieszkaniu unosił się smród spoconych nóg, stęchłego piwa i dymu tytoniowego. Na połałdowanej wykładzinie leżały stare gazety i odpadki jedzenia. Obok drzwi prowadzących do nieposprzątej kuchni klęczała kobieta i kurczowo trzymała kosz pełen śmieci. Na widok Ellen zaczęła szybko sprzątać podłogę.

– Tylko się z tym za długo nie guzdraj – warknęła mężczyzna. – Za pięć minut to gównno ma być wysprzątane. Jasne?

Podrapał się w tyłek i poszedł do pokoju, z którego dobiegał głos komentatora sportowego. Dopiero gdy skrzypnęły sprężyny i kobieta uznała, że jej mąż usiadł na kanapie, uniosła głowę. Ellen zagryzła wargi, żeby nie krzyknąć z przerażenia.

Kobieta wyglądała bardzo źle. Wieloletnie nadużywanie alkoholu sprawiło, że miała zaczerwienioną twarz, a na jej nosie utworzyła się gęsta siateczka naczyń krwionośnych. Nad prawą brwią Ellen dostrzegła białą bliznę i kolejną na policzku. Nos kobiety musiał być złamany przynajmniej kilka razy. Ellen zauważyła też wielokolorowe wybroczyny, które ciągnęły się przez policzek i szyję aż do kościstego ramienia. Musiały powstać nie później niż przed kilkoma dniami. Wszystko to razem tworzyło obraz smutnej przeszłości i teraźniejszości pozbawionej wszelkiej nadziei.

Mimo że kobieta miała tak bardzo oszpeconą twarz, Ellen od razu poznała, że Silvia Janov nie jest bezimienną pacjentką, z którą kilka dni wcześniej rozmawiała na oddziale w klinice.

– Czego pani ode mnie chce? Nie wzywałam lekarza.

Kobieta mówiła szeptem. Jej wzrok co chwilę wędrował w stronę drzwi, przez które wyszedł jej mąż.

– Szukam pewnej pacjentki – wyjaśniła Ellen.

– Mnie?

– Nie, musiałam chyba pomylić adresy. Ale skoro tu już jestem, mogłabym zająć się pani skaleczeniami...

– Lepiej niech pani stąd idzie – szepnęła pani Janov. – Nie potrzebuję pomocy. Ani glin, jasne?

Ellen skinęła głową. Zanim jednak wyszła, podniosła z podłogi jeden z leżących na niej papierów. Był to kawałek rachunku telefonicznego. Na odwrotnej stronie Ellen zapisała numer telefonu punktu opieki społecznej działającego przy Leśnej Klinice i podała kartkę kobiecie. Ta zawahała się przez chwilę i nagle chwyciła skrawek papieru, jakby się bała, że Ellen go jej odbierze.

– Może pani do mnie przyjść o każdej porze – powiedziała Ellen.

Silvia Janov nie odpowiedziała, ale w jej wzroku można było wyczytać, że nigdy nie skorzysta z propozycji Ellen.

Rozdział 12

– Proszę, niechże pani wejdzie.

Inspektor policji Kröger otworzył drzwi obok dyżurki. Miał wielki, „urzędniczy” brzuch i wyglądał tak, jakby zamierzał urodzić bliźniaki i w ten sposób zmienić bieg historii medycyny światowej. Cechował go też wybitnie zły gust, jeśli chodzi o wybór płynu po goleniu.

Kröger wprowadził Ellen do swojego gabinetu, który był reliktem wczesnych lat osiemdziesiątych. Jego umeblowanie składało się z resztek wyposażenia zebranego z całego posterunku policji. Gdyby nie klawiatury komputerowe i płaskie monitory, ktoś, kto odwiedzał to miejsce, mógłby dojść do wniosku, że cofnął się w czasie o dwadzieścia lat.

Jak widać, nie tylko klinikom brakuje kasy, pomyślała Ellen, siadając na podsuniętym jej krześle.

Kröger uśmiechał się szeroko nie tylko do niej, ale także do swojego kolegi w policyjnym mundurze, który siedział przy drugim biurku i za jej plecami dawał Krögerowi wymowne znaki, jakby chciał powiedzieć: „Niezła laska!”. Nie zauważył, że wszystko, co robi, odbija się w szybie naprzeciwko.

Ellen starała się zignorować jego zachowanie i zaczęła zaznajamiać Krögera z celem swojej wizyty. Niewiele sobie po niej obiecywała, a co gorsza obawiała się, że nikt jej nie uwierzy. Niestety, nie miała innego wyjścia, zwłaszcza teraz, gdy już wiedziała, że bezimienną kobietą nie jest Silvia Janov.

Kröger otworzył notes i uważnie słuchał jej opowieści.

– Podsumujmy to wszystko – powiedział poważnym tonem, kiedy Ellen skończyła. – Jest pani psychologiem i jedna z pani pacjentek się ulot... chciałem powiedzieć, gdzie znikła. Mówimy o kobiecie, którą pobił jej partner życiowy lub inny mężczyzna.

– Mniej więcej o to chodzi. Jestem lekarzem psychiatrą i nie wykluczam, że tę kobietę mógł porwać jej mężczyzna.

– Aha – mruknął Kröger, notując jej słowa. – A kim jest ta kobieta? Jak się nazywa? Czy wie pani, gdzie mieszka?

– Problem polega na tym, że nie wiem. Właściwie to nic o niej nie wiem.

– To niedobrze – stwierdził policjant, rysując obok notatek znak zapytania. – Chcę powiedzieć, że nie ułatwi nam to poszukiwań. Co tej kobiecie właściwie dolega?

Ellen zdawało się przez chwilę, że się przesłyszała.

– Czy pan mnie nie słuchał? Powiedziałam przecież, że została ciężko pobita i jest w stanie szoku.

– Ależ wszystko zrozumiałem – odparł Kröger, przyglądając jej się sceptycznie. – Proszę mi jednak wyjaśnić, jak ta kobieta mogła uciec z zamkniętego oddziału? Wprawdzie nie jestem specjalistą, ale czy to możliwe, żeby ktoś, kto jest w szoku i działa bez zastanowienia, zdołał jakoś stamtąd uciec?

– Oczywiście, że nie. Ta kobieta była zbyt przerażona, aby zaplanować ucieczkę. A nawet jeśli tak było, nie wpadłaby na pomysł, żeby wykraść swoją dokumentację z szafy. Dlatego jestem absolutnie przekonana, że ją ktoś porwał.

Kröger oparł się na krześle, a na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. Krzesło głośno zaskrzypiało.

– Czy łatwo jest wejść na taki oddział? Nie ma tam ochrony, nie stosuje się innych środków bezpieczeństwa?

– Nie pracujemy w więzieniu. Większość naszych pacjentów cierpi na schizofrenię, wielu z nich na jej odmianę paranoidalną. Ci ludzie sądzą, że ktoś ich śledzi, obserwuje albo nimi

steruje. Gdybyśmy tam zawiesili kamery do monitoringu, skończyłoby się pewnie na tym, że musiałabym za nimi ciągle chodzić i wyjaśniać, że nikt ich nie prześladowuje.

– Hm, teraz rozumiem.

– Oczywiście, że są pewne zabezpieczenia. Nie tak łatwo jest wejść na oddział, nie wspominając o tym, że trudno go opuścić. Trzeba mieć klucz, a kod dostępu jest zmieniany co cztery tygodnie.

– To znaczy, że porywacz musiałby posiadać właściwy klucz, jak również aktualny kod do drzwi? Dopiero wtedy mógłby dostać się na oddział?

– Tak, bo inaczej musiałby po prostu zadzwonić, żeby ktoś z personelu wpuścił go do środka. Jednak pielęgniarka z nocnej zmiany nikogo nie zauważyła.

– No właśnie, ta pielęgniarka z nocnej zmiany – zaczął Kröger, pochylając się znowu nad blatem biurka. – Czy można jej ufać? – spytał ściszym głosem. – Ciągłe się słyszy jakieś takie historie. Wie pani, co mam na myśli... miły lekarz, samotna pielęgniarka...

– Rozmawiamy o oddziale psychiatrycznym dla ciężkich przypadków, a nie o kolejnym odcinku telenoweli – przerwała mu Ellen.

Wydawało jej się, że usłyszała za sobą stłumione parsknięcie. Kröger spojrzął w tamtym kierunku surowym wzrokiem i poczerwieniał na twarzy.

– Oczywiście. Dręczy mnie jednak pewna sprawa związana z tą historią. Z tego, co pani powiedziała, wynika, że to niemożliwe, aby ta kobieta uciekła. Jest też wykluczone, żeby ktoś ją porwał. Stwierdziła pani, że tamtej nocy alarm trzykrotnie sam się włączył i że było to spowodowane usterkami technicznymi, ale nie miało żadnego wpływu na działanie mechanizmu blokującego zamek w drzwiach. Czy mam rację?

– Tak powiedział konserwator zatrudniony przez szpital.

Kröger wzruszył ramionami.

– Przypomina mi to sztuczkę Chesterfielda.

– Copperfielda – sprostowała Ellen.

– Słucham?

– Czy pan mi pomoże?

– Proszę mi po prostu podać nazwisko i adres tej kobiety. Wybierzemy się do niej. Chyba nie złamię pani w ten sposób tajemnicy lekarskiej?

Ellen westchnęła.

– Przecież już panu mówiłam. Problem polega na tym, że nie znam ani nazwiska, ani adresu tej kobiety.

– Może jej nazwisko wymienił któryś z pani współpracowników na oddziale?

– Nawet jeśli ktoś to zrobił, to była u nas zbyt krótko, żeby jej dane trafiły do naszej bazy danych.

– To może powinna pani po prostu spytać o nią swoich kolegów? Czasem to znacznie lepszy sposób niż grzebanie w tych skrzynkach – powiedział Kröger, wskazując na ekran monitora.

Ellen czuła, że w miarę upływu czasu temperatura w pokoju gwałtownie rośnie, i to z sekundy na sekundę. Dlatego dość długo zwlekała z odpowiedzią.

– Odnoszę wrażenie, że nie powiedziała mi pani wszystkiego – Kröger wygłosił te słowa takim tonem, że łatwo było się domyślić, iż często i chętnie posługuje się tym sformułowaniem. Przypominało to trochę sposób, w jaki wypowiadają się policjanci w serialach telewizyjnych, gdy starają się zmusić przestępcę do przyznania się do winy.

– No dobrze – przyznała Ellen. – Mam jeszcze jeden problem.

– Słucham panią.

– Oprócz mnie nikt inny nie widział tej kobiety na oddziale.

Inspektor Kröger z wyraźnym zdziwieniem uniósł brwi.

– Nikt oprócz pani? – spytał.

Zabrzmiało to mniej więcej tak, jakby chciał powiedzieć: Czy to choroba zawodowa? Czy schizofrenią można się zarazić?

– Właściwie to jeszcze ktoś. Lekarz, który ją przyjmował. Niestety, przebywa teraz w Australii i jest nieosiągalny.

– W Australii? No proszę.

– Czyżby mi pan nie wierzył?

Kröger obrzucił Ellen wymownym spojrzeniem.

– Wie pani, to wszystko razem wzięte rzeczywiście brzmi dość dziwnie. Ale jeśli nawet coś takiego się zdarzyło – a widzę, że jest pani o tym przekonana – to i tak nie bardzo wiem, jak moglibyśmy pomóc.

– Może pan przecież sprawdzić bazę osób zaginionych. Może ktoś tę kobietę zauważył, zanim trafiła do kliniki? A co z raportami w sprawie przypadków wykorzystania seksualnego i gwałtów? Może byli jacyś świadkowie?

– A od czego mam zacząć? – spytał Kröger. Tym razem nie mówił już jak komisarz z telewizyjnego serialu, lecz jak rozdrażniony policjant. – Czy pani się orientuje, ile zgłoszeń o zaginięciu dostajemy każdego roku? Czy licząc na łut szczęścia, mam teraz przejrzeć wszystkie takie zgłoszenia i odłożyć na bok inne sprawy? Już i tak nie wiemy, w co ręce włożyć.

– Ale przecież powinien pan coś przedsięwziąć. Ta kobieta jest w niebezpieczeństwie!

– Nie wiedząc, jak się nazywa? Mam szukać igły w stogu siana? Przecież pani nie jest nawet w stanie stwierdzić, czy doszło do przestępstwa. Nie zamierzam pani zasypywać danymi statystycznymi, ale jeśli chodzi na przykład o gwałty, to tylko w ostatnim roku doszło do ponad dziewięciu tysięcy takich zdarzeń. I to są tylko te zgłoszone. Łatwo sobie wyobrazić, że rzeczywista liczba jest wielokrotnie wyższa. Jest jednak coś o wiele ważniejszego: nawet jeśli ta kobieta rzeczywiście została zgwałcona, nie możemy rozpocząć wobec sprawcy żadnych działań, dopóki pani pacjentka nie złoży formalnego zeznania go obciążającego. Bardzo mi przykro, pani doktor, ale takie jest prawo.

Ellen zerwała się z wściekłością z krzesła.

– Jeśli o mnie chodzi, to może pan sobie wsadzić to prawo, gdzie się panu podoba! Ta kobieta jest całkowicie niepoczytalna. Przeszła przez piekło, więc zarówno moim, jak i pana obowiązkiem jest jej pomóc i nie dopuścić, żeby ktoś ją ponownie skrzywdził!

Inspektor Kröger też wstał z krzesła. Napięcie, które wytworzyło się między nim a Ellen, wystarczyłoby do napędzania elektrowni wodnej.

– Słusznie – powiedział spokojnym tonem, chociaż widać było, że ledwo nad sobą panuje.

– To także pani obowiązek. Tym razem podejść ze zrozumieniem do tych obraźliwych słów, bo rozumiem pani gniew. To okropne uczucie, gdy ktoś ma związane ręce. Mimo to nie mogę pani pomóc. Przynajmniej w tej chwili.

Kröger podał jej swoją wizytówkę.

– Proszę się dowiedzieć, kim jest ta kobieta, i dopiero wtedy proszę do mnie zadzwonić. Jeśli poda nam pani nazwisko faceta, który jej to zrobił, osobiście zadbam o to, żebyśmy się nim zajęli. W tym momencie nie mogę nic więcej zrobić.

Rozdział 13

„I dopiero wtedy proszę do mnie zadzwonić”.

Ellen siedziała w swoim samochodzie, trzymając w dłoni wizytówkę Krögera.

Czy ona też nie zareagowała podobnie na widok Silvii Janov? Czasem łatwo jest wycofać się z jakiejś sprawy, wystarczy dać komuś numer telefonu. Do pewnego stopnia oznaczało to, że się przerzuca piłkę na drugą stronę. I to bez względu na to, czy chodzi o wizytówkę z numerem telefonu, czy o notatkę na skrawku papieru. Za każdym razem przekaz jest ten sam: „Nie jestem gotów wplątywać się dla ciebie w tę sprawę. Postaraj się ją sam załatwić. Jednak żeby mieć czyste sumienie, daję ci mój numer telefonu”.

Ellen jechała, obserwując przesuwaną się obok falę samochodów, tak typową dla popołudniowego ruchu ulicznego. Ludzie jadą do domu albo do innych ludzi, którzy są dla nich ważni. A dla kogo ważna jest Silvia Janov i kobieta bez nazwiska? Czy w ogóle jest ktoś, kogo interesuje ich los?

Nie dalej niż rok albo dwa lata wcześniej Ellen czytała o pewnym mężczyźnie, który najednej z zatłoczonych ulic Nowego Jorku dostał zawału serca. Miał około czterdziestu lat i według autora artykułu należał do tzw. niższej klasy społecznej. Czytając tekst, Ellen doszła do wniosku, że to bardzo sympatyczne określenie jak na kogoś, kto w języku codziennym nazywany jest menelem.

Mężczyzna upadł przed zatłoczonym domem towarowym w okresie świąt Bożego Narodzenia. Mijali go niezliczeni ludzie, którzy kupowali prezenty. Tymczasem on leżał na asfalcie i umierał.

Autor artykułu nie napisał, czy mężczyzna by przeżył, gdyby w odpowiednim czasie ktoś się nim zajął. Nie wspomniał też, jak długo ów mężczyzna umierał.

W całej historii szokujące było to, że przechodnie dopiero po czterech dniach poskarżyli się na szczyry, które zaczęły dobierać się do zwłok mężczyzny. Zabrzmiało to jak złośliwy żart, ale na samym końcu artykułu autor wymienił pewną kwotę pieniędzy – siedem dolarów i dziewiętnaście centów. Właśnie tyle pieniędzy znaleziono przy zmarłym. Były to drobne monety, które rzucali mu przechodnie. Siedem dolarów i dziewiętnaście centów. Robili to, aby ulżyć własnemu sumieniu.

Patrząc na wizytówkę Krögera, Ellen przypomniała sobie, że o tym artykule opowiadał jej Chris. Powiedział wtedy, że tak właśnie jest w liczących miliony mieszkańców miastach, zwłaszcza w USA. Przyznała mu rację. U nas jest naturalnie inaczej, pomyślała wtedy. Tutaj troszczymy się o innych ludzi.

Niestety, wizytówka Krögera i skrawek papieru, który wcisnęła Silvii Janov, uświadomiły jej, że jest inaczej.

„No i co teraz”, zdawała się mówić wizytówka w jej ręce. „Czy ty też zamierzasz się dołożyć do tamtych siedmiu dolarów i dziewiętnastu centów?”

Oczywiście, że nie!

Ellen rzuciła kartonik na siedzenie pasażera i włączyła silnik. Najpierw musi pojechać do domu. Potrzebuje teraz trzech rzeczy: po pierwsze spokoju, żeby się nad wszystkim zastanowić; po drugie, tabletki od bólu głowy – a może nawet dwóch – bo czuła nadciągającą migrenę, która skradała się jak groźny drapieżnik; po trzecie planu, który pomoże jej znaleźć kobietę bez nazwiska.

Czekając przy budynku policji, żeby włączyć się do ruchu, zauważyła po drugiej stronie ulicy stary mikrobus marki Volkswagen zaparkowany na przystanku dla autobusów. Jego widok dziwnie ją zaniepokoił.

Z początku nie umiała sobie tego wytłumaczyć. Przecież to tylko zwykły pomarańczowy samochód, dość stary i zardzewiały. Może nawet nie przeszedł ostatnich badań technicznych. Na pierwszy rzut oka nie było w nim niczego, co by mogło usprawiedliwić jej podejrzenia.

Jednak inna część jej świadomości – ta sama, która zawsze nakazuje zachować czujność – kazała jej przyrzeć się pojazdowi dokładniej.

Najpierw zauważyła, że mikrobus stoi na przystanku autobusowym, gdzie obowiązuje całkowity zakaz parkowania. Na dodatek naprzeciwko komendy policji. Gdyby zjawił się tam jakiś policjant, kierowca dostałby wysoki mandat do zapłacenia. Pojazd sprawiał wrażenie, jakby jego właściciela ledwo było stać na zakup paliwa. Poza tym mikrobus stał tyłem do kierunku jazdy. Ellen zastanawiała się, jak kierowca zdołał zaparkować w taki sposób na tak zatłoczonej ulicy.

Było jeszcze coś – jakby instynkt lub przeczucie, którego nie potrafiła wyjaśnić i które wywoływało w niej niepokój. Być może zabrzmi to głupio, ale wydawało jej się, że ten mikrobus jakby ją... no dobrze, powiedzmy to wprost... jakby na nią w pewien sposób czyhał.

Przecież to oczywiste, sztychł z niej wewnętrzny głos. W dzisiejszych czasach takie rzęchy czają się na każdym rogu. A gdy ktoś przejeżdża obok nich zbyt blisko, rzucają się na człowieka. Oj, dziewczyno, nadszedł chyba czas, żeby wziąć długi prysznic i trochę sobie przewietrzyć głowę, zanim zaczniesz się wydawać, że...

Że co?

Że ten volkswagen rzeczywiście dybie na twoje życie, odpowiedział głos.

Co za bzdura!

Ellen wdepnęła pedał gazu i wcisnęła się między dwa samochody, włączając się w ruch uliczny. Kierowca mercedesa, przed którego wjechała, musiał gwałtownie zahamować, żeby na nią nie wpaść. Ellen ujrzała we wstecznym lusterku, że kierowca grozi jej pięścią i wystawia do góry środkowy palec. Z początku myślała, że to ten sam, który na nią zatrąbił. Dopiero po chwili zauważyła, że to ktoś inny.

Prawie w tym samym czasie co ona ruszył mikrobus. Przeciął oba pasy ruchu, zmuszając jadącego z przeciwnej strony mini Coopera do wykonania gwałtownego manewru – o włos uniknął czołowego zderzenia z ciężarówką. Na szczęście kierowca mini Coopera zdążył w ułamku sekundy zareagować, wrócił na swój pas i po chwili zniknął w ulicznym ruchu.

Mikrobus jechał uparcie za mercedesem, co oznaczało, że ciągle jest tuż za nią. Uznałaby to za sytuację typową dla wieczornego ruchu ulicznego, gdy ludzie, którzy po ciężkim dniu chcą jak najszybciej wrócić do domu, tracą cierpliwość i zaczynają wykonywać ryzykowne i niebezpieczne manewry, gdyby nie to, że kiedy skręciła w kolejną boczną ulicę, mikrobus dalej za nią jechał – w tym momencie była już pewna, że ktoś ją śledzi. Zaciśnęła dłoń na kierownicy z taką siłą, że aż knykcie jej pobieleły. Patrzyła we wsteczne lusterko i gorączkowo się zastanawiała, jak się pozbyć swego prześladowcy.

Po pewnym czasie straciła orientację i nie wiedziała, gdzie jest. Nigdy wcześniej nie była w tej dzielnicy. Mijała eleganckie domki jednorodzinne, które niewiele się od siebie różniły. Wypielęgnowane ogródki rozdzielały drewniane płotki. Za nimi stały psie budy, stojaki na bieliznę, dziecięce huśtawki. Była to typowa, spokojna dzielnica dla młodych rodzin, gdzie obowiązywało ograniczenie prędkości do trzydziestu kilometrów na godzinę.

Tymczasem Ellen pędziła co najmniej siedemdziesiątką, a pomarańczowy mikrobus nadal za nią jechał. Modliła się, żeby nikt nie wyskoczył jej nagle przed maskę. Mikrobus był coraz bliżej, w pewnej chwili prawie uderzył w jej samochód. Ellen w ostatniej chwili skręciła w boczną ulicę. Ku swemu przerażeniu stwierdziła, że droga jest węższa niż poprzednia. Zawadziła tylnym zderzakiem o latarnię, co ją uchroniło przed zderzeniem z płotem.

Wcisnęła gaz i zauważyła we wstecznym lusterku, że volkswagen nie zdążył skręcić na skrzyżowaniu w tę samą ulicę co ona i pojechał dalej. Jednak zaraz cofnął i ruszył za nią. Na szczęście odległość, jaka ich dzieliła, zwiększyła się.

Niestety, Ellen nie mogła jeszcze odetchnąć z ulgą, bo gdy spojrzała przed siebie, ze strachu serce jej stanęło.

Tuż przed skrzyżowaniem, w miejscu, gdzie boczna ulica łączyła się z poprzeczną, stał samochód dostawczy z otwartymi tylnymi drzwiami. Dwaj mężczyźni wynosili z niego podwójny materac na łóżko. Trzymali go, a jednocześnie spoglądali jak zahipnotyzowani w stronę nadjeżdżającej Ellen. W tym momencie pozostały jej tylko dwa wyjścia: albo wcisnąć hamulec, albo...

Silnik jej sportowego wozu głośno zaprotestował, gdy minęła obu mężczyzn na pełnym gazie. Kątem oka zauważyła, że odskakują jak na jakimś niemym filmie. Chwilę potem skręciła z piskiem opon za róg. Dopiero kiedy dotarła do głównej ulicy, odważyła się spojrzeć we wsteczne lusterko. Mikrobusu nie było widać.

Szybko wróciła na główną drogę i włączyła się w popołudniowy ruch. Drżała na całym ciele i wycierała pot z twarzy. Najchętniej zatrzymałaby się gdzieś, żeby poczekać, aż się trochę uspokoi. Jednak w tym momencie nie miała do siebie aż tyle zaufania. Postanowiła jak najszybciej dotrzeć do Leśnej Kliniki.

W chwili gdy wjeżdżała w bramę, zadzwonił telefon komórkowy.

– Halo? To ty, Chris?

Niestety, to nie był Chris.

– Z całym szacunkiem, ale jeszcze nie skończyliśmy!

Ton, w jakim zostały wypowiedziane te słowa, zmroził jej krew w żyłach. Głos był trochę zniekształcony, jakby nie rozmawiała z człowiekiem, tylko z jakąś maszyną. Mimo to była pewna, że jej rozmówcą jest mężczyzna.

Zaparkowała obok rampy rozładunkowej przy magazynie. Serce biło jej jak oszalałe.

– Do cholery, czego pan ode mnie chce? – krzyknęła do słuchawki. – I skąd pan ma numer mojego telefonu?

– Odpowiem na pani pytania po kolei – odparł mężczyzna. Jego słowom towarzyszył niewyraźny chichot. – Mieliśmy niezły ubaw, co?

– Zapisałam numer rejestracyjny pana samochodu – kłamała Ellen. – I złożę doniesienie na policji.

– Naprawdę? – spytał mężczyzna takim tonem, jakby słowa Ellen zrobiły na nim pewne wrażenie. – Czy to znaczy, że nie chcesz już wiedzieć, co się stało z twoją pacjentką?

Ellen wzdrygnęła się.

– Kim pan jest? – spytała.

– „Kto się boi Czarnego Luda” – zaśpiewał metalicznym głosem jej rozmówca. – Już zapomniałaś?

– Co pan... co pan z nią zrobił?

I znowu niewyraźne westchnienie.

– Nie tak łatwo to wyjaśnić. Powinniśmy o tym ze sobą porozmawiać. Nie sądzisz?

Ellen odsunęła od siebie telefon, jakby to było małe niebezpieczne zwierzę i popatrzyła na wyświetlacz.

„Numer zastrzeżony”, przeczytała na ekranie. Doszła do wniosku, że albo jej rozmówca jest niezrównoważony, albo uwięził jej pacjentkę. A może ją nawet...

Zabił? To chciałaś powiedzieć?

– Haaaalooooo – zapiszczał głos w telefonie.

Ellen przyłożyła aparat do ucha drżącą ręką.

– Mowę ci odjęło? Masz taką sceptyczną minę.

Ellen drgnęła. A więc on mnie obserwuje, pomyślała. Przeżona rozejrzała się na wszystkie strony, ale nikogo nie zauważyła. O tej porze ruch na terenie kliniki nie był zbyt duży.

– Tylko spokój może nas uratować. Obserwuję cię już od pewnego czasu. Nie da się ukryć, że przyciągasz wzrok.

I znowu ten metaliczny śmiech.

– No więc? Jak będzie? Spotkasz się ze mną czy nie?

Ellen poczuła w ustach kwaśny smak. Była tak zdenerwowana, że zrobiło jej się niedobrze. Co tu robić, co tu zrobić? Przecież nie mogę...

– Hej tam, no co jest? – dopytywał się mężczyzna. – Straciłaś nagle głos?

Ellen przełknęła ślinę i poczuła, jak po twarzy spływa jej kolejna strużka potu.

– A jeśli odmówię? – spytała.

– Wtedy zniknę. Ale przedtem zadam komuś ból. Wiesz, o kim mówię – powiedział głos. W rozmowie nastąpiła krótka przerwa. Ellen była jak sparaliżowana. – No więc? Jak będzie?

Kropla potu spłynęła jej z czubka nosa i spadła na bluzkę. Potem druga i trzecia.

– Zgoda. Niech się pan pokaże.

– Nie tutaj, słodziutka – powiedział głos. Ellen domyśliła się, że jego właściciel świetnie się bawi. – Za piętnaście minut na leśnym parkingu. Tam, gdzie chodzisz biegać.

Znowu przeszedł ją dreszcz. Wygląda na to, że facet zna rozkład jej zajęć.

– Aha, jest jeszcze coś – dodał mężczyzna, tym razem lodowatym tonem. – Nie popełnij tylko błędu i nie lekceważ mnie. Jeśli choć przez chwilę poczuję, że nie jesteś sama, już nigdy nie zobaczysz swojej pacjentki. To samo stanie się wtedy, gdy zadzwonisz po gliny. Zrozumiałaś?

Nie miała innego wyjścia, jak tylko potwierdzić. Zresztą kogo mogłaby poprosić o pomoc?

– I nie zapomnij: gdybyś się rozmyśliła, będziesz miała swoją przyjaciółeczkę na sumieniu. Dlatego dobrze d radzę, lepiej przyjdź.

Rozległ się trzask i połączenie zostało przerwane.

Ellen poczuła, jak z powodu strachu i bezradności rośnie w niej wściekłość i rozpacz.

Pomyślała o Chrisie. Boże, gdyby tylko mogła się do niego dodzwonić! Dotknęła palcem przycisk, pod którym miała zakodowany jego numer, ale nie starczyło jej odwagi, żeby go wcisnąć. Jeśli ten psychopata rzeczywiście ją obserwuje, lepiej będzie nie dzwonić.

Zegar na tablicy rozdzielczej wskazywał, że od rozmowy minęła minuta.

Zostało jej jeszcze czternaście minut.

Musi podjąć jakąś decyzję.

Rozdział 14

W dni, kiedy po pracy Ellen szukała chwili wytchnienia od rozkrzyczanych i znerwicowanych pacjentów, marudzących pielęgniarzy lub przemądrzałych lekarzy i lekarek, gdy bez widocznego powodu czuła się przybita i spięta, ścieżka do uprawiania joggingu biegnąca przez pobliski las wydawała jej się najwłaściwszym miejscem, aby się odprężyć.

Panował tu całkowity spokój. Ellen czuła prawdziwą jedność z przyrodą, mogła się tam wybiegać i zmęczyć do granic możliwości. Zmęczenie pojawiało się zawsze wtedy, gdy towarzyszył jej Chris. Lubił biegi na czas, chociaż nierzadko się zdarzało, żęto ona była szybsza. Jednak kiedy biegła sama, ważne stawało się tylko to, aby poprawić kondycję. Biegła wtedy spokojnym truchtem skrajem lasu wzdłuż Dunaju. Po lewej ręce miała drzewa, po prawej rzekę. Jej widok działał na nią uspokajająco.

Znała też inną ścieżkę, która prowadziła bezpośrednio przez las. Wybierała ją większość osób, które uprawiały jogging. Jednak ona nigdy jeszcze tamtędy nie biegła. Niezbyt jej się podobało, kiedy gęste drzewa przysłaniały jej bezkresne niebo i blokowały dostęp światła. Z tego samego powodu nie lubiła samochodów z zamkniętym dachem.

Oprócz jej czerwonego MX-5 na wysypanym żwirze parkingu nie stało żadne auto. W zasięgu wzroku nie było też ani jednego człowieka. Ellen nie zauważyła również zarządzającego mikrobusu, który za nią jechał.

Czy to oznacza, że zjawiała się tu wcześniej niż mężczyzna z metalicznym głosem? Całkiem możliwe, że ją z jakiegoś miejsca obserwuje. Pewnie chce się upewnić, że przyjechała sama.

Już sama myśl o czymś takim wywołała w niej paniczny strach. Wmawiała sobie, że przebywa na znanym sobie terenie – w miejscu, które odwiedza prawie codziennie i z którego będzie mogła w każdej chwili uciec, jeśli okaże się to konieczne. Poza tym – uspokajała się w myślach – rzadko się zdarza, aby ktoś był tu przez dłuższą chwilę sam. Wcześniej czy później zjawia się jakiś miłośnik sportu albo spokoju.

Mimo to nie czuła się zbyt pewnie. Nadal miała przyspieszony puls, a mięśnie tak napięte, że prawie czuła ból. Szykowała się do spotkania z brutalnym przestępcą, który z całą pewnością jest wyrafinowanym sadystą – być może popełnia największy błąd swego życia. No tak, ale czy ma inne wyjście?

„Obiecuj, że mnie ochronisz, kiedy po mnie przyjdzie!” W głowie nadal dźwięczały jej słowa bezimiennej kobiety. Przypomniała sobie, co jej wtedy odpowiedziała: „Obiecuję”.

Możesz stąd jeszcze odejść...

Ellen otworzyła środkową konsolę między siedzeniami. Pod okularami słonecznymi, paczką gumy do żucia i kilkoma monetami znalazła pojemnik z gazem pieprzowym, który zawsze zabierała ze sobą na jogging. To na wypadek, gdyby została zaatakowana przez psa. W lesie i nad rzeką jest zawsze pełno spacerowiczów z psami. Kiedyś może się okazać, że ich zapewnienia – „On nie gryzie, chce się tylko pobawić” – nie potwierdzą się.

Wsunęła gaz do kieszeni kurtki i sprawdziła, czy telefon komórkowy ma zasięg. Na ekranie była tylko jedna kreska na cztery możliwe. Wystarczy, że wejdzie w głąb lasu i znajdzie się poza zasięgiem. Już nieraz to przerabiała.

Musiła przezwyciężyć strach, żeby wysiąść z samochodu. Cisza i spokój, które zwykle w tym miejscu tak bardzo ją cieszyły, tym razem wywoływały w niej strach i poczucie zagrożenia.

Czuła się jak idiotka z horroru, która ze świeczką w dłoni wchodzi na strych, żeby sprawdzić, skąd dobiegają przerażające szmery. Ale czy ma inne wyjście?

Oczywiście, może jeszcze uciec, zadzwonić na policję albo zrobić obie te rzeczy. Tylko co się wtedy stanie z uprowadzoną kobietą?

Z oddali dobiegało stukanie dzięcioła w drzewo i świergot ptaków. Blisko jej głowy przeleciał trzmiel i wziął kurs na krzew głogu, który prawie zakrywał tabliczkę z napisem:

ŚCIEŻKA DO JOGGINGU DŁUGOŚĆ: 7,5 KM
KORZYSTANIE NA WŁASNE RYZYKO!

Ellen rozejrzała się wokół siebie. Chyba naprawdę jest tu sama. Sama jak palec. A mimo to...

Jeśli ten facet rzeczywiście obserwuje ją przez lornetkę, musi mu dać wyraźnie do zrozumienia, że nie będzie dla niego łatwą zdobyczą. Otworzyła bagażnik i z pojemnika nad kołem zapasowym wyjęła klucz angielski.

Zważyła go w ręce i doznała zwodniczego poczucia pewności siebie. Tak, można się tym bronić, ale napastnik musi dość blisko podejść. To samo dotyczy gazu pieprzowego. Spojrzała na lekko drżącą rękę i zmusiła się do głębokiego oddechu. Ze zdenerwowania zrobiło jej się niedobrze.

Kiedy odbywała praktyki lekarskie, pracowała cztery miesiące w klinice dla chorych psychicznie kryminalistów. Miała tam do czynienia z brutalnymi przestępcami i mordercami. Zdarzało się, że przez pół godziny albo dłużej przebywała z nimi sama w jednym pomieszczeniu. Nauczyła się wtedy, że można się bać, ale nigdy nie wolno tego strachu okazywać. Gdyby bowiem pokazała jakiemuś bandycie – były wśród nich także kobiety – że wzbudza w niej strach, byłaby stracona. W takim przypadku musiałaby ustąpić miejsca bardziej kompetentnemu kandydatowi na lekarza.

I dlatego weź się w garść! Nie okazuj strachu!

Tylko że w lesie jest trochę inaczej. Dotychczas stawiała z takimi ludźmi oko w oko w zamkniętym pomieszczeniu. Za drzwiami czekali strażnicy, których w razie czego mogła wezwać na pomoc. Tutaj może najwyżej liczyć na to, że na ścieżce pojawi się jakiś biegacz.

Nie pozostało jej więc nic innego, jak tylko zdać się na swoją czujność, klucz angielski i nieużywany wcześniej gaz pieprzowy. Nawet nie wiedziała, czy zadziała jak należy.

Nie. Pokazuj. Po sobie. Strachu!

Ponownie głęboko odetchnęła, zamknęła bagażnik, odwróciła się... i wzdrygnęła się z przerażenia.

Gdyby spokojna część jej świadomości nie kazała jej się w ułamku sekundy opanować, krzyknęłyby ze strachu na cały głos.

To tylko dziewczynka. Mała dziewczynka, która nie ma nawet dziesięciu lat. Jest ubrana w kolorową, letnią sukienkę i ma bardzo poważną twarz.

– Ależ mnie przestraszyłaś – powiedziała Ellen i roześmiała się. Był to jednak niepewny śmiech. Automatycznym ruchem ukryła klucz angielski za plecami. – Jesteś sama?

Dziewczynka pokręciła głową.

– Chodź, on już na ciebie czeka – powiedziała.

Odwróciła się i pobiegła z powrotem do lasu, z którego przed chwilą przyszła.

W pierwszej chwili Ellen była zbyt zaskoczona, żeby zareagować. Patrzyła za dziewczynką, która nie oglądając się za siebie, wbiegła do lasu. Poruszała się zręcznie wśród krzewów i paproci, ignorując piaszczystą drogę. Jakby wcale jej nie było.

Ellen ani przez chwilę nie wątpiła, że mówiąc „on”, dziewczynka miała na myśli Czarnego Luda. Nie wątpiła też, że dziewczynka do niego należy. Może to nawet jego córka?

W jednej chwili wszystko nabrało sensu. Ten facet – Czarny Lud – nieważne, jak się naprawdę nazywa – wysłał po nią tę dziewczynkę, żeby zapewnić sobie odpowiednią ilość czasu na dojście z kliniki do miejsca, w którym naprawdę chce się spotkać z Ellen.

Ellen była pewna, że zobaczy tam także bezimienną kobietę. Jego kobietę. Tę, którą tak bardzo pobił – obojętnie z jakiego powodu – że aż cała była posiniaczona.

Ellen biegła przed siebie. Serce szybko jej biło. Coraz mocniej zaciskała palce na kluczu angielskim.

Tymczasem dziewczynka zyskała nad nią sporą przewagę. Gdyby jej kolorowa kwiecista sukienka nie była dobrze widoczna na tle zieleni, Ellen straciłaby ją z oczu.

Dziwna sukienka, pomyślała Ellen. Jej krój i kolor wskazywały, że już dawno wyszła z mody. Może kupiła ją na pchlim targu? Może na wyprzedaży starych ubrań albo w second handzie? Tak samo wyglądał dres, który miała na sobie bezimienna pacjentka.

Ellen coraz bardziej zagłębiała się w las. Rozglądała się ciągle na wszystkie strony i trzymała klucz przyszykowany do uderzenia. Dopóki jest w ruchu, napastnik łatwo jej nie dostanie. To, że szybko biega, daje jej przewagę. Napastnikowi na pewno nie wyjdzie to na dobre.

Ale nie poczuła się lepiej. Droga coraz bardziej zagłębiała się w las. Co będzie, jeśli ten mężczyzna gdzieś siedzi i bierze ją właśnie na muszkę? Wystarczy, że pociągnie za spust...

Dokąd ty właściwie biegniesz? Las robi się coraz bardziej gęsty, dalej nie będzie inaczej. Nie ma tam żadnych domów ani wiosek.

Chociaż Ellen już po kilku krokach zaczęła biec swoim normalnym tempem, wydawało jej się, że dystans dzielący ją od dziewczynki wcale się nie zmniejsza. Dziewczynka była niewiarygodnie szybka. Jakiś czas temu Ellen brała udział w lokalnym półmaratonie i przebiegła cały odcinek w niecałą godzinę i czterdzieści pięć minut. Nie był to oszałamiający wynik, bo najlepsi zawodnicy potrzebowali na pokonanie tego dystansu trochę więcej niż godzinę. Ale powinna dogonić tę małą, przecież jest dobrze wytrenowana. Mimo to nie udało jej się tego zrobić.

Mijała krzaki, zwalone pnie drzew i korzenie, przeskakiwała przez wąskie doły, które przypominały płataninę żył. Mimo to dziewczynka w kolorowej sukience coraz częściej znikła wśród drzew. Za każdym razem pojawiała się coraz dalej i dalej. W końcu zupełnie znikła.

– Cholera!

Ellen zatrzymała się zdyszana.

– To przecież niemożliwe...

Łups!

Coś uderzyło ją z olbrzymią siłą w plecy i przewróciło na ziemię. Zdążyła jeszcze unieść rękę, żeby nie uderzyć twarzą w ostre korzenie. Upadła i od razu poczuła na plecach to „coś”. Było tak ciężkie, że wycisnęło jej z płuc całe powietrze. Usłyszała jakiś trzask, ale nie wiedziała, czy to pękające żebro czy złamana gałąź. A może i to, i to?

Chciała nabrać powietrza, ale nie mogła. Napastnik siedzący jej na plecach był zbyt ciężki. Spanikowana próbowała go z siebie zrzucić, ale chwycił ją mocno za ramiona i przycisnął do chłodnego mchu.

Ellen zacharczała i znowu spróbowała odetchnąć. Usłyszała swoje*rzężenie. Udało jej się zaczerpnąć powietrza na tyle, żeby mimo paniki zrozumieć, co się wydarzyło. Ktoś – bez wątplenia tamten mężczyzna – skoczył na nią od tyłu i przycisnął twarzą do ziemi. Teraz klęczy jej na plecach i przyciska ręce do ziemi. Ellen czuła na karku jego oddech. Kolano, którym ją przyciskał, powodowało silny ból żeber. Cholernie silny ból! Oddychanie stało się męką.

Ellen zaczęła kopać nogami, ale osiągnęła tyle samo, co żuk, który przewrócił się na grzbiet. Różnica polegała tylko na tym, że ona leżała na brzuchu.

– Spokojnie, tylko spokojnie – szepnął mężczyzna siedzący na jej plecach. – Im bardziej się bronisz, tym mocniej będzie bolało.

Jakby na potwierdzenie tych słów jeszcze mocniej przycisnął ją kolanem do ziemi.

Ellen krzyknęła z bólu, na co napastnik zareagował krótkim podskokiem i wycisnął z jej płuc resztę powietrza. W jednej chwili krzyk zamienił się w rzężenie.

– Uspokoisz się w końcu? – usłyszała upiorny szept.

Próbowała odpowiedzieć i z wielkim trudem jej się to udało.

– Tak – powiedziała, ale przypominało to raczej westchnienie.

Chociaż przed oczami latały jej małe białe punkciki, w odległości pół metra przed sobą zauważyła klucz francuski. Leżał w mchu i był równie bezużyteczny, jak gaz pieprzowy w kieszeni kurtki.

– Niegrzeczna z ciebie dziewczynka.

Ten głos. Ten szept. Brzmi tak dziwnie. Jakby go gdzieś słyszała.

Mężczyzna jeszcze mocniej ścisnął jej ramiona. Teraz Ellen poczuła jego ciepły oddech na głowie. Napastnik pachniał miętowym likierem, kuchnią i papierosami.

Pewnie jak tu na mnie czekałeś, w wyobraźni już kogoś męczyłeś, pomyślała. I chociaż sytuacja temu nie sprzyjała, w jej głowie pojawiło się nagłe wspomnienie: rysunek z książki o Anglii epoki wiktoriańskiej. Przedstawiał mężczyznę znanego jako Kuba Rozpruwacz. Napadał kobiety, które chodziły nocą po ulicach. W tym momencie irracjonalna część jej świadomości, która dawała o sobie znać w najmniej spodziewanych momentach, podpowiedziała jej, że w tej samej chwili ona też ma do czynienia z kimś takim. Nie z Kubą Rozpruwaczem, tylko raczej z Kubą Marlboro, który w lesie atakuje kobiety od tyłu. Chucha im przy tym w twarz wonią miętówki wymieszaną z zapachem znanego gatunku tytoniu.

– Czy wiesz, czego od ciebie chcę? – spytał mężczyzna.

– Nie.

– Na pewno wiesz.

– Nie wiem! Proszę mnie puścić. To boli.

– Jesteś złą, wścibską dziewczynką – syknął jej do ucha jak wąż. – Zrobiłaś coś baaardzo, baaardzo złego.

Ellen pomyślała, że za chwilę się udusi. Kolano mężczyzny wwiercało jej się w plecy jak drewniany kołek. Ból był nie do zniesienia. Starła się odwrócić głowę, aby spojrzeć na napastnika, ale nie dała rady. Sądząc po bólu, jaki jej zadawał, i sile, z jaką trzymał ją za ramiona, musiał ważyć przynajmniej ze dwie tony. Ellen wiedziała z całą pewnością tylko jedno: jej przeciwnik jest niespełna rozumu.

– Czego... czego pan... chce? – wyjęczała z trudem.

– Naprawdę się nie domyślasz? – szepnął. – W takim razie dobrze, wyjaśnię ci. Wprawdzie jesteśmy w lesie, ale na pewno nie jest to las z baśni. Czy lubisz baśnie, moja mała Ellen?

Chciała odpowiedzieć „Zostaw mnie w spokoju”, „Odwal się” albo coś w tym stylu, ale ból był zbyt silny, a ona potrzebowała całej siły, jaka jeszcze jej została, żeby oddychać i nie stracić przytomności.

Jeśli teraz zemdlejesz, zrobi z tobą, co będzie chciał, ostrzegął ją wewnętrzny głos, który zawsze jej towarzyszył i czuwał nad nią. Będzie mógł z tobą zrobić wszystko, co wymyśli jego chory mózg.

A potem owinie cię w swoją kurtkę i ułoży pod mchem na wieczny sen. Pomyśl też o tamtej kobiecie!

– W bajce zawsze występuje ktoś, kto zadaje komuś zagadkę do rozwiązania – kontynuował mężczyzna ledwo słyszalnym głosem. Chichotał przy tym jak mały chłopiec, który cieszy się z figla, jaki płata. – Ty też będziesz musiała rozwiązać taką zagadkę. A jak ci się nie uda...

Mężczyzna zawiesił głos i znowu przycisnął ją kolanem.

Przez ułamek sekundy Ellen zapadła się w czarną otchłań. Obraz klucza francuskiego leżącego przed nią na ściółce mignął jej przed oczami jak chwilowe zakłócenie na ekranie telewizora. Na szczęście zaraz odzyskała świadomość i zaczęła intensywnie myśleć. Dzięki temu usłyszała ostatnie słowa Kuby Marlboro:

– ...zabiję twoją śmierdzącą przyjaciółkę. A wtedy już się mnie nie pozbędziesz. Zrozumiałaś?

Ellen zdołała wydobyć z siebie słabe westchnienie. Czuła na sobie ogromny ciężar, przez co oddychanie i mówienie sprawiało jej straszliwy ból.

– O... co... chodzi? – spytała.

– Nie będę ci psuł zabawy, a właśnie tak by się stało, gdybym wszystko zdradził ci już teraz – wyszeptał mężczyzna. Tym razem jego szept zabrzmiał niemal śpiewnie. – No więc, kim jestem? „Dzisiaj będę warzył, jutro będę smażył, a pojutrze...” Pojutrze w południe masz znać odpowiedź. Jeśli nie, przyjdzie po ciebie zły wilk. A wtedy zabiję was obie, ciebie i tę śmierdzącą wariatkę. Ale przedtem...

Mężczyzna przysunął głowę do jej ucha i zaczął je lizać. Ellen próbowała odwrócić głowę, ale nie udało jej się to. Czuła, jak jego język zagłębia się w jej uchu, czuła jego nieświeży oddech na policzku. Kiedy zaczął lizać jej skroń, po uchu spłynęła jej strużka jego śliny.

Chciała wykrzyczeć cały swój ból i wściekłość, ale nie mogła. Brakowało jej powietrza, żeby oddychać, więc musiała jakoś ścierpieć te obrzydliwe zabawy.

Mężczyzna zatopił zęby w jej spoconych włosach, wgryzł się w nie i zaczął je szarpać. Jednocześnie pocierał górną część ciała o jej barki, sapiąc przy tym i wzdychając. Potem odsunął od niej głowę – uczynił to tak, że przez chwilę wydawało jej się, iż wszystkie żebra jej popękają.

– Żebyś mogła zacząć, dam ci drobną wskazówkę – sapnął mężczyzna. – Słyszysz, co do ciebie mówię?

– Tak – odparła z jękiem Ellen.

– Nie słyszę.

– TAK!

– Teraz o wiele lepiej. No to uważaj. Oto moja wskazówka. Brzmi ona: „tata”. Pierwsze skojarzenie jest zawsze najwłaściwsze. Zrozumiałaś?

– Tak.

– No to dobrze. W takim razie możemy zaczynać!

Siedząc na jej plecach, mężczyzna wykonał gwałtowny ruch. Tym razem Ellen wydawało się, że zmiążdży kolanami jej klatkę piersiową i zgniecie jej płuca. Ból, jaki ją przeszył, był jak uderzenie orkanu. Chwilę później mężczyzna zsunął się z niej i pobiegł w kierunku, z którego przyszła.

Ellen odetchnęła. W klatce piersiowej czuła ból, jakby przed chwilą leżała pod ciężką stalową prasą. Tymczasem bojowa część jej osobowości zbuntowała się i kazała jej się nie poddawać.

Zapoluj na tego bydlaka! Załatw go!

Ellen odwróciła się i wstała z ziemi, dzięki czemu zdążyła jeszcze zobaczyć uciekającego mężczyznę. Był niższy, niż sobie wyobrażała, i nie tak potężnej budowy. Wyglądał raczej jak przeciętny mężczyzna. Miał na sobie czarne dżinsy i czarną kurtkę z wizerunkiem Batmana. Głowę zakrywał mu kaptur.

No rusz się! krzyczała bojowa część jej osobowości.

Ellen zebrała wszystkie siły, podniosła z ziemi klucz angielski i wstała.

Biegnij za nim! Dalej!

Ellen rzuciła się przed siebie i ruszyła za napastnikiem.

Bardzo dobrze, pochwalił ją wewnętrzny głos. Biegnij dalej!

Niestety, okazało się, że wcale nie jest tak „dobrze”. Ellen z trudem oddychała i ledwo mogła iść, a co dopiero biec.

Mimo to nadal chciała go dogonić. Przypomniała sobie półmaraton. Kilka razy była bliska zrezygnowania i wycofania się, ale bojowa część jej osobowości kazała jej biec dalej. Podobnie było teraz. Chciwie chwytała powietrze, potykała się o korzenie, dwa razy o mało nie upadła – jeśli upadnę, po prostu położę się na ziemi, zasnę i będę spała sto lat albo dłużej, jak w bajce – ale mimo to utrzymywała się na nogach i tak długo podążała za czarną kurtką, aż mężczyzna zniknął pośród drzew.

Dopiero tuż przed parkingiem Ellen całkowicie opadła z sił.

Dalej, biegnij! krzyczał bojowy głos. Niestety, mięśnie i płuca odmówiły posłuszeństwa. Odpowiedź mogła być tylko jedna: Nie!

I na tym stanęło.

Ellen oparła się o pień drzewa. Poczowała przyjemny chłód i coś w rodzaju pocieszenia. Starła się uspokoić i wyrównać oddech. Spojrzała na swój mały sportowy samochód, którego czerwień przebijała między pniami drzew. I chociaż bez problemu mogła odczytać jego numer rejestracyjny, wydawało jej się, że samochód jest od niej oddalony o wiele kilometrów. Jakby był nieosiągalny.

Dopiero po chwili zauważyła, że obok jej wozu parkuje drugi pojazd. W chwili gdy kierowca dodał gazu i odjechał, pozostawiając za sobą chmurę pyłu, Ellen rozpoznała samochód.

Gdyby miała jeszcze wystarczająco dużo sił, żeby krzyknąć, z pewnością by to uczyniła. Stała jednak jak skamieniała. Obejmowała pień świerku i nie wierzyła własnym oczom. Rozpoznała samochód. Nie miała żadnych wątpliwości. W samochodzie, który przed kilkoma sekundami stamtąd odjechał, już kiedyś siedziała. Było to przed dwoma laty, gdy jechała na kurs doksztalający.

Przypomniała sobie odświeżacz powietrza marki Wunderbaum, który wisiał na wstecznym lusterku. Od jego waniliowego zapachu zrobiło jej się wtedy niedobrze. Powiedziała kierowcy, że woli zapach dymu niż ten śmierdzący odświeżacz.

Kiedy Mark to usłyszał, roześmiał się.

Rozdział 15

Powietrze było nasycone zapachem żywicy i pełne odgłosów dobiegających z lasu. Ellen kucnęła przy ziemi, drżąc na całym ciele, i oparła głowę o pień świerku. Próbowła przeanalizować to, co się przed chwilą wydarzyło. Wszystko ją bolało, ale była przekonana, że nie doznała żadnych złamań. To pewnie dzięki joggingowi, który uprawia w wolnym czasie. Gdyby miała mniej wysportowane ciało, mogłoby się to zakończyć zupełnie inaczej. Za dwa dni, gdy na jej ciele pojawią się siniaki w całej krasie, przyćmi swym wyglądem każdego maoryskiego wojownika z Nowej Zelandii.

Jednak gorszy od bólu był szok wywołany ostatnimi wydarzeniami. Nadal nie mogła w to wszystko uwierzyć. Czy to naprawdę był Mark? Przecież widziała jego samochód. Być może właśnie w taki sposób jej pacjentka znikła. Dla nikogo, kto ma klucze i zna kody dostępu, wejście na teren kliniki nie stanowi problemu.

Ten głos... „Czy lubisz baśnie, moja mała Ellen?” Była zbyt wzburzona, a napastnik mówił zbyt cichym głosem, żeby mogła go rozpoznać. Mimo to jego głos brzmiał znajomo. Niewykluczone, że był to głos Marka.

Tylko po co Mark to wszystko robi?

Dlaczego udaje obłąkanego?

Po co zadaje jej ból?

DLACZEGO?

Wysoko na niebieskim niebie leciał samolot, ciągnąc za sobą białą gęstą smugę. Nagle Ellen usłyszała charakterystyczny dźwięk, jaki wydają kije do nordic walkingu. Od kiedy wszyscy zaczęli się zachwycać tą nową dziedziną sportu, ludzi, którzy ją uprawiają, można zobaczyć wszędzie. Jak to często bywa, gdy coś staje się modne, aktualne stało się powiedzenie: „Wszyscy to robią, choć niewielu wie jak”. Na ścieżce, po której biegła, często spotykała osoby uprawiające ten sport. Zawsze musi uważać, gdy przebiega obok miłośników spacerów z kijkami, żeby kogoś z nich nie potrącić.

Ellen ujrzała dwie kobiety idące w jej stronę. Jedna była dość korpulentna, druga przypominała kurę, która od dawna nie dostała nic dojedzenia.

– Potrzebuje pani pomocy? – zawołała kura, wyciągając do niej szyję.

– Nie, dziękuję, wszystko w porządku.

– Na pewno? – spytała kobieta. Podeszła bliżej i pochyliła się nad Ellen. – Czy pani upadła?

– Tak, ale już się pozbierałam.

– Nie powinna pani zbaczać ze ścieżki. Te korzenie są takie niebezpieczne. Jeszcze sobie pani coś damie.

– Ma pani rację. Dziękuję, że zechciała mi pani pomóc.

Kobieta o wyglądzie kury skinęła głową i już chciała odejść, gdy nagle Ellen wpadło coś do głowy.

– Czy panie mieszkają w tej okolicy?

– Tak – potwierdziła grubsza kobieta, najwidoczniej zadowolona z tego, że w końcu może chwilę odetchnąć. – A czemu pani pyta?

Ellen wskazała ręką w stronę lasu.

– Czy jest tam jakaś wioska albo pojedynczy dom?

– Nie – odparła gruba kobieta, a druga potwierdziła jej słowa skinieniem głowy. – To tylko las, nic więcej. Do najbliższej miejscowości jest stąd jakieś dziesięć kilometrów. Albo więcej.

– Czy widziały panie po drodze dziewczynkę w sukience? Mogła mieć jakieś dziesięć lat.

– Nie – mruknęła gruba. – Ja...

– Czy to pani córka? – wpadła jej w słowo kobieta-kura. – Zgubiła się?

Ellen wstała, trzymając się pnia drzewa.

– Nie, ale wydawało mi się, że ją tu widziałam.

Kobieta-kura zachichotała.

– Rozumiem. Jak człowiek jest w lesie sam, to albo zaczyna widzieć różne dziwne rzeczy, albo mu się wydaje, że je widział. Potem się okazuje, że to pień drzewa albo sarna. No, ale musimy iść dalej, bo nam się mięśnie zastoją.

Masz trochę racji, pomyślała Ellen, spoglądając za oddalającymi się kobietami. Zastanawiała się, w którym momencie kobieta o wyglądzie kury miała więcej racji: gdy mówiła o zastałych mięśniach czy gdy opowiadała o dziwnych rzeczach, które można zobaczyć w lesie. Nagle zrobiło jej się tak niedobrze, że wymiotowała obok drzewa, o które się opierała.

Kiedy wjechała na parking dla personelu kliniki, po raz pierwszy pożałowała, że jeździ tak małym samochodem. Chris zażartował kiedyś, że potrzebuje łyżki do butów, żeby móc do niego wsiąść.

Pomyślała, że aby teraz wsiąść i nie poczuć bólu, musiałaby mieć do dyspozycji naprawdę dużą łyżkę do butów albo nawet dźwig. W końcu jakoś jej się udało wyjść z samochodu.

Mark miał czarne volvo V70. Było tak duże, że kiedy jechali na kurs doksztalający, w bagażniku zmieścił się luźny bagaż nie tylko jej, ale także bagaże innych kolegów z kliniki. Podróż przebiegała w wesołej atmosferze, ciągle się śmiali, zwłaszcza z odświezacza wiszącego na wstecznym lusterku. Kiedy ktoś otwierał okno, ciąg powietrza roznosił waniliowy zapach po całym pojeździe.

Jednak w tym momencie Ellen patrzyła na ten samochód z zupełnie innej perspektywy. Kiedy tak stał pod jedną z lip, które rzucały cień na parking, wydawał się mroczny i straszny. Ellen pomyślała, że w bagażniku jest wystarczająco dużo miejsca nie tylko na bagaż, ale i na kobietę. Gdyby ją ogłuszyć i ukryć w środku, bez problemu można by ją wywieźć z kliniki.

Mimo to Ellen nadal broniła się przed takimi wnioskami. Przede wszystkim dlatego, że nie potrafiła znaleźć powodu, dla którego Mark chciałby jej coś takiego zrobić. Zresztą nie tylko jej, ale przede wszystkim tamtej kobiecie. Niestety, maska silnika jego samochodu nadal była ciepła, a na oponach zauważyła igły z drzew i leśny kurz. Dowody były niezbite.

Ellen przeszukała kieszenie kurtki i znalazła w nich kilka miętowych cukierków. Ręce jej tak drżały, że pierwszy, który odwijiała z papierka, upuściła na ziemię. Dopiero drugi udało jej się włożyć do ust. Czowała się zupełnie wykończona, trzęsła się jak stuletnia staruszka, wszystko ją bolało i cała była ubrudzona. Jest jeszcze ta kobieta, której musi uratować życie. Na dodatek wygląda na to, że winę za to wszystko ponosi Mark — jej przyjaciel i kolega z pracy.

Musimy wreszcie pogadać, koleżko!

Pielęgniarka spojrzawszy zdumionym wzrokiem na jej brudne ubranie, Ellen udawała, że tego nie widzi i spytała, czy mogłaby porozmawiać z doktorem Behrendtem.

– Przykro mi. Właśnie przyjmuje pacjenta. Trochę to potrwa. Czy mam mu coś przekazać?

– Nie. Poczekam tu na niego.

Ellen chciała wejść do pokoju, ale pielęgniarka ją zatrzymała. Ellen poczuła ból.

– Czy pani upadła?

– Można tak powiedzieć. Czy czekając na doktora Behrendta, mogłabym napić się kawy?

Pielęgniarka, która rozmawiała z nią dość głośnym głosem, nosił pod fartuchem T-shirt z napisem „Champion”. Po jej ostatnich słowach spojrział na nią zmieszany wzrokiem.

– No cóż, pani doktor. Nie bardzo mogę. To znaczy, może się pani napić kawy, ale w zasadzie... Chodzi mi o to, że...

Pielęgniarka poczerwieniała.

– O co panu chodzi?

– Chodzi mi o to, że jest pani podobno na urlopie...

Ellen poczuła, jak przeszedł ją nagły dreszcz.

– Mimo to nadal jestem lekarzem zatrudnionym w tej klinice. Co to ma w ogóle znaczyć?

Pielęgniarka spojrziała na nią spłoszonym wzrokiem. Dopiero po chwili wykrztusiła, że mniej więcej przed godziną na oddziale zjawili się dwaj policjanci. Nazywali się chyba Köhler i Körner.

– A może Kröger?

– O, właśnie, Kröger.

– I co chcieli?

– Tego nie wiem. Profesor Fleischer osobiście z nimi rozmawiał. Był dość wkurzony. Usłyszałem tylko, jak im powiedział, że dokładnie sprawdził i że w klinice nie doszło do takiego wypadku. Ja...

Mężczyzna przerwał i spuścił wzrok.

– Co takiego? Czy jeszcze coś powiedział?

– Ja właściwie usłyszałem to przypadkiem...

– Niechże pan to z siebie wykrztusi!

– No dobrze. Profesor powiedział temu policjantowi, że to jest bezpieczna klinika i że nie chce, aby straciła dobrą reputację. Powiedział, że jest pani przepracowana i że popełniła pani pomyłkę, ale wszystko zostało już wyjaśnione. Potem otrzymaliśmy polecenie, że jeśli się pani pojawi na oddziale, mamy tu pani nie wpuszczać.

– Powiedział pan: otrzymaliśmy?

– Tak, pielęgniarki i pielęgniarki.

Ellen nie wierzyła własnym uszom. Udało jej się zmusić Krögera, aby zajął się jej sprawą. Było to dość pocieszające, choć zrozumiała, że strzeliła gola do własnej bramki.

Kröger poinformował o wszystkim profesora, a ten przeprowadził dochodzenie na Oddziale IX, rozpytując się o bezimienną kobietę. Personel oddziału zapewnił go, że takiej pacjentki nie ma i nie było. A ponieważ na potwierdzenie jej bytności nie udało się znaleźć żadnych dowodów, profesor z pewnością doszedł do wniosku, że wersja Ellen nie trzyma się kupy. Zwłaszcza że zależało mu, aby nie ucierpiała na tym reputacja kliniki.

Ellen z trudem powstrzymywała wybuch złości. Najchętniej rzuciłaby teraz jakimś przedmiotem o ścianę. Najlepiej czymś, co rozpadłoby się na tysiąc kawałków. Wiedziała już, że jej wiarygodność została w oczach obu policjantów znacznie podważona.

– Dlatego proszę, żeby pani stąd poszła – powiedział pielęgniarka. Widać było po nim, że najchętniej zapadłby się pod ziemię.

Ellen spojrzała mu głęboko w oczy, przez co jeszcze bardziej się zmieszał.

– Proponuję, żebyśmy się jakoś dogadali. Ja stąd zniknę i nigdy mnie tu nie było, ale w zamian powie mi pan, czy doktor Behrendt w ciągu ostatnich kilku godzin przebywał na oddziale. Zgoda?

Pielęgniarka zmarszczył czoło i odparł, że dr Behrendt nie opuszczał oddziału.

– Tylko całkiem niedawno wyszedł, mniej więcej na godzinę.

– Czy mówił, dokąd idzie?

– Nie, ale wydaje mi się, że poszedł na stołówkę, żeby sobie kupić coś dojedzenia.

Albo pojechał do lasu, żeby nastraszyć swoją koleżankę z pracy.

Ellen opuściła oddział, co sprawiło pielęgniarzowi widoczną ulgę. Czowała się zmęczona. Wszystko ją bolało, a na dodatek dostała silnej migreny. Czowała, jak drobne igielki wbijają jej się w gałki oczne. Doszła do wniosku, że zanim podejmie jakiegokolwiek działania, musi odpocząć.

Teraz już z całą pewnością wie, że to Mark jest mężczyzną, którego szuka. Nie pozwoli mu się z tego wykręcić. Dopóki przebywa w klinice, nie będzie mógł skrzywdzić porwanej kobiety.

Dla niej oznacza to, że ma jeszcze trochę czasu, żeby się przygotować do drugiej rundy.

Rozdział 16

Oba betonowe sześciopiętrowe budynki, które pełniły funkcję hoteli pracowniczych, na pierwszy rzut oka sprawiały niezbyt zachęcające wrażenie. Mimo to Ellen czuła się w swoim dwupokojowym mieszkaniu jak we własnym domu. Dla kogoś, kto wychował się w katolickim internacie dla dziewcząt, ze wspólną jadalnią i wspólną sypialnią, każde zamknięte pomieszczenie, jakie ma do wyłącznej dyspozycji, jest niemal domem.

Na początku miało to być czasowe miejsce pobytu, dopóki nie znajdzie sobie odpowiedniego mieszkania w okolicy. Jednak Ellen zaczęła stopniowo doceniać lokalizację w spokojnej okolicy i to, że miała blisko do pracy. W końcu postanowiła tu zostać.

Wkrótce potem zgodziła się na propozycję Chrisa, aby zamieszkali razem. Przedtem wynajmował lokum w tanim pensjonacie, a na weekendy wyjeżdżał często do odległego Ulfingen, żeby zająć się ciężko chorym ojcem.

Po jego śmierci Chris postanowił zachować dom, który po nim odziedziczył. Ellen zgodziła się do niego przeprowadzić i zrobić remont według planu, który wspólnie opracowali.

Zdecydowali też, że Ellen nadal będzie wynajmować swoje dwupokojowe mieszkanie. Było to konieczne, bo dzięki temu mogli zaoszczędzić na kosztach dojazdu. Dom znajdował się w Jurze Szwabskiej, a oni pracowali w Fahlenbergu.

Przed podjęciem każdej z tych decyzji Ellen długo się zastanawiała. Nie dlatego, że nie była pewna, czyjej znajomość z Chrisem to poważny związek. Chodziło głównie o to, że wspólne życie w mieszkaniu z małą kuchnią, niewiele większą sypialnią i dość dużym salonem mogło doprowadzić do ograniczenia jej wolności.

Odkąd opuściła internat, z nikim innym nie spała w tym samym pomieszczeniu, przynajmniej nie w każdą noc. Z nikim nie musiała też dłużej dzielić toalety ani łazienki. Już podczas studiów zadbała o to, żeby znaleźć dla siebie umeblowany pokój z kabiną prysznicową. Wprawdzie musiała dorabiać wieczorami jako kelnerka, a w każdą sobotę wczesnym świtem, i to bez względu na pogodę, jeździła na rynek, gdzie kupowała skrzynki owoców i warzyw, ale za to nie musiała się gnieździć z kimś obcym w jednym pokoju.

Wolność była dla niej wartością, o którą zawsze walczyła do upadłego. Nierzadko robiła to dosłownie w pocie czoła. Przyszło jej to na myśl także w tej chwili, gdy stała pod prysznicem i czuła na sobie błogosławione działanie ciepłej wody spływającej po jej obolałym ciele. Stała tak przez dłuższą chwilę, aby uporządkować myśli. Ciągle jeszcze chciała wykrzyknąć to, co ją bolało. W końcu dała sobie spokój.

Kiedy wyszła spod prysznica, poczuła się lepiej. Tylko trochę, ale jednak. Płacz dobrze jej zrobił, poczuła w pewnym sensie ulgę.

Kiedy stała przed lustrem i wycierała się ręcznikiem, zaczęła myśleć o Chrisie. Było jej smutno, że go nie ma, choć zarazem cieszyła się, że wyjechał. Gdyby tu przy niej teraz był, na pewno by się tak łatwo nie poddała. Bojowa część jej osobowości na pewno by na to nie pozwoliła.

„Jeśli okażesz słabość, inni cię pożrą”. Przypomniła sobie tę starą maksymę, która obowiązywała w internacie i była zakorzeniona w niej zbyt głęboko, żeby mogła się teraz wznieść ponad nią. W pewnym sensie utrudniała jej ona związek z Chrisem, ale Ellen miała nadzieję, że któregoś dnia, gdy będą już ze sobą odpowiednio długo, wszystko się zmieni.

Przyjdzie być może taki dzień, że pozwoli sobie na chwilę słabości i przestanie nad sobą panować. Na początku może tylko przez krótki moment, ale jest już gotowa nad tym popracować, a Chris jest taki cierpliwy...

To, co ujrzała w lustrze, przeraziło ją. Wprawdzie nie spodziewała się, że zobaczy tam kobietę o szczupłej wysportowanej sylwetce tryskającą życiową energią, ale sine plamy wystąpiły na piersiach i ramionach szybciej, niż się spodziewała. To zły znak. Jeśli już dziś tak wygląda, to jak będzie jutro?! Szczególnie brzydko prezentowały się plamy na klatce piersiowej. Przypominały orła z rozpostartymi skrzydłami albo coś w tym rodzaju. W każdym razie widok był koszmarny.

Całe szczęście, że nie mam oczu z tyłu głowy, pomyślała, wcierając sobie maść w bolące miejsca. W szafce w łazience trzymała też inne specyfiki przydatne osobie, która dużo biega i od czasu do czasu się przewraca.

Nawet nie będę sprawdzać, jak wyglądają moje plecy. Ten dupek był ciężki i miał szpiczaste kolano.

Ale, podpowiadał jej rozum, gdybyś miała oczy z tyłu, mogłabyś się upewnić, czy tym dupkiem ze szpiczastym kolaniem rzeczywiście był Mark. Przecież mógł przyjechać na ten parking przypadkowo. Nigdy wcześniej nie widziałas go w kapturze na głowie. Przecież on nawet w czasie najmroźniejszej zimy nie nosi grubego płaszcza ani czapki.

– Oczywiście – odparła Ellen szyderczym tonem. – To był na pewno przypadek, że facet, który pali jednego papierosa za drugim i nie uprawia żadnej dyscypliny sportu, pojawia się nagle na ścieżce do joggingu, gdzie nigdy wcześniej ani razu się nie pokazał. I na pewno zupełnym przypadkiem było to, że odjechał akurat w tym samym momencie, gdy facet, który wylizał ci ucho i prawie cię zabił, całkiem przypadkiem pobiegł w tym samym czasie w stronę parkingu. Tak, to na pewno był przypadek. Tak samo jak zupełnie przypadkowo po błyskawicy następuje uderzenie pioruna.

Z drugiej strony to rzeczywiście mógł być przypadek. Przecież już tyle razy spotykała Marka w miejscach, gdzie wcale się go nie spodziewała. W bibliotece, w swojej ulubionej kawiarni, na basenie.

A może te spotkania też nie były przypadkowe? Może Mark zjawiał się tam celowo? Może przygotowywał swój plan od dawna?

Ellen ubrała się i poszła do kuchni. Przygotowując herbatę, obserwowowała wskazówki zegara. Mark kończy dyżur za czterdzieści pięć minut.

– A wtedy będziesz mi musiał wszystko wyjaśnić, koleżko – mruknęła.

Upiła trochę herbaty, parząc sobie górną wargę. Zaklęła i odstawiła filiżankę na stolik, którego używała też podczas spożywania posiłków.

Nadal nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na pytanie dlaczego. Dlaczego, na miłość boską, Mark jej to wszystko robi? O co chodzi z tą kobietą i kim jest dziewczynka w niemodnej letniej sukience? Przecież to wszystko nie ma sensu!

Mark był zawsze miłym i grzecznym człowiekiem, natchnionym analitykiem i... Zaraz, a co to?

Dopiero teraz Ellen zauważyła pewien mały przedmiot. Leżał na stoliku przy kanapie, na stosie magazynów „Men’s Health”, które prenumerował Chris. Prawie w tym samym momencie wrócił strach.

Jeśli ktoś mieszka z drugą osobą pod jednym dachem wystarczająco długo, poznaje jej zwyczaje, wie, co ta osoba posiada i zna jej charakter pisma. Ellen mieszkała z Chrisem od ponad dwóch lat. Dla kogoś innego to może niezbyt długo, ale jej wystarczyło, żeby z całą pewnością móc stwierdzić, iż mały kluczyk leżący na stosie magazynów nie należy do Chrisa, a tym bardziej do niej.

Chris nigdy by nie dopuścił, żeby jego klucz poniewierał się po mieszkaniu. Sam siebie uważał za osobę lubiącą porządek, podczas gdy ona stwierdzała od czasu do czasu, że jest na tym punkcie zbyt przewrażliwiony. Pierwszą rzeczą, jaką Chris powiesił na ścianie po przeprowadzce do niej, był wieszak na klucze. Chris nie znosi sytuacji, gdy musi szukać

jakiegoś klucza po kieszeniach ubrań. Dlatego zostawianie kluczy na wieszaku uznawał za codzienny obowiązek. Ona z kolei rano, przed wyjściem do pracy, nierzadko szukała kluczyka do samochodu po różnych ubraniach.

Nie potrafiła teraz określić, do czego znaleziony kluczyk służy. Był zbyt mały jak na klucz do otwierania drzwi.

Jednak dla niej miało to drugorzędne znaczenie. Najważniejsze było to, co zobaczyła na wieszaku na klucze. Ellen podeszła bliżej i w miejscach, gdzie powinny znajdować się słowa „Garaż”, „Mieszkanie” i „Biuro”, znalazła trzy inne wyrazy napisane nierównym charakterem pisma – miał on tyle samo wspólnego z charakterem pisma Chrisa co z egipskimi hieroglifami. Napis brzmiał:

„Już się zaczyna”.

Ellen ani przez sekundę nie miała wątpliwości, kto podrzucił kluczyk. Wiadomość, którą nieznajomy pozostawił na wieszaku, nie była aż tak straszna, jeśli zestawić ją z tekstami wypisywanymi przez niektórych pacjentów. W porównaniu z nimi stwierdzenie „Już się zaczyna” uznała za prawie niewinne.

Najgorsze było jednak to, że kluczyk znalazła na stoliku. W swoim mieszkaniu!

– A więc byłeś tutaj!

Petra Wagner, gospodyni domu, otworzyła drzwi po drugim dzwonku. Na początku wyglądała na zdenerwowaną, ale kiedy rozpoznała Ellen, na jej twarzy pojawił się wyraz troski.

– Dzień dobry, co się z panią dzieje? – spytała. – Jest pani biała jak ściana.

– Nic groźnego – odparła Ellen. – To zwykła migrena.

– Z powodu pogody?

– Całkiem możliwe. Ciągle mnie dopada.

– Aha – mruknęła gospodyni. – Myślałam, że jest pani kolejną osobą, którą dopadło wirusowe zapalenie układu pokarmowego. Dziesięć minut temu przepychałam muszlę u Singerów. Zupełnie zapchana! Że też faceci muszą zawsze zużyć na jedno posiedzenie pół rolki papieru! Zajęło mi to pół godziny. I to przed jedzeniem. Od kilku godzin nic w ustach nie miałam. A propos, ugotowałam trochę makaronu. Jeśli pani ma ochotę...

– Nie, dziękuję – odparła Ellen, przerywając potok słów pani Wagner. Od kiedy jej mąż uciekł z młodszą od niego o piętnaście lat uczennicą szkoły pielęgnarskiej, pani Wagner żyła samotnie i wykorzystywała każdą okazję, żeby z kimś porozmawiać. – Chciałabym panią tylko o coś spytać.

– No jasne, do rzeczy.

– Czy pani wpuszczała kogokolwiek do mojego mieszkania?

Pani Wagner gwałtownie poczerwieniła.

– To on pani nic nie powiedział? – spytała.

Ellen poczuła gwałtowne uderzenia tętna.

– K t o ?

– Wie pani, zazwyczaj takich rzeczy nie robię, to znaczy nie wpuszczam nikogo do cudzych mieszkań. Sama też do nich nigdy nie wchodzę, chyba że ktoś mnie o to poprosi, na przykład żeby podlać kwiatki albo coś w tym stylu. Musi mi pani wierzyć. Oczywiście, że mam uniwersalny klucz, ale tylko w awaryjnej sytuacji...

– Pani Petro, proszę – przerwała jej Ellen. Starła się zapanować nad sobą, żeby nie wybuchnąć. – Kto był w moim pokoju?

– Mark. Chodzi mi oczywiście o doktora Behrendta. Był tu przedtem, zanim poszłam do Singera. Pytał, czy jest pani w domu, bo nikt nie otwiera drzwi. Powiedział, że się martwi, bo już rano była pani taka blada, a na oddziale, gdzie pani pracuje, zdarzył się...

Resztę słów pani Wagner Ellen puściła mimo uszu.

A więc to był Mark! Jeśli miała jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, teraz wszystko stało się jasne. To Mark jest mężczyzną z lasu, panem Marlboro z nieświeżym oddechem. To on jest Czarnym Ludem, tym palantem ze szpiczastym kolanem, który skakał jej po plecach, groził jej, straszył ją, a na koniec oblizwał jej ucho.

Nie zwracając uwagi na paplającą panią Wagner, Ellen spojrzała na zegar ścienny.

Niedługo Mark kończy dyżur, pomyślała. Najwyższy czas poznać prawdę.

Rozdział 17

– Cześć.

Mark odwrócił się przestraszony. Kluczyk od samochodu spadł mu na ziemię. W jego spojrzeniu było coś, czego Ellen nie potrafiła z początku rozszyfrować. Może przeczuwał, że się wszystkiego domyśla? Jednak po chwili na twarzy Marka pojawił się uśmiech i wyraz ulgi.

– Ellen! Gdzieś ty się podziewała? Martwiłem się o ciebie.

– Naprawdę?

Nigdy wcześniej Ellen nie była tak nieufna wobec drugiego człowieka jak teraz. Od lat jest psychiatrą i wie, co czuje osoba okłamana albo taka, która myśli, że została okłamana. Wiedziała też, że istnieje pewien rodzaj instynktu umożliwiający rozpoznanie kłamstwa. Jednak przyjazne zachowanie Marka i wyraz ulgi na jego twarzy sprawiły, że prawie mu uwierzyła.

Prawie.

Bo w tej samej chwili przypomniała sobie słowa jednej z pacjentek: „Czasami człowiekowi udaje się tak długo oszukiwać samego siebie, że w końcu zaczyna wierzyć we własne wymysły”.

– Oczywiście, że tak. Kiedy się dowiedziałem, że Fleischer wysłał cię na przymusowy urlop...

– On mnie zawiesił – przerwała mu Ellen, równocześnie zaciskając mocno dłoń na pojemniku z gazem pieprzowym w kieszeni kurtki. Jeśli Mark wpadnie nagle na pomysł, żeby zamienić się w Kubę Marlboro, jest na to przygotowana. – Po wizycie policji ktoś mu chyba opowiedział, co się wydarzyło na oddziale. Musiał to być ktoś, z kogo opinią Fleischer się liczy. Ktoś, kto mógł go przekonać, że coś jest ze mną nie w porządku. Dzięki temu ten ktoś będzie mógł się dalej ze mną bawić w swoje brudne gierki. A może to ktoś, kto mi wcześniej doradził, żeby o wszystkim poinformować Fleischera? Uważam, że wszystko to zawdzięczam tobie.

– Mnie? To przecież...

– O co tu, do cholery, chodzi? Dlaczego mi to wszystko robisz? – spytała Ellen.

Nigdy by nie uwierzyła, że Mark potrafi być tak znakomitym krętaczem. Najpierw ta jego udawana przyjaźń, potem udawana ulga, a teraz jeszcze ten zwodniczy wyraz zaskoczenia na twarzy.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– W takim razie odświeżę ci pamięć. Byłeś dzisiaj w lesie, prawda? Byłeś też w moim mieszkaniu.

Mark skinął głową.

– Już mówiłem, że się o ciebie martwiłem.

Powiedz to jeszcze ze dwa razy, a sam w to uwierzysz. Niezła sztuczka!

– Po tym, co wydarzyło się rano, i po twojej rozmowie z Fleischerelem, z którą na pewno nie mam nic wspólnego, chciałem się dowiedzieć, jak się czujesz.

– Oczywiście, że chciałem się tego dowiedzieć. I dlatego pobiłem mnie w lesie i zostawiłeś w moim mieszkaniu jakąś dziwną wiadomość?

Mark spojrzał na nią wielkimi oczami.

– Ja cię pobiłem?

– Tylko mi nie mów, że już zapomniałeś o naszej wspólnej jeździe.

– O czym?

– Co cię łączy z tamtą kobietą?

– Na miłość boską, Ellen, o jakiej kobiecie mówisz?

– O mojej zaginionej pacjentce! – krzyknęła Ellen. Z samochodu oddalonego mniej więcej pięćdziesiąt metrów od nich wysiadała jakaś kobieta. Słyszając krzyk, spojrzała na nich niepewnym wzrokiem. – Sam najlepiej powinieneś o tym wiedzieć.

– Powoli – powiedział Mark, podnosząc ręce, jakby ją zaklinał. – Tylko powoli. Tak, byłem w twoim mieszkaniu. Otworzyła mi Petra, bo nikt nie odpowiadał na dzwonek, a ja słyszałem za drzwiami jakieś szmery. Myślałem, że coś ci się stało, bo...

– Petra o wszystkim mi opowiedziała.

– Świetnie, w takim razie na pewno ci też powiedziała, że w twoim mieszkaniu nie byłem nawet przez pół minuty.

Tyle też wystarczy, żeby położyć kluczyk na stole.

– Musisz mi powiedzieć całą prawdę. Mam już po dziurki w nosie tej zabawy. Czego chciałeś ode mnie w lesie?

– Pomyślałem, że tam biegasz. Chciałem z tobą porozmawiać. Niestety, długo cię nie było, a ja musiałem wracać do pracy.

– Na pewno... A więc wróciłeś do kliniki?

– Tak jest.

Ellen zaśmiała się gorzko.

– W takim razie moje mieszkanie odwiedził Czarny Lud, a gdy Petra cię do mnie wpuściła, po prostu wyparował. Do lasu przyjechałeś z czystej troski o mnie. I oczywiście nie wchodziłeś do lasu, tylko zostałeś na parkingu.

– W twoim mieszkaniu nikogo nie było – odparł Mark poirytowanym głosem. – A do lasu pojechałem tylko dlatego, że się o ciebie martwiłem. Rzeczywiście, do lasu nie wchodziłem.

– Może przestaniesz robić ze mnie idiotkę?

– Czy możesz mi w końcu wyjaśnić, o co ci chodzi? – spytał Mark, potrząsając głową. Schylił się i podniósł z ziemi kluczyk od samochodu.

– Nie za bardzo. Mam za to kilka dowodów, które w ciągu kilku następnych dni zmieniają kolor z sinego na czarny – odparła Ellen, czując, że zaczyna się trząść ze zdenerwowania. – No dobra, wyduś to wreszcie z siebie. Czemu nic nie mówisz?

Przez krótką chwilę panowała cisza. Dwaj pacjenci w dresach pielili róże rosnące przed wejściem na oddział patologii. Na parkingu zjawił się asystent, którego raz czy dwa razy Ellen spotkała w stołówce. Pozdrowił ją, wsiadł do samochodu i odjechał.

– Przykro mi to mówić – powiedział w końcu Mark – ale może z tobą rzeczywiście coś jest nie w porządku?

Ellen czuła, że narasta w niej złość i panika. Nie, Mark nic nie powie. Każe jej tu tak stać i będzie się z nią drażnił bez względu na to, czym się to wszystko skończy. A ona nie ma przeciwko niemu żadnych dowodów. Wprawdzie widziała go w lesie, ale kto jej uwierzy? Jej słowo przeciwko jego słowu.

Nie namyślając się ani chwili, wyszarpnęła z kieszeni pojemnik z gazem i podsunęła mu go pod twarz.

– Chcę natychmiast usłyszeć, dlaczego pobiłeś mnie w lesie, po co przyniosłeś mi kluczyk do mieszkania i kim były tamta kobieta i dziewczynka w lesie. Co cię łączy z moją pacjentką? Dlaczego ją uprowadziłeś?

Jeśli Mark odczuwał niepokój – a na pewno tak było, bo jako lekarz orientował się, jak wygląda ktoś, kto dostał gazem pieprzowym po oczach – to teraz potrafił go ukryć.

– Szkoda, że się teraz nie widzisz – powiedział, a Ellen wyczuła w jego głosie pogardę. – Czy ty naprawdę wierzysz, że chcę cię załatwić? Poważnie myślisz, że to ja powiadomiłem dyrektora o tamtym zdarzeniu?

– Jeśli nie ty, to kto? Kim był mężczyzna, który tuż przed twoim odjazdem przybiegł z lasu na parking? Na pewno go widziałeś, jeśli nie ty nim byłeś.

Mark sięgnął powoli do kieszeni kurtki. Ellen zacisnęła palce na pojemniku z gazem. Kiedy ujrzała, że Mark wyciąga paczkę papierosów, opuściła wyprostowane ramię.

To nie pan Marlboro, podpowiadał jej wewnętrzny głos. To pan Camel.

Co to zresztą za różnica?

Mark zapalił papierosa i wypuścił dym przez nos.

– Aha, a więc to ja pobitem w lesie moją koleżankę z pracy.

I na dodatek sprawiło mi to przyjemność, bo coś takiego mnie rajcuje. To ja porwałem chorą na schizofrenię kobietę i małą dziewczynkę, bo daje mi to poczucie władzy. Czy ty naprawdę nie wiedziałaś, że jestem psychopatą?

Może to prawda, pomyślała Ellen. Może Mark wyjawiał jej przed chwilą w tak cyniczny sposób całą prawdę? No bo co ona o nim wie? Obserwowała go, gdy spokojną dłonią unosił papierosa do ust. Czy to te usta zbliżyły się do jej ucha i szeptały różne sprośności? Czy to te dłonie pobiły kobietę bez nazwiska?

Może największą przyjemność sprawia mu bicie kobiet, gdy łamie ich opór i czeka, aż zaczną go błagać, żeby skończył swoje perwersyjne gierki?

Czuła się tak, jakby chwyciła ją jakaś potężna niewidzialna ręka i z całej siły ją miażdżyła.

Mark potrząsnął gniewnie głową.

– Droga Ellen, bardzo mi przykro, że muszę ci to powiedzieć, ale cierpisz na poważną paranoję.

Po tych słowach wsiadł do samochodu i zatrzasnął za sobą drzwi. Tyłem wyjechał z zajmowanego miejsca, ale zanim ruszył w stronę wyjazdu z parkingu, Ellen zablokowała mu drogę.

– Powiedz mi w końcu prawdę – krzyknęła, opierając się rękami o maskę samochodu. – Przecież musiałeś widzieć tamtego człowieka!

Mark spoglądał na nią przez szybę niewzruszony.

– Chcesz, żebym sama siebie uznała za wariatkę, tak? Powiedz tylko dlaczego. Co ja i tamta kobieta ci zrobiłyśmy?

Mark włączył wsteczny bieg i cofnął o kilka metrów. Dodał gazu, przejechał obok Ellen i wyjechał z parkingu.

Ellen stała, drżąc na całym ciele, i obserwowała czarne volvo. W chwili gdy Mark skręcał na trasę szybkiego ruchu, zadzwoniła jej komórka. Odebrała prawie automatycznie.

– Witaj, Ellen – usłyszała głos Czarnego Luda. – Czy znalazłaś mój prezent?

W pierwszym momencie odjęło jej mowę, ale po chwili dał o sobie znać rozsądek.

Nie słyhać odgłosów jazdy, pomyślała. Mark jest teraz na trasie szybkiego ruchu, ale w słuchawce nie słyhać ruchu ulicznego ani dźwięku silnika!

– Jesteś tam jeszcze? – spytał głos.

– Niech mi pan w końcu powie, kim pan jest!

– Musiałaś mieć dzisiaj okropny dzień, prawda? Świetnie cię rozumiem. Na dodatek byłaś taka pewna, że to Mark jest mną. I właśnie dlatego do ciebie dzwonię. Marnujesz cenny czas, moja droga. Kiedy to w końcu zrozumiesz?

Ellen chciała coś powiedzieć, krzyknąć, żeby w końcu powiedział, czego od niej chce, ale zanim zdążyła to zrobić, w telefonie rozległy się trzaski. Z początku sądziła, że połączenie zostało przerwane. Kiedy jednak usłyszała kobiecy głos, zrozumiała, że jej rozmówca podał telefon komuś innemu.

– Proszę!

Żalodne błaganie. Ellen rozpoznała głos swojej pacjentki. Tak, to tamta kobieta bez nazwiska! Jednak tym razem jej głos o wiele bardziej przypominał głos dziecka, które śmiertelnie się boi.

– Proszę, zrób, co ci każe – zaszlochała kobieta. – On mi sprawia ból. Już nie wytrzymam. Proszę!

– Gdzie pani jest? – spytała szybko Ellen. Serce jej biło, jakby była pod wpływem kofeiny.

Zanim kobieta zdążyła odpowiedzieć, Ellen ponownie usłyszała głos porywacza.

– Ciągłe grasz ze mną nie fair. A ona ma absolutną rację. Dalej będę jej sprawiał ból, jeśli nie weźmiesz udziału w grze. Wielki ból, rozumiesz? W porównaniu z nim nasza randka była zwykłą dziecinadą.

Ellen usłyszała w tle krzyk kobiety. Nie wiedziała tylko, czy krzyczy z bólu, czy ze strachu przed nim lub przed czymś, co jej pokazał, grożąc torturami. Wiedziała jednak, że krzyk kobiety długo będzie ją prześladował.

– Już dobrze – zawołała szybko do słuchawki. – Wezmę udział w tej grze. Zgadzam się!

Zapadło milczenie. Gdzieś daleko szlochała kobieta. W tle słychać było dziwny, metaliczny dźwięk. Jak brzęczenie blachy, któremu towarzyszy wysoki szum. Ellen odniosła wrażenie, że już gdzieś takie dźwięki słyszała. Tylko gdzie?

– W porządku. Daję ci jeszcze jedną szansę. Tylko nie wolno ci już marnować więcej czasu. Ludzka wytrzymałość ma swoje granice. Wykorzystaj mój prezent.

– Zrobię to, obiecuję! – odparła Ellen. Wiedziała, że musi go jeszcze choć przez krótką chwilę zatrzymać przy telefonie, żeby sobie przypomnieć, gdzie słyszała dziwny dźwięk, który słyszy w tle. – Proszę jej nie krzywdzić, dobrze?

Niestety, zamiast odpowiedzi usłyszała sygnał zakończenia połączenia. Klnąc na czym świat stoi, Ellen zaczęła przewijać menu w swoim telefonie. Wybrała „Odebrane połączenia”, ale i tym razem okazało się, że numer, z którego dzwonił nieznajomy mężczyzna, nie wyświetlił się.

Ellen zrozumiała, że Czarny Lud, dupek ze szpiczastym kolanem – nieważne zresztą, jak się nazywa – aktywował ukrywanie własnego numeru telefonu.

A czego się spodziewałaś? Że poda ci numer i zaprosi cię do swojego operatora, który wyjawy ci jego imię i nazwisko?

Wprawdzie Ellen tego nie oczekiwała, ale miała przez krótką chwilę nadzieję, że tak właśnie będzie. Jak kiedyś, gdy jej rozpoznanie choroby okazało się błędne, chociaż wydawało się, że wyniki laboratoryjne potwierdzają słuszność jej diagnozy.

Nie, bez względu na to, kim jest ów szaleniec, na pewno nie działa bez zastanowienia. Zażartował sobie z niej i skierował jej podejrzenia na Marka. Bawiło go, że Ellen Roth zaczyna stopniowo zauważać u siebie symptomy paranoi. Ellen Roth, lekarz psychiatra, cierpi na manię prześladowczą. Świetny dowcip.

W jej głowie trwała burza myśli. Jeśli nie Mark jest tym szaleńcem, to kto nim jest?

Może to któryś z jej byłych pacjentów? Wprawdzie lekarzem jest od niedawna, ale zdążyła poznać w tym czasie kilku naprawdę porąbanych psychopatów.

Jeden z nich całymi wieczorami onanizował się przed swoją całkowicie sparaliżowaną matką. Przyłapała go na tym i zgłosiła ten fakt w szpitalu dochodząca opiekunka, która niespodziewanie wróciła do domu, bo zapomniała czegoś zabrać.

Inny pacjent, który cierpiał na zaburzenia psychotyczne, zabrał z ulicznej budowy młotek i rozbił nim czaszkę przypadkowemu przechodniowi. Potem twierdził, że zamiast twarzy tego człowieka ujrzał świński ryj, który uśmiechał się do niego szyderczo.

Jednak najbardziej zapadła jej w pamięć historia pewnej pacjentki. Posłuszna głosowi, który słyszała w głowie, wcisnęła swoją trzytygodniową córkę głową do sedesu. Wpychała ją z tak wielką siłą, aż złamała jej kości podstawy czaszki. Później zaatakowała jednego z terapeutów. Stało się to podczas zajęć terapeutycznych, gdy cała grupa była zajęta przygotowaniem kolażu z filcu i papieru kolorowego. Pacjentka wbiła terapeutę w bok

nożyce tapicerskie, które przez nieuwagę zostawił na wierzchu po rozcięciu zwoju filcu. Mało brakowało, a ostrze przebiłoby mu prawą nerkę.

Tak, w jej zawodowym życiu nie brakuje psychopatów – ludzi, którzy z powodu zaburzeń w funkcjonowaniu mózgu stali się nieobliczalnymi potworami. Być może któryś z nich próbuje teraz wpędzić ją w szaleństwo.

Prawie mu się to udało. Mój kolega z pracy uważa, że dojrzałam do tego, aby trafić do domu wariatów. Gdybym nie miała siniaków na klatce piersiowej i ramionach, a zwłaszcza po prawej stronie pleców, prawdopodobnie sama bym uznała, że ma rację.

Jeśli ból, który nadal odczuwa, ma jej się do czegoś przydać, to chyba tylko jako potwierdzenie, że nie wymyśliła nieznanego mężczyzny – bez względu na to, kim jest – i że nie wmówiła sobie istnienia bezimiennej kobiety i dziewczynki z lasu.

Skąd jednak ów nieznanomy miał numer jej telefonu? Podała go tylko dwóm dobrym przyjaciółom i kilku kolegom z pracy, z którymi w razie konieczności musi przeprowadzać konsultacje medyczne. Czy to oznacza, że to właśnie któraś z tych osób jest tym psychopatą?

Po fatalnym błędzie, jakim było podejrzenie Marka – ma teraz z tego powodu coraz więcej wyrzutów sumienia – Ellen postanowiła, że nie będzie już obwiniać kogokolwiek ze swego bliskiego otoczenia.

Najprostsze wyjaśnienie jest oczywiście takie, że ów ktoś dostał jej numer telefonu od kogoś z jej znajomych. Nie musiało się tak stać z konkretnego powodu. Ktoś mógł na przykład zostać na krótką chwilę w pokoju zabiegowym z telefonem osoby, która ma zapisany jej numer w kontaktach. Tak to mogło wyglądać.

Nie wolno jej tracić więcej czasu, powiedział Czarny Lud. Faktycznie, nie ma innego wyjścia. Jeśli nie będzie z nim grać – jak to określił – „fair play”, znowu zacznie torturować tamtą kobietę. Dziewczynce też pewnie nie odpuści. Tak, musi wziąć udział w jego grze. Jedyna szansa na wygraną to poznanie jego prawdziwej tożsamości. Sama potrzebuje tej szansy, żeby się przed nim chronić.

Jednak najważniejsze w tym wszystkim są dwie istoty ludzkie: kobieta i dziewczynka. Strach o ich los sprawił, że Ellen znowu poczuła, jak zgniata ją jakaś niewidzialna ręka.

Musisz się skupić! Nie pozwól, żeby zawładnął tobą strach, przekonywał ją wewnętrzny głos. Ellen przyznała mu rację.

Musi mieć teraz jasny umysł i znaleźć dowód, dzięki któremu pozna prawdziwą tożsamość Czarnego Luda. A wtedy uwierzy jej i Mark, i policja. Powinna teraz zadzwonić do Marka i przeprosić go, opowiedzieć o nowych wydarzeniach. No tak, ale czy on jej uwierzy, skoro całkiem niedawno nazwała go psychopatą? Wolała tego nie sprawdzać. Już i tak zachowała się jak słoń w składzie porcelany.

Dopóki się nie dowie, kim jest Czarny Lud, musi polegać na samej sobie i wziąć udział w jego grze.

„Ludzka wytrzymałość ma swoje granice”, przypomniała sobie słowa Czarnego Luda. „Już się zaczyna”.

Rozdział 18

Mężczyzna siedzący przy ladzie w punkcie usługowym firmy Mister-Minit był podobny do człowieczka z logo tej sieci punktów naprawy butów i dorabiania kluczy widniejącego na świetlnej reklamie nad stoiskiem – nawet włożył bluzę w takim samym niebieskim kolorze. Miał czarne, wesołe i czujne oczy, czesane na bok włosy i minę, jakby chciał spytać: „Czym mogę pani służyć?”.

No tak, pomyślała Ellen, brakuje tylko, żeby powiedział: „Voilà”.

Pan z firmy Mister-Minit miał na imię Rashid. Właśnie takie imię widniało na tabliczce stojącej na ladzie. Radość, która biła od niego już z daleka, sprawiała, że pośród zamieszania, jakie panowało w hali, jego stoisko przypominało oazę spokoju.

– Dobry wieczór – powiedział melodyjnym tonem. Odłożył damski pantofel, z którego wcześniej usunął fragment złamanego obcasa. – Czym mogę służyć?

Chociaż Ellen nadal czuła ból w plecach i uważała, że to najgorszy dzień w jej życiu – bo o nadchodzących dniach wolała nawet nie myśleć – nie mogła się powstrzymać od równie czarującego uśmiechu.

– Mam tutaj kluczyk i chciałabym się dowiedzieć, do jakiego zamka pasuje – powiedziała, kładąc kluczyk na ladzie.

– To żaden problem – odparł mężczyzna.

Ostrożnie unióś kluczyk, jakby miał do czynienia z jakimś cennym przedmiotem.

– Świetnie znam ten rodzaj kluczy – powiedział, oglądając go ze wszystkich stron. – Ludzie trzymają w domach mnóstwo kluczy, wielu z nich od dawna nie używają, ale mimo to nie chcą się ich pozbyć, bo myślą, że kiedyś mogą im się jeszcze przydać. I nawet nie pamiętają, do czego one pasują. Jeśli chodzi o ten klucz, powiedziałbym, że... hm... tak, jestem prawie pewien... tak, absolutnie, to kluczyk do skrzynki pocztowej.

Ellen uniosła brwi ze zdumienia.

– Jest pan absolutnie pewien?

– Tak jest. Widzi pani, tutaj jest wytłoczona nazwa producenta. Ta firma produkuje wyłącznie kluczyki do skrzynek pocztowych, ale za to w różnych kształtach i kolorach.

– A h a .

Rashid oddał jej klucz.

– Czy mogę jeszcze coś dla pani zrobić?

– Czy można sprawdzić, do jakiej skrzynki pasuje?

Mężczyzna zrobił smutną minę i potrząsnął głową.

– Obawiam się, że przekracza to moje skromne możliwości – odparł.

Ellen podziękowała mu, podeszła do budki z pączkami i zamówiła kubek kawy. Stała w zamyśleniu, popijała zbyt gorący napój i obracała kluczyk między palcami.

Na całym świecie istnieją miliardy takich skrzynek pocztowych. Nawet jeśli ograniczy się wyłącznie do tego miasta, jest ich zbyt wiele. Skąd, na miłość boską, ma wiedzieć, do której skrzynki pasuje jej klucz?

I znowu poczuła wzbierającą złość. Ten psychopata pewnie się z niej teraz głośno naśmiewa, bo dał jej zadanie, którego nie można rozwiązać. Będzie się śmiał, a tamta kobieta... Nie, lepiej nie będzie o niej teraz myśleć.

Musisz się skupić tylko na tym zadaniu. Dopóki nie znajdziesz innego punktu zaczepienia, nie masz innego wyjścia. Skoncentruj się.

Kluczyk. Skrzynka na listy. To pewnie jakaś logiczna zagadka. Facet jest wprawdzie psychopata, zwłaszcza jeśli chodzi o sposób traktowania kobiet, ale nie jest zwykłym

głupkiem, bo w przeciwnym razie jak zdołalby uprowadzić pacjentkę z zamkniętego oddziału psychiatrycznego? Jest tego najzupełniej pewna.

Kluczyk. Skrzynka na listy. Skrzynka na pewno znajduje się w miejscu, które zna. Tylko pod takim warunkiem ma to sens.

Kluczyk. Skrzynka na listy.

Kluczyk. Skrzynka na listy.

Skrzynka na listy...

Rozdział 19

W samo południe zapanował nieznośny upał. Słońce prażyło na bezchmurnym niebie, oblewając blaskiem niekończące się pola pszenicy. Słychać było monotonne tykanie świerszczy, kłosa zbóż stały nieruchomo, czekając na zbliżające się żniwa. Z otworu w ziemi wyrzała nornica wyglądająca deszczu – podobnie jak gleba, w której wygrzebała swoją norę. Kiedy ujrzała cień Ellen, błyskawicznie zniknęła pod ziemią.

Gdzie ja jestem? pomyślała Ellen. Było jednak zbyt gorąco, żeby się nad tym głębiej zastanawiać.

– Witam panią ponownie – usłyszała za sobą znajomy głos.

Ellen prawie się nie zdziwiła, gdy ujrzała za sobą swojego zmarłego mentora. Profesor Bormann siedział na zwalonym pniu starego dębu, który przed wielu laty stał na granicy posiadłości. Nad następnym pniem topił się cyferblat zegara, który zamiast tradycyjnych godzin pokazywał dwa dni. Wygięta wskazówka ledwo minęła pierwszy dzień.

– *Czy to kolejny sen na jawie?* – spytała Ellen.

– *Zależy, jak do tego podejść* – odparł Bormann, wycierając chusteczką pot z bladego czoła. – *Wprawdzie wie pani, że to sen, ale tym razem nie może na niego wpłynąć. Nadszedł czas, żeby dokonać pewnego odkrycia.*

– *Czy mogę zadać panu pytanie?*

Bormann wykonał zachęcający gest i dopiero teraz Ellen ujrzała, jak bardzo profesor jest wysuszony w jej śnie. Dawniej, w życiu realnym, też był chudy, ale nigdy aż tak, jak w obu jej snach.

– *Śmiało, moja droga, proszę pytać.*

– *Czy fakt, że ciągle spotykam pana w moich snach i że są one tak surrealistyczne, oznacza, że tracę rozum? Czy ja popadam w obłąd?*

Profesor uśmiechnął się do niej, a na jego policzkach utworzyły się dwa głębokie dołki.

– *Sny zawsze są surrealistyczne, taka jest ich natura. Pani przebywa w tej chwili po drugiej stronie rzeczywistości. Wszystkie sny – jeśli wolno mi to tak ująć – są wycieczką w sferę szaleństwa. Nie sądzę jednak – i to będzie moja odpowiedź na drugie pytanie – żeby cierpiała pani na jakąś chorobę umysłową. Jest pani... no cóż, powiedzmy to sobie wreszcie – troszkę zaplątana i musi ciągle na siebie uważać. Tylko tyle i nic więcej. Coś takiego można doprowadzić do stanu równowagi. Wystarczy tylko trochę odwagi, żeby się nad tym zastanowić.*

Profesor Bormann uśmiechnął się do Ellen, a ona odwzajemniła jego uśmiech.

– *Zresztą może się zdarzyć tak* – dodał martwy profesor, wykonując przy tym smutny gest – *że to, co pani ujrzy, nie będzie się pani podobać. Ale przecież nie wszystko, co nam pomaga, musi koniecznie być miłe. Prawda?*

– *Co pan ma na myśli?*

Bormann skinął głową w stronę wielkiej stodoły, która stała przy polu pszenicy.

– *Proszę spojrzeć, na przykład tam. Czy widzi pani to bajoro?*

– *Tak.*

– *Proszę mu się przyjrzeć dokładniej.*

Po tych słowach profesor wstał i powłókł się w kierunku przeciwnym do miejsca, gdzie stała stodoła. Ellen chciała go poprosić, żeby został, ale w czasie swojego ostatniego snu zauważyła, że jej prośby niewiele dają. Bormann stanowił jedynie prolog do takiego snu jak ten. Sam jej o tym ostatnim razem powiedział.

Ten sen stanowił dla niej gwarancję – co było przecież bardzo ważne – że nic jej się nie przydarzy. Że nie grozi jej niebezpieczeństwo. Mimo to, idąc w stronę bajora, nie czuła się

zbyt pewnie. Odkrycia też mogą być groźne, czyli – jak powiedział Bormann – „nie wszystko, co nam pomaga, musi koniecznie być miłe”.

Z tak dużej odległości bajoro przypominało rów, w którym woda błyszczała jak brudne szkło. Kiedyś musiała sięgać samego brzegu, ale po tylu gorących dniach trochę jej ubyło.

Im bardziej Ellen zbliżała się do bajora, tym wyraźniej widziała stojącą w nim wodę. W niektórych miejscach na jej powierzchni wszystkimi kolorami tęczy połyskiwał olej; po chwili woda znowu robiła się czarna i wypuszczała dziwne białe bąble, które z początku przypominały wypłowiwały pęcherz żaby. A może to była wielka ropucha?

Dopiero gdy Ellen stanęła nad samym bajorem, a jej cień skrył się w blasku wody, ujrzała, że to, co wydobywa się na powierzchnię, to nie są ani bąbelki powietrza, ani pęcherze.

Z przerażeniem spoglądała na dwadzieścia gałek ocznych, które pływały po bajorze zanurzone do połowy w wodzie. Wszystkie patrzyły w kierunku stodoły.

Ellen też tam spojrzała i zobaczyła ogromną skrzynkę pocztową w kolorze jaskrawych płomieni ognia. Od razu ją poznała. Była taka sama jak ta, którą poprzedniego dnia widziała w realnym życiu. Na drzwiach państwa Janov.

Jakby na potwierdzenie jej przypuszczeń obok skrzynki pojawiła się nagle Silvia Janov i zaczęła na nią patrzeć z twarzą wykrzywioną bólem. Wyglądała jak sparaliżowana, nie potrafiła wykonać najmniejszego ruchu.

Obok niej siedział czarny pies i ze spokojem obgryzał kawałek ciała z dłoni znieruchomiałej ze strachu kobiety.

Ellen drgnęła gwałtownie i stwierdziła, że znowu znajduje się w swoim łóżku. Rozejrzała się w poszukiwaniu Silvii Janov i wielkiego psa. Nadal ich przed sobą widziała, w odległości zaledwie kilku kroków od siebie. Miała wrażenie, że pies jest bliżej niż w rzeczywistości, prawie czuła zapach gliny i smród zgnilizny.

Na szczęście po chwili okazało się, że patrzy na zdjęcie z urlopu wiszące na ścianie. Przedstawiało ją i Chrisa na tle świątyni na wyspie Bali.

Letni upał, stodoła i smród znikły. Stały się tylko wspomnieniem, podobnie jak cały sen.

Ellen czuła, jak krew pulsuje jej w skroniach. Towarzyszył temu silny ból głowy. Kilka razy głęboko odetchnęła i nagle zrobiło jej się niedobrze.

Zdażyła dobiec do łazienki, szybko uniosła klapę sedesu i zwymiotowała. Jej żołądek kurczył się i rozkurczał, jakby chciał zwrócić całą zawartość, a może nawet coś więcej. Ellen czuła się tak, jakby się dusiła. W końcu skurcze ustały.

Spuściła wodę i usiadła na podłodze obok sedesu. Migrena dokuczała jej coraz bardziej i wypełniała głowę szumem, który przypominał wysokie dźwięki kamertonu.

– Co się ze mną dzieje? – szepnęła, ocierając łzy z oczu.

To ponad twoje siły, odparł wewnętrzny głos. On też był zmęczony, wyczerpany i wypłukany z sił.

Po chwili odezwał się drugi, bardziej wojowniczy głos, który kazał jej się wziąć w garść.

Przecież nie pozwolił, żeby ten krętać cię tak dołował!

Oczywiście, że mu na to nie pozwoli. Chyba taki ma cel. Chce ją wykończyć.

Nie pozwolę na to.

Ellen uniosła się z trudem z podłogi. Czuła się osłabiona, drżała na całym ciele. Poszła do kuchni i nalała sobie szklanek wody. Potem otworzyła drzwi na taras.

Nocne rześkie powietrze dobrze jej zrobiło. Pojedyncze okna sąsiednich domów rozbłyskiwały światłem. Ellen wyszła na taras, poczuła pod stopami chłód posadzki i kilka razy głęboko odetchnęła. Przyłożyła do czoła szklanek z zimną wodą i prawie w tej samej chwili szum ustał.

Od razu poczuła się lepiej. Przez chwilę stała nieruchomo, rozkoszując się nocną ciszą. Drobnymi łykami popijała wodę ze szklanki. Czuła się coraz lepiej. W chwili gdy chciała wrócić do mieszkania, kątem oka ujrzała jakiś cień na ziemi.

Nie był zbyt duży. Wyglądał jak ciemna poduszka położona na brzegu tarasu, obok jednego z krzaków rosnących w ogródku. Czasem zdarzało się, że nagły podmuch wiatru wrzucał do jej ogródka jakąś część ubrania wywieszoną na sznurze albo lekki przedmiot.

Ellen podeszła z ciekawością do cienia. Kiedy ujrzała, co się w nim kryje, wydała z siebie przeraźliwy okrzyk.

Rzuciła się do tyłu i wpadła na ogrodowy stolik. Szklanka wysliznęła się z jej ręki, upadła na kamienny taras i roztrzaskała się.

– Czy czuje się pani lepiej?

Policjant, który przedstawił się jako Rainer Wegert, stał przy drzwiach do kuchni i spoglądał na nią zatroskanym wzrokiem.

Ellen skinęła głową, a policjant obdarzył ją krótkim uśmiechem, jakby chciał ją podtrzymać na duchu. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie zwykłego mięśniaka. Wystarczyło jednak, że powiedział kilka słów, a Ellen stwierdziła, że jest o wiele bardziej sympatyczny niż Kröger, z którym rozmawiała poprzedniego dnia.

Po jej telefonie na policję Wegert dość szybko zadzwonił do jej drzwi. Wysłuchał, co miała do powiedzenia na temat znaleziska na tarasie, i dopiero wtedy tam poszedł. Tymczasem Ellen włączyła ekspres do kawy i przyglądała się, jak czarna ciecz ścieka do szklanego dzbanka. Nalała napój do dwóch filiżanek – dla siebie i Wegerta – i w tym samym momencie przyszło jej na myśl, że krew Sigmunda w ogrodzie też miała czarny kolor. Z obrzydzeniem odstawiła swoją filiżankę na stół.

– Dobrze robi – powiedział Wegert, popijając łyk kawy. – Czy to była pani kotka?

– Kot. Sigmund był kocurem. Nie, właściwie nie należał do nikogo, ale ostatnio najczęściej przebywał u nas.

– U nas?

– Tak. W dni robocze mieszkam tu z moim przyjacielem. Teraz jest akurat na urlopie.

– Zazdroszczę mu – powiedział Wegert. Zabrzmiało to dość dwuznacznie. – Wróćmy jednak do kota. Czy cokolwiek zwróciło pani uwagę? Może coś pani usłyszała?

Ellen pokręciła głową.

– Nie, w tym czasie spałam.

Byłam na polu porośniętym pszenicą, pomyślała. Rozmawiałam z nieżyjącym już promotorem mojej pracy doktorskiej, gdy tamten bydlak podcinał kotu gardło.

– Naprawdę bardzo mi przykro – powiedział Wegert, spoglądając na nią ze współczuciem.

– Chyba tylko jakiś chory szaleniec mógł wpaść na pomysł, żeby podstępnie zabić bezbronne zwierzę. Moja córka też miała kota. Nie trwało to długo, bo mieszkaliśmy przy ruchliwej ulicy. Człowiek przywiązuje się do zwierzaka, a ten staje się po pewnym czasie jakby nowym członkiem rodziny. Niestety, nie mogę pani oszczędzić tej przykrej rozmowy.

Wegert położył na blacie kuchennym przezroczystą plastikową torebkę z nożem do krojenia mięsa w środku. Krew na ostrzu nie zdążyła jeszcze zaschnąć.

– Czy pani jest absolutnie pewna, że to pani nóż?

Ellen potwierdziła skinieniem głowy. Zbyt dobrze pamięta szczerbę na ostrzu. Nie minęło jeszcze pół roku od dnia, gdy wpadła na pomysł, żeby zamontować żyrandol w swojej sypialni. Przez nieuwagę – co Chris skomentował później słowami: „To typowe dla kobiet!” – zapomniała wyłączyć prąd. Kiedy usuwała izolację z kabla, poraził ją prąd. Od tamtej pory na ostrzu noża widnieje charakterystyczna szczerba.

Wegert spojrział na nią w zamyśleniu.

– Chyba pani wie, co to może oznaczać?

– Tak – odparła Ellen, czując, że dostaje gęsiej skórki. – Albo ten człowiek zabrał nóż za pierwszym razem, albo... był tu ponownie.

– Dziwne jest tylko to, że nie znalazłem śladów włamania. Czy nie zgubiła pani klucza do drzwi wejściowych?

– Nic o tym nie wiem. Ale jutro rano od razu wymienię zamek.

– To dobry pomysł. Nigdy nic nie wiadomo.

Wegert postawił pustą filiżankę obok zlewu i sięgnął po plastikową torebkę.

– Będę z panią szczerą – powiedział, wskazując jakby mimochodem na niebieską torbę na śmieci, w której znajdował się martwy kot. – Takie rzeczy zdarzają się ostatnio coraz częściej. Dla tak zwanych stalkerów to najlepsza pora. Dlatego wolałbym nie robić pani zbyt dużych nadziei, że znajdziemy sprawcę. Zbadamy odciski palców na nożu i porównamy je z tymi, które mamy w naszej bazie danych. Proszę jednak nie liczyć na wiele. Ale mogę zapewnić, że będziemy mieć pani mieszkanie na oku. Sam o to zadbam.

Ostatnie zdanie Wegert powiedział z emfazą. Ellen od razu nasunęło się skojarzenie z typowym gliną z amerykańskich seriali. Wegert wyjął z kieszeni płaszcz notes, włożył pod pachę plastikową torebkę z nożem – narzędziem zbrodni, jak tego rodzaju przedmioty określa się w kryminalistyce – napisał coś na kartce i podał ją Ellen.

– To numer mojego telefonu komórkowego – powiedział. – Może pani też oczywiście zadzwonić na komendę. Za każdym razem zjawię się na pani żądanie. Rozwiedziony mężczyzna ma dużo czasu. Proszę mnie jednak źle nie zrozumieć. Chcę tylko podkreślić, że poważnie podchodzę do swojej pracy.

– Myślę, że zrozumiałam pana we właściwy sposób. Dziękuję za troskę.

– Świetnie. Mój numer już pani ma.

Ellen doszła do wniosku, że świat chyba naprawdę zwariował. Jakiś chory psychopata zabił niewinne zwierzę tylko po to, żeby ją przestraszyć, a ten policjant nie ma nic lepszego do roboty, jak tylko ją podrywać.

– Kiedy ten stalker znowu da o sobie znać, będzie pan pierwszą osobą, którą o tym poinformuję.

– To dobrze. W naszym zawodzie napotykamy więcej brudu, niż płynie go w przeciętnej rurze kanalizacyjnej, jeśli tak to mogę ująć. Na takich zwyrodnialców jestem szczególnie uczulony. Proszę więc w razie czego zadzwonić, a ja zgotuję mu taki los, że się nie pozbiera. Może pani być tego pewna.

– Wiem o tym. Dobranoc.

Kiedy Wegert wyszedł i Ellen zamknęła za nim drzwi, poczuła taką samą ulgę, jak w chwili, gdy się zjawił. Wegert pomógł jej tylko pod jednym względem: zajął się martwym kotem, uwalniając ją od tego przykrego obowiązku. Dzięki temu nie musiała już dotykać biednego zwierzęcia, któremu tamten szaleniiec odciął głowę – trzymała się tylko na dwóch ścięgnach.

Wegert zdołał jej pomóc w ograniczonym zakresie, podobnie jak Kröger. Jediną osobą, która naprawdę może jej pomóc, jest ona sama. Najlepiej będzie, jeśli zacznie to robić od zaraz.

Rozdział 20

Ellen zaparkowała obok skrzyżowania, przy którym stał dom z mieszkaniem państwa Janov. Nocą cała ta dzielnica wydała jej się jeszcze bardziej niebezpieczna niż za dnia, chociaż nigdy wcześniej nie czytała w lokalnej prasie artykułów na temat tego, co dzieje się w tej okolicy. Część ulicy tonęła w kompletnych ciemnościach. Być może dlatego, że jedna latarnia nie świeciła. Dziwnym trafem budynek, w którym mieszkali państwo Janov, stał w ciemnej części ulicy.

Z oddali dobiegały wrzaski jakiegoś pijaka. Z jednego z mieszkań dochodziły głośne, męczące dźwięki rapu, a z sąsiedniego – odgłosy kłótni: jakaś para kłóciła się w obcym języku. Towarzyszył temu trzask tłuczonych naczyń.

Kiedy Ellen stanęła przed ogródkiem z wejściem do mieszkania państwa Janov, przyszło jej na myśl, że właśnie zamierza złamać prawo. Próbowana jakoś zagłuszyć w sobie to uczucie. Przyszła tutaj z powodu snu, co stoi w sprzeczności z jakąkolwiek zdroworozsądkową argumentacją, dzięki której mogłaby wyjaśnić, dlaczego tu wtargnęła. Z drugiej strony to jej jedyny punkt zaczepienia.

Oczywiście, że zagłędanie do skrzynek pocztowych należących do innych ludzi jest nielegalne, potwierdził jej wewnętrzny, bardziej bojowy głos; jeśli jednak chcesz się czegoś dowiedzieć, nie pozostaje ci nic innego, jak tylko sprawdzić, czy to rzeczywiście tylko sen, czy może jednak jakieś wspomnienie. Musisz tam iść. O tej porze dnia ci ludzie na pewno nie tylko śpią, ale są też pijani.

Ellen uznała, że powyższe argumenty brzmią przekonująco, chociaż fakt, że swoje własne myśli traktuje tak, jakby pochodziły od zupełnie innej osoby, nosił znamiona schizofrenii.

Przypomniała sobie, że zawiasy furtki prowadzącej do ogródka głośno skrzypią. A jeśli słyszała to skrzypienie za dnia, gdy ruch i hałas uliczny są większe, to teraz, w panującej nocą ciszy, będzie je jeszcze bardziej słychać. To tak, jakby nagle zatrąbiła głośno klaksonem. Przeszła więc przez płot i znalazła się w ogródku, obok stosu puszek po konserwach i plastikowych butelek. Pod osłoną krzaków podkrađła się pod skrzynkę pocztową.

Mimo półmroku panującego przed wejściem do mieszkania od razu zauważyła czerwoną skrzynkę. Z napięciem nasłuchiwała, czy z wnętrza domu nie dobiegają jakieś dźwięki. Jedno z okien rozświetlał blask telewizora. Zbliżając się do skrzynki, Ellen miała nadzieję, że Edgar Janov zasnął przed ekranem. W pewnej chwili coś przebiegło koło jej stopy. Kiedy zobaczyła, że to szczur, z trudem zapanowała nad krzykiem.

Tylko spokojnie, bez paniki, pomyślała.

Drżącą ręką wyjęła z kieszeni dzinsów kluczyk. W tym samym momencie na ulicę wjechało ciemne bmw i zatrzymało się z piskiem opon. Ellen uskoczyła za krzak, modląc się, żeby nie zobaczyć za nim szczura. Stojąc w ukryciu, obserwowała, jak z samochodu wychodzi dwóch młodych mężczyzn.

Słuchając ich głosów, domyśliła się, że rozmawiają w którymś z języków używanych w Europie Środkowo-Wschodniej. Jednemu z nich głośno się odbiło i wtedy ten drugi wybuchnął donośnym śmiechem, a następnie rozbił na asfalcie butelkę. Obserwując to wszystko, Ellen pomyślała, że najchętniej skreśliłaby mu kark. Tego tylko brakuje, żeby ten idiota stanął pod oknem państwa Janov i zaczął im śpiewać piosenkę na przebudzenie.

Niecałe dwie minuty później obaj mężczyźni weszli do sąsiedniego budynku. Ellen znowu zaczęła nasłuchiwać, czy z wnętrza mieszkania państwa Janov nie dobiegają jakieś odgłosy. Telewizor nadal był włączony, ale nie słyszała żadnych innych ludzkich głosów. Nie słyszała

też Edgara Janova ani jego żony. Najwidoczniej na tej ulicy wszyscy są przyzwyczajeni do nocnych hałasów.

Tym lepiej, pomyślała Ellen i znowu podkraśliła się pod skrzynkę pocztową. Spróbowała wetknąć kluczyk do dziurki i...

Nie pasuje!

To niemożliwe.

Musi pasować!

Mimo ciemności ponownie spróbowała wsunąć kluczyk do otworu w skrzynce, ale okazało się, że jest za mały.

Co teraz? Jeszcze przed chwilą była niemal pewna, że jej prześladowca miał na myśli właśnie tę, a nie inną skrzynkę. Na pewno tę, bo gdzie indziej miałyby szukać?

A może to kolejny wymysł jego chorej wyobraźni? Może dał jej wskazówkę, która w niczym jej nie pomoże? Nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Z każdą sekundą jej pobytu w tym miejscu rosło niebezpieczeństwo, że ktoś ją w końcu zauważy.

Ma dwie możliwości: zrezygnować albo...

W tym momencie przypomniała sobie, w jaki sposób otworzyła skrzynkę z bezpiecznikami w piwnicy kliniki. Wsunęła więc kluczyk w szparę nad zamkiem i użyła go jako dźwigni. Skrzynka była zrobiona z cienkiej blachy, więc Ellen doszła do wniosku, że da radę ją odgiąć. Za to kluczyk nie był aż tak wytrzymały i w końcu się złamał. Ellen wyjęła swój klucz od mieszkania i tym razem poszło lepiej. Udało jej się rozszerzyć otwór na tyle, że mogła weń wsunąć dłoń.

Nagle rozległ się trzask i skrzynka wylądowała na ziemi. Ellen wzdrygnęła się, rozejrzała szybko wokół siebie i zajrzała do skrzynki.

Pusta.

Nie, chwileczkę, coś w niej jest!

Na dnie skrzynki zauważyła niewielki kartonik, który przypominał wizytówkę. I rzeczywiście – była to wizytówka!

Niestety, z powodu ciemności Ellen nie mogła odczytać jej treści, ale sądząc po wypukłym nadruku i po grubości, na pewno nie była to jedna z wielu reklam, jakie codziennie można znaleźć prawie w każdej skrzynce pocztowej. Taka wizytówka nie pasowała do tej dzielnicy, gdzie jedyną rzeczą, jaką może zająć komornik, jest telewizor.

A więc to nie był żart, tylko kolejna wskazówka!

Nagle oświetlił ją jaskrawy strumień światła. Zasłoniła twarz ręką i oślepią spojrziała przez palce w stronę wejścia do mieszkania. W drzwiach stał Edgar Janov.

– Co ty tu robisz? – spytał.

Ellen nie miała czasu na wyjaśnienia. Nie miała też szansy, żeby natychmiast uciec. Zanim się spostrzegła, dostała cios prosto w twarz. Siła uderzenia rzuciła ją plecami na ziemię. Potoczyła się w bok, chciała wstać i wtedy dostała kopniaka w brzuch. Ból był nie do opisanego. Ellen skuliła się i przycisnęła ręce do brzucha.

W porównaniu z tym bólem, ten wczorajszy mogła określić jako bardzo słaby. Zanim zdążyła się zorientować, Janov rzucił się na nią. Złapał ją za włosy i pociągnął do góry. Ellen krzyczała z bólu i biła go pięściami, ale Janov zdawał się odporny na jej ciosy.

– Ty mała, wstrętne kurwo! – krzyknął, pchając ją na ścianę. – Czego tu szukasz?

Ellen z całych sił się szarpnęła i kopnęła go w udo. Wprawdzie celowała w inne miejsce, ale z powodu bólu nie trafiła. Mimo to jej kopnięcie odniosło spodziewany skutek, bo Janov jęknął i cofnął się. Ellen podbiegła do furki, ale stali tam dwaj mężczyźni, którzy wcześniej przyjechali samochodem. Teraz zagrodzili jej drogę ucieczki.

– Przepuście mnie! – zawołała.

Obaj uśmiechnęli się do niej szyderczo.

– Eddi, pozwolisz nam, jak już skończysz? – spytał jeden z nich.

Ellen ujrzała z przerażeniem, że Janov już się otrząsnął po jej kopnięciu i ruszył na nią. Chwilę potem znowu zadał jej cios w brzuch. Straciła szansę, żeby się stamtąd wyrwać. Złożyła się wpół jak szczyryk i z jękiem osunęła na kolana.

– Spadajcie! – powiedział Janov. – Kiedy z nią skończę, nie będzie już nikogo więcej chciała.

Ellen poczuła w ustach krew. Zrozpaczona próbowała wstać, ale na próżno. Ręce i nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Janov znowu chwycił ją za włosy i podciągnął jej głowę do góry.

– No to jak, suko? Czego ode mnie chciałaś, co? Za kim tu wężysz?

Ellen spojrzała w kierunku obu mężczyzn.

– Pomocy – jęknęła.

– Miłej zabawy – odparł jeden z mężczyzn. Klepnął drugiego w ramię i obaj ruszyli w stronę samochodu.

– Gadaj wreszcie! – wrzasnął Janov, przekrzykując ryk silnika odjeżdżającego samochodu.

– Niech mnie pan puści – jęknęła Ellen.

Ale Janov nawet o tym nie myślał. Jedną ręką nadal mocno trzymał za włosy, a drugą pociągnął za kołnierz koszuli. Materiał pękł mu w dłoni. Ellen szybko wyjęła z kieszeni kurtki gaz pieprzowy i nacisnęła zawór jeszcze zanim uniosła pojemnik na wysokość twarzy Janova.

Przez chwilę obawiała się, że skierowała dyszę w niewłaściwym kierunku i że strumień poszedł bokiem. Na szczęście trafiła. Janov natychmiast od niej odskoczył.

Przycisnął dłonie do twarzy, zatoczył się i zaczął krzyczeć jak oszalały. Wyglądał przy tym jak niedźwiedź w cyrku, który tańczy i macha łapami. Po twarzy ściekały mu strumienie łez. W tym samym momencie Ellen ujrzała Silvie Janov.

Nie wiedziała, jak długo kobieta przyglądała się tej scenie. Jednak po chwili jej twarz ożyła. Podniosła z trawy pustą butelkę, podeszła do Janova i bez chwili wahania rozbiła mu ją na głowie.

Janov padł na ziemię. Nie stracił przytomności, ale za to jego wrzaski zamieniły się w ciche, żałosne jęki. A ponieważ nadal chował twarz w dłoniach, odgłosy, które wydawał, miały dość dziwne brzmienie.

Ellen ujrzała, jak na jego skołtunionych włosach pojawia się i rośnie ciemna plama. To powierzchowne skaleczenie, trzeba je jak najszybciej opatrzyć, podpowiadał jej wewnętrzny głos. Olej to, usłyszała drugi, bardziej wojowniczy głos.

Pani Janov stała nad mężem, który leżał na ziemi, wrzeszczał i przewracał się z boku na bok. Nadal trzymała w dłoni szyjkę rozbitej butelki i zadowolona z siebie dziwnie się uśmiechała.

– Niech mi pani pomoże – powiedziała Ellen. – Potrzebuję maści na rany i wody. Muszę to przemyć.

– Sama się tym zajmę – odparła kobieta, rzucając szyjkę butelki na trawę. – Niech pani stąd w końcu idzie.

– Może powinnam wezwać...

– Wynocha!

– Jak pani chce – zgodziła się Ellen, wzruszając ramionami.

– Dobrze się stało, że ten gnój choć raz dostał za swoje.

Ellen nie do końca była pewna, czy Silvia Janov rozmawia z nią, czy ze sobą.

– Dlaczego się z nim pani nie rozwiedzie? – spytała.

Tym razem kobieta spojrzała jej prosto w oczy. Z jej twarzy znikła gdzieś niepewność i strach.

– Zgłupiałaś? Ja miałabym go zostawić?! Nigdy w życiu! Przecież go kocham.

Rozdział 21

Thomas Thieminger, recepcjonista w zajeździe Jordan, z przynajmniej dwóch powodów nalegał, aby Ellen zapłaciła za nocleg z góry. Oba mógł łatwo uzasadnić.

Po pierwsze, była już druga w nocy, a ona nie miała żadnego bagażu. Kobiety bez walizki – albo przynajmniej bez torby podróżnej – dla każdego recepcjonisty od razu są podejrzane.

Drugi powód był o wiele bardziej poważny: Ellen wyglądała, jakby miała za sobą jakieś okropne przejścia. Spuchnięty policzek, krew na ustach, dżinsy poplamione trawą. Zamek błyskawiczny w jej skórzanej kurtce nie był zasunięty do końca, dzięki czemu Thieminger zauważył pod nią podarty skrawek koszuli. Na dodatek od kobiety dobiegała specyficzna woń gazu pieprzowego. Kiedy przyszła, Thieminger aż się cofnął za kontuarem, a Ellen po raz pierwszy w życiu doświadczyła, jak obcy mężczyzna marszczy nos z powodu zapachu, jaki od niej bije. Wprawdzie trwało to sekundę i chwilę później recepcjonista znowu stał się uprzejmym pracownikiem hotelu, ale mimo to jego zachowanie sprawiło jej przykrość.

Podczas rozmowy Thieminger zachowywał się uprzejmie i starał się przejawiać chęć udzielenia pomocy. Poszedł nawet po jakieś środki dezynfekcyjne i plaster. W międzyczasie Ellen wypełniała formularz meldunkowy.

Thieminger wyszedł z recepcji na dłużej, niż trzeba. Gdy oddawał jej kartę kredytową, Ellen domyśliła się, że nie tylko poszedł po środki opatrunkowe, ale także skorzystał z okazji, żeby zatelefonować do wystawcy jej karty kredytowej. Na szczęście okazało się, że wszystko jest w porządku, zwłaszcza że na odwrotnej stronie plastikowego kartonika widniało jej zdjęcie.

Thieminger udawał, że wierzy w historyjkę o nieszczęśliwym wypadku, ale jego pełen współczucia wzrok zdradzał coś innego. Ellen domyśliła się, o czym myśli jej rozmówca, i doszła do wniosku, że jest bliski prawdy.

Thieminger uśmiechnął się i życzył jej spokojnej nocy. Ellen ruszyła w stronę windy, niosąc w drżących dłoniach środki opatrunkowe.

Ogólnie rzecz biorąc, między pokojem hotelowym a pokojem dla pacjentów w klinice psychiatrycznej nie ma zbyt wielkiej różnicy. Oba są wyposażone w łóżko, szafę, stół i krzesła. W tym drugim nie ma jedynie telewizora. Przy niektórych pokojach szpitalnych jest toaleta – przy hotelowych to niemal standard, podobnie jak wanna i kabina prysznicowa. W Leśnej Klinice na ścianach wiszą ładne zdjęcia z kalendarzy oprawione w nieoszlone ramki, a w hotelu – plakaty Franza Marca w ramkach i za szkłem.

Choć w hotelowym pokoju dzięki odpowiedniemu doborowi stylowych mebli panowała o wiele bardziej przyjemna atmosfera niż w klinice, Ellen czuła się w nim bardziej jak więzień niż gość.

Jednak było to raczej spowodowane jej stanem psychicznym niż wyglądem pokoju. To, co wydarzyło się w ciągu ostatnich godzin, po prostu ją przerosło. Była całkowicie zagubiona i analizując to, w jaki sposób wtedy się zachowywała, doszła do wniosku, że nie wszystkie swoje reakcje może uznać za w pełni racjonalne.

Z minibarku pod telewizorem – co też odróżnia pokój hotelowy od oddziału psychiatrycznego, gdzie na każdym piętrze stoi jedynie skrzynka wody mineralnej albo dzbanek herbaty – wyjęła butelkę dietetycznej coli i popiła nią tabletkę wyciśniętą z blistra, który nosiła w kieszeni kurtki.

Była to dość mała dawka leku z grupy benzodiazepin – czasami wspomagała się nim podczas pełnienia dyżuru w klinice. Ellen niezbyt często po niego sięgała, bo zdawała sobie sprawę, że regularne zażywanie tego specyfiku prowadzi do uzależnienia. Lekarzy, którzy

borykają się z tym problemem, jest równie dużo jak fotomodelek cierpiących na choroby żołądka lub robotników budowlanych mających problemy z alkoholem. Jednak dzisiaj... dzisiaj miała jeden z takich dni, które usprawiedliwiały zażycie tego leku.

Dość długo stała przy oknie pokoju numer dwieście cztery i gapiała się w ciemność. Kiedy emocje trochę opadły, rozebrała się i stanęła przed lustrem w łazience.

Obraz, jaki w nim ujrzała, sprawił, że poczuła ulgę: jej twarz wyglądała o wiele lepiej, niż się spodziewała. Krew na brodzie pochodziła z zadrapania w kąciku ust, które na pewno się wkrótce zagoi. Także opuchlizna i zaczerwienienie na policzku szybko znikną, jeśli odpowiednio schłodzi to miejsce. Kilka kostek lodu owiniętych w szmatkę, środki dezynfekujące od Thiemingera i trochę maści do smarowania ran sprawią, że na jej twarzy dokona się kilka niewielkich cudów.

Z resztą swojego ciała miała większy problem. Liczba krwawych wybroczyn była znaczna. Niektóre z nich osiągnęły duży rozmiar. Zwłaszcza ta na klatce piersiowej, przypominająca atramentową plamę, i te po kopniakach Janova w dolnej części brzucha.

Jednak od widocznych śladów po ostatnich wydarzeniach o wiele bardziej niepokojące było to, co w ciągu poprzednich godzin zapadło jej głęboko w świadomość. Zaczęła się bać. Był to prawdziwy blady strach. Na dodatek czuła się o wiele bardziej samotna niż kiedykolwiek wcześniej. Dlaczego Chris wybrał się na wyspę właśnie teraz? Nie może się przez to do niego dodzwonić. Tak bardzo chciałaby usłyszeć jego głos. Przynajmniej to.

Od kiedy weszła do pokoju, nie przestawała myśleć o bezimiennej kobiecie, która podczas ich drugiego spotkania ukryła się w łazience. Teraz wcale nie czuła się lepiej niż ona. Stoi w niewielkiej łazience jakiegoś pokoju hotelowego i na dodatek zamknęła się w niej na klucz. I to tylko dlatego, że z powodu jakiegoś psychopaty nie ma odwagi wrócić do swojego własnego mieszkania. Nie po tym wszystkim, co jej się przytrafiło, zwłaszcza że po raz drugi w ciągu jednego dnia musiała doświadczyć, jak to jest, gdy ktoś ma fizyczną przewagę.

Ten szalenciec wysłał ją do tamtego domu na pewno w jakimś określonym celu. Gdy ją potajemnie obserwował, jemu też prawdopodobnie rzuciła się w oczy ta wielka czerwona skrzynka na listy. Zostawił jej kluczyk, bo doszedł do wniosku, że wcześniej czy później przypomni sobie o jej istnieniu.

– Obserwuję cię już od pewnego czasu. Nie da się ukryć, że przyciągasz wzrok – powiedział szyderczym tonem, gdy rozmawiał z nią ostatnio przez telefon komórkowy.

Może się dowiedział, jakim typem człowieka jest Janov? Może się dowiedział, że przez krótką chwilę uważała Janova za Czarnego Luda? Być może jego chory mózg już sobie wyobrażał, jaką przeżyje radość, gdy z bezpiecznej odległości będzie się przyglądać, jak ten brutal Janov ją bije.

Ellen nie miała wątpliwości, że jej prześladowca znajdował się wtedy gdzieś w pobliżu. Tylko w ten sposób mógł się upewnić, że ona znajdzie skrzynkę i odbierze wiadomość. Kolejnym elementem gry musiało być także to, że gdy Ellen włamie się do skrzynki, zauważy ją Janov. Niewykluczone, że zadzwonił do Janova i ostrzegł go, że ktoś grzebie przy jego skrzynce. To całkiem logiczna teoria.

Dość długo brała prysznic, potem opatrzyła rany, wzięła ze stołu wizytówkę i położyła się do łóżka.

Nie miała wątpliwości, że to jakaś informacja od porywacza. Oprócz plamy krwi, która z pewnością należała do Sigmunda, na wizytówce zauważyła też swoje imię, które ktoś nabazgrał w poprzek adresu widniejącego na kartoniku. Charakter pisma należał do tej samej osoby, która zostawiła poprzednią wiadomość na wieszaku do kluczy. Napis na wizytówce brzmiał następująco:

Antykwariat A. Eschenberg
Czynny: pn.-pt. 10.00-18.00

Pod spodem znajdował się adres sklepu i numer telefonu. Ostatnich cyfr nie dało się odczytać, ponieważ były zachłapane krwią Sigmunda.

Na co jej ten sklep? Po co jej prześladowca wysyłają do antykwariatu? Może jej prześladowcą jest ów A. Eschenberg?

Ellen była zbyt zmęczona i wyczerpana, żeby się tym teraz martwić. Poza tym czuła coraz silniejszy ból w skroniach.

Potrzebuje kilku godzin snu i solidnego śniadania. Boże, już tak długo nic nie jadła. Nieważne, najpierw sen, potem jedzenie, no i mocna kawa. Potem od razu powinna poczuć się lepiej.

Położyła wizytówkę na szafce obok łóżka. Poczwała, że lekarstwo zaczyna stopniowo działać. Kiedy jednak sięgnęła ręką do kontaktu, żeby wyłączyć światło, zawahała się. Coś jej podpowiadało, żeby tylko zmniejszyć oświetlenie.

W pokoju absolutnie nie może być ciemno!

No właśnie. Zmniejszyła oświetlenie na tyle, żeby mogła zasnąć i zarazem widzieć cały pokój. Przynajmniej to różni ją od bezimiennej kobiety, która ukryła się w zaciemnionym pomieszczeniu.

W chwili gdy zamierzała się położyć i zamknąć oczy, zauważyła papierek po czekoladce, takiej samej, jaką obsługa piętér zostawia dla gości na poduszkach w ich pokojach.

Papierek leżał na welurowym dywanie obok łóżka. Ellen domyśliła się, że któraś z pokojówek nie potrafiła się oprzeć słodkiej pokusie.

Szkoda, pomyślała i podniosła papierek. W tym samym momencie spod poduszki wysunęła się jakaś dłoń i chwyciła ją za nadgarstek.

Ellen natychmiast oprzytomniała. W jednej chwili wyskoczyła spod kołdry i wyszarpnęła dłoń z uchwytu. Wszystko odbyło się tak szybko, że potem nawet nie pamiętała, czy w trakcie całego wydarzenia wydała z siebie jakiś okrzyk.

Krew krążyła w jej żyłach w szalonym tempie. Ellen klęknęła przy łóżku i obserwowała, jak za pierwszą dłonią pojawia się druga.

Zerwała się z podłogi i zaczęła się rozglądać za czymś, co mogłoby posłużyć jako broń. Za jakimś przedmiotem, którym będzie mogła uderzyć albo rzucić. Dostrzegła jedynie Nowy Testament leżący na stoliku.

– Niech pan stamtąd wyjdzie!

Ellen drżała na całym ciele. Jeszcze minutę temu była śmiertelnie zmęczona. Teraz jej mózg pracował na podwyższonych obrotach.

Uniosła rękę i zamierzyła się książką, jakby chciała ją rzucić w niewidoczną osobę. Oddychała szybko, czuła ucisk w skroniach, a przez jej umysł przebiegała tylko jedna myśl: *Toniedziejesięnaprawdę-toniedziejesięnaprawdę-toniedziejesięnaprawdę.*

Dopiero w tym momencie zauważyła, że obie dłonie wystające spod łóżka są dość małe. Chwilę później ukazała się dziewczynka. W jasnych włosach miała dwa paprochy kurzu.

– To ty? – zdziwiła się Ellen, opuszczając rękę z książką. — Co tu robisz?

Dziewczynka nie odpowiedziała, tylko patrzyła na Ellen z przekrzywioną głową, jakby nie wiedziała, co zrobić. Podobnie jak poprzedniego dnia w lesie, tak i teraz miała na sobie letnią sukienkę w kolorowe kwiaty. Niewielka brązowa plamka w kąciku ust zdradzała, co się stało z czekoladką leżącą niedawno na poduszce.

Ellen odłożyła Nowy Testament na stół i kucnęła przed dziewczynką.

– Skąd się tu wzięłaś? Mieszkasz tutaj? – spytała.

Raczej nie jest podobna do faceta z recepcji, pomyślała.

Jednak i tym razem nie otrzymała odpowiedzi. Dziewczynka wdrapała się tyłem na łóżko i ani na sekundę nie spuszczała oczu z Ellen.

– Nie musisz się mnie bać. Trochę się przestraszyłam. Czy to tamten pan cię znowu do mnie przysłał? A może wiesz, gdzie on jest i gdzie jest tamta pani?

Dziewczynka zeskoczyła z łóżka i podbiegła do drzwi. Obejrzała się jeszcze na Ellen, a potem przekreśliła klucz w zamku, otworzyła drzwi i wypadła na korytarz.

Ellen ruszyła za nią. Kiedy wyszła z pokoju, zdążyła zauważyć, że dziewczynka znikła za drzwiami z napisem „Wyjście ewakuacyjne”.

Ellen pobiegła za nią. Wkrótce otoczył ją półmrok panujący na klatce schodowej. Zbiegając po schodach, wsłuchiwała się w odgłosy wydawane przez drobne stopy dziewczynki. Kiedy mijała drzwi z napisem „Wyjście na parter”, zdziwiła się, bo dziewczynka nie zatrzymała się, tylko pobiegła na dół.

Czego szuka w piwnicy? Może ma tam kryjówkę? To całkiem możliwe, jeśli rzeczywiście jest jakoś związana z tym hotelem. Jednak Ellen odrzuciła tę myśl jako absurdalną. Fahlenberg nie jest wprawdzie dużą miejscowością, ale działa w nim co najmniej kilka hoteli. Zbyt dużo, żeby Ellen przypadkowo trafiła akurat do tego, w którym mieszka dziewczynka z lasu.

Zaczęła biec jeszcze szybciej, prawie przewróciła się na schodach. W końcu wpadła do dużej piwnicy.

W świetle żarówki, która wisiała pod sufitem w zwykłej oprawce, dziewczynka wyglądała jak upiór. Stała między piecem grzewczym a wielką pralką na drugim końcu pomieszczenia. Ręce miała ukryte za plecami, wzrok wbiła w Ellen.

– Nie musisz się mnie bać – powiedziała Ellen. – Chcę tylko z tobą porozmawiać. W porządku?

Ale i tym razem nie doczekała się odpowiedzi. Za to piec wydał z siebie ciche sapnięcie. Fakt, że dziewczynka stała nieruchomo, był dla Ellen dowodem, że przyjmuje jej propozycję.

– Skąd wiedziałas, że tu jestem? Śledziłaś mnie?

Dziewczynka patrzyła na nią nieruchomym wzrokiem.

– Czego chciałaś ode mnie wczoraj w lesie? Czy znasz mężczyznę, do którego mnie wysłałaś?

Tym razem dziewczynka skinęła głową. Słabo, ze strachem.

– To twój tata?

Milczenie. Po chwili dziewczynka ledwie zauważalnie pokręciła głową.

– Czy to był ktoś z tego hotelu?

I znowu to samo: po kilku sekundach przeczący ruch głową.

– Ale rozpoznałaś mnie i dlatego zakradłaś się do mojego pokoju?

Dziewczynka skinęła głową, ale tym razem bardziej energicznie. Opuściła przed siebie ręce i w tym samym momencie Ellen zaniemówiła: drobne palce dziewczynki były pobrudzone krwią. W jednej ręce trzymała hebel do drewna, w drugiej śrubokręt, który też był brudny od krwi.

– Na miłość boską, przecież jesteś ran...

Ellen nie dokończyła zdania, bo to, co się stało w następnej chwili, było tak straszne, że przerażenie ją sparaliżowało.

Oto bowiem dziewczynka nagle dostała drgawek. Najpierw na twarzy, potem na ramionach, w końcu na całym ciele. Przez chwilę przypominało to atak epilepsji. Mimo to Ellen była pewna, że dziewczynka nie jest epilepticzką. Jednak naprawdę straszne w tym wszystkim były wybrzuszenia, które zaczęły się pojawiać na jej ciele. Wyglądało to tak, jakby w jej wnętrzu znajdowała się cała armia drobnych stóp, które próbują przebić się przez delikatną skórę. Ciało dziewczynki ulegało coraz większej deformacji, wybrzuszało się w górę i na boki, jakby to nie było ciało dziecka, tylko jakaś gumowa maska, która zaczyna... pękać.

Ellen krzyknęła, gdy z powłoki ciała dziewczynki wyłoniła się nagle kobieta ociekająca gęstym śluzem.

W tej samej chwili upiorny obraz zniknął, a wraz z nim resztki ciała dziewczynki i kobiety oraz śrubokręt i hebel.

Ellen stała na środku piwnicy i trzęsła się ze strachu.

To niemożliwe, to mi się chyba przywidziało, pomyślała, gdy wróciła do stanu równowagi.

No właśnie, to tylko twoja fantazja, podpowiadała jej bardziej racjonalna część jej umysłu. To przez stres i te przekłete tabletki.

– Co pani tu robi?

Ellen odwróciła się gwałtownie. Spodziewała się, że stoi za nią profesor Bormann, który zaraz spokojnym jak zwykle tonem wyjaśni jej, że doświadczyła kolejnego snu na jawie. Niestety, w drzwiach ujrzała pana Thiemingera z recepcji – spoglądał na nią zdumionym wzrokiem. Ellen od razu się domyśliła, co sobie pomyślał.

Czyżbym traciła rozum? A może już się to stało?

Rozdział 22

Powiedzenie, że z pewnymi sprawami należy się przespać i następnego dnia przyjrzeć im się w innym świetle, brzmi sensownie. Przynajmniej do takiego wniosku doszła Ellen, gdy siedziała przy stoliku w restauracji hotelu Jordan i zaspokajała głód drugą porcją jajecznicy z tostami. Wzięła też dwie tabletki aspiryny, które dostała w recepcji wraz z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia. Niedługo potem ból głowy ustąpił.

Thomas Thieminger, u którego zamówiła drugą porcję kawy – Boże, ależ była świetna! – nie dał po sobie poznać, że jest zdziwiony jej nocnymi odwiedzinami w kotłowni. Zachował się jak prawdziwy profesjonalista, który w ciągu wielu lat pracy nauczył się właściwego podejścia do trudnych klientów. Teraz obsługiwał ją i nie dawał niczego po sobie poznać. A może jest po prostu zmęczony po nocnej zmianie i cieszy się, że już niedługo będzie miał wolne? Ellen, która też pełniła nocne dyżury, znała tego rodzaju zachowanie z własnego doświadczenia. Nazywa się ono „po mnie choćby potop”. Na człowieka spada tak wiele obowiązków, że później nie marzy o niczym innym, jak tylko o spokoju i wygodnym łóżku.

Około dziesiątej znalazła się w pobliżu antykwariatu. Zaparkowała samochód na wolnym miejscu i z uwagą zaczęła obserwować budynek. Stara, pokryta zdobieniami kamienica nie wyglądała od zewnątrz na groźną. W środku, za wielką witryną, paliło się światło. Jeśli to ów Eschenberg jest Czarnym Ludem, nie robi jej krzywdy, dopóki będzie się trzymała w pobliżu witryny i pozostanie w polu widzenia przechodniów.

Czuła się o wiele pewniej niż ostatniej nocy. Być może dzięki solidnemu śniadaniu, a może z powodu nowego ubrania – dżinsów, bielizny i koszuli z długimi rękawami – które kupiła w pobliskim sklepie i od razu włożyła.

Doszła do wniosku, że najwyższy czas wyjaśnić całą sprawę. Coś jej podpowiadało, że rozwiązanie jest w zasięgu ręki. Musi je jak najszybciej odszukać, bo przecież nie wie, jak długo bezimienna kobieta jeszcze wytrzyma. Wszystko zależy od tego, czy uda jej się znaleźć jakiś dowód na to, że chodzi o porwanie, i przekonać o tym policję.

Ten dowód musi też przekonać mnie, że sobie tego wszystkiego nie wmówiłam, pomyślała, wysiadając z samochodu.

Kiedy weszła do antykwariatu, powitał ją dźwięk przedwojennego dzwonka i zapach pożółkłych papierów. Półki regałów stojących przy ścianach ugięły się pod ciężarem książek.

Przed nimi piętrzyły się stosy kolejnych tomów. Na dwóch stolikach leżały porzrzucone kieszonkowe powieści, albumy z fotografiami i poradniki opatrzone adnotacją:

Oferta specjalna Egzemplarze uszkodzone

Charakter pisma nie przypominał jednak ani tego z wieszaka do kluczy, ani tego z wizytówki. Wszystkie litery były równe.

– Czym mogę służyć?

Z pokoju na zapleczu wyszedł mężczyzna. Był o wiele młodszy, niż Ellen się spodziewała. Miał na sobie spodnie uszyte z jasnego materiału, a nie z brązowego kordu. I tylko wygląd swetra wskazywał, że jego właściciel ma go już od dość dawna.

– Czy pan Eschenberg?

– Alexander Eschenberg we własnej osobie – odparł mężczyzna, podając jej rękę. – Czym mogę służyć?

Chociaż figura pana Eschenberga wskazywała na to, że kocha jedzenie, sprawiał wrażenie osoby kruchej i delikatnej. Na pewno jednak nie wyglądał groźnie.

Jest chyba sympatyczny, pomyślała Ellen, odwzajemniając uśmiech.

– No cóż, szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, po co tu przyszedłam. Nazywam się Ellen Roth i chciałabym się dowiedzieć, czy ktoś nie zostawił u pana dla mnie jakiejś przesyłki.

– Chodzi o zamówioną książkę? Hm, musiałbym to sprawdzić.

Eschenberg przeszedł spokojnym krokiem za ladę i spod starej kasy wyciągnął księgę, z której prawdopodobnie korzystał już jego dziadek. Przerzucił kilka kartek i poprawił okulary na nosie.

– Jak pani się nazywa? Roth?

– Tak, przez „th”.

– Muszę panią niestety rozczarować. A jaką książkę pani zamawiała?

– Właściwie żadnej. Ja tylko tak... – odparła Ellen. Otworzyła aktówkę i wyjęła z niej wizytówkę. Żeby Eschenberg nie zauważył śladów krwi, zakryła kciukiem czerwoną plamkę.

– Dostałam jedną z pana wizytówek i ktoś mnie do pana skierował.

– Wizytówkę? Aaa, teraz rozumiem... Chce pani tę książkę odkupić?

– Odkupić?

– No tak. Już mówiłem pani znajomemu, że niełatwo będzie ją sprzedać.

Ellen spojrzała na niego w zamyśleniu.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, o jakiej książce pan mówi.

– Naprawdę?

Eschenberg podszedł do wystawy i zdjął z niej jedną z książek.

– O tej – powiedział.

Skinął z zadowoleniem głową, podszedł do Ellen i położył przed nią książkę. Był to dość gruby zbiór baśni. Na okładce na niebieskim tle widniał obrazek przedstawiający herolda w kolorowym stroju, który dął w fanfarę. Książka nosiła tytuł: Kolorowa skarbnica baśni.

Antykwariusz prawie z nabożną czcią oczyścił ją miotełką z kurzu.

– To piękny egzemplarz. Każdy kolekcjoner zapłaciłby za nią nawet dwadzieścia albo trzydzieści euro, gdyby nie bazgroły na jednej z kartek.

Ellen podeszła bliżej stołu. Zbiór baśni. Dlaczego tamten szaleniec wysłał ją do antykwariatu z powodu baśni?

— Co to za baśnie?

– Wydanie z początku lat siedemdziesiątych – odparł Eschenberg. Widać było, że ma jakiś sentyment do tej książki. – Wydrukowano wtedy niewielki nakład. O ile pamiętam, tylko jedno wydanie. Ciekawe jest to, że książka zawiera nie tylko baśnie ogólnie znane, ale i mniej popularne. W środku są też zachwycające ilustracje. Nieporównywalnie piękniejsze od tych, które umieszcza się we współczesnych baśniach. Tylko czy dzieci czytają jeszcze jakieś baśnie? Wolą książki fantastyczne, japońskie komiksy i podobne dzieła. A przecież baśnie to właściwie takie fantastyczne opowiadania. Niestety...

Eschenberg otworzył książkę na jednej ze stron. Wcześniej zaznaczył to miejsce skrawkiem papieru. Kiedy Ellen ujrzała, co jest na rysunku i jaką treść zawierają gryzmoły, o których wspominał antykwariusz, serce prawie jej zamarło ze strachu.

W tysiąc osiemset dwunastym roku bracia Grimm po raz pierwszy opublikowali baśń o dziewczynce, która idąc do babci, zabłądziła w ciemnym lesie. Jej imię pozostaje nieznane do dzisiaj, ponieważ ze względu na nakrycie głowy wszyscy nazywali ją Czerwonym Kapturkiem.

Wprawdzie dziewczynka z książki leżącej na ladzie antykwariatu nie miała czerwonego nakrycia głowy, tylko chustkę w płomiennym kolorze, ale wystarczyło to, aby się domyślić, że rysunek pochodzi z tej samej baśni i że to ta sama dziewczynka. Obrazek przedstawiał

mroczny, groźny las – nawet kolorowe grzyby i krzewy jagód, które ilustrator narysował nad dolną krawędzią strony, nie były w stanie zmienić tego nastroju. Przerazał już sam widok dziewczynki, która cofając się przed wilkiem, wypuściła z ręki koszyk z ciastem i winem. Jeszcze straszniej wyglądał wilk. W jego oczach czaiła się czysta złość, podstęp i żądza. Wilk zamierzał się właśnie wyciągnąć na całą długość, aby zaprezentować zjeżoną czarną sierść.

Jednak Ellen zszokowała nie tylko groza bijąca od obrazka. Przeraził ją także widok samego wilka, który niczym nie różnił się od straszliwego psa z jej pierwszego snu na jawie. Wilk z obrazka był ucieleśnieniem zła i napawał ją prawdziwym strachem, choć był to tylko rysunek. Przypominał prawdziwego wilka.

Uzupełnieniem pełnego grozy rysunku był symbol, który ktoś na nim narysował, prawdopodobnie kredką świecową: pięcioramienna gwiazda w kręgu. Wyglądała tak, jakby ktoś ją narysował drżącą dłonią.

– To tak zwany magiczny pentagram, zwany też kabalistycznym – wyjaśnił Eschenberg. – Sprawdziłem. To magiczny znak symbolizujący złe duchy. Nie można go stąd usunąć, bo uszkodziłoby to kartkę. Obawiam się więc, że w tym stanie nie znajdę na książkę nabywcy. Czy pani źle się czuje? Jest pani taka blada – dodał, spoglądając z troską na Ellen.

– Wszystko w porządku – mruknęła Ellen, choć była to oczywiście nieprawda. Musi zapanować nad emocjami. Rysunek, który ujrzała, napełnił ją straszliwym przerażeniem.

– Może napije się pani wody?

– Nie, dziękuję. Czy może mi pan jeszcze wyjaśnić, dlaczego pokazuje mi pan właśnie tę książkę?

– Ponieważ powiedziała pani, że przysłał panią tutaj znajomy.

– Ale skąd panu przyszło do głowy, żeby wybrać akurat tę książkę?

– To proste. Dwa dni temu odwiedził mnie pewien młody człowiek i zaproponował, żebym ją kupił. Powiedział, że nie liczy na duże pieniądze. Myślę, że chciał się jej po prostu pozbyć, ale nie miał sumienia, żeby ją tak po prostu wyrzucić. Szkoda wyrzucać taką książkę. Dla mnie nie był to oczywiście interes żyda, mam nadzieję, że pani rozumie, o co mi chodzi, ale ja też nie mogłem się pogodzić z myślą, że ktoś przerobi taką książkę na makulaturę.

Żeby nie patrzeć na rysunek, Ellen spojrzała na antykwariusza.

– No dobrze, ale skąd panu przyszło do głowy, że to był mój znajomy?

Eschenberg uśmiechnął się lekko zakłopotany.

– No cóż, wprawdzie nie mam już najlepszego wzroku, ale noszę całkiem dobre okulary. Kiedy otworzyła pani swój portfel, na zdjęciu od razu rozpoznałem twarz tego mężczyzny.

– Na zdjęciu w moim portfelu?

– Tak.

Ellen wsunęła rękę do kieszeni, wyjęła portfel i otworzyła go.

– Ma pan na myśli to zdjęcie?

– Tak – potwierdził Eschenberg, kiwając głową.

Potem przeprosił ją jeszcze, że był aż tak niedyskretny, ale Ellen już go nie słuchała. Wszystkie jej myśli, które skupiła na tym jednym zdjęciu, zamieniły się w wielki znak zapytania, jak gdyby właśnie ono stanowiło odpowiedź na wszystkie jej pytania.

Zdjęcie, z którego szeroko uśmiechał się do niej Chris.

Rozdział 23

A więc to był Chris!

Tylko co on ma z tym wszystkim wspólnego? Dlaczego w poszukiwaniu Czarnego Luda trafiła akurat do antykwariatu, w którym Chris sprzedał jakąś starą książkę z baśniami?

Czy lubisz baśnie, moja mała Ellen?

Już prawie uwierzyła, że Czarny Lud depcze jej po piętach i że czuje jego oddech na karku, a tuż przy uchu wilgotny dotyk jego języka.

Rozwiąż tę zagadkę. Pojutrze mija czas.

Czy to nie brzmi jak cytat z jakiejś baśni? To chyba nie przypadek. Tak, on na pewno chciał, żeby znalazła tę książkę. To część jego planu, kolejny ślad, który jej zostawił podczas tego polowania. Tylko po co? Jaki cel ma ta szaleńcza gra?

Rozwiąż zagadkę. Kim jestem?

Dlaczego tak mu zależy, żeby się dowiedziała, kim jest? Może go zna? Czy na samym końcu będzie kompletnie zaskoczona? Dlaczego ślad Czarnego Luda doprowadził ją do Chrisa?

Kolejne wspomnienie: wrażenie, jakie odniosła wtedy, w lesie, gdy słuchała dźwięku jego zmienionego głosu.

W tym momencie nasza ją nowa myśl. Z początku broniła się przed nią ze wszystkich sił. Niestety, ta jedna myśl uwolniła całą lawinę dalszych myśli.

Nie, to niemożliwe. To paranoja!

Mark miał rację, zupełnie jej odbija. Już sama myśl, że Czarnym Ludem może być Chris, napępiała ją przerażeniem.

Kocha Chrisa, a on kocha ją. Jeśli kiedykolwiek istniał jakiś człowiek, któremu ślepo wierzyła, to właśnie jemu. Już tyle razem przeżyli, od dawna trzymają się razem. Można powiedzieć, że poszliby za sobą w ogień.

I co? Komentarz jakiegoś antykwariusza miał zachwiać tym zaufaniem? Przecież to absurd!

To oczywiste, że Chris zna wszystkie jej przyzwyczajenia i wie, gdzie ją można spotkać. Zna numer jej telefonu komórkowego i bez problemu mógł zostawić w jej mieszkaniu kluczyk do skrzynki pocztowej. Mógł wrzucić do skrzynki państwa Janov wizytówkę antykwariatu Eschenberga.

Tak, Chris mógł zrobić wiele spośród rzeczy, które zrobił nieznajomy mężczyzna.

Tyko po co? Z jakiego powodu?

Przecież Chris nigdy by jej nie groził przez telefon, nigdy by jej nie śledził w lesie i nie zadał fizycznego bólu. Nigdy by też nie zabił Sigmunda. Wolałby mu oddać resztę mleka, nawet gdyby z tego powodu musiał zrezygnować ze swoich porannych płatków.

Nigdy by też nie uprowadził tamtej pacjentki z kliniki, nie pobiłby jej i nie torturował. Pacjentki, której przypadek leżał mu szczególnie na sercu. Sam ją o tym zapewniał, bo obawiał się, że kobieta może sobie zrobić krzywdę.

Na pewno niektóre fakty przemawiają za tym, że to właśnie Chris jest Czarnym Ludem. Tylko on i Ellen wiedzieli o istnieniu bezimiennej kobiety. To Chris wypełnił jej formularz, to on ma klucz na oddział i to on mógł ją bez problemu porwać.

No tak, ale nawet jeśli są uzasadnione podstawy do podejrzeń, to przecież Chris przebywa teraz na drugim końcu świata. Sama odwoziła go na lotnisko.

Ellen wzdrygnęła się. Musiało jej naprawdę zdrowo odbić, jeśli w ogóle zastanawia się nad czymś takim.

Może dlatego, że nie jesteś na sto procent pewna, odezwał się jej bardziej racjonalny głos, który jak się wydawało, stał ponad takimi uczuciami i na którym nawet wizje małej zakrwawionej dziewczynki chyba nie wywierały żadnego wrażenia. Czy jesteś absolutnie pewna, że Chris tam jest? Przecież jeszcze się z tobą nie skontaktował.

Ellen musiała się mocno chwycić krawędzi lady, żeby nie upaść. W głowie miała całkowity mętlik.

Eschenberg coś do niej powiedział, ale nie dosłyszała co.

– Słucham?

– Pytałem, czy wezwać lekarza – powtórzył antykwariusz z zatroskaną miną. – Wygląda pani tak, jakby za chwilę miała upaść.

– Proszę mi powiedzieć, czy jest pan absolutnie pewien, że to właśnie Chris... to znaczy tamten mężczyzna... że to on zaoferował panu tę książkę?

Eschenberg spojrział poirytowany na zdjęcie i skinął głową.

– Tak, jestem pewien. Był tu dwa dni temu i przyniósł tę książkę. Czy wolno mi spytać, dlaczego...

– Czy powiedział panu coś na jej temat?

– Tak – odparł antykwariusz, wzruszając ramionami. – Zrobił uwagę, którą nie do końca rozumiałem. Wspomniał o czymś, co było nawiązaniem do złych i dobrych wspomnień. Przypominam sobie, że napomknął też coś na temat jakiegoś planu. Chciał zrobić komuś niespodziankę. Nic z tego nie rozumiałem, ale nie chciałem być zbyt wścibski, nie dociekałem więc. Pamiętam też, że go spytałem, czy ma więcej takich książek, a on odpowiedział, że całą skrzynię. To dlatego dałem mu moją wizytówkę.

Chciał komuś zrobić niespodziankę?

Ellen doszła do wniosku, że Eschenberg nie wygląda na kogoś, kto mógłby ją okłamać. Nie wygląda też na kogoś, kto utrzymuje bliskie kontakty z psychopata. Jeśli w ogóle ma cokolwiek wspólnego z całą tą sprawą, to jedynie to, że został wykorzystany. Sprawia wrażenie człowieka, który nie mógłby nikogo skrzywdzić. Tak przynajmniej podpowiadał jej zdrowy rozsądek, na którym Ellen zawsze polegała.

Co jednak zrobisz, odezwał się znowu jej wewnętrzny głos, jeśli założymy – czysto hipotetycznie – że twój kobiecy instynkt cię zawiódł i ten, z którym dzielisz stół i łóżko i który przy każdej nadarzającej się okazji obdarowuje cię różami i planuje waszą wspólną przyszłość, jest kimś innym? Co wtedy?

Bzdura, kompletna bzdura!

Mimo to ów wewnętrzny głos zasiał w niej małą wątpliwość, której nie była w stanie niczego przeciwstawić. Zaczęła się głęboko zastanawiać, czy Chris wiedział o Czarnym Ludzie albo czy to on sam nim jest.

Jeśli chcesz być pewna, odezwał się ponownie głos, udaj się po prostu tam, gdzie znajdziesz odpowiedź.

– Kupuje pani tę książkę czy nie? – zawołał za nią zdumiony antykwariusz, gdy Ellen bez słowa się odwróciła i skierowała w stronę wyjścia.

– Nie. Może ją pan zatrzymać!

Ellen zaparkowała samochód na podziemnym parkingu w centrum miasta i poszła stamtąd do biura podróży.

Firma Ockermann World Travels, jedna z wielu małych agencji znanego touroperatora, była usytuowana w pobliżu dużego domu towarowego. Wewnątrz tabliczka na biurku zawierała informację, że siedzi przy nim pan Herbert Ockermann, szef i prawdopodobnie jedyny pracownik agencji.

Kiedy Ellen weszła do środka, pan Ockermann – mężczyzna z krótko obciętą siwą bródką – obsługiwał właśnie jakieś małżeństwo. Z twarzy obojga małżonków można było wyczytać, że bardziej zainteresowałyby ich organizacja rozwodu niż rezerwacja ciekawego urlopu.

Na widok Ellen pan Ockermann uśmiechnął się przeprasząco, poprosił ją o cierpliwość i wrócił do rozmowy z klientami.

– Obojętnie dokąd – mruknął mężczyzna. – Najważniejsze, żeby tam było słońce i plaża i żeby cały wyjazd był tani.

– Aleja chcę coś poznać – wtrąciła jego małżonka. – Poznać trochę tamtejszej kultury.

– A zastanawiałaś się, ile to będzie kosztować?

Ellen stała niecierpliwie przy stojaku z folderami reklamującymi wycieczki do Australii. „Zwróćcie się do nas. Przygotujemy wam podróż na indywidualne zamówienie”, zachęcała jedna z broszur. W tym samym czasie pan Ockermann wykazywał się anielską cierpliwością i starał się zadowolić swoich rozmówców. Ellen z trudem tłumiała złość i bez przerwy się zastanawiała, czy to, co zamierza teraz zrobić, nie naruszy zasady wzajemnego zaufania. Jej umysł ciągle się jeszcze wzdragał na myśl o tym, że Chris może mieć cokolwiek wspólnego z ostatnimi wydarzeniami.

Kiedy kwadrans później małżeństwo wyszło z biura z plikiem folderów pod pachą, Ellen zdążyła już do pewnego stopnia zapanować nad emocjami. Okazuje się, że czekanie ma czasem dobre strony.

– Uff, niektórym osobom naprawdę trudno dogodzić – westchnął z ulgą pan Ockermann wyraźnie zadowolony, że poradził sobie z tak trudnym wyzwaniem. – Zapraszam do mnie. Dokąd chciałaby pani pojechać?

– Właściwie to donikąd. Chcę pana tylko poprosić o pewną przysługę.

– Jestem do usług. Słucham.

– Chciałabym się skontaktować z kimś, kto przebywa teraz na Hinchinbrook Island koło Australii.

– Hm... coś mi ta nazwa mówi. Wydaje mi się, że niedawno była kampania promocyjna tego zakątka. Czy to nie ta wyspa, na której można spędzić „Urlop z dala od cywilizacji”?

– Tak, to właśnie ta wyspa.

– Proszę chwilę poczekać, zaraz sprawdzę – powiedział pan Ockermann i zaczął przeglądać foldery rozłożone na regałach stojących przy ścianie. – Uważam, że to naprawdę fantastyczna sprawa i świetna oferta. Większość moich klientów to tacy sami ludzie jak ci, którzy byli tu przed chwilą. Ma być niezbyt drogo, jedzenie i picie w cenie, najlepiej niemiecka kuchnia, a w pokoju telewizja z niemieckimi kanałami. Do tego sznyceł po wiedeńsku i wiadomości sportowe. Kiedy coś takiego słyszę, zaczynam się zastanawiać, czy takie osoby nie powinny raczej zostać w domu. Znalazłem! – wykrzyknął. – Australijskie wyspy, a wśród nich Hinchinbrook Island. Proszę tylko spojrzeć na to zdjęcie na okładce. To musi być fantastyczne miejsce!

Pan Ockermann usiadł zadowolony przy biurku, przerzucił kilka stron w folderze i w końcu znalazł to, czego szukał.

– Tu są wszystkie dane, których potrzebujemy. Niestety, będzie pani bardzo trudno skontaktować się tam z kimkolwiek. W zasadzie jest to zupełnie niemożliwe. Na wyspie nie ma telefonów stacjonarnych, a komórkowe nie mają zasięgu. To dlatego wyspę upodobał sobie ci, którzy chcą się całkowicie odseparować od innych. Ale o tym pani chyba wiedziała, bo inaczej w ogóle by pani do mnie nie przyszła.

– Tak właśnie jest. Zastanawiałam się tylko, czy zna pan jakiś sposób, żeby mimo wszystko... skontaktować się tam z kimś?

– Hm, niech się zastanowię. Jest tam, jak widzę, pewien hotel, zresztą jedyny na wyspie. Nazywa się Wilderness Lodge. Zapytajmy więc o niego nasz mądry komputer.

Pan Ockermann przysunął do siebie klawiaturę i zaczął pisać.

– Pewnie pani chce, żebym tam zadzwonił i popytał?

– Oczywiście. Zapłacę panu za rozmowę.

– Nie o to mi chodziło. Koszty rozmów telefonicznych mogę sobie odliczyć, bo dotyczą obsługi klientów. Obawiam się tylko, że o tej porze nikt nie odbierze telefonu. U nich jest teraz pierwsza w nocy.

– Czy mimo to może pan spróbować? Mężczyzna, którego szukam, to doktor Christoph Lorch.

– Ależ oczywiście – odparł pan Ockermann, sięgając po słuchawkę i wybierając numer. Po chwili odebrał pracownik hotelu. Ellen znała angielski na tyle dobrze, że zrozumiała, co Ockermann mówi, chociaż ograniczało się to głównie do takich słów jak „hm” i „hmmmm”. Pracownik hotelu coś wyjaśniał. W sumie niewiele ze wszystkiego zrozumiała.

W końcu Ockermann odłożył słuchawkę i zwrócił się do niej z żalem w głosie.

– Niestety, żaden pan Lorch tam nie mieszka. Tak mi przynajmniej powiedziano. Ale to jeszcze nic nie znaczy. Większość turystów na tej wyspie mieszka na polach kempingowych, gdzie trudno się z nimi skontaktować. Przecież płacą za to, żeby nikt im nie przeszkadzał. Wprawdzie każdy z nich ma przy sobie pager, ale służy on jedynie do wysyłania, a nie do przyjmowania wiadomości. To, że pan Lorch nie wysłał do tej pory żadnego wezwania o pomoc, powinno być dla pani pocieszeniem, bo to oznacza, że aligatory jeszcze go nie pożarły.

Pan Ockermann spojrzał na poważną twarz Ellen i natychmiast ją przeprosił za niestosowny żart. Uparł się też, że pokryje koszt rozmowy telefonicznej.

Ellen wróciła na podziemny parking. Dopiero teraz w jej głowie zapanował całkowity mętlik. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, że podejrzewa Chrisa – to było dość łagodne określenie uczucia, które nią wstrząsało. Najchętniej wykrzyczałaby na cały głos, że to kompletny idiotyzm. Niestety, targwały nią też wątpliwości. Jej stan przypominał staccato kropel wody, które powoli drażą granit i stopniowo przebijają się przez jego zewnętrzną powłokę, aż w końcu robi się dziura. Ellen wiedziała, że ta dziura jeszcze bardziej się powiększy, jeśli wkrótce nie uda jej się znaleźć dowodów, które pomogą jej pozbyć się wątpliwości zgłaszanych przez jej racjonalną, wąpiącą naturę.

Ponownie zadała sobie pytanie, czy to w ogóle możliwe, żeby mężczyzna, który deklaruje, że ją kocha, był zdolny do takich czynów. Cała ta historia od samego początku jest strasznie zagmatwana i wygląda na całkowicie pozbawioną sensu. Znowu wróciła migrena, a w miejscach, gdzie została uderzona, pojawił się ból, który narastał. Mimo to zrezygnowała z kolejnej tabletki.

Samochód stał zaparkowany na trzecim poziomie, a winda jak zwykle nie działała. Musiała więc zejść po schodach. Szła zatopiona w myślach i dlatego kroki usłyszała dopiero w momencie, gdy dotarła na trzeci poziom. W zasięgu wzroku nie było żadnego człowieka.

Na chwilę przystanęła. W tej samej chwili kroki, które słyszała za sobą, też ucichły. Rozejrzała się wokół siebie, ale nikogo nie zobaczyła. Znowu ruszyła i znowu usłyszała czyjeś kroki. Ich odgłos odbijał się od betonowych ścian i dlatego nie potrafiła określić, czy ten ktoś idzie za nią, czy przed nią.

I nagle ujrzała mężczyznę w czarnym kapturze na głowie. Biegł w jej kierunku z drugiego końca garażu.

Rozdział 24

W dwa tysiące piątym roku neurobiolog o dźwięcznym imieniu i nazwisku Rodrigo Quian Quiroga opublikował raport na temat neuronu, który na cześć słynnej aktorki nazwano Halle Berry. Według Quirogi za rozpoznawanie znanej wcześniej osoby, zwierzęcia albo przedmiotu odpowiada zawsze określona komórka nerwowa w mózgu. Nazwa wzięła się stąd, że w czasie testów jeden z neuronów reagował, gdy testowanej osobie pokazywano zdjęcie aktorki. Ów neuron reagował też na widok Halle Berry w stroju z czarnego lateksu w roli kobiety kota.

Taki neuron zareagował też u Ellen, gdy ujrzała mężczyznę biegnącego w jej stronę. Neuron rozpoznał jego wzrost, sylwetkę i ubranie, chociaż mężczyzna skrywał twarz pod kapturem głęboko naciągniętym na czoło. W ułamku sekundy sieć neuronów wysłała do Ellen wiadomość, która trafiła do niej za pośrednictwem układu limbicznego. Steruje on emocjami i zachowaniami motorycznymi.

Informacja, jaką otrzymała Ellen, brzmiała: ZBLIŻA SIĘ CZARNY LUD! Jej mózg uznał jego zachowanie za atak na nią.

Ellen natychmiast zawróciła i wbiegła z powrotem do klatki schodowej. Wiedząc, że prześladowca jest tuż za nią, pobiegła schodami w górę. Przez cały czas słyszała jego oddech i kroki. Był szybki, ale udało jej się utrzymać dystans. Wprawdzie wbieganie po schodach wymaga pracy innych mięśni nóg niż podczas joggingu na prostej ścieżce, ale Ellen miała trochę lepszą kondycję niż goniący ją mężczyzna.

To nie Chris, podpowiadała jej jedna część mózgu, podczas gdy druga część starała się ją przekonać, że najwyższy czas wziąć nogi za pas. Przecież Chris nigdy by nie założył takiej koszulki, a zwłaszcza kaptura. Poza tym czy Chris nie jest trochę niższy od jej prześladowcy? Postanowiła, że później się nad tym zastanowi. Teraz musi jak najszybciej uciekać.

Kolejne schody prowadzące na parter. Nadal są sami. Wokół żywej duszy. Oceniała, że zostało jeszcze dwadzieścia stopni.

Piętnaście.

Dziesięć.

Mężczyzna był coraz bliżej.

Cholera, nie zdążę dobiec do ulicy, pomyślała.

W końcu dotarła na parter. Mężczyzna był już blisko niej. Czuła, jak jego dłoń ślizga się po jej skórzanej kurtce.

Jeszcze jakieś czterdzieści metrów i będzie bezpieczna.

Za daleko!

Pozostało jej tylko jedno wyjście. Zebrała wszystkie siły i nie zważając na ból, jaki nadal odczuwała, wbiegła do damskiej toalety w pobliżu automatów kasowych. Zamknęła drzwi, oparła się o nie, a gdy usłyszała, jak mężczyzna uderza o nie ciałem, przekręciła klucz w zamku.

Poczuła, że jest bezpieczna. Zrozumiała też, że tkwi w pułapce.

– Witaj, Ellen.

Kiedy usłyszała jego przytłumiony głos, przeszedł ją dreszcz. Zna ten głos! Tak, cholera, zna go bardzo dobrze! Ale skąd? Nie przypomina głosu Chrisa, choć jest na tyle przytłumiony, że nie można wykluczyć, że to on.

– Czego pan ode mnie chce? Zrobiłam przecież to, czego pan żądał.

– Tak, to prawda.

Chociaż Ellen nigdy nie widziała twarzy mężczyzny, wydawało jej się, że kiedy do niej mówi, uśmiecha się szeroko. Zimny uśmiech szaleńca. Spróbowała sobie wyobrazić taki uśmiech na twarzy Chrisa i faktycznie, udało jej się!

– Chris? Do cholery, to ty?

– Musisz rozwiązać zagadkę, a wtedy się dowiesz. Albo... otwórz drzwi, jeśli masz na tyle odwagi.

Ellen wzdrygnęła się ze strachu. Dodatkowo zabezpieczyła drzwi zasuwką. Na myśl o tym, co szaleniec stojący za drzwiami zrobił jej w lesie, opuściła ją odwaga. W najgorszym wypadku otworzenie drzwi będzie zaproszeniem dla tego psychopaty – pewnie wpadnie do środka i pobije ją na śmierć.

– Dlaczego akurat ja? – spytała Ellen, ze złością i rozpaczą uderzając pięścią w drzwi. – Co ja panu takiego zrobiłam?

– Zastanów się nad tym, głuptasku. Kiedy usłyszysz następną zagadkę, powinnaś bardziej uważać.

– Może mi w końcu powiesz, czego chcesz, ty pieprzony psychopato?

– No, no, to nie było miłe. Ale dzięki temu jesteśmy przynajmniej „na ty”. W takim razie posłuchaj dokładnie. Czas leci, nie zapominaj o tym. To twój czas i...

Ostatnie słowa wypowiedział zbyt cicho, żeby Ellen mogła je usłyszeć i zrozumieć przez zamknięte drzwi. Czy to znaczy, że już go tam nie ma? Klęknęła i zajrzała przez szparę pod drzwiami. Nie, nadal stoi za drzwiami. Wprawdzie nie widzi jego butów, ale za to widzi cień, który mężczyzna rzuca na podłogę w świetle neonówek.

Nagle usłyszała potężne uderzenie pięścią w drzwi. Aż krzyknęła ze strachu.

Zrozumiała, że potrzebuje pomocy, i to natychmiast. Jeśli dalej będzie się tak dobijał, drzwi w końcu puszczą. Sama sobie z nim nie poradzi, boleśnie przekonała się o tym w lesie. A gaz pieprzowy, jedyną broń, jaką posiadała, zużyła podczas walki z Janovem.

Wyjęła z kieszeni komórkę i spojrzała na wyświetlacz. Bateria była prawie wyczerpana.

Bum!

Kolejne uderzenie i znowu wstrząsnął nią strach, że za chwilę mężczyzna rozbije pięścią drzwi. Miała nadzieję – co tam, nadzieję! – modliła się, żeby bateria wystarczyła na przeprowadzenie choć jednej rozmowy telefonicznej.

Bum, bum, bum!

– Wychodź stamtąd!

Mark odebrał po drugim sygnale.

– Słucham.

– Mark? Mówi Ellen. Jestem na podziemnym parkingu w centrum miasta. On stoi przed drzwiami. Ten szaleniec stoi przed drzwiami! Pomóż mi, proszę!

– Nie ruszaj się z miejsca! – zawołał Mark. – Natychmiast do ciebie...

W tym momencie bateria padła.

Dwanaście minut później zjawił się Mark. Przez cały ten czas Ellen musiała wysłuchiwać niezliczonych uderzeń pięścią w drzwi. Kiedy usłyszała głos Marka, myślała, że rzuci mu się na szyję.

Otworzyła drzwi i ujrzała, że obok niego stoi jakaś kobieta z twarzą wykrzywioną złością.

– Chodź.

Mark wziął Ellen delikatnie pod ramię i dotknął przy tym jednej z wybroczyn. Ellen krzyknęła instynktownie. Mark spojrzał na nią zatroskanym wzrokiem.

– Chyba najwyższy czas, żebyś mi o wszystkim opowiedziała.

– Masz rację. Czuję, że w tej sytuacji sama już sobie nie poradzę.

Kobieta, która stała obok Marka, wsunęła się do toalety. „Bezczelność!” powiedziała i zamknęła za sobą drzwi.

Kiedy Mark odprowadzał Ellen do samochodu, ona bez przerwy się rozglądała. Przez cały czas miała wrażenie, że Czarny Lud ją obserwuje.

Rozdział 25

– Uff! – westchnął Mark, siadając w fotelu. – To, co mi opowiedziałaś, to dość zwariowana historia.

– Nie musisz mi tego mówić – stwierdziła Ellen. – Zaczynam już przypominać moje pacjentki albo główne bohaterki filmów Davida Lyncha.

Mówiąc to, wskazała na plakat z Mulholland Drive wiszący w ramce nad kominkiem. Widać było na nim Naomi Watts i Laurę Harring, które – najwidoczniej czymś przerażone – wpatrywały się w sufit pokoju.

– Być może, ale to, co się stało z kotem, przypomina raczej sceny ze Stephen Kinga.

Ledwo Mark wypowiedział to zdanie, w oczach Ellen pojawiły się łzy. Nie chciała płakać, bo gdy ktoś płacze, pokazuje, że jest słaby i delikatny. Nie mogła jednak powstrzymać łez, bo nagle przypomniała sobie martwego Sigmunda, jego prawie całkowicie odciętą głowę i kałużę krwi na kamiennej posadzce. Dlatego nie potrafiła się opanować. Zaciśnęła powieki i zdławiła łkanie. W tym samym momencie poczuła dłoń Marka, który nieśmiało dotknął jej ramienia.

– Zaraz mi przejdzie – wykrztusiła z siebie, ocierając rękawem łzy z twarzy. – To po prostu za dużo jak dla mnie.

Mark cofnął rękę i skinął głową.

– Czy podejrzewasz kogoś? – spytał.

– Nie – odparła Ellen, kręcąc głową. – Na początku podejrzewałam ciebie... Nie zrozum mnie źle, wtedy wszystko wskazywało na ciebie. Jest mi naprawdę przykro.

– Już dobrze, zapomnij o tym – powiedział Mark, machając ręką, choć widać było, że jej słowa trochę go dotknęły.

– Chciałabym, żebyś wiedział, że jest mi naprawdę bardzo przykro.

– Wtedy poczułem się tym urażony, jednak po tym, co mi opowiedziałaś, zaczynam cię rozumieć. Wszystko się zgadzało – mój przyjazd na leśny parking, wizyta w twoim mieszkaniu i to, że ze względu na swobodny wstęp na oddział mogłem porwać twoją pacjentkę. Na dodatek twierdziłem, że przesadzasz i cierpisz na paranoję.

Ellen spojrzała na niego w zamyśleniu, aż w końcu zdobyła się na odwagę, żeby zadać mu pytanie, które nie dawało jej spokoju od chwili, gdy Mark przyjechał po nią na podziemny parking.

– A co sądzisz teraz? Czy nadal uważasz, że wszystko to tylko fantazje?

Mark pokręcił przecząco głową i wskazał na jej podciągnięte rękawy, spod których wyzierały sine plamy przypominające tatuaże.

– Oczywiście, że nie. Nawet bez tych widocznych dowodów nie mógłbym uznać, że to tylko wymysły wywołane stresem. Nie przejmuj się tym. Wierzę d i nie biorę d wcale za złe, że mnie podejrzewałaś.

– Doszło do tego, że zaczęłam nawet podejrzewać Chrisa – westchnęła Ellen. – Akurat jego! Wiesz, czasem mi się zdaje, że zaczynam tracić rozum.

– I właśnie chyba o to chodzi temu facetowi – stwierdził Mark, nalewając kawy do filiżanek. Ellen porównała ekspres do kawy w biurze Marka z tym, który miał w mieszkaniu, i doszła do wniosku, że Mark zadowala się dość tanim sprzętem. – Dla mnie wygląda to na akt zemsty. Może tamta kobieta z nim współpracuje? Może jest jego współniczką?

– Ja też to brałam pod uwagę – odparła Ellen. Mieszała kawę, ale myślami była gdzie indziej. – Jeśli rzeczywiście tak jest, to muszę powiedzieć, że jest najlepszą symulantką, jaką kiedykolwiek widziałam. Jej strach był rzeczywisty. Jakoś nie mogę uwierzyć, że potrafi aż tak dobrze udawać.

– W takim razie powinniśmy przyjąć, że nie udawała i że Czarny Lud rzeczywiście ją porwał. Jednak co to ma wspólnego z tobą? Sądysz, że chce w tobie wzbudzić poczucie odpowiedzialności i postawić cię w trudnej sytuacji, żeby się potem przypatrywać, jak się wykańczasz?

Ellen upiła trochę kawy i skinęła głową.

– Tak, chociaż nie znam powodów takiego działania.

– A zemsta?

– Możliwe.

– Nie możemy jednak wykluczyć, że facet jest po prostu porąbany. Że to na przykład jakiś dawny pacjent, który wkomponował cię w chory świat swojej wyobraźni. Nie wszystkie motywy da się przewidzieć, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z osobą chorą psychicznie. Być może oboje popełniamy ten sam błąd, że próbujemy analizować jego postępowanie, zamiast go po prostu znaleźć.

– Ale jak? Kimkolwiek jest, obserwuje każdy mój krok. A jeśli tamta kobieta faktycznie jest jego zakładniczką, to gdy się zorientuje, że próbuję wpaść na jego trop, będzie zadawał jej cierpienie. Cholera, nic już nie wiem.

Mark podrapał się w zamyśleniu po głowie. Po chwili wyszedł z pokoju i wrócił z paczką papierosów i opakowaniem tabletek. Tabletki położył przed Ellen, a sam wyjął papierosa i włożył go do ust.

– Zażyj jedną i spróbuj zasnąć, przynajmniej na dwie godziny. Ja muszę iść na dyżur. Potem się wspólnie zastanowimy, co dalej.

Ellen spojrzała podejrzliwie na tabletki i od razu przypomniała sobie dziewczynkę, którą widziała podczas halucynacji w podziemiach hotelu.

– Nie potrzebuję Sedativum. Przez to paskudztwo miałam ostatniej nocy koszmarne sny.

Mark wypuścił dym przez nos i uśmiechnął się.

– Bądź grzeczna i posłuchaj pana doktora.

To dość wzruszające, pomyślała Ellen i też się do niego uśmiechnęła, choć w tej sytuacji wcale nie było jej do śmiechu. Męczył ją nadal huczący w skroniach ból, nie wspominając już o jej największym problemie, jakim był tamten szalenciec. Czy naprawdę sądziła, że to Mark jest tym facetem, który w lesie prawie połamał jej zębra? W tym momencie trudno było to sobie wyobrazić.

Mimo to odsunęła tabletki na bok.

– To miłe z twojej strony, ale sam powinieneś wiedzieć, że lekarze są najmniej posłusznymi pacjentami na świecie.

– Jak to: powinienem wiedzieć? – spytał Mark, unosząc brwi.

– Czy słyszałeś kiedykolwiek o ryzyku zachorowania na raka płuc przez biernych palaczy?

Mark roześmiał się, choć jednocześnie poczerwieniał i od razu zdusił papierosa w popielniczce. Chwilę potem wyszedł z mieszkania, a Ellen położyła się na bardzo wygodnej kanapie. Chociaż wypiła aż dwie filiżanki dość mocnej kawy i postanowiła nie brać tabletki – choć obiecała Markowi, że to zrobi – natychmiast zasnęła.

Była zbyt zmęczona, żeby o czymkolwiek śnić.

Ellen podskoczyła. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Potem spojrzała na plakat w ramce, który przedstawiał Jacka Nance'a i jego błazeńską czuprynę. Była to reklama filmu Głowa do wycierania. Dopiero wtedy Ellen przypomniała sobie, że zasnęła w mieszkaniu Marka.

Telefon stojący w przedpokoju znowu zadzwonił. Ellen widziała go przez otwarte drzwi salonu. Na wierzchu błyskała lampka, a aparat wydawał z siebie taki dźwięk, jak czarny bakelitowy potwór z lat czterdziestych. A przecież był niewiele większy od przeciętnego telefonu komórkowego.

DrrrrrrriTrrrnTrrrrrrrrrrrrrrrrrrTrrr!

Nieprzyjemny dźwięk drażnił uszy. Zwłaszcza uszy Ellen, którą dopadła migrena.

Odetchnęła z ulgą, gdy po trzecim sygnale włączyła się automatyczna sekretarka. Usłyszała męski głos, ale nie zrozumiała tego, co mówił.

Akurat w tym momencie w ogóle jej to nie interesowało, bo skupiła uwagę na czymś innym. To „coś” ogromnie ją zdumiało.

Chociaż praca w taki dzień jak Wigilia nie należy do przyjemności, swój pierwszy dyżur na Oddziale IX Ellen wspominała jako jedno z najpiękniejszych przeżyć w całej swojej karierze zawodowej. Wspomnienia były tak żywe, jakby to wczoraj miała ten dyżur.

Tamtego dnia pracowała wraz z Chrisem i dwoma pielęgniarzami, Lutzem i Dieterem. Sympatyczni chłopcy, którzy byli parą.

Obaj mocno się wtedy zaangażowali w pracę. Lutz minął się chyba z powołaniem, bo powinien raczej zostać dekoratorem wnętrz. Z kolei Dieter, który z wykształcenia był piekarzem i cukiernikiem, zadowolili podniebienia wszystkich pacjentów na oddziale. Przez całe popołudnie w powietrzu unosił się zapach wypieków, zwiastując to, co czekało na stole, to znaczy odświętnie udekorowane talerze z orzechami i świeżo upieczonymi plackami.

Chris rzucił się na jedzenie z wielkim apetytem. Zasmakował zwłaszcza w małych kruchych ciasteczkach kokosowych. Po pewnym czasie Ellen zwróciła mu uwagę, że jeśli dalej będzie się tak opychał, to jego niewielki brzuszek zamieni się najpierw w większy brzuch, a potem w duże brzuszysko. Wszyscy obecni wybuchnęli wtedy śmiechem, zwłaszcza że Chris poczerwieniał na twarzy i uśmiechnął się zawstydzony.

Tamta Wigilia była na swój sposób niezwykła. Pacjenci, lekarze i pielęgniarze przez dwie godziny czuli się jak jedna duża rodzina.

Nie obyło się niestety bez wyjątków. Znalazło się bowiem kilku pacjentów, u których ten szczególny wieczór wywoływał emocjonalne przeżycia. Na przykład dlatego, że nie mieli rodziny, u której mogliby spędzić święta, albo – co było o wiele gorsze – to rodzina nie chciała nic wiedzieć o swoich chorych psychicznie krewnych. Tacy pacjenci dostawali zawsze w święta dodatkową dawkę leków i wcześniej szli spać.

Później na ich Wigilii pojawił się także Mark, który pracował na oddziale piętro wyżej. Popijali bezalkoholowy poncz, rozmawiali i grali w gry planszowe, podczas gdy Dieter puszczał kolejne CD z muzyką takich wykonawców, jak: Chris Rea, Bryan Adams, Red Hot Chili Peppers...

Tamten uroczysty wieczór świętowali cztery lata temu i było to naprawdę niezwykle przeżycie. Przede wszystkim dlatego, że w marcu następnego roku Lutz i Dieter zginęli w czasie urlopu w Turcji. Wpadł na nich autobus, bo kierowca zasnął za kierownicą.

Podczas tamtej Wigilii ktoś zrobił wszystkim zdjęcie. I właśnie na tę fotografię spoglądała teraz Ellen. Wydawało jej się, że sobie przypomina, iż to Lutz przyniósł wtedy aparat. Na zdjęciu stoi między Chrisem a Markiem i trzyma ich obu pod rękę, Mark całuje ją w policzek. Ellen nie pamiętała o tym pocałunku, ale nie to przykuło teraz jej uwagę.

Fotografia została wywołana w większym formacie i znajdowała się na pierwszej stronie albumu stojącego na półce z książkami Marka. Albumu, który na przedniej i tylnej okładce miał słowo ELLEN wypisane czarnym mazakiem. Ellen od razu rozpoznała charakter pisma. Był taki sam, jak na wieszaku na klucze, na którym ktoś wypisał słowa:

„Już się zaczyna”.

Poczuła, jak w ułamku sekundy całe jej ciało zamienia się w bryłę lodu.

O tym, że drugim mężczyzną na zdjęciu jest Chris, świadczył sposób, w jaki stał, a także jego norweski sweter, który tamtej zimy często nosił. Jednak na tym zdjęciu ktoś tak bardzo zamazał mu twarz, że była prawie nie do rozpoznania.

Nie, to nie był „ktoś”. Na pewno zrobił to Mark.

Z niedowierzaniem przerzucała kolejne kartki albumu i za każdym razem serce biło jej coraz szybciej. W albumie znajdowały się tylko takie zdjęcia, na których była ona.

Ellen na oddziale, Ellen na wycieczce dla pracowników, Ellen przed statua Imperii w Konstancji, Ellen na wyjeździe szkoleniowym w Lipsku. I tak dalej, i tak dalej.

Wiele z tych zdjęć nie tylko rozpoznała, ale także od razu skojarzyła, w jakich okolicznościach je zrobiono. Album zawierał też fotografie, które widziała po raz pierwszy. Były to tak zwane szybkie ujęcia, zrobione z ukrycia.

Ellen w trakcie joggingu nad Dunajem – zdjęcie wykonane zza krzaka. Ellen w czasie opalania nad Baggersee niedaleko kliniki. Ellen podczas przerwy na lunch, gdy czyta coś na ławce w parku koło kliniki. Ellen w czasie...

Nie! To chyba niemożliwe!

Zdjęcie zrobiono w chwili, gdy stoi w oknie swojego mieszkania w hotelu dla pracowników i zdejmuje koszulę.

Ellen zamknęła album tak gwałtownie, że zabrzmiało to jak wystrzał z pistoletu. Była zupełnie zaskoczona, palił ją wstyd, ale przede wszystkim odczuwała złość.

– Cholerny dowcipniś, teraz już wszystko rozumiem!

Trzęsąc się ze złości, wypadła do przedpokoju i zerwała kurtkę z wieszaka. Musi stąd jak najszybciej wyjść!

Teraz ma dowód. Ten album jasno pokazuje przyczyny zachowań Marka, choć właściwie trzeba by powiedzieć: Czarnego Luda. Ellen nie miała już żadnych wątpliwości, że to Mark nim jest. Jeśli pójdzie teraz na policję, będą musieli jej wreszcie uwierzyć. A jeśli zadzwoni do Wegerta – policjanta, który w całym swoim życiu widział więcej brudu niż kanalizacyjna rura – Markowi odechce się śmiać. Jest tego pewna.

Chwyciła za klamkę, gdy nagle przyszło jej do głowy, że jeśli zabierze teraz album i wyjdzie, popełni poważny błąd. Lepiej będzie, jeśli znajdzie go tu policja. To będzie niepodważalny dowód. Przecież na albumie nie ma imienia Marka.

Podbiegła do półki, wstawiła album na swoje miejsce i skierowała się do drzwi wyjściowych. W tym momencie jej uwagę zwróciła lampka migocząca na telefonie stojącym w przedpokoju.

Szybko nacisnęła klawisz. Prawdopodobnie zrobiła to instynktownie, może miała przecucie, a może podpowiedziała jej to babska intuicja. Nieistotne. Ważne, że to zrobiła.

Po zapowiedzi nagranej melodyjnym mechanicznym głosem, który informował, że właściciel telefonu otrzymał nową wiadomość, Ellen usłyszała datę i godzinę, a na końcu męski głos.

– Cześć, to ja. – Słyszając te słowa, poczuła się tak, jakby mężczyzna, który je wypowiadał, znowu siedział jej na plecach. – Wszystko, co było do zrobienia w sprawie Ellen, jest przygotowane. Oddzwoń, możemy zaczynać!

Jest ich dwóch, przemknęło jej przez myśl. Ależ z ciebie idiotka. To przecież jasne, że musiało ich być dwóch.

W tym samym momencie usłyszała, jak pod dom zajeżdża samochód. Przez żłobkowane szkło w drzwiach wejściowych rozpoznała volvo Marka.

Rozdział 26

Mózg przeciętnego człowieka składa się z około stu miliardów komórek nerwowych, które komunikują się ze sobą za pomocą ponad stu bilionów synaps. W trakcie takich procesów powstają poszczególne myśli. Odbywa się to z tak nieprawdopodobną prędkością, że zanim człowiek zdąży je „przerobić”, umysł przetwarza je na słowa.

Jeszcze zanim Mark zamknął drzwi swojego volvo, Ellen rozważała gorączkowo dwie możliwości. Albo zostanie w domu Marka, żeby w końcu się z nim rozmówić – zarówno w kwestii samej gry, którą z nią prowadzi, jak i zniknięcia bezimiennej kobiety – albo jak najszybciej stąd zniknie.

Za drugim rozwiązaniem przemawiało to, że tylko w taki sposób zyska szansę na znalezienie współnika Marka. Wtedy włączy w to wszystko policję, a Mark nie będzie już mógł zataić nazwiska swojego kompana. Wcześniej byłoby to zbyt ryzykowne, bo mogłoby narazić na niebezpieczeństwo tamtą bezimienną kobietę.

Słyszając na ścieżce prowadzącej do domu kroki Marka, Ellen podbiegła do drzwi wychodzących na taras. Dobiegł ją szcęk klucza przekręcanego w zamku. Otwarcie drzwi tarasowych – co nie było takie łatwe, bo ciężko się przesuwają – zabrało jej dwie cenne sekundy. Ogród przylegający do domku był dość rozległy. Kiedy Mark wejdzie do domu i zbliży się do tego miejsca, na pewno ją zobaczy, jeszcze zanim uda jej się dobiec do ulicy.

Dlatego ukryła się za żywopłotem, czekając, co się zdarzy.

Z początku nic się nie działo. Ellen nie mogła się zorientować, czy Mark jest w salonie, ponieważ słońce stało już nisko i promienie odbijały się od szyby. W końcu drzwi tarasu rozsunęły się i Mark wyszedł z salonu. Rozglądał się uważnie, a jego wzrok wędrował przez ogród w stronę ulicy i z powrotem. Przez krótką chwilę, która wydała jej się wiecznością, Mark spoglądał na ten fragment żywopłotu, za którym się ukrywała.

Cholera, on mnie widzi! Przecież jeśli ja widzę jego, to i on widzi mnie!

Mark zrobił dwa kroki w jej kierunku i zatrzymał się. Pochylił się, podniósł z ziemi skrawek błyszczącego celofanu przyniesionego przez wiatr do ogrodu, przez moment mu się przypatrywał, aż wreszcie rzucił go z powrotem w trawę. Potem odwrócił się i wszedł do salonu.

I znowu minęła cała wieczność. Nagle Ellen usłyszała, jak Mark włącza silnik swojego volvo. Przebiegła przez ogródek i wypadła na ulicę.

Mark z pewnością zacznie jej teraz szukać. Być może ściągnie do pomocy swojego kumpla. Dlatego powinna go śledzić. Tylko jak? Jej mazda nadal jeszcze stoi na podziemnym parkingu.

W tym momencie na ulicy pojawił się niewielki samochód, który zanim został poddany tuningowi, był zwykłym oplem corsa. Z pojazdu dobiegały głośne dźwięki muzyki. Nie zastanawiając się zbyt długo, Ellen weszła na asfalt z uniesioną ręką. Zapiszczały opony i samochód zatrzymał się przed nią.

– Oszalałaś, staruszko? – krzyknął kierowca przez opuszczoną szybę. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat. Miał jasne włosy, w które wtarł tak dużą ilość żelu, że kształtem przypominały koguci grzebień.

– Musi mnie pan ze sobą zabrać. To bardzo ważne – powiedziała Ellen z błagalnym wyrazem twarzy, co zawsze przychodziło jej z łatwością. Jednocześnie oparła obie dłonie o maskę silnika, żeby kierowca nie mógł dalej jechać.

– Jedyne, co muszę, to się wysrać i zdechnąć. I nic więcej! A teraz zdejmij szpony z mojej bryki. Zarysujesz mi lakier.

– Zapłacę!

Kierowca natychmiast ściszył muzykę.

– Ile?

– Pięćdziesiąt.

– Stówkę.

Volvo Marka dojechało już do końca ulicy i właśnie skręcało. Mark kierował się najwidoczniej w stronę obwodnicy.

– Zgoda, niech będzie stówka.

– Ale z góry!

Ellen otworzyła gwałtownie boczne drzwi i wskoczyła do samochodu. W portfelu miała jeszcze sto dziesięć euro. Rzuciła kierowcy oba banknoty na kolana.

– A teraz jedź za tamtym czarnym volvo. Tylko już!

Mężczyzna uśmiechnął się szyderczo.

– Wszystko jasne – odparł i ruszył z piskiem opon. Potem tak bardzo pogłośnił muzykę, że aż zaczęła drżeć kłapa bagażnika.

Rozdział 27

Nie mogła Märzyć o lepszym kamuflażu niż jaskrawożółty samochód. Ellen zorientowała się po drodze, że jego właściciel ma na imię Holger. Na desce rozdzielczej po stronie pasażera nakleił dwie nalepki o treści: „Zapnij pasy, wyrzuć kiepa i stul pysk”.

Napis na kolejnej nalepce – która znajdowała się pod tamtymi – brzmiał: „Formularz testamentu w skrytce przed tobą” i świetnie pasował do stylu jazdy kierowcy.

Holger jechał tak blisko poprzedzających go samochodów, że Ellen zaczęła sobie wyobrażać, jak kończy życie w masie blachy i plastiku, bo któryś z kierowców wpadł nagle na pomysł, żeby gwałtownie zahamować. Holger trzymał się dość daleko za volvo Marka, ale przez cały czas miał go w zasięgu wzroku.

Kilka minut później Ellen domyśliła się, że Mark jedzie do Leśnej Kliniki. Prawdopodobnie doszedł do wniosku, że właśnie tam ją zostanie.

Zanim znaleźli się na parkingu przed kliniką, Ellen poprosiła Holgera, żeby się zatrzymał, ale radio grało tak głośno, że musiała krzyczeć, żeby ją zrozumiał. Gdy Holger ostro zahamował, pas bezpieczeństwa Ellen wpił się boleśnie w jej ciało w miejscach, gdzie miała wybroczyny.

– Twój kochaś chyba zablądził – stwierdził Holger. A gdy Ellen nic nie powiedziała, tylko zaczęła się gramolić z wąskiego fotela, Holger dodał: – Zresztą co mnie to, kurna, obchodzi. Wszystkiego dobrego. I dzięki za kaskę.

Potem ruszył z fantazją i chwilę potem jego plastikowa maszyna z głośno grającą muzyką zniknęła za zakrętem. Ellen rozcierała bolące miejsca. Hałas dobiegający z ulicy uznała prawie za błogosławioną ciszę.

Mark zaparkował na parkingu dla gości. Ellen obserwowała z bezpiecznej odległości, jak wysiada z samochodu. Kiedy zobaczyła, kto idzie w jego stronę, przeszedł ją dreszcz.

Mężczyzna chyba lubił nosić czarne kaptury. Miał też na sobie T-shirt z wizerunkiem Batmana i napisem: NEW ZEALAND ALL BLACKS.

Ellen po raz pierwszy ujrzała jego twarz. Wprawdzie z tej odległości nie widziała jej zbyt wyraźnie – Boże, w końcu musi sobie chyba kupić okulary albo szkła kontaktowe – ale to, co ujrzała, na pierwszy rzut oka nie wyglądało groźnie. Przeciwnie, mężczyzna sprawiał całkiem sympatyczne wrażenie, jak znajomy z sąsiedztwa. Albo wilk w owczej skórze.

Mężczyzna niósł coś pod pachą. Z początku Ellen sądziła, że to zwykła aktówka, ale kiedy podał ów przedmiot Markowi, od razu poznała, że to jej laptop.

Jej laptop! Z jej biura!

Nieważne, że jest krótkowidzem: to jej laptop, bez dwóch zdań. Od razu rozpoznała dwie duże naklejki na klapce: jedną z emotikonkiem symbolizującym uśmiech i drugą, jaką ma na szybie swojego samochodu każdy świeżo upieczony kierowca. To też jeden z dowcipów Chrisa.

Mark skinął głową, włożył laptop do samochodu i razem z mężczyzną skierował się w stronę kliniki. Ellen szła za nimi w bezpiecznej odległości.

Co teraz zrobią?

Obaj mężczyźni byli zbyt zajęci rozmową, żeby ją zauważyć. Czarny Lud machał ramionami, jakby dyrygował orkiestrą. Tak, ma temperament. Świadczą o tym jej bolące plecy.

Nagle Ellen stanęła jak wryta. Tuż obok usłyszała jakiś dźwięk. Szum, który od razu jej się z czymś skojarzył.

W tym samym momencie się domyśliła, gdzie znajduje się bezimienna kobieta.

Całą sieć tuneli pod kliniką zbudowano właściwie ze strachu.

Kiedy w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku doszło do kryzysu kubańskiego i cały świat stanął na krawędzi wojny, strach przed ewentualnym atakiem nuklearnym sprawił, że w Niemczech wybudowano wiele podziemnych schronów. Kompleks tuneli powstał też pod kliniką.

Gdyby doszło do katastrofy, pod ziemią znalazłoby schronienie ponad czterysta osób. Ciężkie stalowe śluzy zostałyby zaryglowane, a szyby wentylacyjne, które wystawały z ziemi na terenie całego kompleksu, hermetycznie zamknięte.

Kiedy dwa lata później w polityce międzynarodowej nastąpiła mała odwilż, którą Egon Bahr nazwał „zmianą poprzez zbliżenie”, tunele zaczęto wykorzystywać w inny sposób. Zaopatrzenie, które wcześniej dostarczano drogą naziemną, teraz zaczęto dowozić podziemnymi korytarzami. Cztery elektryczne kolejki przewoziły między poszczególnymi budynkami a magazynem zaopatrzeniowym jedzenie, pościel i wszystko inne, czego szpital potrzebował.

Każda kolejka ciągnęła za sobą jedną albo dwie blaszane przyczepki. Korzystanie ze składów elektrycznych bardziej się opłacało i nie wymagało aż tak dużego dozoru jak używane poprzednio ciężarówki z platformami. Poza tym kolejki pracowały ciszej i nie zwracały niczyjej uwagi – dzięki czemu można je było wykorzystywać nie tylko do transportu towarów. Czasami wywożono nimi zwłoki pacjentów do kostnicy, a także przewożono chorych uznanych za ciężkie przypadki na inne oddziały – dzięki temu pozostali pacjenci nie denerwowali się niepotrzebnie. Jedynie kiedy ktoś siedział w parku, mógł usłyszeć krzyki transportowanych chorych, gdy kolejka przejeżdżała akurat obok któregoś z szybów wentylacyjnych.

To właśnie odgłosy z jednego z takich szybów Ellen słyszała w tle, gdy rozmawiała przez telefon z Czarnym Ludem i bezimienną kobietą. Był to charakterystyczny, metaliczny szum.

Ellen wpatrywała się w końcówkę szybu, która wystawała z ziemi między dwoma krzakami i przypominała zakratowaną psią budę ze szlachetnej stali.

Porwana kobieta na pewno jest na dole. Tylko gdzie? Wprawdzie tunele przypominają labirynt – czemu ze względu na wielkość kliniki nie ma się co dziwić – ale to przecież część systemu zaopatrzenia i ukrycie tam jakiejś osoby, w dodatku na kilka dni, wydaje się prawie niemożliwe.

Mimo to Ellen zastanawiała się, czy ktoś byłby w stanie to zrobić. Jej wzrok spoczął na jednym z trawników. Na jego środku, w otoczeniu kilku ławek, stała rzeźba. Przedstawiała osobę z rozłożonymi ramionami i tłoczące się wokół niej dzieci. Rzeźba symbolizowała ponad sto tysięcy niepełnosprawnych dzieci i dorosłych, którzy padli ofiarą narodowego socjalizmu. Tylko w tej klinice przymusowo wysterylizowano albo uśmiercono za pomocą zastrzyków sześciuset ludzi.

Budynek, w którym dokonano tych przestępstw, został przed wielu laty zburzony, ale Ellen wiedziała, że zachowała się dawna piwnica. Miała być zasypana, ale ze względów finansowych odstąpiono od tego zamierzenia. Pozostawiono też korytarz prowadzący do piwnic. Zamknięto go przy użyciu stalowych kłap, na których zawieszono tabliczkę z napisem: UWAGA! GROZI ZAWALENIEM! WSTĘP WZBRONIONY!

Taki tunel to idealne miejsce na kryjówkę.

Tymczasem Mark i jego wspólnik skierowali się w stronę hotelu dla pracowników. Za chwilę dowiedzą się, że Ellen nie ma w mieszkaniu. Pewnie będą jej dalej szukać. Może pójdą na podziemny parking, gdzie nadal stoi jej samochód.

Ellen uznała, że ma wystarczająco dużo czasu, aby się przekonać, czyjej przypuszczenia są słuszne.

Jeśli się okaże, że tamta kobieta rzeczywiście jest więziona w piwnicy, zawiadomi policję.
Z uczuciem zdenerwowania, ulgi i odrobiny triumfu otworzyła klapę zakrywającą wejście do szybu.
Nagle ktoś chwycił ją za ramię.

Rozdział 28

Droga prowadząca do stanu określanego mianem szaleństwa nie jest zbyt daleka. Czasem wystarczy drobny problem w komunikacji pomiędzy dwoma komórkami mózgowymi.

Pierwszy napad schizofrenii Florian Jehl miał w wieku siedemnastu lat. Stal się niespokojny i agresywny i prześladowała go myśl, że rodzice chcą go otruć. Tak przynajmniej mówiły mu głosy w głowie. Na początku odzywały się tylko przy niektórych okazjach, ale z czasem stały się coraz bardziej natrętne. W końcu zadomowiły się w nim na stałe.

Na początku dzięki przyjmowanym lekom udało mu się nad nimi zapanować i wróciła mu jasność umysłu. Niestety, napady zdarzały się coraz częściej, aż w końcu lekarze zdiagnozowali u niego chroniczną schizofrenię.

I tak zaczęło się jego klasyczne życie schizofrenika: skierowanie na leczenie, nowa dawka leków, poprawa, zwolnienie z kliniki, pogorszenie, znowu skierowanie... zakłęty krąg.

Na początku nie wierzył w to, co mówią głosy. Potem zauważył, że dochodzą z pluszowego ślimaka, który siedział w jego mieszkaniu na półce obok łóżka. W końcu zrozumiał, że ślimak stoi po jego stronie. Ciągłe ostrzegał go przed jakimś niebezpieczeństwem, którego źródłem byli jego rodzice. Zwłaszcza wtedy, gdy matka domagała się od niego, żeby zjadł coś, w czym na pewno znajdowała się trucizna, jaką dali jej ludzie z tajnych służb, aby raz na zawsze usunąć jej syna ze świata żywych.

To Floriana przekonało do nowego przyjaciela.

Od tamtej pory jego aktualny stan psychiczny można było rozpoznać najlepiej po tym, czy w danej chwili ma przy sobie swojego ulubionego ślimaka.

Ślimak, którego trzymał pod pachą w chwili, gdy chwycił Ellen za ramię, miał brązową muszlę, krótką szyję z materiału, buźkę z szerokim uśmiechem i wielkie oczy w kształcie kulek.

Oczy Floriana też były w tym momencie szeroko otwarte. Kiedy dotknął Ellen, zareagowała tak, jakby kopnął ją prąd. Odskoczyła z głośnym krzykiem i o mało się nie przewróciła.

– Florian! Ależ mnie przestraszyłeś.

– Dzień dobry, pani doktor. Przykro mi, nie chciałem. Czy to naprawdę pani? Nie zawsze umiem panią poznać.

– Już w porządku, nic się nie stało. A na twoje pytanie odpowiem: tak, to ja.

Florian z zainteresowaniem wpatrywał się w kratkę, którą trzymała w rękach. Wyjęła ją bez trudu, wystarczyło wygiąć cztery cienkie aluminiowe pręty.

– A co pani tutaj robi?

Ellen odstawiła kratkę obok otwartego szybu.

– Ja... muszę tylko coś bardzo szybko sprawdzić. A czy ty nie powinieneś już wrócić na oddział?

Na twarzy Floriana pojawił się mroczny cień.

– Teraz się nie da. Dla pani też właściwie nie mam czasu. Najpierw muszę z nim poważnie porozmawiać. Gada czasem od rzeczy i okropnie mnie przez to złości.

Wypowiadając słowa „z nim”, Florian wskazał na ślimaka.

Ellen musiała ukryć przed Florianem swoje zdenerwowanie. Akurat w tym momencie nie miała czasu, żeby się nim zajmować. Jeśli go stąd odeśle, też jej to w niczym nie pomoże. Przeciwnie, wzbudzi tylko jego ciekawość. Florian należał do grona stałych gości kliniki i Ellen już niejedną raz miała z nim do czynienia. Wiedziała więc, że z natury jest dość ciekawskim pacjentem.

– Rozumiem. W takim razie wolałabym wam nie przeszkadzać w rozmowie. Musicie sobie jednak znaleźć jakieś spokojniejsze miejsce. Co byś na przykład powiedział o ogródku koło kawiarni dla pacjentów?

– O, to dobry pomysł. Rozmowa zawsze pomaga.

– No to życzę ci powodzenia.

– Ja pani też, pani doktor – odparł Florian i uśmiechnął się do Ellen. A kiedy się odwrócił i zaczął od niej oddalać, usłyszała, jak mówi do ślimaka: – Ona jest całkiem w porządku. Tylko przestań mnie już nazywać głupkiem!

Ellen odczekała, aż Florian się oddali. Potem upewniła się, że nikt nie nadchodzi, i szybko zeszła do szybu.

Drabina miała mniej więcej cztery metry długości. Kiedy Ellen znalazła się na dole, stanęła jak wryta. Wspomnienie czegoś, co wydarzyło się kiedyś, uderzyło w nią z siłą błyskawicy.

Już kiedyś była w tym tunelu. Brała wtedy udział w zwiedzaniu terenu kliniki. Było to krótko po tym, jak rozpoczęła tu pracę, to znaczy cztery lata temu. Z wyjątkiem jednego z bocznych tuneli żadnych innych szczegółów nie zapamiętała. Teraz jednak w ułamku sekundy wspomnienia wróciły i uświadomiła sobie, że wie, w który korytarz weszła podczas swojego pierwszego snu na jawie. Stojąc na dole, rozpoznała potężne korytarze, zakratowane jarzeniówki i obszerne pomieszczenie, z którego wyłoniła się w swoim śnie. Teraz okazało się, że była tu mijanka dla kolejek dowożących zaopatrzenie.

Niewiele brakowało, a zaczęłyby się rozglądać za profesorem Bormannem, aby jej wyjaśnił, że jest tylko prologiem do dalszej części jej sennego koszmaru.

Koszmar był związany z czarnym psem – Wilkiem! To był zły wilk! – który chciał ją dopaść.

Bzdura, pomyślała. To, co dzieje się teraz, to świat realny, a ja nie mam czasu na nieuzasadniony strach.

Mimo to lepiej poczuła się dopiero wtedy, gdy w drodze do korytarza biegnącego pod budynkiem chirurgii przeszła obok przygotowanego do jazdy wózka z pojemnikiem. Leżały w nim środki czyszczące, gumowe rękawiczki i skalpele jednorazowego użytku. Rozerwała jedno opakowanie i ostrożnie schowała skalpel do kieszeni kurtki.

Strzeżonego Pan Bóg strzeże, pomyślała.

Po chwili wzięła jeszcze dwa skalpele i wsunęła je do tej samej kieszeni.

Lepiej nosić, niż się prosić, pomyślała.

Chwilę później dotarła do korytarza, który ciągnął się pod pomnikiem i docierał do piwnicy. Im dalej szła, tym bardziej robiło się ciemno. W powietrzu śmierdziało stęchlizną, pleśnią, kurzem i resztkami środka antybakteryjnego. Prawdopodobnie lizolu.

Ellen żałowała, że nie wzięła ze sobą fartucha lekarskiego. W jego kieszonce zawsze miała małą latarkę. Mogłaby teraz sobie nią poświecić, co ułatwiłoby jej znalezienie włącznika światła. Prąd na pewno gdzieś tu jest, bo nadal paliły się zakurzone strzałki wskazujące drogę do wyjścia awaryjnego.

Korytarz skończył się przy stalowych drzwiach. W wielu miejscach odpadł z nich lakier i teraz wyzierały spod niego rdzawe plamy. Wyglądały jak czarne popękane rany. Ellen przyłożyła do ściany dłoń i zaczęła szukać klamki. Znalazła ją i nacisnęła. Klamka była tak zardzewiała, że z początku nawet nie drgnęła. W końcu rozległo się skrzypnięcie i drzwi stanęły otworem.

Oczom Ellen ukazało się wejście do dawnej sali terapeutycznej. Wprawdzie tylko dla jednej osoby, ale to wystarczyło. Przez chwilę się zawahała. Czy czegoś się spodziewa za tymi drzwiami?

Musi zebrać się na odwagę i zapanować nad strachem, bo inaczej długo tu nie zabawi. W przeciwieństwie do pacjentów, których tam zamykano, ona nadal może się odwrócić i wyjść. A co robi, jeśli to pułapka?

Pomyślała o Marku i jego niezrównoważonym wspólniku w kapturze. Obaj są teraz gdzieś w pobliżu. A może istnieje trzeci wspólnik, który zdołają tu wytropić?

Uciekaj. Uciekaj jak najszybciej! Jeszcze możesz stąd uciec!

Ellen oddychała szybko i gwałtownie, nie tylko z powodu unoszącego się tu smrodu, ale także ze strachu. Mimo to ruszyła dalej. Jest już prawie u celu, więc nie będzie uciekać. Zbyt wiele od tego zależy.

Kiedy wchodziła do sali, miała napięte wszystkie mięśnie.

Pomieszczenie było puste i bił z niego chłód. W kącie zauważyła zarysy krzesła. Przesunęła dłonią po ścianie w poszukiwaniu włącznika światła i w końcu go znalazła. Z początku nic się nie działo i dopiero po chwili usłyszała brzęczenie dochodzące spod sufitu, a mrok sali zaczął powoli rozjaśniać dwie jarzeniówki. Niestety, tylko jedna z nich świeciła równomiernym blaskiem. Druga ciągle migotała – co chwilę całe pomieszczenie rozświetlały oślepiające błyski.

Z sali, którą dawniej wykorzystywano do celów terapeutycznych, czworo drzwi prowadziło do kolejnych pomieszczeń. Niektóre były bez klamek i miały zaspawane zamki. Na jednych widniały resztki napisu:

SCHD

Kobieta musi być gdzieś za tymi drzwiami, pomyślała Ellen, bo nie była w stanie wypowiedzieć ani jednego słowa.

Zapach stęchlizny wywoływał duszności. Na dodatek rozbolała ją głowa, a fakt, że szła tunelem, jeszcze bardziej spotęgował ból. Co za cholerna migrena, czy ona się nigdy nie skończy?

Ellen wiedziała jednak, że teraz, tuż przed osiągnięciem celu, nie wolno jej się poddać. Nie powstrzyma jej ani ból głowy, ani strach przed tym, co czai się w korytarzu.

Jeśli ta kobieta rzeczywiście tu jest i jeśli zdoła ją uwolnić, wszystko skończy się dobrze. Na myśl o tym od razu poczuła się lepiej.

Tak, może już wkrótce będzie po wszystkim, pomyślała.

Postanowiła otworzyć pierwsze drzwi obok dawnego wejścia na klatkę schodową.

Kiedy to zrobiła, poczuła smród chloru i zgniłego drewna. Włączyła światło i ujrzała pomieszczenie wyłożone kafelkami – niegdyś białymi, a teraz szarymi i popękаныmi. Fugi zarosły czarną pleśnią, a w jednym miejscu pojawiły się brązowe grzyby. Spod kratki ściekowej na środku posadzki dobiegał pisk szczurów.

Ellen zaczęła szukać śladów, które mogłyby wskazywać, że w ostatnich dniach ktoś tu przebywał.

Na zardzewiałych uchwytych wbitych w przeciwległą ścianę wisi kilka gumowych węży. Nad nimi, na poprzecznej desce, stały różnego rodzaju metalowe nasadki i spryskiwacze. Obok gumowych węży stały wanny kąpielowe przypominające kształtem trumny. Wszystkie były przykryte drewnianymi płytami przymocowanymi metalowymi klamrami. W przedniej części każdej z płyt znajdował się owalny otwór, na tyle duży, że mieścił twarz dorosłego lub głowę dziecka.

Hydroterapia z mrocznej epoki średniowiecza, pomyślała Ellen. Bicz wodne na pomieszanie zmysłów. Otwór na głowę, żeby pacjent mógł się wykrzyknąć.

Ellen odwróciła się z obrzydzeniem. Kobiety tu nie ma. W blasku migoczących lamp wróciła do pierwszego pomieszczenia. Odgłosom jej kroków towarzyszyło tylko brzęczenie

popsutej świetlówki. Wilgotnymi dłońmi otworzyła następne drzwi i stanęła bez ruchu zdumiona tym, co ujrzała.

Kiedy przekreśliła włącznik, blask bijący od lampy operacyjnej zalał ją prawie niezwykłym światłem. Jaskrawy blask dosłownie przenikał aż do umęczonego migreną mózgu. Oślepiąca Ellen wpatrywała się w stalowy stół na środku pomieszczenia. Za nim widać było jakąś staroświecką aparaturę.

Pod stołem stały dwa wiadra, a obok szafka na różnego rodzaju przedmioty, głównie na skórzane pasy do spinania dwóch boków stalowej leżanki. Ellen od razu się domyśliła, do jakich celów służyło to pomieszczenie.

Nagle usłyszała kwilenie. Dobiegało z kąta po lewej stronie. Ellen podeszła bliżej i zerknęła za półkę. W jednej z zakurzonych przegródek stały butelki. Ich zawartość musiała się ulotnić przed kilkudziesięciu laty. Były tam także puszkę z jakimś proszkiem i pudełka z wyblakłymi nalepkami.

I nagle Ellen zauważyła bezimienną kobietę, która wpatrywała się w nią i przyciskała ze strachem do ściany.

Gdyby nie było to jedno z najstraszniejszych pomieszczeń, w których Ellen kiedykolwiek przebywała, wydałaby z siebie cichy okrzyk triumfu. A więc jednak ją znalazła! Wreszcie!

Teraz nie ma już czasu do stracenia. Nie wie, gdzie jest Mark i jego kompan w kapturze. Być może szukają jej w hotelu albo na podziemnym parkingu. Nie można jednak wykluczyć, że zaraz zjawią się tutaj.

Ellen podeszła ostrożnie do kobiety i to, co ujrzała, przeraziło ją. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Jej pacjentka miała szeroko otwarte oczy, siną i napuchniętą twarz, włosy rozczochrane, w niektórych miejscach powyrywane, a wokół ust widać było zaschnięte strużki krwi. Skórę głowy pokrywała jakaś wysypka i białe strupy. Kobieta wciskała się w kąt pokoju, między półkę a ścianę.

Drżała z wycieńczenia. Na widok Ellen uniosła związane ręce. Ellen zauważyła na jej nadgarstkach zaognione rany.

Mój Boże, co te świnię z tobą zrobiły, pomyślała.

– Nie bój się – szepnęła. – Znalazłam cię. Wszystko będzie dobrze.

Zbliżyła się do maltretowanej istoty, która kiedyś musiała być ładną kobietą. Klękła przy niej, starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów. Trudno jej było oddychać, bo od kobiety bił silny smród potu i ekskrementów.

Ostrożnie ujęła kobietę za chude ręce związane w nadgarstkach kablem.

– Muszę to przeciąć, dobrze?

Kobieta uśmiechnęła się do niej szeroko. Nie był to jednak uśmiech ulgi czy radości – z jej oczu biło szaleństwo.

To nieszczęsne stworzenie przeżyło piekło i straciło rozum, pomyślała Ellen.

Drżącą ręką wyjęła z kieszeni jeden ze skalpeli. Kiedy kobieta ujrzała ostrze, pisnęła i związanymi rękami zasłoniła twarz.

– Nie bój się – powiedziała Ellen. – Muszę go użyć, żeby przeciąć ci więzy.

Delikatnie dotknęła ręki kobiety, przyciągnęła ją do siebie i przyłożyła ostrze skalpela do kabla. Kobieta przewracała oczami i wydawała z siebie dziwne dźwięki. Był to jakiś bulgot, którego Ellen nie mogła zrozumieć.

– Spokojnie, już spokojnie. Chcę tylko...

Kobieta znowu zabulgotała, ale tym razem Ellen ją zrozumiała.

– Uważaj! Za tobą!

Jakaś ręka zakryła jej twarz ścierką tak szybko, że Ellen nie zdążyła nawet wstrzymać oddechu. Przeciwnie, ze strachu zrobiła głęboki wdech i w tym samym momencie poczuła silny zapach eteru.

Jej głowa uderzyła w czyjeś udo. Napastnik miał tak wielką siłę, że Ellen się przestraszyła, iż złamie jej nos.

Ellen poczuła, jak puls jej przyspiesza. Spróbowała uwolnić się z uchwytu, strach zwiększył panikę i wyzwolił w niej siłę, której sama się po sobie nie spodziewała. Przekręciła gwałtownie głowę w bok, odrzuciła z twarzy szmatę i zraniła napastnika skalpelem.

Mężczyzna natychmiast od niej odskoczył. Ellen usłyszała jego stłumiony krzyk, jakby sam zakrył sobie twarz jakąś szmatą.

Odurzona Ellen rzuciła się przed siebie i uderzyła twarzą o półkę, tuż obok kobiety. Jedną rękę wsadziła przez nieuwagę w jakąś maź. Wyprostowała się, ale zachwiała się niepewnie.

Wszystko zrobiło się takie lekkie, jakby znalazła się w stanie nieważkości. Pomieszczenie, w którym przebywała, zaczęło tracić kształty. Jego kontury stopniowo zanikały, rozmywały się na jej oczach. Kolory stały się nagle jakieś ostre, nierzeczywiste.

Ellen ujrzała przed sobą czarną postać, która jakby pływała pod powierzchnią wody. Najpierw stawała się szersza, potem węższa. Postać trzymała się za ramię i brodząc przez morze tańczących gwiazd, zbliżała się do niej.

Nagle gwiazdy zamieniły się w płatki zwiewane z drzew łagodnym podmuchem wiatru. Tańczyły w powietrzu i upadały na leśną ściółkę.

Rozdział 29

Dziewczynka siedziała na kamieniu porośniętym mchem i uśmiechała się do niej. Jej letnia sukienka w wielkie kwiaty mogłaby konkurować z leśnym listowiem. Teraz nie wyglądała już tak staromodnie. Przeciwnie. Ellen żałowała nawet, że nie ma takiej samej sukienki, tylko zwykłą, z tureckiego materiału, który nieprzyjemnie ją drapał, gdy się pociła. I właśnie teraz bardzo mocno się pociła, chociaż w lesie było chłodniej niż na polanie.

– Nie uwierzysz w to – powiedziała dziewczynka w kolorowej sukience.

– Oczywiście, że uwierzę – odparła Ellen.

– Nie, nie uwierzysz. A wiesz dlaczego?

– Nie.

Dziewczynka wskazała na nią palcem.

– Bo jesteś tchórzem. Zawsze nim byłeś.

Słowa dziewczynki rozbrzmiały w głowie Ellen mocnym echem.

Bo jesteś tchórzem. Bo jesteś tchórzem. Bo jesteś tchórzem!

Brzęczenie przypominało dźwięk wydawany przez rój pszczół.

Ellen otworzyła oczy. Od razu oślepiło ją jaskrawe światło. Wydawało jej się, że wprost na nią świeci pięć słońc, które tworzą tuż nad jej twarzą zamknięty krąg.

Nie, to nie słońca, to lampy. Takie same jak na sali operacyjnej.

Nagle przypomniała sobie, gdzie się znajduje i co się wydarzyło. Odurzenie i smak grzybów w ustach były skutkiem wchłonięcia sporej dawki eteru. Ból głowy stał się nie do zniesienia. Miała wrażenie, że jej głowa za chwilę eksploduje.

Stopniowo odzyskiwała świadomość, ale za to w ustach czuła coraz bardziej nieprzyjemny smak.

Jeśli mam zwymiotować, nie powinnam leżeć na plecach, pomyślała, próbując się odwrócić na brzuch.

Niestety, nie mogła ani zwymiotować, ani się poruszyć. Ręce i nogi miała przywiązane do stołu. Jeden z pasów był przeciągnięty przez zębra, pod piersiami.

Jestem związana! O Boże, jestem w jego rękach!

Z wysiłkiem uniosła głowę. Niecały metr od niej na obrotowym krześle siedział mężczyzna. Był obnażony do pasa. Twarz zakrywała mu narciarska maska z otworami na usta i oczy. Jego czarny sweter leżał obok jej nagich nóg na lśniącej, stalowej płycie.

Z początku mężczyzna jakby nie zwracał na nią uwagi. Był zajęty zszywaniem ciężej rany na lewym ramieniu. Sprawiał wrażenie osoby, która całkowicie panuje nad sytuacją. Dłoń ani razu mu nie zadrzała, gdy wbijał igłę w skórę obok rany i przeciągał nić. Sposób, w jaki to robił, wskazywał, że nie jest specjalistą w tym fachu. Przypominało to raczej łataninę, gdy ktoś chce zszyć ze sobą dwa skrawki skóry.

W końcu zauważył, że Ellen jest przytomna. Kiedy na nią spojrział, zauważyła, że z czoła ścieka mu pot.

Przynajmniej ciebie też boli, gnojku, pomyślała. W tym momencie obudziła się racjonalna część jej osobowości. Widzisz jego oczy? Te brwi? Przypatrz się dokładnie. To nie jest Mark. Ani Chris!

Niestety, jej strach był zbyt wielki, żeby to stwierdzenie przyniosło jej ulgę. Co jej przyjdzie z takiej wiedzy? Bez względu na to, kim jest ten facet, mają w swoich rękach. Ten szalenciec może z nią teraz zrobić, co tylko będzie chciał. Leży unieruchomiona i nawet nie może marzyć o obronie. Pasy, którymi ją przywiązał, trzymają mocno.

Strach i przerażenie rosły w niej z każdą sekundą, aż w końcu zamieniły się w bezsilną złość.

– Rozwiąż mnie!

Mężczyzna przekrzywił głowę i przez chwilę spoglądał na nią jak na owada, który wpadł w pułapkę zastawioną przez naukowca.

Potem, niewzruszony jej słowami, znowu zajął się swoją raną i szył dalej.

Ellen opuściła głowę na chłodną płytę. Leżała w samej bieliźnie i okropnie marzła. Przy każdym uderzeniu pulsu w skroniach czuła się tak, jakby ktoś wbijał jej młotkiem monetę w czaszkę.

Kiedy znowu uniosła głowę, ujrzała kobietę – nadal leżała skulona obok półki. Na ustach miała świeżą krew. Dopiero teraz Ellen domyśliła się, skąd wzięły się zaognione ślady na jej nadgarstkach: kobieta przez cały czas gryzła się w nie.

Pracując na Oddziale IX, Ellen często miała do czynienia z pacjentami – głównie z kobietami – którzy sami zadawali sobie rany. Zdarzało jej się opatrywać chorych, którzy uważali się za nieudaczników albo obwiniali się o jakieś straszne rzeczy i dlatego poważnie się ranili. Kiedyś zajmowała się kobietą, która przyłożyła dłoń do rozgrzanej płyty elektrycznej, bo chciała w ten sposób odpokutować za to, że poroniła. Inna tarła o szorstki tynk na ścianie swoją twarzą, aż zrobiły się na niej rany. Chciała się w ten sposób ukarać za to, że mąż ją zdradził, bo była bardzo brzydka.

Niektórzy zadają sobie rany, żeby nie stracić kontaktu z rzeczywistością. Walczą z halucynacjami, wbijając sobie igły w udo albo tną sobie ręce brzytwą. Ból jest jednym z niewielu uczuć, które można jednoznacznie przypisać rzeczywistości. Jeśli ktoś odczuwa ból fizyczny, oznacza to, że znajduje się tutaj i teraz.

Ellen nie wiedziała, czy kobieta jest tego świadoma, czy gryzie dłonie instynktownie. Podejrzewała raczej to drugie. Zwłaszcza ze względu na piosenkę, którą kobieta przy tym nuciła: „Kto się boi Czarnego Luda?”.

Nagle mężczyzna gwałtownie wstał, odłożył igłę, zabrał sweter ze stołu i włożył go. Potem podszedł do Ellen, położył dłoń na jej czole, przycisnął jej głowę do blatu i przywiązał ją pasem.

Ellen nie mogła się bronić. Leżała bezradnie i śledziła wzrokiem jego ruchy, żeby przewidzieć, co zamierza. Oczywiście już od dawna podejrzewała, co się teraz zdarzy, ale jej umysł bronił się przed tymi przypuszczeniami z całych sił.

– Proszę tego nie robić – powiedziała błagalnym głosem, gdy mężczyzna podszedł bliżej.

Poruszał się powoli, prawie obojętnie. Chociaż nie wypowiedział jeszcze ani jednego słowa – nawet wtedy, gdy Ellen go błagała – jego spokojne ruchy zdawały się mówić: no cóż, już po tobie.

Kiedy przyłożył jej do ust gumowy klocek, Ellen z całych sił zacisnęła wargi i zęby. Próbowwała odwrócić głowę na bok, ale nie mogła wykonać żadnego ruchu, bo pas trzymał mocno.

Mężczyzna przycisnął jej śmierdzący kawałek gumy do warg, a drugą ręką z wielką siłą z dwóch stron ścisnął jej szczęki. Ból był tak potężny, że Ellen prawie automatycznie otworzyła usta. Gdy wcisnął jej gumowy klocek między zęby, o mało się nim nie zadławiła. Przez chwilę wydawało jej się, że zaraz zwymiotuje i zadławi się wymiocinami. Oddychała przez nos tak szybko, że aż zobaczyła przed oczami białe plamy.

Przestań! Doprowadzisz do hiperwentylacji!

Mężczyzna przeciągnął przez jej twarz drugi pas – podciągnął nim do góry jej brodę. Ellen zaczęła się gorączkowo zastanawiać nad swoją sytuacją.

Nie, on tego nie robi. Nie wierzę, żeby się na to odważył. Chce mnie tylko przestraszyć. Napędzić mi strachu.

Kiedy jednak mężczyzna zaczął wcierać w jej skronie żel, zrozumiała, że to robi. Brzęczenie, które słyszała kilka centymetrów za swoją głową, przybrało na sile. Teraz już wiedziała, że to nie rój pszczół, tylko dźwięk transformatora.

Poczuła, jak mężczyzna przykleja jej do skroni chłodne elektrody. Czuła się tak samo, jak tysiące pacjentów cierpiących na depresję i schizofrenię, którym na ten dźwięk krew zastygła w żyłach.

Na pomysł, aby oba te schorzenia leczyć w taki sposób, wpadli dwaj włoscy psychiatrzy. Na krótko przed wybuchem drugiej wojny światowej zaobserwowali, jak robotnicy w rzeźni otumaniają świnię dawką prądu. Zaczęli się więc zastanawiać, czy sztucznie wywołane skurcze mogą mieć leczniczy wpływ na choroby psychiczne. Takie oddziaływanie przypisywano tego typu zabiegom między innymi w przypadkach ataków epilepsji. Obaj lekarze byli przekonani, że odkryli nową metodę leczenia. Na początku zaczęli eksperymentować na psach, a później przeprowadzili próbę na pewnym więźniu. Tyle tylko, że był on całkowicie zdrowy psychicznie.

Zapomnieli o tym, że między ludźmi a zwierzętami istnieje zasadnicza różnica: w przeciwieństwie do zwierząt ludzie wiedzą, co się zdarzy, gdy ktoś przyłoży im elektrody do głowy. Człowiek jest świadom, jaki będzie tego skutek, i zaczyna się bać. Strach jest tak wielki, że nie da się go opisać słowami.

Ellen też była sparaliżowana strachem. Zrobiłaby wszystko – dosłownie wszystko – żeby tylko Czarny Lud zdjął jej elektrody z głowy. Zrozumiała bowiem, że jej dręczyciel nie poda jej środków znieczulających ani nie zastosuje pełnej narkozy, chociaż we współczesnej praktyce lekarskiej oba te sposoby się wykorzystuje.

Mężczyzna ponownie sprawdził, czy elektrody są podłączone jak należy, podszedł do Ellen i przekręcił przełącznik. Rozległ się trzask, któremu towarzyszyła specyficzna woń.

Na tę jedną krótką chwilę, która mogła trwać najwyżej jedną albo dwie sekundy, w głowie Ellen wybuchła supernowa. Ellen miała wrażenie, że jest rozrywana na dwie części. Jedna z nich roztopiła się w morzu ognia w płonącym wszechświecie; druga – jej fizyczna część – próbowała się jakoś bronić, gdy pod wpływem elektrycznych bodźców w mózgu jej mięśnie doznawały skurczu.

Gdyby podobnemu działaniu poddano całe ciało, zabieg mógłby skończyć się jej śmiercią. Na szczęście celem był tylko jej mózg.

Ellen wydawało się, że odbyła podróż do piekła. Wprawdzie nie czuła żadnego bólu fizycznego, ale eksplozja myśli w jej umyśle była od niego o wiele gorsza.

Kiedy było już po wszystkim, poczuła, jak wypełnia ją lodowata pustka i drżą jej mięśnie. Potem zdała sobie sprawę, że ktoś odpina pasy mocujące, podnosi ją ze stołu i przenosi w inne miejsce. Wszystko to czuła, ale nie była w stanie objąć i poskładać w całość tych doznań.

I tylko jedna myśl zdołała się przebić przez jej skołatany umysł: teraz mnie zabije.

Rozdział 30

Pustka w jej głowie nie miała koloru czarnego. Raczej blady, lodowatoniebieski, który można porównać z gładkim jak zwierciadło lodowcem. Ponad tym wszystkim unosił się łagodny dźwięk, jakby w oddali ktoś uderzał w struny harfy.

Chłód przywrócił Ellen do rzeczywistości. Stopniowo odzyskała też wzrok. Cały ten proces przypominał ustawianie ostrości obiektywu aparatu fotograficznego. Ellen czuła, że chłód jest nie tylko efektem napięcia nerwowego.

To był rzeczywisty chłód.

Chłód wilgotny.

Chłód, który...

Woda!

Ellen zdała sobie sprawę, że leży w jednej z wanien stojących w zatęchłym pomieszczeniu, gdzie dawniej przeprowadzano zabiegi hydroterapii. Coś strasznie śmierdziało. Z przerażeniem stwierdziła, że to ona tak śmierdzi. W chwili gdy uderzył ją prąd, straciła kontrolę nad wszystkimi mięśniami – także nad zwieraczami.

Dużo gorsze było to, że wanna napełniała się bez przerwy lodowatą wodą. Niestety, Ellen nie zdołała jeszcze odzyskać pełnej kontroli nad swoimi mięśniami i nie mogła się wydostać z wanny. Jej ramiona nie potrafiły unieść się we właściwą stronę. Nie zdołała też – gdy już sięgnęła dłońmi górnego brzegu wanny – zaczepić się palcami. Zaczęła poruszać nogami i w końcu udało jej się unieść tułów tuż nad poziom lodowatej wody. Strach, że za kilka minut utonie, dodał jej sił. Oparła podeszwy stóp o brzeg wanny i pomagając sobie drżącymi rękami – które nie do końca były jej posłuszne – uniosła się lekko w wodzie, której stale przybywało.

Nagle zapadła się w ciemność, bo w tym samym momencie ktoś zakrył wannę drewnianą pokrywą.

Ellen pisnęła i uderzyła głową o pokrywę. Usłyszała szcęk klamer zatraskiwanych z czterech stron.

Wprawdzie chłód pomógł jej odzyskać kontrolę nad mięśniami i nerwami, ale czuła, że w lodowatej wodzie jej ciało coraz bardziej drętwieje. Zrozumiała, że jeśli szybko nie wydostanie się z wanny, już niedługo nie będzie się mogła w ogóle poruszać. Przesunęła się jak najwyżej, wsunęła głowę w otwór w pokrywie i ujrzała, że przy drzwiach stoi Czarny Lud.

– Niech mnie pan stąd wypuści, proszę – błagała, czując, że wanna wypełnia się wodą.

Mężczyzna w masce potrząsnął głową jak na filmie puszczonego w zwolnionym tempie.

– Zastanów się nad tym – odparł stłumionym głosem i zamknął za sobą drzwi.

Ellen zaczęła krzyczeć, a potem po prostu ryczeć. Zanurzyła się w wodzie i z całej siły uderzała pięściami w pokrywę. Niestety, w niczym jej to nie pomogło. Znowu się wynurzyła, wsunęła twarz w otwór i zaczęła krzyczeć.

Wszystko na próżno, bo drzwi pozostały zamknięte, a w całym pomieszczeniu było ciemno i pusto. Nikt jej nie słyszał, nikt nie mógł jej pomóc.

Tymczasem woda sięgała już wąskiej szpary między brzegiem wanny a pokrywą. Ellen miała zaledwie dwie sekundy na nabranie powietrza, bo chwilę potem musiała się od razu zanurzyć, aby w ten sposób wyprzeć z wanny choć trochę wody.

Czuła, jak chłód paraliżuje jej mięśnie. Każdy kolejny ruch sprawiał jej coraz większą trudność.

Zaraz sama zobaczysz, w czym jesteś lepsza, pomyślała, w zatrzymywaniu powietrza czy w podciąganiu się do otworu.

Tylko determinacji i działaniu adrenaliny zawdzięczała, że nadal żyje, że raz za razem udawało jej się wystawić usta i nos przez otwór, zaczerpnąć powietrza i krzyknąć.

W pewnej chwili, gdy wydała kolejny okrzyk i nabrała powietrza, zrozumiała, że za chwilę nie będzie już miała jak oddychać.

Opuszczały ją siły, ogarniała coraz większa obojętność.

W końcu przestała się wynurzać.

Wokół zapadła ciemność.

I cisza.

Nagle Ellen poczuła, że piecze ją policzek. Ktoś wołał ją po imieniu.

Znowu poczuła pieczenie.

Leżała na wilgotnej posadzce. Cienka bielizna przykleiła jej się do ciała. Odczuwała dotkliwy chłód.

Najpierw zobaczyła pokrywę stojącą przy wannie. Potem Marka, który się nad nią pochylał. Za nim stał Czarny Lud. Bez maski na twarzy.

Ellen uniosła się i uderzyła Marka w twarz. Potem zerwała się z podłogi i wcisnęła się w kąt pokoju, obok pieca grzewczego.

– Zostawcie mnie!

Obaj mężczyźni patrzyli na nią zdumieni. Z tego miejsca nie da się uciec. Obaj zastawiali dojście do drzwi.

– Ellen, na miłość boską, co się stało?

Mark dotknął policzka, w który Ellen go uderzyła.

– Nie udawaj świętoszka – odparła Ellen. – Dobrze wiesz, co on mi zrobił.

Czarny Lud, na którego wskazała, uniósł ręce w obronnym geście. Ellen pomyślała, że mężczyzna świetnie udaje zdziwienie.

– Ja? A co ja takiego zrobiłem?

Mark tak na niego spojrział, że mężczyzna natychmiast zamilkł. Potem popatrzył na Ellen. W jego spojrzeniu Ellen dostrzegła coś, co znała nazbyt dobrze. W taki sposób patrzy się na ludzi, których się uważa za nieobliczalnych. Ona też spoglądała na innych takim wzrokiem. Wiele razy.

– Ellen, opowiedz mi, co się stało.

Jego udawanie zaczęło ją nawet bawić. A może Mark nie udaje? Boże, po tym wszystkim, co się stało, trudno jej było odróżnić rzeczywistość od urojeń.

– Dlaczego mi to wszystko robicie? Dlaczego mnie torturujecie i próbujecie wpędzić mnie w szaleństwo? Dlaczego?

– Ellen, powiedz mi, czy tamten człowiek tu był? Czy to on ci to zrobił?

– Sam go zapytaj. Stoi obok ciebie.

Znowu to zdziwienie.

– On?

– Przestań w końcu robić ze mnie idiotkę. Mógłby przynajmniej zmienić sweter, żeby pokazać, że to nie on.

– Czy ktoś może mi zdradzić, co tu jest grane? – spytał mężczyzna w czarnym swetrze.

– To jest Volker Nowak – wyjaśnił Mark – Mój przyjaciel. On...

– Niech się rozbierze – przerwała mu Ellen. – Obaj się rozbierzcie! Chcę zobaczyć wasze ramiona.

Czarny Lud, którego Mark nazwał Volkerem, spoglądał to na Marka, to na Ellen, jakby obserwował mecz tenisowy.

– To chyba jakiś żart.

– Czy wyglądam na kogoś, kto sobie stroi żarty?

– Zgoda – powiedział Mark i zdjął koszulę.

Volker przesunął niepewnie dłonią po włosach.

– Cholera, ludzie, co tu się dzieje?

– Zamknij się i zrób, co mówi, okej? – syknął do niego Mark.

– W porządku. Ale nie wyglądam na faceta, który mógłby występować z Chippendalesami.

Volker ściągnął najpierw czarny sweter z napisem NEW ZEALAND ALL BLACKS, a potem koszulkę, którą pod nim nosił. Mark, który nie miał podkoszulka, stał już przed Ellen z obnażonym torsem. Teraz odwrócił się, żeby pokazać jej oba ramiona. Jego przyjaciel zrobił to samo. Żaden z nich nie miał na ramieniu jakiegokolwiek rany.

Rozdział 31

Jeszcze nigdy filiżanka gorącego bulionu nie smakowała jej aż tak bardzo. Wzmacniacze smakowe i sztuczne aromaty, z których Ellen na co dzień rezygnowała, były w tym momencie jak najmilej widziane.

Przemarznięta i drżąca skuliła się na kanapie Marka z nogami podciągniętymi pod brodę. Miała na sobie jeden z jego dresów. Wprawdzie był na nią o kilka numerów za duży, ale za to wygodny. Siedziała owinięta w wełniany koc w biało-czarny wzór przypominający krowie łaty.

Lodowate dłonie ogrzewała, trzymając filiżankę gorącego napoju. Popijała go małymi łykami, podczas gdy Mark opowiadał jej, co się stało.

– Prawdę mówiąc, zawdzięczasz życie naszemu przyjacielowi ze ślimakiem. Gdyby Florian mi nie powiedział, gdzie cię widział, prawdopodobnie nadal byśmy cię szukali. Pobiegliśmy do szybu wentylacyjnego i zaczęliśmy sprawdzać korytarz. Volker usłyszał twoje krzyki, a mnie się przypomniał dawny pokój terapeutyczny. Przyszliśmy w ostatniej chwili.

– Nie musisz mi tego mówić – westchnęła Ellen, czując dławienie w gardle. Gdyby obaj zjawili się dwie minuty później albo gdyby w ogóle nie przyszli, mogłaby na własnej skórze doświadczyć, co to znaczy oddychać wodą. – Czy znaleźliście tamtego mężczyznę i kobietę?

Mark pokręcił przecząco głową.

– Pokój był pusty. Tylko na stole... od razu się domyśliłem, co się stało.

Ellen poczuła, że czerwienieje. Wprawdzie nie musiała się wstydzić z powodu tego, co się stało, bo każdy inny człowiek poddany elektrowstrząsom też by stracił kontrolę nad zwieraczem odbytu, ale mimo to czuła się trochę nieswojo.

– Cholera – parsknęła. – Uciekł nam, a to znaczy, że jestem w punkcie wyjścia.

– My jesteśmy w punkcie wyjścia – sprostował Mark. – Pod warunkiem, że przyjmiesz naszą pomoc i w końcu mi uwierzysz, że nie jestem Czarnym Ludem.

– Ja zresztą też nim nie jestem – dodał Nowak, wsypując sobie do kawy dwie łyżeczki cukru. – A może znowu muszę się rozebrać, żeby to udowodnić?

Ellen spojrzała na Marka.

– A co on ma z tym wspólnego?

– Jeśli mówiąc on, masz na myśli mnie, to wyjaśniam, że złamałem hasło do twojego laptopa.

– Co zrobiłeś?

– To ja go o to poprosiłem – wtrącił Mark. – Przykro mi, jeśli w ten sposób naruszyłem twoją prywatność, ale byłaś kompletnie wykończona, więc nie chciałem cię budzić. Kiedy wracałem do kliniki, wpadło mi do głowy, że tamta kobieta może nas zaprowadzić do sprawy. Od razu przypomniałem sobie twoje raporty na temat pacjentów. Są tak szczegółowe, że jako twój kolega po fachu mogę tylko marzyć o tym, żeby je od ciebie otrzymywać. Okazało się, że moje przypuszczenia były jak najbardziej słuszne. Znalazłem szczegółowy raport na temat tamtej kobiety, chociaż wcześniej nikt nic na jej temat nie wiedział. I wtedy wpadłem na pomysł, żeby na podstawie twojego opisu sporządzić coś w rodzaju podobizny. Volker jest nie tylko dobrym dziennikarzem, ale także umie zdobywać informacje i zna się na komputerach.

Volker spojrzał na Ellen z uśmiechem i zamarkował niski ukłon.

A przy tym ma skłonności maniackalne, dodała w myślach Ellen, ale zachowała tę diagnozę dla siebie.

– Wiem, że naruszyłem prywatność, ale zrobiłem to w słusznej sprawie. A propos, powinnaś się przyzwyczaić do używania hasła złożonego z liter i cyfr. Potrzebowałem pół minuty, żeby się domyślić, że twoje hasło brzmi: Sigmund. Każdy haker sobie z czymś takim poradzi.

Ellen westchnęła.

– Obiecuję, że następnym razem zrobię wszystko, żeby takiego hakera nie rozczarować. Czy udało ci się przynajmniej dowiedzieć czegoś, co nam się przyda?

Volker zrobił triumfalną minę i otworzył plecak stojący obok fotela. Wyjął z niego kartkę dużego formatu i położył ją na stole.

– *Voilà*.

Ellen wzięła kartkę i spojrzała na wydruk. Tak jak każda podobizna, tak i ta pokazywała tylko przybliżony wygląd twarzy. Jednak dosyć wiernie oddawała rysy bezimiennej kobiety. Już sam niepokój, jaki wywołał w Ellen ten portret pamięciowy, zdawał się to potwierdzać.

– Nieźle – powiedziała, starając się nadać swemu głosowi trzeźwy i rzeczowy ton. Nie może kierować się współczuciem, bo w tym momencie jej zdolności obserwacyjne poddawane są próbie. – Twarz była bardziej pełna, oczy trochę większe, usta węższe. Troszkę szersze kości policzkowe i...

– Chwileczkę! – przerwał jej Volker, sięgając do plecaka. Wyjął z niego notes i położył go na stole. – Dajcie mi dziesięć minut i pokażcie, gdzie jest gniazdko telefoniczne, a będę mógł ten portret poprawić. Ma pan chyba dostęp do sieci w technologii DSL, panie doktorze?

Volker był w swoim żywiole. Uwzględnił poprawki Ellen i zmienił rysy twarzy na podobiznie poszukiwanej kobiety: poszerzył policzki, nadał twarzy pełniejsze kształty i zmienił rozstawienie oczu. Ellen udzielała mu dokładnych instrukcji, choć musiała przy tym walczyć ze strachem. Znowu nią zawładnął, gdy sobie przypomniała, co przydarzyło jej się w piwnicy.

Opisując Volkerowi twarz kobiety, próbowała przypomnieć sobie wszystko, co wtedy widziała: lampy operacyjne, stalowy stół, pasy mocujące, transformator. Z dużym trudem zmusiła się, żeby przywołać wspomnienia o tym, co wydarzyło się krótko po jej spotkaniu z kobietą. Dzięki temu udało jej się zachować dystans i zapanować nad huśtawką uczuć.

– Tak, to ona – powiedziała w końcu Ellen. – Z ranami i opuchliznami na twarzy właśnie tak wyglądała.

– Wygląda na to, że od dłuższego czasu topiła troski w alkoholu – stwierdził Mark. – Dowodzi tego gąbczasta tkanka łączna, żyłki na grzbiecie nosa i żółtawy odcień skóry.

– Też tak uważam – zgodziła się Ellen. – Niechlujny wygląd i brudna sukienka świadczą moim zdaniem o tym, że kobieta pochodzi z nizin społecznych. Prawdopodobnie jest bezrobotna, może nawet nie ma stałego miejsca zamieszkania. Znacznie nam to utrudni poszukiwania.

Mark spojrzał w zamyśleniu na portret pamięciowy kobiety.

– Moglibyśmy wysłać tę podobiznę do opieki społecznej. Może znajdą któryś z urzędników albo streetwalkerów.

– Możemy spróbować, ale nie mamy zbyt dużo czasu. Okres, jaki wyznaczył mi ten szaleniec, kończy się jutro w południe. Potem zabije ją i mnie.

– W takim razie chodźmy na policję.

– Zapomnij o tym. Moja potrzeba kontaktowania się ze stróżami prawa została już zaspokojona. Dopóki nie znamy chociaż imienia tej kobiety i możemy jedynie przedstawić własną teorię – że istnieje jakiś psychopata, który chce zabić jakąś kobietę – policjanci nawet nie ruszą tyłków. Dali mi to wyraźnie do zrozumienia.

– Co się z tobą dzieje? Wybacz mi to porównanie, ale jesteś jednym chodzącym siniakiem. Wystarczy, że pokażesz im te, których nabawiłaś się po spotkaniach z tym szaleńcem, a będą musieli...

– Zastanów się nad tym, co mówisz! – przerwała mu Ellen. Widok bezimiennej kobiety wrył jej się mocno w pamięć: nadgarstki przystawione do ust i zakrwawione zęby, które wgrzają się w skórę i odrywają jej kawałki. Wstrząsnął nią dreszcz. – Przecież sama mogłam sobie nabić te siniaki. Nie byłby to pierwszy taki przypadek.

Mark spojrzał na nią skonsternowany.

– Nie mówisz chyba poważnie?

– Oczywiście, że nie, ale nie mam ochoty, żeby wszyscy patrzyli na mnie jak na stukniętą lekarkę, specjalistkę od psychiatrii – odparła Ellen, parszkając śmiechem na samą myśl o tym.

– Ważniejsze jest co innego. Załóżmy, że policja mi nagle uwierzy. Załóżmy, że rozpocznie poszukiwania i ten szaleńiec się o tym dowie. Jak myślicie, co wtedy zrobi z tą kobietą?

– Cholera, masz rację. To faktycznie zbyt duże ryzyko. Dlatego powinniśmy wrócić do pomysłu Volkera.

– To znaczy?

– Musimy ją znaleźć w inny sposób – wyjaśnił Volker, wskazując na swój notatnik. – Wasz problem polega na tym, że szukacie kobiety, o której wiecie tylko, jak wygląda. Może faktycznie jest bezdomna i źłapie wodę, ale taka informacja to żadna pomoc. Zwłaszcza że poszukiwania muszą być szybkie. Z tego, co powiedziała Ellen, wynika, że kobieta jest Niemką.

– Tak. – Ellen skinęła głową. – W każdym razie tak myślę. Posługiwała się dialektem, którego używa się w Szwarzwaldzie.

– A co posiada każdy porządny obywatel?

– Nie baw się w zagadki – powiedział Mark, bębniąc palcami po blacie stołu. – Po prostu powtórz jej to, co zaproponowałeś mnie.

– Zgoda. A więc każdy porządny obywatel posiada różne dokumenty tożsamości, na przykład dowód osobisty, paszport, prawo jazdy i tak dalej. Takie dokumenty są drukowane przez właściwy urząd w państwowej drukarni. Imię, nazwisko i adres posiadacza są umieszczane na plastikowej karcie. Tym samym staje się ona dokumentem urzędowym. Oznacza to także, że tego rodzaju informacje są poddawane obróbce elektronicznej.

Ellen uniosła brwi.

– A ty wiesz, jak można wejść w posiadanie takich danych?

– Problem polega na tym, że ustawa o ochronie danych osobowych zabrania gromadzenia takich informacji w państwowej drukarni – odparł Volker i na jego twarzy od razu pojawił się uśmiech. – Nie dotyczy to jednak urzędów meldunkowych, które wysyłają takie dane do drukarni, a po wystawieniu dokumentu otrzymują je z powrotem.

– Chcesz powiedzieć, że zamierzasz się włamać do bazy danych osobowych we wszystkich wydziałach meldunkowych na terenie całego kraju? Wybacz, ale to bez sensu. Nawet jeśli ci się to uda, to jak zamierzasz znaleźć tę kobietę, mając jedynie jej podobiznę?

Volker wypił łyk kawy i chrząknął.

– Jeśli chodzi o pierwsze pytanie, to nie będzie to takie trudne, jak ci się zdaje. My, Niemcy, jesteśmy opętani manią przestrzegania norm. Dotyczy to także całego oprogramowania i systemów przekazywania danych. Musimy tylko ustawić się w strumieniu danych płynących do państwowej drukarni i znajdziemy się w serwerze wydziału meldunkowego. Jeśli zaś chodzi o podobiznę kobiety, dajcie mi dwie minuty, a coś wam pokażę.

Kiedy chwilę później Mark wrócił z kuchni i podał Ellen kolejny kubek bulionu, Volker uniosł głowę znad laptopa i spojrzał na niego z zadowoleniem.

– Eureka – zawołał, unosząc ręce. Przez kilka ostatnich minut stukał jak opętany w klawiaturę. – Ladies and gentlemen, jak mawiał Hannibal Lecter: jestem gotowy, jeśli i wy jesteście.

Ellen i Mark stanęli za Volkerem i spojrzeli na ekran monitora.

– Warto mieć przyjaciół, którzy przesiadują w sieci na okrągło, zwłaszcza w epoce tak szybkiego przetwarzania danych – powiedział Volker, wskazując na rzędy cyfr, które przesuwały się po czarnym ekranie. – To, co w tej chwili robimy, jest niezgodne z prawem. Ale nie martwcie się, wysłałem zapytanie za pośrednictwem serwera w Malezji, który z kolei jest połączony z...

– Rób, co uważasz za stosowne – przerwał mu Mark. – Tylko załatw to tak, żeby za dziesięć minut do moich drzwi nie zastukali smutni panowie w płaszczach i kapeluszach.

– To się rozumie samo przez się – odparł Volker i wysłał z komputera polecenie, po którym na ekranie pojawił się komunikat: FACE-EXPLORER 3.01 STARTED.

Uruchomił się program. Górna część ekranu była podzielona na dwie połowy. W lewej pojawiła się podobizna kobiety, w prawej, w okienku z napisem SEEKING PROCESS, przesuwały się w szybkim tempie kolumny cyfr i liter.

– Coś takiego – powiedział Mark i zbliżył twarz do ekranu.

– To naprawdę super, nowa wersja programu – stwierdził Volker.

Ellen doszła do wniosku, że obaj zachowują się jak dzieci, jak dwaj mali chłopcy, którym wpadła w ręce najwspanialsza zabawka na świecie.

– Co to za program? – spytała.

– Za jego pomocą można porównywać ze sobą różne zdjęcia. Program porównuje twarz poszukiwanej kobiety z tymi, które ma w bazie danych. Wyszukuje cechy w geometrii twarzy, które się ze sobą pokrywają. Jest przy tym na tyle mądry, że pomija punkty, które mogą zwracać szczególną uwagę kogoś, kto na tę twarz patrzy, na przykład okulary, fryzurę, cechy starcze albo – co w naszym przypadku nie odgrywa żadnej roli – brodę. Kiedy program zidentyfikuje daną osobę, szybko się dowiemy, kim jest i pod jakim adresem jest zameldowana.

– I ten program naprawdę sobie z tym radzi?

Volker spojrział na nią pobłażliwie.

– Gdyby sobie nie radził, Amerykańcy nie mogliby przeprowadzać kontroli paszportowej przy użyciu danych biometrycznych, a przynajmniej rozpoznawać twarze. Pierwotnie ten program był zainstalowany jako wersja testowa na jednym z urządzeń kontrolnych, które za pomocą kamer porównują twarz danej osoby ze zdjęciem w paszporcie. Na początku pomyłki zdarzały się często, ale od pewnego czasu wyniki są zadowalające.

– Pierwotnie? A do czego ten program jest używany teraz?

– Hm – chrząknął Volker. – Pewien mój przyjaciel trochę go zmodyfikował.

– Po co?

– Hm – ponownie chrząknął Volker, nie patrząc na Ellen; wymienił szybkie spojrzenie z Markiem i znowu zerknął na ekran. – Było tak: ktoś mu dał cynk, że jego przyjaciółka dorabia do pensji, uczestnicząc w nagiej sesji zdjęciowej dla jednej z witryn internetowych. Wrzucił więc do swojego programu jej zdjęcie paszportowe i przeszukał całą sieć.

– Znalazł ją?

Volker znowu chrząknął.

– Ujmę to tak: trwało to dosyć długo, ale teraz znowu ma dużo czasu na włamywanie się do sieci.

Kiedy Volker był zajęty programem komputerowym, Ellen poszła do kuchni i przygotowała sobie trzecią porcję bulionu o nazwie „Kurczak klasyczny”. Wyjrzała przez szybę na ogródek. Mark podszedł do niej i spojrział na nią z troską.

– Jak się czujesz?

Ellen westchnęła.

– Jak kobieta, która została dwa razy pobita, raz podłączona do prądu i prawie utopiona w zimnej wodzie. Do tego boli ją głowa, sama się nad sobą użala i odnosi wrażenie, że zawiodła na całej linii. Poza tym wszystko w porządku.

– Czy pamiętasz naszą rozmowę, gdy poszliśmy do restauracji na sushi? Coś ci wtedy powiedziałem.

– Że z powodu tej kobiety w coś się wplączę?

– Tak.

Ellen odstawiła kubek na biurko.

– A co twoim zdaniem powinnam była zrobić? Dać sobie spokój? Zostawić tę kobietę i mieć nadzieję, że ten typ o mnie zapomni?

– Oczywiście, że nie. Powinnaś tylko przestać bawić się w samotną wojowniczkę. Myślę, że ten facet – bez względu na to, kim jest – dokładnie wie, jak cię podejść i załatwić. Dlatego ważne jest, żebyś mi zaufała.

Ellen znowu spojrzała przez okno. W tym momencie nie była w stanie patrzeć Markowi w oczy.

– To wszystko jest dla mnie takie... takie dziwne. Trudno mi to znieść – powiedziała, splatając drżące ręce na piersiach. – Do tej pory wszystko robiłam sama, ale teraz jest inaczej. Masz rację, bez pomocy twojej i twojego stukniętego przyjaciela nie posunę się dalej.

– Nie przejmuj się Volkerem. Uważa się za dowcipnisia, ale w sumie jest w porządku. A jeśli o mnie chodzi, to chcę, żebyś wiedziała, że zawsze możesz na mnie liczyć.

Ellen poczuła, jak po policzkach spływają jej łzy.

– Właśnie dlatego jest mi wstyd – odparła. – Zachowywałam się wobec ciebie jak rozhisteryzowana kura.

Wskazała ręką na okno i dodała:

– Ukryłam się za tymi krzakami, bo myślałam, że to ty jesteś tamtym facetem. Teraz, jak o tym myślę, przypomina mi to okropny atak paranoi.

– Miałaś powody, żeby tak myśleć.

Ellen roześmiała się ponuro.

– Jasne, że tak. Tak samo, jak miałam powody, żeby podejrzewać Chrisa. Właśnie jego!

– Nie podchodź do tego tak histerycznie. Uznajmy, że odczuwałaś podświadomą złość, ponieważ nie było go przy tobie w chwili, gdy go potrzebowałaś.

– A jeśli powód był inny? Jeśli ja naprawdę straciłam rozum?

Mark pokręcił zdecydowanie głową.

– Tak szybko do tego nie dochodzi, sama wiesz najlepiej. Najpierw pojawiają się konkretne symptomy, a ja nie zauważyłem na razie u ciebie ani jednego. Przynajmniej takiego, który mógłby świadczyć o tym, że przestałaś być normalna.

Dwa wróble walczyły ze sobą przed oknem o okruchy rozrzucone wokół leżaka. Ellen przez chwilę im się przyglądała, a potem wyrzuciła z siebie to, co zaprzętało jej umysł od chwili, gdy zniknęła gdzieś bezimienna kobieta, której oprócz niej nikt nie widział.

– W czasie mojej praktyki zawodowej na oddziale zetknęłam się z pewną lekarką, która pracowała w zawodzie od ponad dwudziestu lat. Pewnego dnia miałam pójść do jej gabinetu, żeby przynieść jej coś, o co mnie prosiła. Chyba jakieś dokumenty. Kiedy chciałam wejść do jej pokoju, okazało się, że drzwi są zamknięte. Z początku pomyślałam, że wyszła do jakiegoś pilnego przypadku, ale potem usłyszałam dźwięki dobiegające ze środka.

– Co takiego robiła?

– Płakała. Po prostu płakała. Dwaj pielęgniarze wyważyli drzwi i wtedy zobaczyliśmy, że lekarka siedzi w kącie pokoju. Na nic nie reagowała, po prostu płakała. Ostatnią rzeczą, jaką

od niej usłyszałam, było stwierdzenie, że chce się poddać leczeniu. Od tamtej pory nie wypowiedziała ani jednego słowa.

– Do czego zmierzasz?

– U niej też nie wystąpiły żadne symptomy. Tak samo jak u mojego poprzednika na Oddziale IX.

Mark głęboko się zamyślił. Bezwiednie wziął do ręki solniczkę – należał do ludzi, którzy zawsze muszą mieć coś w rękach. Po chwili odstawił ją na miejsce.

– Doktor Kreutner popadł w depresję.

– Naprawdę? No to dlaczego nikt tego wcześniej nie zauważył? Bez względu na to, kto mi o nim opowiadał, nigdy nie usłyszałam, żeby komukolwiek rzuciło się w oczy jego zachowanie. Kreutner rozmawiał z pacjentami, z personelem, kosił w domu trawę i rozmawiał z sąsiadem. Mam rację, prawda? Ty też go znałeś.

– Tak, masz rację, ale...

– Nikt nie zauważył jakichkolwiek symptomów. Kilka godzin po tym, jak posprzątał dom i wziął prysznic, włożył płaszcz kąpielowy, położył się do łóżka i strzelił sobie w głowę. Gdzie były wtedy twoje symptomy?

Mark westchnął i wzruszył ramionami.

– No dobrze, nie było żadnych symptomów. Przynajmniej widocznych. Ale on był wyjątkiem. Nigdy do końca nie wiadomo, dlaczego ktoś coś robi albo zachowuje się nienormalnie. Jednak w większości przypadków symptomy występują i moja szanowna koleżanka po fachu na pewno o tym wie, prawda?

Ellen wiedziała, że Mark ma rację. Mimo to nadal targały nią wątpliwości. To straszne uczucie, gdy nie można zaufać samemu sobie.

– Zaczynam się o ciebie martwić – dodał Mark. – Ale dopóki nie posprzątasz mieszkania, nie będziesz myśleć o samobójstwie.

Przez krótką chwilę w pokoju panowało milczenie. Ellen odwróciła się do Marka. Udawał, że patrzy przez okno, ale wiedziała, że ją widzi.

– Czy ty zawsze masz na wszystko odpowiedź?

Mark zagryzł dolną wargę i skinął głową. Kąciki ust lekko mu zadrzały. Ellen też z trudem utrzymywała powagę. A gdy jeszcze jego twarz przybrała żartobliwy wyraz, wybuchła głośnym śmiechem. Nie mogła się po prostu powstrzymać. Mark też się głośno roześmiał.

Śmiech dobrze im zrobił. Było to coś wyzwalającego, coś, czego potrzebowali. Volker zapytał z salonu, z czego się śmieją, ale nie zwracali na niego uwagi. Śmiali się do łez. Mało brakowało, a Ellen wylałaby bulion z kubka.

– Jesteś idiotą. Ja tu się przed tobą otwieram, a ty się ze mnie naśmiewasz.

– Nigdy bym sobie na to nie pozwolił. Chciałem tylko, żeby już na zawsze znikła ta zmarszczka między twoimi brwiami.

– Dziękuję – odparła Ellen, uśmiechając się lekko.

– Już ci lepiej?

– Tak.

– No to świetnie.

– Wiesz co?

– No?

– Cieszę się, że obaj chcecie mi pomóc. Sama sobie nie poradzę. Najpierw tamte sprawy, teraz elektrowstrząsy... To było najpotworniejsze uczucie, jakiego doznałam w całym swoim życiu.

– Wiem, co czujesz – odparł cicho Mark.

– A czy wiesz, że Ernest Hemingway leczył swoją depresję elektrowstrząsami?

– Tak, słyszałem o tym – odparł Mark i skinął głową.

– Potem się skarżył, że nie może się skoncentrować na pisaniu. Krążą pogłoski, że właśnie to było prawdziwą przyczyną jego samobójstwa.

– Dla mnie to dodatkowy powód, żeby nie spuszczać cię z oczu – stwierdził Mark.

Jego uwaga zabrzmiała żartobliwie, ale Ellen dostrzegła w jego oczach, że naprawdę się o nią martwi, i to z tych samych powodów, co ona.

– Myślisz, że ten gnojek spełni swoje groźby?

– Nie, jeśli będziemy się trzymać razem. Tylko razem go znajdziemy.

Ellen westchnęła.

– Gdybym tylko wiedziała, kim on jest. Myślę, że go znam. Praktycznie rzecz biorąc, może to być każda osoba z mojego bliskiego otoczenia. Wie, dokąd chodzę biegać i gdzie mieszkam, zna numer mojej komórki i wie, jak bardzo lubiłam Sigmunda. Przede wszystkim jednak wie, jak źle wpływa na mnie utrata kontroli nad sobą. Stąd te jego tortury. Widok, gdy popuszczam w majtki jak małe dziecko, musi mu sprawiać cholerną radość.

Mark zapalił papierosa i uchylił okno. Kilka razy wypuścił dym przez szparę i dopiero wtedy spojrzął na Ellen.

– To niekoniecznie musi być ktoś z bliskiego kręgu twoich znajomych. Może wybrał cię z powodów, których jeszcze nie znamy? Mógł cię przez jakiś czas obserwować i dopiero gdy przysłała do ciebie tamta pacjentka, dostrzegł okazję, żeby rozpocząć swoją grę.

– Ale dlaczego wybrał mnie? Co go ze mną łączy?

– Może to jakiś dawny pacjent?

– Nie sądzę. Wprawdzie nigdy bym nie wygrała konkursu na zapamiętywanie nazwisk, ale twarzy nie zapominam. Te oczy na pewno bym rozpoznała.

– Myślisz o kimś z personelu?

– Jakby to powiedzieć... – odparła Ellen, wykonując przy tym bezradny gest. – Nie do końca. Ale przyjaciół w klasycznym znaczeniu tego słowa nie mam.

Mark dał jej lekkiego kuksańca w bok.

– Oczywiście, że masz. Mnie.

Ellen podziękowała mu uśmiechem.

– Wiesz, co mam na myśli. To trochę przerażające, prawda? Zawsze byłam skupiona tylko na pracy. Najlepszych przyjaciół miałam w czasie, gdy mieszkałam w internacie, ale odkąd ukończyłam uniwersytet, nie utrzymuję z nimi kontaktu. Wygląda na to, że stałam się odludkiem.

Mark podszedł do zlewozmywaka, zgasił papierosa pod strumieniem wody i wrzucił niedopałek do kubła na śmieci.

– Niewykluczone, że stałaś się pracoholikiem, ale nie nazwałbym cię odludkiem.

Ellen uśmiechnęła się szeroko.

– Masz coś w kąciku ust.

– Naprawdę?

– Tak. To chyba tłuszcz z bulionu.

– Znalazłem!

Volker pstryknął głośno palcami.

Ellen i Mark usiedli obok niego na kanapie i spojrzeli z ciekawością na ekran laptopa.

– Program wyszukał jakieś dane – wyjaśnił Volker. – Zaraz je sprawdzimy.

Kliknął na polecenie „Pokaż” i na ekranie, tuż obok portretu kobiety, pojawiło się zdjęcie.

– O rany... – wykrztusił Mark. – To chyba niemożliwe.

Volker też był zdziwiony tym widokiem.

– Nic na to nie poradzę – powiedział. – Mój kumpel, Filewalker, zapewnił mnie, że ten program jest na sto procent pewny.

Ellen potrząsnęła głową i spojrzała na Volkera, który jakby skulił się na kanapie.

– Naprawdę? – spytała Ellen. – A może powinien zadzwonić do swojej byłej dziewczyny i ją przeprosić?

Rozdział 32

– I co teraz?

Na ekranie wyświetliło się zdjęcie przedstawiające dziesięcioletnią dziewczynkę z długimi, ciemnymi włosami i pełnymi życia oczami, które nie miały nic wspólnego z oczami bezimiennej pacjentki.

Mimo to Ellen miała wrażenie, że skądś ją zna.

Pewnie dlatego, że wygląda na tym zdjęciu jak tysiące innych dziewczynek na podobnych fotografiach, pomyślała.

Było to typowe zdjęcie paszportowe albo legitymacyjne zrobione na niebieskim tle przez fotografa, który nie poświęcił swej małej klientce zbyt dużo uwagi i nawet nie poprosił jej, żeby się uśmiechnęła.

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć – tłumaczył się Volker. – Do tej pory program funkcjonował bez zarzutu. Jednoznacznie analizuje geometrię twarzy, ale nie uwzględnia wieku konkretnej osoby. Jeśli więc wyświetlił tę fotografię, miał ku temu powód. Albo jest to córka tej kobiety, podobna do niej – jak to się mówi – jak dwie krople wody, albo...

Volker przerwał na chwilę i zaczął czytać dane figurujące pod zdjęciem.

– ...albo jest to rzeczywiście zdjęcie tej kobiety. Z tą różnicą, że pokazuje ją wtedy, gdy była jeszcze dziewczynką! Popatrzcie na datę. Tak, to musi być zdjęcie z jej dzieciństwa. Ellen, ile tamta kobieta mogła mieć lat?

– Około trzydziestu.

– No to mamy wyjaśnienie! – stwierdził Volker, spoglądając na kolumnę danych. – Lara Baumann, urodzona dwudziestego szóstego listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku we Freudenstadt. To Szwarzwald, prawda?

– Może to przypadek – z powątpiewaniem w głosie powiedziała Ellen.

– Przypadek? Przecież sama mówiłaś, że kobieta posługuje się tamtym dialektem. A to znaczy, że program się nie pomylił.

– Nie to miałam na myśli. To pierwsza wspólna cecha, która może mnie z nią łączyć.

Mark i Volker spojrzeli na nią pytającym wzrokiem.

– To tylko luźne przypuszczenie – powiedziała Ellen, wzruszając ramionami. – Urodziłam się tego samego dnia w tej samej miejscowości.

– Oczywiście! – zawołał Mark, uderzając się dłonią w czoło. – To dlatego ta data wydała mi się znajoma. Wybacz, Ellen, ale moja zdolność do zapamiętywania dat urodzenia jest ograniczona.

Ellen wskazała palcem na zdjęcie Lary Baumann.

– Czy są tam jeszcze jakieś inne dane? Numer dowodu osobistego, prawa jazdy?

– Teraz, gdy już wiemy, kim jest, nie będzie trudno znaleźć dodatkowe informacje – odparł Volker z szerokim uśmiechem. – Ale zdobędziemy je już w całkiem legalny sposób. Trochę szkoda. To trochę potrwa.

Ellen pokręciła z rozbawieniem głową. Volker to niezły spryciarz, zaczęła go lubić, choć nie podobało jej się, że czasem zachowuje się jak narcyz. A może w obecnym stanie, gdy odczuwa taką ulgę, mogłaby polubić każdego, kto jej pomógł?

Wreszcie pojawiło się światło w tunelu.

Wreszcie mają jakieś nazwisko.

Wreszcie mają czas, żeby coś zrobić.

– Czy mogę skorzystać z łazienki? – spytała Marka. – Komputer będzie potrzebował trochę czasu, żeby się z tym uporać. Chcę w końcu zmyć z siebie smród z piwnicy.

– Jasne. Poczekaj chwilę.

Mark pobiegł do sypialni i wrócił z czystymi ręcznikami. Wyglądał przy tym jak ktoś, komu naprawdę zależy.

Jak prawdziwa kwoka, pomyślała Ellen i uśmiechnęła się dyskretnie.

– Suszarka zaraz skończy. Położę twoje rzeczy przed drzwiami łazienki. Zanim oboje będziecie gotowi, zorganizuję coś do jedzenia.

– Dla mnie sardela z oliwkami – mruknął Volker znad klawiatury. – I trochę tuńczyka.

– Dla mnie niech będzie pizza – dodała Ellen.

Rozdział 33

Na widok wanny na czole Ellen wystąpiły krople potu. Przez moment wydawało jej się, że to złudzenie, ale już po chwili wiedziała, że nie: na widok wanny zaczęła drżeć na całym ciele.

Jednak tym razem nie było to spowodowane chłodem. Łazienka Marka nie była zbyt duża, a grzejnik, włączony na najwyższy poziom, wydzielał wystarczającą ilość ciepła.

Kładąc na kłapie sedesu czyste ręczniki i bieliznę, Ellen drżała na całym ciele. Najgorsze było to, że nie potrafiła opanować drżenia. Trzęsa się, chociaż przez cały czas starała się przekonać samą siebie, że nie ma powodu, bo jest już bezpieczna.

Słynna aktorka Janet Leigh napisała w swojej biografii, że po zdjęciach do Psychozy Hitchcocka, w której grała kobietę zamordowaną pod prysznicem, przez wiele lat bała się wejść pod prysznic i dlatego kąpała się w wannie. Książka ukazała się na rynku mniej więcej trzydzieści lat po premierze filmu, więc Ellen była pewna, że Leigh nie napisała o tym, żeby zdobyć większą popularność.

Jeśli jednak ktoś przeżył traumę z powodu występu w filmowej scenie, to jest rzeczą całkiem naturalną, że ktoś inny, kto całkiem niedawno o mało nie utonął pod pokrywą wanny zabiegowej, zaczyna drżeć ze strachu na widok zwykłej wanny.

A przecież niewielka łazienka Marka była całkiem przytulna. Nad wanną wisiało zdjęcie przedstawiające palmy rosnące na plaży. Poza tym to nie pomieszczenie do zabiegów hydroterapeutycznych. Nie było w nim niczego, co choć trochę przypominałoby pokrywę wanny z twardego drewna, z metalowymi klamrami i otworem na głowę. Ellen próbowała przemówić sobie do rozsądku. Musi zwalczyć panikę, bo zacznie jej brakować powietrza. A przecież nie chce, żeby trauma doprowadziła do nieodwracalnych zmian.

Dlatego postanowiła się skoncentrować na tym, co w tej konkretnej chwili zamierza zrobić. *To tylko wanna kąpielowa. W łazience Marka. Tu jest jego żel do kąpieli, tu jego ręcznik, a to drzwi, które nie są zamknięte na klucz. Nikt nie może mnie tu skrzywdzić. Nawet Czarny Lud.*

Mimo to, kiedy wanna napełniała się wodą, Ellen musiała zatkać uszy.

Samotność.

Dalszy odcinek drogi prowadzi chłodną nocą przez las. W oddali słychać wołanie puszczyka. Ten dźwięk wywołuje w niej strach.

Słyszy, jak pod jej gołymi stopami trzaskają gałęzie, widzi wśród nich pojedyncze kamienie, ale nie czuje ani drewna, ani kamieni, ani świerkowych igieł, które wbijają jej się w skórę.

Gdzie jest Bormann? Czy nie powinien mi wyjaśnić, że to tylko kolejny sen?

Chce go zawołać, ale nie może. Wydaje z siebie tylko przytłumiony dźwięk, a gdy dotyka twarzy, stwierdza z przerażeniem, że nie ma ust. Tam, gdzie powinny się znajdować wargi, jest tylko gładka, napięta skóra. Wyczuwa pod nią zęby i język.

To sen, tylko sen! woła, ale strach nie znika.

Rozgląda się wokół siebie przerażonym wzrokiem. Dlaczego tu jest, co robi w tym ciemnym, zimnym lesie?

Na czystym, rozgwieżdżonym niebie pojawił się wąski fragment księżyca. Jego srebrny blask pada na polanę. Na tle nocnego błękitnego nieba pojawia się nagle zarys jakiegoś domu i kilku stajni, które graniczą z mrocznym lasem świerkowym.

Już z daleka zauważa mężczyznę z pochodnią. W drugiej ręce trzyma kurczowo resztki powrozu. Blask płomieni oświetla brudne kamienie, z których przed dziesiątkami lat zbudowano dwór.

Kiedy rusza w jego stronę, mężczyzna spogląda w jej kierunku. Twarz ma brudną od sadzy, pomarszczoną, starą i okropnie wykrzywioną. Widzi na niej rozpacz i bezradność. I wściekłość, którą w nim ta bezradność wywołuje.

Tuż za nim widać małe piąstki, które uderzają w okno. Są zbyt słabe, żeby zbić szybę. Do szyby przyklejona jest twarz małego chłopca. Słyszy go, jak płacze, widzi, że płacze też mężczyzna z pochodnią. Łzy zostawiają jasne ślady na jego pokrytej sadzą twarzy.

– Prawda nie zawsze jest taka, jak ją widzimy – mówi mężczyzna z pochodnią. Chwilę potem zza okna buchają płomienie.

Dziecko płacze. Razem z nim płacze jeszcze jedno dziecko. W blasku płomieni widać, jak na ścianie pokoju tańczy wydłużony cień powieszonych kobiety. Na krótką chwilę w oknie pojawia się głowa jakiejś dziewczynki. Jej włosy płoną jak knot świecy. Dziecko krzyczy z bólu, bije się rękami w płonąca głowę i znika.

Chce pobiec dziecku na ratunek, zrobić cokolwiek, ale ktoś ją powstrzymuje. To dziewczynka w letniej sukience w kwiaty, która nagle się pojawia i przytrzymuje ją za ramię.

– Tego, co się stało, nie da się już zmienić – mówi dziewczynka i patrzy na nią ze smutkiem. – Bez względu na to, jak bardzo ktoś chce.

W tym momencie podchodzi do niej mężczyzna z pochodnią.

– Dzieje się tak wtedy, gdy ktoś traci rozum – mówi ze szlochem mężczyzna. – Nie chcemy tego, a mimo to tak się dzieje.

Patrzy na ramię mężczyzny, w którym trzyma on pochodnię, i widzi na nim krwawą szramę. Jego kobieta broniła się przed śmiercią. Swoją i swoich dzieci.

Dziewczynka trzymają z nadludzką siłą. Jakby trzymały ją żelazne klamry.

Nie mogąc się poruszyć, patrzy, jak mężczyzna przykładą jej pochodnię do głowy. Płomienie liżą jej głowę i po chwili zaczyna płonąć.

Stoi w ogarniających ją płomieniach, czeka na ból, nie może się poruszyć, nie może krzyknąć, bo ma zrosnięte usta...

– Ellen!

– Broń się! – krzyczy do niej przez płomienie mężczyzna. – Bo inaczej przyjdzie po ciebie czarny pies!

Unosi pochodnię i...

– Ellen!

Ellen prawie podskoczyła w miejscu. Zobaczyła, że leży w wodzie, i na krótki moment wpadła w panikę. W końcu uświadomiła sobie, że znajduje się w wannie, w łazience Marka.

Tylko spokojnie, to był tylko sen.

Oparła się dłońmi o brzeg wanny i kilka razy zaczerpnęła głęboko powietrza. Potem dotknęła twarzy, jakby chciała sprawdzić, czy nadal ma zrosnięte usta. Żeby się upewnić, że wróciła do rzeczywistości, ugryzła się w palec, posmakowała wody z mydłem i zachichotała nerwowo. Co za niemądry koszmar.

Mark znowu zastukał do drzwi. Ellen tak mocno się wzdygnęła, że aż woda przelała się na podłogę.

– Ellen! Wszystko w porządku? – spytał Mark.

Ellen odrzuciła głowę do tyłu i głęboko odetchnęła.

– Tak, wszystko okej. Zdrzemnęłam się na chwilę.

– Pospiesz się, bo ci pizza wystygnie. Poza tym znaleźliśmy coś ciekawego.

Dopiero podczas posiłku Ellen poczuła, jak bardzo jest głodna. Wydawało jej się, że mogłaby pożreć konia z kopytami. No, może nie konia, ale przynajmniej wszystkie przysmaki z menu w restauracji A Dong, i to w dowolnej kolejności. Po jej wizycie pani Li musiałyby pewnie zdjąć szyld z napisem „Zjedz, ile tylko możesz”.

Mark przyglądał się z rozbawieniem, jak Ellen w rekordowym czasie pochłania swoją *Pizza Speciale*. Musiał jej nawet oddać kawałek swojej. I chociaż nigdy nie przepadała za salami, tym razem nie odmówiła.

Kiedy już się najadła, zdjęła dres Marka, przebrała się w swoje własne rzeczy i od razu poczuła się znacznie lepiej.

Podczas gdy Ellen i Mark pałaszowali deser – pączki z czekoladową polewą – i popijali go świeżą kawą, Volker pokazał im, co znalazł, gdy szperał w sieci.

– Przypomina to kolejny odcinek serialu Z Archiwum X. Historia wydarzyła się w sierpniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku w lesie koło miejscowości Alpirsbach w Szwarzwaldzie. Tylko spójrzcie.

Volker podał Ellen wydruk artykułu prasowego. Na słabej jakości zdjęciu obok tekstu widać było dziewczynkę. Uśmiechała się tak radośnie, że Ellen aż się wzdrygnęła.

Przez krótką chwilę miała wrażenie, że uśmiechnięta dziewczynka patrzy na nią.

Ellen upuściła wydruk, jakby parzył ją w palce. W głowie poczuła nagle przejmujący ból, jakby ktoś wbijał jej przez skronie do mózgu długą, rozżarzoną igłę. Zrobiło jej się niedobrze.

Zerwała się z kanapy i poczuła, że pokój zaczyna wirować. Wszystkie kolory stały się nagle jaskrawe, prawie oślepiające. Zaciśnęła oczy z obawy, że nie zdąży do toalety i zwymiotuje na dywan w pokoju.

Nagle ból, zawroty głowy i mdłości zniknęły. Równie szybko, jak się pojawiły.

– Ellen? – spytał Mark, patrząc na nią z troską. – Co się z tobą dzieje?

Ellen zaczerpnęła głęboko powietrza i zaczęła oddychać przez nos.

– Już dobrze – odparła. – To ta przekłeta migrena.

Zaczęła rozcierać skronie i ból głowy nagle minął. Z westchnieniem opadła na kanapę i lekko drżącymi rękami sięgnęła po wydruk leżący na stole.

Zdjęcie zrobiono przed karuzelą. W tle widać było niewyraźne sylwetki dzieci na koniach, wózów strażackich i jakiegoś chłopca na ogromnej, plastikowej żabie.

Dziwne, jakbym to wszystko już...

...widziała?

Tak, ale to niemożliwe.

Przez chwilę wydawało jej się, że nie przypuszcza, lecz wie, że dziewczynce przytrafiło się coś złego. Podobne wrażenie odniosła podczas pierwszego spotkania z bezimienną kobietą. Czuła się tak, jakby doświadczała *déjà vu* jako inna osoba.

Odsunęła talerz z pączkami, bo sam ich widok wywoływał w niej mdłości, chociaż dosłownie przed chwilą miała ochotę na coś słodkiego. Zaczęła czytać artykuł ze zdjęciem opatrzonym nagłówkiem:

DZIEWIĘCIOLATKA ZAGINEŁA BEZ ŚLADU

Pod spodem zamieszczono podtytuł i główną treść:

POSZUKIWANIA SĄ KONTYNUOWANE

Relacja naszego lokalnego korespondenta Arno Maifelda.

Alpirsbach. To, co zaczęło się jako niewinna zabawa dziecięca, miało poważne konsekwencje. Od wczorajszego popołudnia policja z Freudenstadt wraz z grupą

miejscowych ochotników zamieszkujących gminy Lossburg, Alpirsbach i Betzweiler poszukuje dziewięcioletniej Lary Baumann.

Dziewczynka zaginęła bez śladu w czasie zabawy w ruinach dawnej posiadłości Sallinger Hof. Wraz ze swoją kuzynką Nicole mała Lara wybrała się na zwiedzanie ruin na leśnej polanie w pobliżu wschodniego skraju miejscowości i około godziny 15.45 weszła do jednej z piwnic. Wszystko wskazuje na to, że w tym momencie zatrzasnęły się za nią drzwi. Nie mogąc ich otworzyć, jej kuzynka Nicole pobiegła do miasteczka, żeby sprowadzić pomoc. Kiedy pół godziny później na miejscu zdarzenia zjawił się ojciec Nicole, okazało się, że piwnica jest pusta. Rozpoczęły się gorączkowe poszukiwania dziewczynki.

Komisarz Gustav Breuninger poinformował, że policja nie znalazła do tej pory żadnych śladów. Przypuszcza się, że Larze udało się wydostać z piwnicy, ale z powodu szoku zablądziła w lesie.

Jednak Breuninger nie wyklucza, iż mogło dojść do przestępstwa, ponieważ w piwnicy znaleziono ślady krwi. Nie wiadomo jeszcze, czy jest to krew dziewczynki, czy też raczej krew jakiegoś zwierzęcia, z którym dziewczynka się zatrzasnęła. Jak poinformował rzecznik policji, podjęto wszelkie możliwe działania, żeby odnaleźć małą Larę całą i zdrową.

Akcja poszukiwawcza trwa. Obszar, na którym jest prowadzona, został poszerzony o kolejne tereny rozciągające się w pobliżu ruin. Do chwili zamknięcia tego numeru nie uzyskaliśmy informacji o szczęśliwym zakończeniu poszukiwań.

W ostatnim akapicie autor artykułu zwracał się do miejscowej ludności o pomoc w poszukiwaniach. Podał też numer telefonu policji we Freudenstadt, pod który można dzwonić, jeśli ktoś coś zauważy albo znajdzie Larę.

– Znalaziono ją? – spytała Ellen, odkładając artykuł na stół. Ślady krwi, o których wspominał autor, mogły potwierdzać jej przecucia.

– I to jest właśnie w tym wszystkim najdziwniejsze – odparł Volker, wskazując nadgryzionym pączkiem na swój laptop. – Przejrzałem kolejne wydania gazety, ale oprócz tego jednego artykułu nie ukazał się później żaden tekst na ten temat. Ani jedno słowo przez dziewiętnaście lat. Bez względu na to, co przytrafiło się dziewczynce, redakcja gazety ani razu nie zabrała głosu w jej sprawie. Nie znalazłem żadnego tekstu pod tytułem „Hurra, dziewczynka wróciła” ani informacji o jakimś nieszczęściu, co w takim przypadku powinno nastąpić. Nie ma też nekrologu, z którego można by się czegoś dowiedzieć. Lara Baumann dosłownie rozplynęła się w powietrzu, podobnie jak sam temat jej zniknięcia.

– To bardzo dziwne – mruknęła Ellen.

– Możesz to powiedzieć głośno – powiedział Volker. – Gdybym ja był Arnem Maifeldem, nie wypuściłbym takiej historii z rąk. I to bez względu na to, jak się zakończyła. Na takiej sprawie można zarobić sporo forsy. Wiem, że brzmi to tak, jakbym nie miał serca, ale tak to już jest w dziennikarskiej profesji.

– Pytanie brzmi, dlaczego dziennikarz przestał się zajmować tą historią – powiedział Mark. – Ale akurat to możemy sprawdzić. Masz numer telefonu do redakcji?

Volker spojrział na zegarek.

– Jest już po wpół do siódmej. Jeśli ta redakcja podchodzi do pracy równie poważnie jak te, dla których ja pracuję, to na pewno kogoś jeszcze zastaniemy.

Mark dodzwonił się już po wybraniu drugiego numeru telefonu z listy na stronie internetowej. Włączył w swoim aparacie głośnik. Został przełączony do Katrin Fäustle.

Okazało się, że jest ona naczelnym redaktorem gazety „Schwarzwälder Neuesten Nachrichten”. To właśnie to czasopismo informowało przed dziewiętnastu laty o zaginięciu dziewięcioletniej Lary Baumann.

Sądząc po głosie, pani Fäustle mogła mieć czterdzieści kilka lat. Sprawiała wrażenie osoby zestresowanej. W tle słychać było także inne głosy.

– Powiedział pan: Lara Baumann? Proszę chwilę poczekać – odparła Katrin Fäustle i wstukała coś do komputera. – Przykro mi, ale nic nie znalazłam.

– To niemożliwe – zaprotestował Mark. – W archiwum na waszej stronie internetowej...

– A czego chciałby się pan dowiedzieć o tej sprawie? – przerwała mu niecierpliwie redaktorka.

– Chciałbym się dowiedzieć, jak zakończyła się historia poszukiwań dziewczynki.

W telefonie rozległo się westchnięcie.

– Proszę posłuchać. To się zdarzyło... przed ilu laty?... Powiedział pan, że przed dwudziestu. Aleja nie tylko nie przypominam sobie takiego zdarzenia, ale nawet nie znalazłam artykułu na ten temat.

– Aleja tu mam...

– Panie Behrendt, już raz powiedziałam, że takiego artykułu nie ma – odparła niegrzecznym tonem Katrin Fäustle, a jej głos zabrzmiał o wiele starzej. – Proszę mi wierzyć, pracuję na tym stanowisku wystarczająco długo, żeby móc to z całą pewnością stwierdzić. A właściwie co pan ma z tym wspólnego?

Mark nie odpowiedział na jej pytanie, tylko spytał o dziennikarza, który był autorem artykułu, Arna Maifelda.

– Także w tej kwestii muszę pana niestety rozczarować – odparła redaktorka, chociaż słowo „niestety” nie zabrzmiało w jej ustach zbyt szczerze. – Pan Maifeld zmarł przed czterema laty. Czy pan pali papierosy?

– Tak. A dlaczego pani pyta?

– Arno Maifeld też był palaczem. Dziennie wbijał do własnej trumny po czterdzieści gwoździ albo nawet więcej. Niech pan lepiej rzuci palenie. Przynajmniej taką korzyść odniesie pan z tej rozmowy.

Katrin Fäustle pożegnała się słowami „Życzę panu miłego dnia” – zabrzmiało to tak, jakby chciała powiedzieć: „Nie waż się pan tu więcej dzwonić” – i rozłączyła się.

Mark spojrział skonsternowany na słuchawkę, z której dobiegał sygnał wolnej linii.

– Ona ma chyba nie po kolei w głowie – powiedział.

– Mam coś lepszego – odparł Volker i odwrócił swojego laptopa tak, żeby Ellen i Mark mogli zobaczyć ekran. – Chciałem ponownie wejść do ich archiwum w Internecie i zobaczcie, co znalazłem.

Pod nagłówkiem „Schwarzwälder Neuesten Nachrichten” widniało już tylko puste białe pole z informacją, że: „Ze względów technicznych archiwum w chwili obecnej jest niedostępne”.

– Chwileczkę – powiedział Volker. – „Ze względów technicznych”? Ludzie, to jakieś jaja! Mark wskazał na ekran.

– To chyba nie przypadek?

– Albo cała nasza trójka popadła jednocześnie w paranoję, albo ktoś trzyma w szafie bardzo stary szkielet – odparła Ellen.

– Miejmy nadzieję, że w tym drugim przypadku chodzi o szkielet przysłowiowy, a nie prawdziwy – stwierdził Mark, sięgając na półkę po paczkę cameli. – Przykro mi, ale muszę zapalić.

Ellen otworzyła drzwi prowadzące na taras i mrugnęła do Volkera.

– Umiesz sobie z tym radzić, co?

Volker też do niej mrugnął i odparł:

– No jasne.

– No to sprawa nie jest jeszcze zakończona – stwierdziła Ellen, wskazując na Marka, który właśnie zaciągał się dymem. – Zanim jednak dzięki mojemu koledze z pracy podzielimy los tamtego dziennikarza, chciałabym cię prosić, żebyś znalazł dla mnie jeszcze jeden numer telefonu.

W czasie rozmowy z komendą policji we Freudenstadt Ellen dowiedziała się, że komisarz Breuniger jest już od kilku lat na emeryturze. Przez kolejnych piętnaście minut próbowała się do niego dodzwonić, ale jego prywatny numer cały czas był zajęty. Nie poddawała się jednak i w chwili, gdy Mark zgasił niedopałek papierosa, udało jej się.

– Breuninger – usłyszała mroczny, zmęczony męski głos.

– Z kim rozmawiam? – upewniła się Ellen.

– Gustav Breuninger.

– Proszę wybaczyć. Chyba wybrałam zły numer.

Po tych słowach Ellen odłożyła słuchawkę. Mark spojrzał na nią zdumiony.

– Co ty zrobiłaś? Dlaczego go nie spytałaś?

– Jako psychiatra powinieneś wiedzieć najlepiej. Przez telefon łatwiej jest czemuś zaprzeczyć, skłamać albo po prostu przerwać rozmowę. Jeśli jednak ktoś stoi przed drzwiami, jest to o wiele trudniejsze.

– Chcesz go odwiedzić?

– A masz lepszy pomysł? Obawiam się, że nasz szaleniec dotrzyma słowa, więc na odnalezienie tamtej kobiety mamy czas tylko do jutrzejszego południa. Lara Baumann jest jedynym konkretnym śladem, jaki mamy. Nie musisz mi towarzyszyć, aleja na pewno tam pojedę.

– Oczywiście, że cię nie zostawię – zapewnił ją Mark. – Zawsze chciałem z tobą pojechać na jakąś niezwykłą wycieczkę. Na przykład do królestwa zegarów z kukułką.

– Ta sprawa śmierdzi bardziej niż zdechła ryba – powiedział Volker, zanim wyszedł. – Ja też bym z wami chętnie pojechał, ale jeśli do dziewiątej nie wyślę artykułu do mojej redakcji...

– Nie ma sprawy – stwierdził Mark. – Bez twojej pomocy i tak kręcilibyśmy się w kółko.

– Uważajcie na siebie.

– Będziemy – obiecała Ellen. – I jeszcze raz wielkie dzięki.

Volker mrugnął do niej i wcisnął jej wizytówkę do ręki.

– To na wypadek, jeśli będziesz jeszcze kogoś potrzebować do swoich poszukiwań. Albo jeśli znowu zechcesz pooglądać moje ramiona.

– Masz to jak w banku. Będę o tobie myśleć w czasie mojego wieczoru panieńskiego.

– Super! – odparł Volker, mlaskając językiem.

Kiedy wyszedł, Mark sięgnął po kurtkę i kluczyki do samochodu.

– Jeszcze chwilę – zatrzymała go Ellen. – Zanim wyjdziemy, musimy o czymś porozmawiać.

– Tak? A o czym?

Nie było jej łatwo podejść do regału z książkami i wziąć do ręki album ze zdjęciami. Musiała się jednak dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Chrząknęła i podała album Markowi.

– Znalazłam to u ciebie, chociaż nigdy nie szperam po cudzym mieszkaniu. Jednak na albumie zobaczyłam moje imię. Kiedy obejrzałam zdjęcia, pomyślałam, że dla niektórych osób rozmowa na temat braku dyskrecji może się okazać dość bolesna.

Rzeczywiście okazała się bolesna – i to bardzo – dla Marka.

– Ja... to znaczy... to jest...

Ellen otworzyła album na zdjęciu, na którym stała z Chrisem i Markiem. Twarz Chrisa była zamazana.

– Słucham wyjaśnień.

– Ellen, ja... ja... – jękał się Mark. Przełknął głośno ślinę i spuścił głowę. – Nie wiem, jak ci to teraz wyjaśnić. Nie chcę, żeby zabrzmiało to sentymentalnie. Ja...

Znowu chrząknął, rzucił ukradkowe spojrzenie na zdjęcie i wbił wzrok w czubki butów.

Ellen obserwowała, jak Mark ze sobą walczy. Postanowiła jednak nie ustępować. Wygląda na to, że Mark od dłuższego czasu ją szpieguje. Świadczą o tym te fotografie.

– Dlaczego to zrobiłeś? Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak się czułam, oglądając te zdjęcia?

– Masz rację – zgodził się Mark, ale nadal unikał jej wzroku. – Jesteś dla mnie kimś szczególnym; od kiedy cię poznałem, żadna inna kobieta dla mnie nie istniała. Na pewno tego nie zauważyłaś, ale kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, od razu zwariowałem na twoim punkcie. Wiem, zachowuję się jak zadurzony sztubak, ale mówię jak najbardziej poważnie.

Mark westchnął głęboko i wskazał na zdjęcie.

– A jeśli chodzi o te bazgroły... no cóż, zrobiłem to, gdy się dowiedziałem, że ty i Chris zamierzacie razem zamieszkać. Miałem już tego dosyć i...

– Cicho – przerwała Ellen, kładąc mu palec na usta.

Podeszła bliżej i pocałowała go w usta. A gdy Mark spróbował ją objąć, odsunęła się i pokręciła głową.

– To za twoją uczciwość i za pomoc – wyjaśniła, spoglądając mu głęboko w oczy. – Ale drugiego pocałunku nie będzie.

Rozdział 35

Podczas jazdy niewiele ze sobą rozmawiali. Mark kierował, a Ellen drzemała przy dźwiękach łagodnej muzyki. Mark włączył CD z nagraniami Angela Badalamentiego.

Około dziewiątej wieczorem dojechali do Freudenstadt. Po drodze nie mieli żadnych problemów i nie musieli czekać w korkach tam, gdzie prowadzono roboty drogowe. Wybrali trasę szybkiego ruchu na Lossburg i w końcu dotarli do Alpirsbach.

Było już ciemno, gdy w zajeździe Biały Rumak wynajęli dwa pokoje. W recepcji się dowiedzieli, jak trafić na ulicę Blumenstrasse, i bezzwłocznie się tam udali.

Niewielki domek z muru pruskiego z wysuniętym krytym gankiem stał w zadbanym ogrodzie otoczonym drewnianym płotkiem. Uliczne latarnie oświetlały ogródek i grządki. Rosły na nich w równych rzędach róże, inne kwiaty, warzywa i główki sałaty. Całego dobytku strzegło kilka ogrodowych krasnali. Tłusty ślimak, który pełznął między lampkami solarnymi, zupełnie tu nie pasował.

Nad przyciskiem dzwonka wisiała błyszcząca mosiężna tabliczka z nazwiskiem BREUNINGER.

Ellen zadzwoniła i chwilę później za przeszklonymi drzwiami ukazała się ludzka sylwetka. Otworzyła im atrakcyjna blondynka. Ellen uznała, że kobieta jest zbyt młoda jak na żonę gospodarza. Może to jego córka?

– Słucham.

– Czy pani Breuninger?

– Nie, jestem tylko opiekunką – odparła dziewczyna, wskazując głową w stronę czerwonego fiata stojącego po drugiej stronie ulicy. Na drzwiach samochodu widniał napis WYDZIAŁ OPIEKI SPOŁECZNEJ. – Nazywam się Uschi Kreutzer. Pani Breuninger jest już w łóżku.

– Proszę nam wybaczyć, że przeszkadzamy o tak późnej porze – powiedział Mark. – Właściwie chcieliśmy porozmawiać z panem Breuningerem. Czy on już...

– Jeszcze nie śpi – przerwała mu opiekunka. – Przepraszam, że tak szybko mówię, ale muszę dać pani Breuninger zastrzyk. Proszę chwilę poczekać, zaraz go zawołam.

– Zauważyłeś, jak się na ciebie gapiła? – zażartowała Ellen, gdy dziewczyna poszła w głąb mieszkania. – Miałyś u niej szansę. Poza tym ma więcej seksapilu niż ja.

Mark znowu poczerwieniał.

– Już nigdy w życiu nic ci nie powiem. Rozumiesz? Nigdy więcej.

Zanim Ellen zdążyła mu odpowiedzieć, w przedpokoju pojawił się mężczyzna.

Wyglądał dokładnie tak, jak Ellen go sobie wyobrażała w czasie rozmowy telefonicznej. Gęste włosy, które kiedyś były czarne, teraz całkiem posiwiały. Oczy miał zmęczone. Spodnie, nad którymi zwiślał potężny brzuch, podtrzymywały niemodne szelki z wzorkiem w jelenie. Dodatkowo do stroju była para zużytych filcowych kapci.

– Czego państwo chcą?

– Jestem doktor Ellen Roth, a to mój kolega z pracy, doktor Behrendt. Wiem, że jest już późno, ale musimy z panem porozmawiać o sprawie Lary Baumann.

Breuninger westchnął.

– Jestem zmęczony i chce mi się spać. Proszę przyjść jutro.

– My też wolelibyśmy przyjść jutro – odparła Ellen i zrobiła krok do przodu, jakby chciała zablokować drzwi – ale obawiam się, że nie mamy zbyt wiele czasu. Z tego, co wiemy, pani Baumann grozi niebezpieczeństwo, więc musimy się jak najwięcej dowiedzieć o tej sprawie...

– Nie ma żadnej sprawy – przerwał Breuninger.

Ellen poczuła na twarzy jego słodkawy oddech. Aceton, pomyślała. Prawdopodobnie cukrzyca.

Mark wyjął z kieszeni kurtki wydrukowany artykuł i podsunął go emerytowanemu policjantowi pod oczy.

– My mamy inne zdanie na ten temat, panie komisarzu. Czy to nie pan prowadził wtedy dochodzenie?

Breuninger wykonał rękami obronny gest.

– Dajcie mi spokój z jakimiś starymi sprawami. Przysięgłem sobie kiedyś, że nigdy nie będę o tym mówił i zamierzam dotrzymać słowa.

– Ale dlaczego? – naciskała Ellen. Musiała się zmusić, żeby na niego nie nakrzyczeć. – Dlaczego pan tak postanowił?

– Młoda kobieto, niech mnie pani zostawi w spokoju i trzyma się z daleka od sprawy, która nie powinna pani obchodzić.

W tym momencie w przedpokoju zjawiała się Uschi Kreutzer.

– Na dzisiaj skończyłam – powiedziała do Breuningera, obrzucając Marka taksującym spojrzeniem.

Tym razem Mark zareagował na jej zachowanie, ale nie tak, jak dziewczyna mogła się spodziewać.

– Czy mówi pani coś nazwisko Lara Baumann?

– Czy pan jest z policji?

– Nie, jestem psychiatrą.

– O, no proszę. Ale to bez różnicy. Niech pan pokaże – powiedziała, wyjmując Markowi artykuł z ręki. Zmarszczyła czoło i zaczęła go czytać. – Nie, nie znam jej. I nie mogę znać, bo to się wydarzyło w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, a ja tu mieszkam od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego. Przeprowadziłam się z miłości, ale zostało mi tylko mieszkanie. Proszę, panie doktorze.

Przewracając w wyuczony sposób oczami, oddała Markowi artykuł. Potem odwróciła się znowu w stronę Breuningera.

– To ja już pójdę – powiedziała. – Niech pan nie zapomni, że przyjadę jutro o ósmej, żeby zabrać żonę na dializę. Dobranoc państwu.

Breuninger wymamrotał coś niezrozumiale i ponownie odwrócił się do Marka i Ellen.

– Lepiej będzie, jak wy też już stąd pójdziecie, bo inaczej oskarżę was o naruszenie miru domowego.

– Niech pan nam przynajmniej powie, dlaczego nie chce pan nam opowiedzieć o Larze Baumann, a wtedy od razu sobie pójdziemy – odparła Ellen.

– Proszę mi wierzyć: lepiej będzie, jeśli się pani tego nie dowie. Jeśli zło odeszło, nie powinno się o nim mówić, bo inaczej wróci.

Po tych słowach pan Breuninger wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi.

– Co za dziwak – powiedziała Ellen do Marka, ale gdy się do niego odwróciła, okazało się, że już go przy niej nie ma. Stał po drugiej stronie ulicy przy fiacie i rozmawiał z opiekunką. Kiedy wrócił, samochód odjechał.

– To dość niejasna sprawa.

– Dała ci swój numer telefonu?

– Bzdura.

– Sorry. Co to znaczy, że sprawa jest niejasna?

– Spytałem ją o żonę Breuningera. Lepiej posłuchaj: prawie dwadzieścia lat temu o mało nie umarła na niewydolność nerek. W ostatniej chwili przeszła operację wszczepienia zdrowej nerki, od dawcy. To był prawdziwy cud, dosłownie w ostatniej minucie. Niestety, miała też pecha, bo ostatnio nerka zaczyna szwankować, a pani Breuninger jest już zbyt stara, żeby mogła liczyć na kolejny przeszczep.

Ellen spojrzała na Marka w zamyśleniu.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Podejrzewam, że ktoś zapłacił Breuningerowi pokaźną sumę, żeby trzymał język za zębami. Sama zresztą wiesz, że dzięki pieniądzom i znajomościom można przyspieszyć przeszczep nerki. Niewykluczone, że ktoś przekupił także zmarłego dziennikarza i panią redaktor naczelną. No bo z kim tak długo rozmawiał nasz emerytowany komisarz tuż przed twoją rozmową z nim? Prawdopodobnie Breuninger i niezwykle miła pani redaktor dyskutowali o tym, jak zamknąć nam buzie.

– Ale komu może zależeć, żeby zatuszować sprawę, która wydarzyła się przed dziesiętnastu laty? Czy sądzisz, że dziewczynka została zamordowana, a my trafiliśmy na fałszywy trop i utknęliśmy?

– Nie – odparł Mark, potrząsając głową. – Uważam, że program Volkera działa bardzo dobrze. Jestem też pewien, że kobieta, którą widziałas, to rzeczywiście Laura Baumann. Coś tu się dzieje, ale nie sądzę, żebyśmy dowiedzieli się dzisiaj czegoś więcej. Miejscowi chodzą wcześniej spać i wcześniej wstają.

Ellen zgodziła się z tą opinią, chociaż żał jej było tracić cenny czas.

Wrócili więc do hotelu, ale zanim rozeszli się do pokojów, Ellen spytała Marka:

– Dlaczego jesteś pewien, że program komputerowy Volkera rzeczywiście tak dobrze działa?

Po raz trzeci tego wieczoru Mark poczerwieniał jak pomidor.

– No cóż – odparł, chrząkając. – Przyjaciółka Tobiasa Schuberta... no wiesz, tego kumpla Volkera, z którym buszują po sieci... tego, który każe się nazywać Filewalker... o której Volker mówił, że wstawiła do Internetu swoje nagie zdjęcia... to... to moja siostra.

Rozdział 36

W nocy Ellen nie mogła zmrużyć oka. Być może było to spowodowane zdenerwowaniem, a może po prostu tym, że w czasie jazdy samochodem głęboko zasnęła. W każdym razie przez dobre pół godziny przewracała się w łóżku z boku na bok. Zdjęcie Lary Baumann i przecucie, że przytrafiło jej się coś złego, nie dawały jej spokoju. Co tak naprawdę wie Breuninger i dlaczego tak bardzo nie chciał z nimi o tym porozmawiać?

Jego słowa, że zło może wrócić, jeśli się o nim mówi, zabrzmiały jak cytat z jakiejś wiejskiej powieści o duchach. Wyglądał na kogoś, kto wierzy w takie rzeczy. Zdradzał to jego przestraszony wzrok, choć były komisarz starał się to ukryć. Co próbuje zatuszować? Co się wtedy wydarzyło?

Ellen przez jakiś czas rzucała się na łóżku, aż w końcu włączyła telewizor, żeby zająć myśli czymś innym. Musi się natychmiast uspokoić i przespać. Niestety, pół godziny później nadal nie mogła zasnąć i czuła się rozdrażniona. W końcu stwierdziła, że nie bez powodu nigdy nie ogląda telewizji – wiele rzeczy ją drażniło. Na przykład ogromne piersi, które co kwadrans pojawiają się na ekranie, albo dominujące kobiety, które okładają swoich partnerów pejcami i żądają od widzów, aby natychmiast zadzwonili na drogą party linę. Można też wybrać coś innego – na przykład gospodynie domowe z głupawym uśmiechem albo ich mężów, którzy wyjaśniają widzom, dlaczego reklamowany przez nich środek chemiczny poradzi sobie z każdą plamą.

Trafiła też na film w reżyserii Alfreda Hitchcocka, w którym Gregory Peck grał psychiatrę. Ważny element fabuły stanowiła teoria Freuda.

Tego już było za wiele. Wyłączyła telewizor, rzuciła pilota na łóżko i postanowiła wziąć prysznic.

Strumień gorącej wody dobrze jej zrobił, więc stała pod nim dłuższą chwilę. Mimo to nie przestawała myśleć o Larze Baumann, o uśmiechniętej dziewczynce przed karuzelą...

„Obiecaj, że mnie ochronisz, kiedy po mnie przyjdzie!”

Kiedy o wpół do ósmej zeszła na śniadanie, czuła się tak, jakby przejechał ją samochód. Nad ranem powoli i podstępnie wróciła migrena. Teraz szalała w jej głowie jak dziki tygrys. Pojawiły się też drobne białe cętki tańczące w kącikach jej oczu. Były to pierwsze objawy poprzedzające atak. Zapowiadały, że najpóźniej za dwie godziny zacznie Märzyć o zaciemnionym, wyciszonym pomieszczeniu z chłodnym łóżkiem.

– Witamy w naszym klubie – przywitał ją Mark, który siedział już przy stoliku z filiżanką kawy. – Równie świeżo wyglądasz, jak ja się czuję.

– Mimo to dziękuję. Widzę, że ty też nie spałeś?

– Nie przespałem ani minuty. Przez cały czas rozmyślałem, co się mogło stać z tamtą dziewczynką. Dlatego zanim się położyłem, zadzwoniłem do biura numerów. Okazuje się, że jedyna Lara Baumann, która widnieje w spisie abonentów, mieszka w Wuppertalu i ma osiemdziesiąt trzy lata. Zapewniam cię, że nie była zachwycona, gdy o wpół do drugiej w nocy musiała się zerwać z łóżka i odebrać telefon. Ale...

Mark przerwał, oparł się o blat stolika i pochylił się lekko do przodu. Pachniał kawą i dymem papierosowym; chyba zapomniał przyborów do golenia.

– Dzisiaj rano – szepnął – rozmawiałem z personelem hotelu. Każdą osobę, którą spotkałem, pytałem o Larę Baumann.

– I co?

– Nic. Obie pokojówki są zbyt młode, żeby cokolwiek wiedzieć na jej temat. Poszedłem więc do kierowniczkę hotelu. Kiedy powiedziała, że nigdy nie słyszała takiego nazwiska,

zauważyłem u niej zachowanie typowe dla kogoś, kto kłamie. Sama zresztą wiesz: wzrok skierowany w prawo w dół, oblizywanie warg, egzaltowane wypowiedzi i tak dalej. Kiedy zacząłem ją naciskać, odwróciła się na pięcie i odeszła.

– Boże, to prawie jak w filmach o Drakuli – westchnęła Ellen, rozcierając skronie. – Mieszkańcy zaprzeczają istnieniu zamku, który znajduje się niedaleko wsi, bo kryje się w nim coś strasznego.

Nie Drakula, tylko jakiś potwór. Włochaty potwór z...

– Daj spokój – powiedziała Ellen. Nalała sobie kawy.

– Co takiego? – spytał Mark, patrząc na nią z poirytowaniem.

– Mam na myśli potwora. Nie jestem dziś w nastroju do żartów.

– Nic nie mówiłem o żadnym potworze.

– W takim razie coś mi się przesłyszało – stwierdziła ze zdziwieniem Ellen. – Głowa mi pęka.

Wzięła talerz Marka z resztkami kanapki z pasztetem i odstawiła go na sąsiedni stół. Z powodu migreny jej zmysł powonienia znacznie się wyostrzył. Na samo wspomnienie o jedzeniu robiło jej się niedobrze.

– Mam tu gdzieś tabletki od bólu głowy, jeśli chcesz. Niezły towar – powiedział z uśmiechem Mark.

Ellen popiła kawę i pokręciła przecząco głową.

– Lepiej mi powiedz, co teraz zrobimy. Nie mam pojęcia, co dalej począć.

– Do południa zostało nam jeszcze niecałe cztery i pół godziny – odparł Mark. – Wystarczy, żeby pojeździć po okolicy. Będziemy tak długo wiercić starszym ludziom dziurę w brzuchu, aż w końcu ktoś nam coś opowie o Larze Baumann. Może przy okazji dowiemy się też czegoś o jej obecnym zniknięciu i poznamy tożsamość jej szalonego prześladowcy.

– Mamy za mało czasu, żeby ją znaleźć – wtrąciła Ellen. – Chyba że Lara i ten facet są gdzieś w okolicy Fahlenbergu.

Ellen znowu poczuła się tak, jakby Czarny Lud szeptał jej do ucha: „No więc, kim jestem? Pojutrze w południe masz znać odpowiedź. Jeśli nie, przyjdzie po ciebie zły wilk. A wtedy zabiję was obie, ciebie i tę śmierdzącą wariatkę”.

Przycisnęła dłonie do skroni, jakby chciała w ten sposób wycisnąć ten głos z głowy, tak jak wyciska się gąbkę.

– Aż tak źle? – spytał Mark, z troską w oczach dotykając jej ramienia.

Ellen skinęła na potwierdzenie głową i odsunęła się, żeby uniknąć jego dotyku. Przez migrenę była nadwrażliwa, jakby z głowy wypadł jej filtr ograniczający odbiór sygnałów przekazywanych przez zmysły. Kolory, dźwięki, zapachy i dotknięcia zaczęła nagle odczuwać intensywniej. Tak to już bywa, gdy ktoś jest pod działaniem leków, które poszerzają doznania zmysłowe, pomyślała.

Ellen in the Sky with Diamonds, usłyszała nagle szyderczy głos. Oznaczało to, że obudziła się jej wojownicza natura. *Opanuj się, zażądała. Jeszcze ten jeden raz. Już niedługo będzie po wszystkim. Wóz albo przewóz.*

Wóz albo przewóz. Pod tym względem głos miał rację. Jeśli w przewidzianym czasie nie znajdą Lary albo przynajmniej nie będą na tropie miejsca, gdzie przebywa, Czarny Lud wprowadzi swoje zapowiedzi w czyn i zabije Ellen. Ona ani przez chwilę w to nie wątpiła, podobnie jak w to, że później Czarny Lud uśmierci kobietę. Psychopaci postępują według dokładnie obmyślonego planu bez względu na to, czy jest on racjonalny, czy nie.

Kilka razy głęboko odetchnęła i trochę jej to pomogło – choć niewiele – zmniejszyć ucisk i pulsowanie w skroniach.

– To przez te elektrowstrząsy – westchnęła. – Już od dawna nie miałam takiej migreny. Nawet nie pamiętam, czy w ogóle kiedykolwiek miałam aż tak silny ból głowy.

– Czy jesteś w stanie jeszcze trochę wytrzymać? – spytał Mark. – Kiedy się dowiemy, co się stało z Larą, włączymy do akcji policję z Fahlenbergu. Od tego momentu oni przejmą sprawę. Poza tym dopóki jesteś przy mnie, ten psychopata cię nie skrzywdzi. Ale masz rację, nie powinniśmy marnować cennego czasu.

– Jakoś sobie poradzę – odparła Ellen, choć nie była tego taka pewna. Jednak jej wojownicza natura nalegała na to. Pamiętaj o obietnicy! – No więc co dalej robimy?

– Na początek wstąpmy do biura parafialnego – zaproponował Mark. – Mają tam księgę chrztów. A jeśli proboszcz jest w odpowiednim wieku, powinien coś o tej sprawie wiedzieć. Popełniłby grzech, gdyby nas okłamał, prawda?

Grzech, grzech, grzech...

Ellen znowu przycisnęła dłonie do skroni. Co się z nią dzieje? Słyszysz jakieś głosy? Całkiem możliwe. Niekoniecznie trzeba być schizofrenikiem, żeby je słyszeć. Stres, jakiego doznała, skutki tortur i jeszcze ta migrena rzeczywiście mogły wywołać takie zjawisko. I to akurat w najmniej pożądanym momencie.

– Dobry pomysł – odparła. – Zwłaszcza ten, żebyśmy przepytali proboszcza.

– Jesteś pewna, że wytrzymasz? Wyglądasz... no, w każdym razie nie najlepiej.

– Będę chyba musiała przyjąć twoją propozycję i zażyć tabletki – westchnęła Ellen. – A teraz już chodźmy, bo czas płynie.

Okazało się, że biuro parafialne jest zamknięte. Proboszcz wyjechał na ważną uroczystość rodzinną i nie wróci do końca tygodnia. Tak im przynajmniej wyjaśniła sympatyczna starsza pani.

Kiedy Mark spytał ją o Larę Baumann, od razu przestała być miła. Przeżegnała się i wspierając się na chodziku, oddaliła się w takim tempie, jakby sam diabeł ją gonił.

– A później zamieni się w potwora, który wysysa krew – w przypływie rozpaczy powiedział Mark tonem pełnym szyderstwa i sarkazmu.

Ellen, która siedziała skulona w samochodzie i przed chwilą wzięła trzecią tabletkę od bólu głowy, spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

– I co teraz?

– Najpierw musimy zatankować. Bez benzyny daleko nie zajedziemy.

Podczas gdy Mark tankował paliwo, Ellen siedziała prawie bez ruchu, żeby ból głowy nie dokuczał jej jeszcze bardziej. Chociaż wzięła tabletki, ból zamienił się w „Utwór na perkusję solo i dziesięć młotów kowalskich wykonywany na delikatnych zwojach mózgowych”.

Przeleciała wzrokiem po obu dystrybutorach i okienku kasowym, aż w końcu zatrzymała go na warsztacie samochodowym. Na stacji nie było typowej dla dużych stacji paliwowych zmniejszonej wersji supermarketu, lecz zwykły, prosty sklepik. Jednak wydał jej się straszny i niebezpieczny. Tłumaczyła to sobie zaostreniem zmysłów spowodowanym bólem w skroniach. Odwróciła więc wzrok, popatrzyła na znak firmowy ARAL, potem na Marka i znowu na ARAL.

Dziwne, pomyślała.

Coś tu się nie zgadza. Wydawało jej się, że białe litery napisu nie trzymają się niebieskiego tła, tylko unoszą się w powietrzu. Im dłużej im się przyglądała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że się poruszają.

To przez tę cholerną migrenę. Zupełnie mnie wykończy. Prawie nie mogę jasno myśleć. Ja...

W tym momencie napis nagle się zmienił. Teraz nie był to już ARAL, tylko RAAL.

Co za bzdura. Jestem...

Tak, jesteś głuptasem. A może nie? usłyszała w głowie kobiecy głos. Brzmiał bardzo młodo.

O Boże, co się ze mną dzieje?

W tym momencie zamiast nazwy ARAL pojawiło się słowo ARLA. Ellen poczuła skurcze żołądka, a drobne błyski w kącikach jej oczu zamieniły się nagle w oslepiającą jasną plamę przypominającą rój komarów unoszący się w promieniach słońca.

Tak, to małe, oślniewająco białe komary.

W głowie usłyszała nagle brzęczenie roju komarów i głos, który mówił: No i co, głuptasie, jesteś tchórzem czy nie?

Po chwili ujrzała coś, co musiała widzieć już od dawna – coś, co naprawdę drażniło ją na tej stacji benzynowej. Wprawdzie litery nadal stały we właściwej kolejności – ARAL – ale jeśli się je czytało od tyłu, tworzyły słowo LARA.

Ellen poczuła, że się dusi. Otworzyła drzwi samochodu, wyskoczyła z niego i zaczęła szukać wzrokiem toalety, a gdy jej nie znalazła, zwymiotowała obok dystrybutora. W głowie zakręciło jej się tak bardzo, jakby ją ktoś nagle wrzucił do wirówki.

Przybiegł Mark i złapał ją, zanim upadła. Wstrząsana drgawkami Ellen wypluwała na beton brązową, wodnistą ciecz, która jakiś czas temu była dwoma filiżankami kawy z mlekiem, czterema kostkami cukru i trzema tabletkami od bólu głowy.

Całkiem niezły towar, głuptasku.

Ellen bała się, że ból za chwilę rozsądzi jej czaszkę. Całym jej ciałem wstrząsały tak silne drgawki, że z trudem mogła oddychać. W końcu żołądek się uspokoił.

Kiedy skurcze ustały, Ellen wyprostowała się i chciwie zaczęła wciągać świeże powietrze do płuc. Paliła ją cała jama ustna i przełyk, a świat widziany przez zażawione oczy wyglądał zupełnie inaczej niż wcześniej. Prawie jak we śnie.

Nic więc dziwnego, że zamiast Marka ujrzała przed sobą zamglony obraz profesora Bormanna. Wydawało jej się, że kładzie palec na ustach, jakby chciał jej powiedzieć, że ma być cicho. Potem obraz się zmienił i gdy wytarła z oczu łzy, znowu ujrzała Marka. Stał obok niej i podtrzymywał ją troskliwie za ramię.

Ujrzała też jakąś kobietę, która wybiegła ze sklepiku. Za nią szedł starszy mężczyzna wspierający się na chodziku. Zatrzymał się obok szyldu z napisem WARSZTAT SAMOCHODOWY TALBACH.

– Na miłość boską – zawołała kobieta, zakrywając twarz dłońmi. Była mniej więcej w wieku Marka i Ellen. Włosy miała związane w koński węzeł i była ubrana w niebieski kombinezon. Przypominała w nim trochę zwariowaną studentkę. – Czy mam wezwać pogotowie?

– Nie, nie – odparł Mark tak głośno, jakby mówił przez megafon. – Jestem lekarzem.

– No to w porządku.

Ta kobieta... ta twarz...

Ellen wydała z siebie jęk. Poczowała, jak w klatce piersiowej rozchodzi się dziwny ból. Wyglądało to tak, jakby chciał coś wyrwać z jej wnętrza. Był jak wystygła lava, która została wyrzucona na powierzchnię po kolejnym wybuchu wulkanu.

Kobieta zmarszczyła czoło, spojrzała na Ellen i uśmiechnęła się.

– Czy wolno mi pani pogratulować?

– Myli się pani – odparł Mark takim samym głosem jak poprzednio. Ellen oparła się na jego ramieniu i oboje podeszli do samochodu. – Ta pani nie jest w ciąży. Przepraszam, że narobiliśmy kłopotu.

– Nic się nie stało – powiedziała kobieta. Ból głowy sprawił, że jej głos dochodził do Ellen zniekształcony, brzmiał prawie jak echo. – Najważniejsze, żeby pana żonie niczego nie brakowało. Kiedy ja byłam w ciąży, zdarzało się, że w najdziwniejszych miejscach...

Kobieta przerwała w połowie zdania jakby trafiona piorunem. Ellen spojrzała na nią. Teraz widziała twarz kobiety jasno i wyraźnie. Stała w swoim brudnym od oleju kombinezonie nie dalej niż dziesięć kroków od Ellen.

Ja cię znam, zdawał się mówić jej wzrok. Tak, znam cię!

– Nie – wydusiła z siebie Ellen. Świat wokół niej znowu nabral lśniącej brudnawej barwy. Kobieta w kombinezonie, mężczyzna wsparty na chodziku... postaci ze straszego snu, które znalazły drogę do niej, do rzeczywistości.

A może to nie rzeczywistość? Może te postaci i ramię Marka to tylko złudzenie?

Od strony parkingu zaczął nagle pełznąć jakiś cień. Przesuwał się tuż nad ziemią, stopniowo stawał się coraz większy. Na początku wyglądał tak, jakby należał do olbrzymiego czarnego psa, po czym przyjął kształt zardzewiałego mikrobusu marki volkswagen stojącego na parkingu.

– Nie, nie, proszę, nie!

To ten sam mikrobus, który za mną jechał. Mikrobus, do którego ktoś wsiądzie, gdy zdarzy jej się coś straszego.

– Ellen, co się dzieje?

Głos przypominał głos Marka, ale ręce na jej ramionach... te ręce!

– Co tu się, na miłość boską, dzieje?

To znowu głos Marka. A może go tu jednak nie ma?

I ta kobieta. Tak na nią patrzy!

JA CIĘ ZNAM!

Dłonie jeszcze mocniej chwyciły ją za ramiona. Ellen krzyknęła głośno. Oba łokcie cofnęła za siebie i dłonie natychmiast dały jej spokój. Odwróciła się i ujrzała, jak Mark pochyła się nad nią, sapiąc głośno.

– Ellen, co się z tobą dzieje?

Obok Marka stał Bormann.

– *Niech pani nie traci więcej czasu* – upominał ją, unosząc palec. – *Niech pan robi to, co należy zrobić. Teraz!*

Ellen rzuciła się przed siebie, przewróciła kobietę na ziemię i wskoczyła do volvo.

Muszę stąd zniknąć!

Zamknęła za sobą drzwi, włączyła silnik i ruszyła z piskiem opon. Zahaczyła błotnikiem o element ograniczający wjazd i usłyszała, jak pęka plastik.

Dodała gazu i pomknęła drogą. Przez szum silnika usłyszała nagle szloch. Obok niej siedziała jasnowłosa dziewczynka w staromodnej letniej sukience w kwiaty.

– Nie rób tego – powiedziała z płaczem dziewczynka. – Proszę! I tak ci wierzę, że nie jesteś tchórzem.

– Nie – odparła Ellen, która nawet się nie zdziwiła, że na siedzeniu obok pojawiła się dziewczynka. Niektóre rzeczy po prostu się zdarzają. Taka jest prawda. Może to nawet jedyna prawda.

– Uwierzysz mi dopiero wtedy, gdy to zrobię – powiedziała Ellen. – Wiesz, wydaje mi się, że stopniowo zaczynam rozumieć, co tu się dzieje. Wprawdzie nie rozumiem jeszcze wszystkiego, ale dość sporo.

– Nic nie rozumiesz – krzyknęła do niej dziewczynka. – Umrzesz, jeśli to zrobisz! Umrzesz! I wtedy już cię nie będzie!

– Muszę podjąć takie ryzyko – odparła Ellen, naciskając jeszcze mocniej pedał gazu. Mało brakowało, a wypadłaby z zakrętu. Dziewczynka trzymała się kurczowo klamki i płakała.

– On czeka na mnie. Przy ruinach, zgadza się?

Zanim dziewczynka zdążyła odpowiedzieć, samochód skręcił w starą leśną drogę.

Część 2

Potwór

„And the devil in a black dress watches over.
My guardian angel walks away”

Temple of Love
The Sisters of Mercy

Rozdział 37

– Szybko – rzucił Mark w stronę kobiety ze stacji benzynowej. – Proszę mi pomóc! Musimy za nią jechać.

Kobieta skinęła głową, wyrwała się ze stanu nagłego otępienia i pobiegła w stronę poobijanego i pordzewiałego mikrobusu marki Volkswagen w kolorze pomarańczowym. Na tylnych drzwiach znajdował się napis WARSZTAT SAMOCHODOWY TALBACH.

– Niech pan szybko wsiada! – powiedziała.

– Do tego pordzewiałego rzęcha?

– Panie! – zaskrzeczał mężczyzna wsparty na chodziku. Stał przed wejściem do sklepiku i pokazywał na samochód. – Obraża pan starą dobrą niemiecką markę.

Mark tylko przewrócił oczami i wskoczył na siedzenie dla pasażera. Kobieta włączyła silnik.

– Niech pan się nie boi – powiedziała. – Stary grat mojego taty nie jest aż tak straszny, jak wygląda.

– Wierzę pani na słowo.

– Drugim samochodem pojechał mój mąż. Jeśli więc woli pan iść piechotą...

– Nie, nie. Nie to miałem na myśli.

– No przecież wiem. Tak przy okazji – nazywam się Nicole Keppler.

– Mark Behrendt.

Kiedy Nicole wrzuciła jedynkę, skrzynia biegów głośno zgrzytnęła. Nagle dodała gazu i ruszyła z miejsca tak gwałtownie, że siła przeciążenia wcisnęła Marka w siedzenie, a pas bezpieczeństwa o mało go nie udusił.

– Chyba pojechała w tamtą stronę – zawołał Mark, próbując przekrzyczeć huk silnika.

– Wiem, dokąd jedzie.

– Wie pani?

– Tak – potwierdziła Nicole skinieniem głowy. – Od dawna jej tu nie było, ale znam ją na tyle dobrze, że chyba się domyślam, dokąd jedzie.

Mark chciał jej zadać kolejne pytanie, ale zadzwonił jego telefon. Szybkim ruchem wyszarpnął go z kieszeni.

– To ty, Ellen?

– Nie, to ja, Volker.

Mark ledwo słyszał jego głos z powodu słabego zasięgu i huku starego silnika. Przycisnął komórkę mocniej do ucha.

– Czy coś się stało? – spytał Volker. – Gdzie jesteś?

– Później ci wyjaśnię.

– Dobrze. Czegoś się dowiedziałem. Czegoś strasznie dziwnego. Okazuje się, że zapomnieliśmy o jednej bardzo ważnej rzeczy.

– Zapomnieliśmy?

– Powinniśmy byli wrzucić do wyszukiwarki także zdjęcie Lary z okresu, gdy była dzieckiem. Zrobiłem to i znalazłem cztery kolejne informacje, które...

– Jakie informacje? – krzyknął Mark, chociaż już się domyślał, jaką usłyszy odpowiedź. Na razie nie potrafił sobie tego wytłumaczyć, ale gdy usłyszał, co ma do powiedzenia Volker, wcale się nie zdziwił.

– Pewnie mi nie uwierzysz, ale są to cztery zdjęcia Ellen. Ellen jest Larą Baumann!

– Ellen jest Larą?

– Na początku w to nie uwierzyłem, ale za każdym razem program wyrzucał jej zdjęcia.

– Ellen to jej drugie imię, na pierwsze ma Lara – wtrąciła się do rozmowy Nicole. – O co tu właściwie chodzi?

– A dlaczego nosi nazwisko Roth? – spytał Mark.

Odpowiedź przyszła od razu.

– Tak nazywała się jej matka – wyjaśniła Nicole.

W tym samym momencie Mark usłyszał Volkera.

– Jesienią tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku Annemarie Baumann rozwiodła się z mężem i wróciła do swojego panieńskiego nazwiska. Od tamtej pory twoja koleżanka nazywa się Ellen Roth.

Im byli bliżej lasu, tym bardziej głos Volkera stawał się niewyraźny – telefon tracił zasięg. Volker jeszcze coś mówił, ale do Marka docierały już tylko pojedyncze, pozbawione sensu słowa. W końcu zasięg całkowicie zanikł.

Nicole wjechała w wyboistą leśną drogę, na której okropnie trzęsło. Mark był kompletnie zagubiony. Czuł się tak, jakby stał przed wielkim stosem puzzli: wprawdzie wie, jak powinna wyglądać gotowa układanka, ale nie ma pojęcia, jak to wszystko razem złożyć. Obrazek pokazywał małą dziewczynkę, która stoi przed karuzelą i uśmiecha się.

– Może mi pani w końcu wyjaśni, co przytrafiło się Larze Baumann? O co chodzi z tym jej drugim nazwiskiem?

– Ona nawet nie wiedziała, że jest Larą. Ale w tej chwili to nieważne. Ważniejsze jest to, co zamierza zrobić, gdy się już o tym dowie.

– Sądzi pani, że może sobie wyrządzić krzywdę?

– Gorzej. Jestem tego pewna!

Rozdział 38

Dla emerytowanego zbieracza grzybów, jakim był Wolfram Masurke, wiedza na temat najlepszych miejsc, w których rosną grzyby, stanowiła tak cenny kapitał, że wolał ją zachować dla siebie. Ale nawet gdyby powiedział swoim przyjaciołom, że najlepsze okazy znajduje zawsze koło ruin posiadłości Sallingera, i tak nie miałyby to większego znaczenia.

Prawdopodobnie już od dawna wszyscy się tego domyślali. Mimo to żaden z okolicznych mieszkańców nie zapuszczał się w to miejsce bez potrzeby, dzięki czemu cały obszar, nad którym rzekomo ciążyło przekleństwo, stał się wyłącznym „terenem łowieckim” pana Masurkego, który sprowadził się tutaj przed osiemnastu laty. Miejscowi nazywali go Ossi.

Masurke przed upadkiem muru berlińskiego był oficerem Narodowej Armii Ludowej NRD i teraz pobierał dość skromną emeryturę. Musiał więc dorabiać i wykorzystywał do tego swoją wiedzę z zakresu mikologii. Wszystkie zajazdy w okolicy ceniły sobie jego kurki, maślaki, podgrzybki i prawdziwki. Dla niego były one źródłem dodatkowego dochodu.

Ten dzień zapowiadał się lepiej niż zazwyczaj. Wskazywała na to dotychczasowa zawartość jego koszyka. Na polanie obok zrujnowanych schodów prowadzących do podziemnej spiżarni starego dworu znalazł całe pole leśnych pieczarek, i to najlepszej jakości. Zebrał je wszystkie i wrzucił do mokrego od wody mineralnej kuchennego fartucha.

Xaver Link, właściciel zajazdu Pod Różą, na pewno się ucieszy. Masurke był tego absolutnie pewien. Jednak nie tylko pełen koszyk, ale także to, że kiszki grały mu marsza, domagając się głośno smakowitego podwieczorku złożonego z wędzonej słoniny, kiszonych ogórków i chleba z własnego wypieku, sprawiło, że postanowił na dzisiaj skończyć ze zbieraniem grzybów.

W chwili, kiedy odwrócił się od ruin i ruszył w stronę drzew, ciszę panującą w lesie przerwało jakieś metaliczne uderzenie. Potem rozległy się głosy.

- To bardzo boli.
- Obudzić się, obudzić, obudzić!
- Gdzie ja jestem? Kim ja jestem?
- Umieć wierszyk o koteczku, o tchórzliwym koziołeczku.
- Ellen, była pani zawsze moją najlepszą studentką...
- Jestem, kim jestem.
- Trudno. No to masz!

Ellen spojrzała na białą poduszkę i próbowała sobie przypomnieć, kto ją położył w tym dziwnym łóżku. W końcu zrozumiała, że to nie zwykła poduszka, tylko poduszka powietrzna w volvo. Chwyciła za klamkę, szarpnęła nią, żeby otworzyć drzwi, ale nie mogła, bo się zakleszczyły.

Oparła się o nie i zaczęła z całej siły na nie napierać. W końcu drzwi ustąpiły, wydając przy tym dźwięk przypominający głos śmiertelnie przestraszonego dziecka.

Nieee!

Ellen z trudem wyczołgała się z samochodu. Przez kilka metrów szła na czworakach, ale w końcu się wyprostowała. Samochód wpadł do rowu ciągnącego się wzdłuż leśnej drogi. Tylne koła wisały nad ziemią.

Ellen oparła się o samochód i rozejrzała wokół siebie. Co to za miejsce? Co ona tu robi?

Daj sobie spokój! Jeśli tam teraz wejdiesz, umrzesz! podpowiadał jej spanikowany głos, który nie należał do żadnego istniejącego stworzenia. Nie był nawet jej głosem. I wtedy już cię nie będzie.

Jednak Ellen nie była już dłużej w stanie wysłuchiwać żadnego ze swoich głosów. Robiła to, co podpowiadał jej instynkt. A on przekonywał ją, żeby wykonała kolejny ostrożny krok, dopóki nie zniknie drżenie, dopóki nie odzyska całkowitego spokoju. Słyszała też w głowie inne głosy, które coś do niej wrzeszczały i piszczały. Mimo to szła dalej.

Krok za krokiem.

Nagle ujrzała polanę. Nie wiadomo dlaczego, ale od razu się domyśliła, że to właśnie jest miejsce, do którego zmierzała. Ujrzała też czyhające niebezpieczeństwo. Kilka metrów od niej stał Czarny Lud. Czekał na nią.

Młoda kobieta, która podeszła do pana Masurkego, wyglądała, jakby źle się czuła. Z lewej skroni ciekła jej krew, krótkie, ciemne włosy miała zmierzwiłone, poruszała się chwiejnym krokiem. Jej dżinsy były pobrudzone ziemią, do kolan przykleiło się kilka kamyków, które przypominały wybite zęby.

Daleko za jej plecami pan Masurke ujrzał volvo, które tkwiło w rowie biegnącym wzdłuż drogi. Samochód przypominał niezwykle czarne dzieło sztuki. Wóz był poważnie uszkodzony i to, że kobieta wyszła z wypadku tylko z kilkoma zadrapaniami, graniczyło z cudem.

– Niech mnie dunder świśnie – zawołał pan Masurke. Chciał pobiec w jej stronę, ale coś mu w tym przeszkodziło: wzrok kobiety. Dziwnie nieobecny i pusty, jakby na chwilę straciła rozum.

Masurke od razu rozpoznał ten wzrok. Z czymś podobnym spotkał się już przed laty. Teraz wydawało mu się, że to wspomnienie dotyczy innego życia, co w pewnym sensie było prawdą. Jednak obraz był tak wyraźny, jak gdyby dotyczył czegoś, co wydarzyło się zaledwie przed kilkoma minutami. Masurke ujrzał mianowicie postać młodego żołnierza. Jego nazwisko uleciało mu z pamięci, ale za to na zawsze zapamiętał jego wzrok. Widział, jak żołnierz nadal trzyma swój karabin gotowy do strzału i patrzy na pozbawione życia ciało leżące w strefie śmierci, zaledwie kilka metrów od miejsca, gdzie zaczynał się wyśniony Zachód. Tamten młody żołnierz wpatrywał się przed siebie w taki sam sposób, jak teraz ta kobieta z volvo.

Kobieta podeszła bardzo blisko niego.

– Czy pani potrzebuje pomocy? – spytał Masurke i od razu uświadomił sobie, jak bezsensowne jest jego pytanie. Jeśli bowiem ktokolwiek potrzebował w tej okolicy pomocy, to na pewno ona.

Kobieta wybełkotała coś niezrozumiale i wsunęła rękę do kieszeni kurtki.

Czarny Lud stał więc przed nią, a ona już wiedziała, że odbyła tę daleką drogę z jego powodu. Zobaczyła głowę zakrytą maską złego wilka z błyszczącymi oczami i wygłodniałym pyskiem. Pies z podziemnego tunelu był tylko jednym z jego wcieleń. Teraz ujrzała jego prawdziwą postać, okropnie brzydką i śmierdzącą.

W ręce trzymał koszyk. Od razu zobaczyła, co kryje się pod ściereczką w biało-czerwonej kratce. Były to dziecięce ręce. Małe dziecięce rączki. Na pewno zebrał je w czasie karnej ekspedycji w królestwie baśni, w którym zły wilk pożera małe dziewczynki.

– Podejź, głuptasku, bliżej – kusił Czarny Lud. – Chcę cię doprowadzić do śmiechu.

– Przyjdę, żebyś mi w końcu uwierzył, że nie jestem tchórzem – szepnęła Ellen. – Teraz jestem już duża, jak widzisz.

Wsunęła dłoń do kieszeni kurtki i podeszła bliżej. W kieszeni wyczuła dwa skalpele jednorazowego użytku, które pozostały jej po pobycie w piwnicy kliniki. Ujęła plastikowy uchwyt i kciukiem zrzuciła osłonę z ostrza.

– No, podejź do mnie – powiedział złośliwym tonem Czarny Lud. – Właśnie tak.

Masurke patrzył na kobietę z coraz większą podejrzliwością. Bez względu na to, kim jest, na pewno ma nie po kolei w głowie. Na ucieczkę było już jednak za późno. Zresztą i tak jest za stary na bieganie po lesie.

Wariatów nie wolno denerwować, przemknęło mu przez myśl. Na głębszą refleksję nie potrafił się zdobyć. Postanowił zachowywać się spokojnie i po przyjacielsku.

– Tylko spokojnie, szanowna pani – powiedział, odstawiając ostrożnie koszyk z grzybami. Teraz już lepiej, przynajmniej obie ręce ma wolne. – Mój samochód stoi niedaleko stąd, więc mogę panią...

Nie zdążył dokończyć zdania, bo wpatrująca się w niego tępym wzrokiem kobieta znowu zaczęła coś bełkotać. Masurke niewiele z tego rozumiał, ale zdawało mu się, że mówi o kimś, ktoś ją zostawił samą, a teraz po nią wrócił.

– ...bez względu na to, jak długo to potrwa.

Masurke zatrzymał się niecały metr od kobiety. Jej twarz błyszczała od potu.

– Spokojnie, dziewczyno – powiedział najłagodniej i najprzyjaźniej, jak potrafił, choć sam był już bardzo zdenerwowany. – Zawiozę panią do lekarza. Bardzo się pani pokaleczyła.

Z troską chwycił ją za lewe ramię, które zwisało bezwładnie, jakby nie należało do niej.

– Spokojnie, nie zrobię pani krzywdy...

Nagle Ellen wysunęła gwałtownym ruchem drugą dłoń z kieszeni i zadała mu cios skalpelem. Masurke zdążył jeszcze ujrzeć błysk ostrza, ale zareagował zbyt wolno. Przecież jego główną aktywnością fizyczną są leśne spacerzy. Poza tym ma siedemdziesiąt sześć lat, nie dwadzieścia. Ostrze wbiło mu się w brzuch, powyżej pasa.

Poczuł, że rana go pali, jakby ktoś włożył w nią rozżarzone żelazo. Krzyknął i chciał odepchnąć od siebie kobietę. Niestety, w tej samej chwili otrzymał dwa kolejne pchnięcia. Tym razem trochę wyżej.

Z jękiem osunął się na ziemię. Od razu spadły na niego następne ciosy. Było ich tyle, co kropel deszczu.

Rozdział 39

Stary mikrobus jechał wyboistą leśną drogą, kołysząc się na wszystkie strony jak pijany. Pod kołami chrzęściły kamienie. Mark trzymał się kurczowo siedzenia.

– Po tym, co się wtedy stało, już nigdy o niej nie słyszałam – powiedziała Nicole. Patrzyła uważnie na drogę, żeby nie wjechać w którąś dziurę. – Prawie jej nie poznałam. Kiedy była dzieckiem, bardzo lubiła swoje długie włosy i dlatego nigdy nie chciała ich podcinać. Poza tym nie była wtedy taka chuda. Tylko oczy ma takie same.

– A co się wtedy stało?

Kobiela rzuciła Markowi szybkie spojrzenie.

– Czy pan wierzy w złe, nawiedzone miejsca?

– Nie jestem zbyt religijny, jeśli o to chodzi.

Nicole wybuchła zduszonym śmiechem.

– Ja też nie, ale mimo to wierzę w istnienie złych mocy i w to, że niektóre miejsca są przeklęte. Na przykład ta ruina. Najgorsze jest jednak to, że to ja jestem wszystkiemu winna. Niech pan spojrzy!

Nicole pokazała Markowi ślad na leśnej drodze. Wyglądał tak, jakby zostawił go pełznący wąż. W tym samym momencie Mark zobaczył swoje volvo.

– Spóźniliśmy się!

Rozdział 40

Pan Masurke cierpiał z powodu bólu i bardzo się bał. Ta wariatka ciągle go dźga, choć bez wątpienia nie ma pojęcia, co robi.

Gdyby naprawdę chciała go zabić i gdyby miała jasny umysł, od razu by zauważyła, że ostrze skalpela co rusz grzęźnie w grubej skórzanej kurtce. Rano, przed wyjściem do lasu, długo się zastanawiał, czy nie lepiej będzie, jak włoży wełnianą kamizelkę. Ponieważ jednak z prognozy pogody wynikało, że może padać deszcz, zdecydował się na skózaną kurtkę. Ta decyzja uratowała mu życie.

Masurke leżał na boku z zamkniętymi oczami i udawał martwego. Miał nadzieję, że dzięki temu kobieta w końcu przestanie. Z pewnością nie był dobrym aktorem, ale najwidoczniej udało mu się przekonać tę niepoczytalną wariatkę, że jest już martwy. Jednak łatwo mu to nie przyszło.

Rany na klatce piersiowej i na brzuchu strasznie go piekły. Z trudem się powstrzymywał, żeby nie krzyknąć z bólu albo nie wykrzywić twarzy. Nie było też oczywiście mowy o tym, żeby się zerwać, pobiec do lasu i poszukać schronienia, a potem zgłosić się do doktora Hubera.

Nagle usłyszał, że kobieta wyprostowała się, sapiąc głośno. Nadal czuł na sobie jej wzrok. Nie miał nawet odwagi odetchnąć. Jego koszula pod kurtką robiła się coraz bardziej wilgotna i lepiała się do skóry. Leżał więc i czekał z nadzieją, że kobieta sobie pójdzie.

A więc leży i nie rusza się. Zabiła potwora. Postawiła mu się i udowodniła, że nie jest tchórzem. Jednak w głębi duszy wiedziała, że Czarnego Luda nie da się zabić. Gdyby to było takie łatwe, już przed wielu laty...

No co? Co by zrobiła przed wielu laty?

Jakoś nie mogła sobie tego wyobrazić. W tym miejscu jej pamięć natrafiła na głęboką wyrwę i nie była w stanie niczego dostrzec. I tylko wycie złego wilka rozbrzmiewało w jej wnętrzu jak niekończące się echo.

– Dobrze zrobiłaś – usłyszała znajomy głos. Uniosła wzrok i ujrzała Chrisa, który stał przed gęstymi krzakami.

– Dziękuję – powiedziała, uśmiechając się do niego.

Chris odwzajemnił uśmiech.

Ellen zrobiła krok przez Czarnego Luda i podeszła do Chrisa, który trzymał w ręce książkę. Od razu ją poznała. Był to zbiór baśni z obrazkiem przedstawiającym Czerwonego Kapturka i złego wilka na okładce. Przypomniała sobie, że przed wielu laty przekreśliła obrazek czerwonym mazakiem, żeby odpędzić zło.

Książka leżała na samym dnie starego pudła do pakowania rzeczy w czasie przeprowadzek. Teraz ją sobie przypomniała. Znalazła ją, gdy się rozpakowywała. Po tylu latach znowu do niej zajrzała, choć nie mogła sobie przypomnieć, co jest napisane na osiemdziesiątej drugiej stronie. I dlatego...

Tylko dlaczego książka trafiła do antykwariatu? I jak to się stało, że teraz mają Chris?

– Wydawało mi się, że jesteś w Australii z Axelem?

– No bo jestem – odparł Chris. – Ale obiecałem ci, że zawsze stanę u twojego boku, jeśli będziesz mnie potrzebować. Już zapomniałaś?

– Oczywiście, że nie – uśmiechnęła się z radością i przejechała dłonią po włosach. – Tylko... zjawiłeś się tak nieoczekiwanie.

Chris podał jej książkę.

– Sprzedałem ją pewnemu antykwariuszowi. W naszym nowym domu nie będzie miejsca na rzeczy, które wywołują w tobie strach.

– Dziękuję, to miłe z twojej strony.

– Chodź, kupimy za te pieniądze butelkę dobrego wina i sprawimy sobie przyjemność. Zamienimy złe wspomnienia na dobre.

– To niestety niemożliwe – odparła ze smutkiem Ellen. – Jest jeszcze jedna rzecz, którą muszę zrobić.

Mówiąc to, spojrzała na swoje ręce. Krew na ostrzu skalpela błyszczała w słońcu. I nagle stało się coś dziwnego.

Skalpel zaczął się odkształcać. Wydłużał się, a jego ostrze stawało się coraz bardziej cienkie i zaokrąglone. Uchwyt też zmienił kształt i kolor. W końcu skalpel zamienił się w śrubokręt z błyszczącą czerwoną rączką. Z czubka kapała na ziemię krew.

Chris skinął głową.

– Tak, to dobry pomysł.

– Tylko nie wiem, czy mogę.

– Oczywiście, że tak.

Ellen westchnęła i opadła na kolana. Podciągnęła rękaw kurtki i spojrzała na swoje przedramię.

– Racja – powiedział Chris. – Sama musisz sprawdzić. Dopiero wtedy się dowiesz, kim jesteś.

– Tak uważasz?

– Tak, zaufaj mi. Ten ból jest...

– ...jedynym prawdziwym uczuciem.

Ellen skinęła głową i wbiła sobie śrubokręt w przedramię. Poczowała piekący ból i swędzenie w przeciętym ścięgnie. Przyglądała się, jak po kolei opadają jej palce.

W końcu pojawiła się krew. Jej własna. Ciepła, jasna i wilgotna. Poczowała prawdziwy ból, jakby śrubokręt wwiercał jej się w ciało. Ból też miał w sobie coś pięknego. Uczucie, którego doznawała, było kryształowo czyste.

– Tak – potwierdził Chris. – Wbij go głębiej, niech to z ciebie wyjdzie. Poczuj to, poczuj sama siebie.

– To boli – szepnęła Ellen – choć zarazem jest takie piękne. To mnie wyzwoli.

Wyjęła śrubokręt z rany i znowu go sobie wbiła.

– To mnie wyzwala – powtórzyła. – Wreszcie.

I znowu zaczęła się kłuć.

I znowu.

I znowu.

– Niech pan spojrzy. Tam!

– O mój Boże!

Mark biegł tak szybko, że zostawił Nicole daleko w tyle. Podbiegł do mężczyzny, który leżał skurczony obok przewróconego kosza z grzybami. Mężczyzna zdążył już stracić sporo krwi. Jego niegdyś niebieska koszula była z przodu cała czerwona, jakby ktoś na nią wylał kubek farby.

W końcu dobiegła do nich Nicole.

– To ta wariatka – sapnął Masurke, wskazując w stronę dworu. – Z tyłu!

Nicole została z nim, podczas gdy Mark pobiegł w kierunku ruin. Chwilę później ujrzał Ellen.

Kłęczała przy zarośniętych schodach, wspierając się jedną ręką o ziemię i dźgając się w przedramię drugą, w której trzymała skalpel.

Kiedy Mark ją chwycił i wyrwał jej skalpel, prawie się nie broniła. Przycisnął ją do siebie i pogłaskał po głowie. Nie mógł powstrzymać łez.

– Ellen, mój Boże, Ellen? Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego?
Ellen bezwładnie wisiała w jego ramionach.

Rozdział 41

Mark wyszedł na zewnątrz i poczuł na twarzy przyjemne ciepło słonecznych promieni. Śpiewały ptaki, w powietrzu unosił się upojny zapach leśnego runa.

Wcześniej poprosił, aby Nicole poczekała na niego na ławce w parku przy szpitalu powiatowym we Freudenstadt. Teraz nadal była blada jak kreda, ale Mark uznał, że wygląda już trochę lepiej niż wcześniej. W drodze do kliniki siedziała na tylnym fotelu volkswagena obok bezwładnego Masurkego i trzymała w ramionach Ellen. A ponieważ była strasznie blada, Mark musiał się zająć także nią. Na szczęście słońce i świeże powietrze zrobiły swoje. Wszystko wskazywało na to, że Nicole zdołała już przewyciężyć szok.

Gdy ujrzała Marka, zerwała się z ławki i pobiegła w jego stronę.

– Jak ona się czuje? Co mówi lekarz?

Mark zaczął przetrząsać kurtkę w poszukiwaniu papierosów i w końcu je znalazł. Zapalił jednego zapalniczką, głęboko się zaciągnął i dopiero wtedy odpowiedział na pytania Nicole.

– Cięte rany na ręce są głębokie. Ellen przecięła sobie ścięgno i mięsień, przez co ręka najprawdopodobniej pozostanie sztywna. Na szczęście nie straciła zbyt dużo krwi, choć na początku tak to wyglądało. O wiele bardziej mnie martwi jej stan psychiczny. Jest całkowicie nieobecna myślami i na nic nie reaguje.

– A Masurke?

– Stracił dość dużo krwi i trzeba mu będzie zrobić transfuzję. Na szczęście to czerstwy staruszek i wróci do zdrowia.

Mark usiadł na ławce i znowu się głęboko zaciągnął. Teraz, gdy stopniowo się uspokajał, w jego oczach pojawiły się łzy.

– Jeszcze dwa dni temu siedzieliśmy w jej biurze. Opowiadała mi, jak bardzo się boi. Krótce przedtem jeden z pacjentów prawie odebrał sobie życie. To właśnie ona mu w tym przeszkodziła. A teraz...

Mark przełknął głośno ślinę i dopiero wtedy mógł kontynuować.

– Teraz czuję się tak samo, jak ona wtedy, bo udało mi się nie dopuścić do najgorszego.

Nicole usiadła obok Marka i dotknęła jego ramienia. Przez chwilę milczeli. W końcu Mark uznał, że musi się opanować.

Po chwili Nicole powiedziała:

– To rzeczywiście zwariowana sprawa. Znałam ją tylko jako Larę. Czy Annemarie naprawdę wierzyła, że jeśli zmieni jej imię z Lary na Ellen, to jej córka pozbędzie się najgorszych wspomnień?

– Bez względu na to, w co wierzyła jej matka, prawda jest taka, że przez to, co zrobiła, tylko pogorszyła całą sytuację – odparł Mark, gasząc papierosa. – Sądzę, że w ten sposób wywołała w Ellen... to znaczy w Larze... różne zaburzenia. Będę pewnie potrzebował czasu, żeby się przyzwyczaić do tego imienia.

– Co się właściwie stało z Larą? – spytała Nicole.

– Do tej pory miałem tylko podejrzenia, ale teraz jestem prawie całkowicie pewien, że są one trafne. Tego rodzaju schorzenie nazywa się fugą dysocjacyjną. Jest to coś w rodzaju ucieczki od własnej tożsamości. Po traumatycznych przeżyciach ludzie uciekają w świat innej tożsamości, całkowicie opuszczają swoje dotychczasowe otoczenie. Uważają, że są kimś innym. Nie ma to nic wspólnego z klasycznym zjawiskiem wyparcia, gdy człowiek świadomie nie chce pamiętać o niczym, co mogłoby mu się skojarzyć z jakimiś traumatycznymi przeżyciami w przeszłości. Jest to raczej pewnego rodzaju podświadoma funkcja ochronna, nad którą ta osoba nie sprawuje kontroli. Tacy ludzie w zasadzie nie

rzucają się w oczy. Ich psychopatyczne zachowania nie są dostrzegane. Otoczenie uważa ich za osoby, za które się podają.

– Ale przecież nie wszystkich można oszukać.

Mark uśmiechnął się zmęczony.

– Oczywiście, że można. Sam jestem tego najlepszym przykładem, podobnie jak jej przyjaciel. Chociaż są ze sobą już od pewnego czasu, a Chris jest psychiatrą, nigdy niczego nie zauważył. Dlatego wspomniałem, że z mojej strony było to najpierw podejrzenie, bo nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby fuga dysocjacyjna trwała tak długo. Ellen... to znaczy Lara musiała przyjąć tę drugą osobowość wiele lat temu. Jest to wystarczająco długi okres, żeby zapomnieć o swojej dawnej tożsamości. Własne „Ja” już na dobre wyparła ze świadomości swojej i innych osób.

– A to wszystko moja wina – powiedziała Nicole, prosząc Marka o papierosa. Drżącą dłonią wyjęła zapalniczkę i w końcu udało jej się zapalić. Zakaszła i wypuściła dym. – To już mój drugi – wyjaśniła, ocierając łzy. – Pierwszego wypaliłam razem z Larą w lesie. Miałam wtedy jakieś dwanaście lat. Potem już mi się odechciało palić.

Mark spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem i zadał jej pytanie, które od wydarzeń na stacji benzynowej i w lesie nie dawało mu spokoju.

– Co się wtedy naprawdę wydarzyło?

Nicole zaczerpnęła głęboko powietrza i zgasiła papierosa.

– Po tamtych wydarzeniach ojciec Lary nie chciał, żeby sprawa stała się głośna. Zajmował wtedy wysokie stanowisko na jakimś uniwersytecie i bardzo dbał o swoją reputację. Miał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby kupić milczenie różnych ludzi, chociaż właściwie nie musiał tego robić.

– Dlaczego?

– Pan chyba nie wychowywał się na wsi?

– Nie, jestem mieszczuchem.

– Tak właśnie myślałam. U nas wszyscy wszystko wiedzą, ale zachowują się tak, jakby wszystko było w jak najlepszym porządku. Ludzie nie chcą pamiętać o nieprzyjemnych sprawach. Milczą, aż w końcu o nich rzeczywiście zapominają. Zawsze tak było. Nie na darmo omijają lukiem tamte ruiny i pentagramy.

– Ale to nie sprawi, że będzie można uznać, że nigdy nic tam się nie stało.

– Oczywiście, że nie – odparła Nicole, potrząsając głową. – Tylko niech pan to powie im. Nie, oni wolą święty spokój. Za wszelką cenę. Ludzie nie chcą wiedzieć, co zdarzyło się w ruinach. Ani o szaleńcu, który spalił posiadłość z własną rodziną w środku, ani o tym, co przytrafiło się Larze.

– O jakim szaleńcu pani mówi?

– Nazywał się Alfred Sallinger i był właścicielem posiadłości. Z tego, co wiem, był jednym z tych, którzy w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku uwierzyli, że w Ziemię uderzy kometa Halleya, co doprowadzi do końca świata. Mój dziadek mi opowiadał, że Sallinger się upił i przegrał całą posiadłość w karty. Kiedy kometa nie uderzyła, Sallinger i jego rodzina stanęli przed widmem bankructwa i wykluczenia towarzyskiego. Podobno wpadł w taką rozpacz, że stracił rozum. Zabił żonę, zamknął dzieci w domu i podpalił zabudowania. Sam też wtedy zginął. Podobno od tamtego dnia w ruinach straszą duchy członków tej rodziny. Ludzie twierdzą, że każdy, kto za bardzo zbliży się do tego przeklętego miejsca, traci rozum.

Nicole roześmiała się, ale był to gorzki śmiech.

– Jak pan widzi, brzmi to jak stek bzdur i przesądów. Przez cały czas zadawałam sobie pytanie, co się stało z Larą. Nie mogłam spytać o to jej matki, bo kilka lat po oddaniu Lary do jakiegoś internatu zmarła.

– A jej ojciec?

– On był dla mnie zupełnie niedostępny. Wkrótce potem ożenił się z kobietą, która wykładała na uczelni. Później wyjechali razem do Anglii. Chyba do Oksfordu. Nie mam pojęcia, gdzie teraz jest. Wie pan jednak, co w tym wszystkim jest naprawdę niesamowite?

– Co takiego?

– Dwa dni temu byłam w Fahlenbergu. Miałam tam odebrać zapasowe części w nowej firmie handlującej silnikami. Nie wiem dlaczego, ale akurat wtedy przypomniała mi się Lara. Może tu gdzieś jest, pomyślałam, i zaczęłam nawet sprawdzać w książce telefonicznej. Skąd mogłam wiedzieć, że nazywa się teraz Ellen Roth?

– Proszę posłuchać – powiedział Mark, nachylając się w jej stronę. – Potrafię zrozumieć, że opowiadanie o tamtych wydarzeniach może być dla pani trudne. Ale musi mi pani opowiedzieć, co się wtedy stało. Być może tylko w ten sposób mogę pomóc Larze. Na miłość boską, co jej się wtedy stało?

Nicole przełknęła ślinę, a jej oczy wypełniły się łzami.

– Ma pan rację, mnie naprawdę jest cholernie trudno o tym mówić. Ale dobrze, wyrzucę to w końcu z siebie. Przy tej znowie milczenia naprawdę trudno było pozbierać to wszystko do kupy. Potrzebowałam lat, ale w końcu się udało. Ja... Boże, niech to się wreszcie stanie... opowiem panu. Może w końcu odnajdę spokój.

Nicole zaczęła opowiadać. Mark słuchał – opowieść Nicole stopniowo mroziła mu krew w żyłach.

Rozdział 42

Lato 1989 roku

Dla Haralda Baumanna las był zawsze ulubionym miejscem wypoczynku. Mógł w nim robić, co tylko chciał. Czul się tam po prostu swobodnie.

Czasem rozmawiał z drzewami i opowiadał im o sprawach, które go zajmowały, albo o rzeczach, o których nie chciał dyskutować z matką lub starszym bratem. Drzewa nie odzywały się, ale za to były wdzięcznymi słuchaczami. Wsłuchiwały się w jego głos, gdy opowiadał im o swojej codziennej pracy w warsztacie. O tym, co tam robi, ale przede wszystkim o ludziach, którzy razem z nim pracują, choć żaden nie chce być jego przyjacielem.

Wielu z nich poruszało się na wózku i nie miało ochoty grać w koszykówkę. Przecież takiemu olbrzymowi jak Harald, który chodzi wyprostowany, wrzucenie piłki do kosza nie sprawia kłopotu. Inni wydawali się zbyt głupi, żeby zrozumieć jego samego i jego kłopoty. Często wybuchali bezsensownym śmiechem, chociaż to, o czym im opowiadał, było jak najbardziej poważne.

W warsztacie byli też tzw. instruktorzy przewodnicy, do których mógł się zwrócić. Niestety, akurat ich Harald nie za bardzo interesował. Albo uważali go za głupka – tak jak innych – albo nie mieli dla niego czasu.

Była też psycholog, piękna pani Petrowski. Miała trzydzieści lat i była od niego starsza o dziesięć lat. Harald chętnie z nią rozmawiał.

Niestety, pani psycholog była o wiele mądrzejsza od niego. Czasami mówiła rzeczy, których w ogóle nie rozumiał. Wówczas się wstydził i wolał się nie odzywać. Zazwyczaj tylko przytakiwał i żałował, że nie jest równie mądry jak ona.

Chętnie by jej opowiedział o uczuciach, jakie ostatnimi czasy go nachodziły, ale nie ufał sobie. Jego matka nazywała go świntuchem i krzycząc, groziła, że jeśli jeszcze raz pokaże jej się w takim stanie, obetnie mu „to, co ma tam na dole”. A przecież chciał ją tylko zapytać, dlaczego ta rzecz czasem rośnie i czemu robi się od tego tak nerwowy, i dlaczego za każdym razem musi się tam pocierać.

Matka powiedziała kiedyś o nim, że jest „przekleństwem zbyt późnych narodzin” i że nie rozumie, dlaczego Pan aż dwa razy ją tak bardzo pokarał. Do tego w tak krótkim czasie.

Jeśli chodzi o ten drugi raz, to miała na myśli śmierć jego ojca, który nazywał się Josef Baumann. Pewnego ranka wstał od śniadania i zdążył jeszcze powiedzieć „Pójdę teraz do...”, po czym padł martwy na podłogę. Harald w ogóle tego nie pamiętał. Nie dlatego, że ma uszkodzony mózg albo – jak zwykł mawiać jego brat Karl – niski „poziom inteligencji”, tylko dlatego, że w chwili gdy ojciec wstał wtedy od stołu i odszedł w nieznaną, miał dopiero rok.

Harald źle znosił to, że musiał wychowywać się bez ojca, chociaż jego starszy o dwadzieścia trzy lata brat – pan profesor doktor nauk medycznych Karl Baumann, który z kolei był darem wczesnych narodzin – był dla niego prawie jak ojciec.

Harald dość wcześnie zauważył, że Karl się go wstydzi. Dla brata Harald był czarną owcą w rodzinie, i to nie tylko dlatego, że Harald lubił ubierać się w czarne rzeczy.

Tak, śmierć ojca była dla niego czymś strasznym. Jednak o wiele gorzej przeżywała ją jego matka. Po tym, jak urodził się Harald, śmierć męża była dla niej drugą karą, jaką spuścił na nią Pan. Może dlatego, że nie była wystarczająco pobożna?

Harald zawsze chciał być pobożny, właśnie po to, żeby Pan nie musiał go karać. Dlatego nie rozmawiał z panią Petrowski o „tamtej rzeczy na dole”, tylko najpierw opowiedział o

wszystkim cierpliwym drzewom i pokazał im, co trzeba zrobić, żeby ta rzecz znowu była mała.

Tylko jeden raz zwierzył się obcej osobie. Na swoje usprawiedliwienie przed Panem miał tylko to, że to nie on, Harald, zaczął, tylko jego kolega, Manfred. Nazwał „tę jego rzecz na dole” Drągalem. Jednak Haraldowi nie spodobało się to określenie.

– Musisz włożyć swojego Drągala jakiejś dziewczynie między nogi – wyjaśnił Manfred i pokazał mu zdjęcie ukryte w szafie na ubranie. Harald mógł dokładnie zobaczyć, jak to wygląda. – Niektóre mają tam na dole włosy, aleja wolę te bez nich. Wtedy lepiej widać, gdzie go trzeba wsadzić. Dziewczynom się to podoba. Sprawia im to radość i oboje macie z tego przyjemność.

Po tym zdarzeniu Harald sam zgłębiał ten temat. Oczywiście potajemnie. Niektórzy nazywają to „ruchaniem”, inni „bzykaniem”, jeszcze inni „ciupcianiem”. Jemu najbardziej podoba się określenie „uprawiać miłość”. Jeśli obojgu sprawia to przyjemność, oboje się śmieją, a jeśli oboje się śmieją, to znaczy, że się kochają.

Harald zdecydował, że chce uprawiać miłość tylko z jedną dziewczyną, tą, którą pokochał. Dwa dni temu opowiadał o tym drzewom. A gdy igły i liście zaszeleściły aprobująco na wietrze, poczuł zadowolenie.

Kiedy tamtego gorącego sierpniowego dnia Harald spacerował po ożywczym, chłodnym lesie, był bardzo smutny.

A przecież powinien być wesoły. Ma trzy tygodnie wakacji, nie musi chodzić do warsztatu, stać w smrodzie oleju ściekającego z frezarek i spawarek – które Manfred nazywa czasem „syfmiarkami” – i borować dziur w płytach. Jednak tego popołudnia nie potrafił się cieszyć nawet z letnich ferii.

Powodem jego smutku była rozmowa matki z Karlem, który na dwa dni przyjechał do nich z wizytą z żoną Annemarie i córką Larą.

Harald leżał wtedy w salonie na kanapie i przeglądał komiks o Batmanie, który zawsze ubiera się na czarno i jest w ogóle super. Niestety, nie zawsze rozumiał napisy w dymkach. W tym samym czasie Karl rozmawiał z matką w kuchni.

Właściwie to wcale ich nie podsłuchiwał, bo w tym samym czasie oddawał się fantazjom: przemierzał Gotham City, żeby położyć kres niecnym poczynaniom takich postaci jak Ra's al Ghul albo Joker. Nagle w rozmowie prowadzonej w kuchni padło jego imię. Harald nastawił ucha. Nie dlatego, że jest ciekawski – bo to zawsze było jego przywarą – ale raczej instynktownie. Podobnie nastawia uszu pies, gdy ktoś wymawia cicho jego imię.

– Nie mogę zabrać Haraldą do siebie – powiedział Karl. – Za dwa miesiące będę kandydował na stanowisko dziekana. Władze wydziału dały mi do zrozumienia, że moje szanse są bardziej niż obiecujące. Jeśli więc zacznę plotkować, że mam takiego... – no wiesz, co chcę powiedzieć – brata, mogłoby to mieć negatywny wpływ na wynik postępowania kwalifikacyjnego. Ktoś może sobie pomyśleć, że z powodu ciężących na mnie obowiązków nie będę w stanie pełnić tej funkcji. Z drugiej strony nie mam sumienia, żeby obciążać wszystkimi obowiązkami Annemarie.

Harald od razu wiedział, że mówiąc „mam takiego... no wiesz...”, Karl miał w rzeczywistości na myśli takie określenia, jak „głupek”, „dureń” albo „palant”. Czasem właśnie tak go nazywają dzieci w miasteczku.

Po raz kolejny zrozumiał, że brat się go wstydzi, chociaż niezbyt dobrze wiedział, co miał on na myśli, mówiąc o zabraniu go do siebie.

Czy to znaczy, że przeprowadzi się do Karla? To całkiem fajny pomysł, przecież bardzo lubi Annemarie i Larę. Są prawdziwą rodziną. Gdyby z nimi zamieszkał, stałby się członkiem rodziny. Wprawdzie teraz też nim jest, ale w nowej sytuacji byłoby to coś troszkę innego.

Zrozumiał też, że musiałby się rozstać z matką.

Ale przecież nie mogę zostawić mamy na pastwę losu, pomyślał. Mama mnie nadal potrzebuje.

– Rozumiem – odparła matka na słowa Karla. Zabrzmiało to tak, jakby była wyczerpana. Ostatnimi czasy wyglądała na zmęczoną i wyczerpaną, jakby przez cały dzień musiała borować dziury w twardych metalowych płytach. – Nie mogę dłużej decydować o jego losie. Jestem na to za stara i już mnie to przerasta. Ja i twój ojciec powinniśmy byli bardziej uważać. Tylko kto mógł przypuszczać, że w wieku czterdziestu pięciu lat będę jeszcze mogła...

Harald usłyszał, jak jego matka wzdycha i mówi dalej.

– Jeśli nie weźmiesz go do siebie, będę musiała go oddać do domu opieki.

Do domu opieki? O nie, tylko nie to! pomyślał Harald. Nie miał jednak odwagi, żeby to powiedzieć głośno. Dorośli ludzie nie lubią, kiedy się ich podsłuchuje. Zamykają go wtedy w pokoju, a gdy chce iść do toalety, musi pukać w drzwi z nadzieją, że nie popuści w spodnie, zanim mama zdąży wejść na piętro.

– To nie musi być akurat ten sam dom, w którym tak źle się czuł – odparł Karl. – Znam dość dobrze kierownika pewnego domu opieki w Hamburgu. Cieszy się świetną reputacją. Mogę też wziąć na siebie związane z tym koszty.

Harald nie czeka! na odpowiedź matki. Być może jest głupszy od innych ludzi, ale potrafił sobie wyobrazić, jaką usłyszy odpowiedź. I nie tylko wyobrazić – on wie, jak ta odpowiedź będzie brzmieć.

Zostawił komiks i wybiegł z pokoju. Całą drogę do lasu przepłakał, zastanawiając się, jak zły jest ten świat.

Mama i Karl chcą go wysłać do Hamburga. Akurat tam! Przecież to tak daleko stąd. Wprawdzie jest tam morze, a w nim ryby, ale za to nie ma lasu, w którym mógłby się bawić. Nie ma drzew, które mogłyby go wysłuchać, gdy opowiada o swoich troskach, no i nie ma mamy, która gotuje takie smaczne potrawy, gdy przychodzi do niej na weekend. W Hamburgu nikt go nie kocha. No i nie ma tam nikogo, kogo on mógłby pokochać.

A właśnie teraz potrzebuje kogoś, kogo mógłby pokochać. Stał więc przez chwilę na swoim ulubionym miejscu na polanie i patrzył na powalone pnie drzew porośnięte mchem. Przypominały mu trochę zielone fotele w salonie jego zmarłej babci.

Z płaczem objął swoje ulubione drzewo, olbrzymią jodłę. Jej nieforemny kształt przypominał trochę okrągłe kształty jego mamy. Jodła podobnie jak on różniła się od pozostałych. Wdychał zapach jej żywicy, odczuwał bliskość kory i stopniowo się uspokajał.

Pssst, nie musisz być taki smutny, zdawały się szeptać szpilki. Nie wszystko jest takie straszne, jak się zdaje. Pssst, wszystko będzie dobrze. Psssst.

Harald coraz bardziej się uspokajał, odprężał i wsłuchiwał w panującą dokoła ciszę. Stał tak do chwili, aż w oddali usłyszał śmiech.

– No dobrze – zgodziła się Nicole. Nadal sapała, bo przed chwilą ścigała się z Larą i oczywiście wygrała. Siadła na kamieniu i zaczęła: – A więc to tutaj.

Lara, która też jeszcze dyszała, a na dodatek była cała spocona, usiadła na pniu drzewa naprzeciwko przyjaciółki i ze zdziwieniem rozejrzała się wokół siebie.

Miała na sobie sukienkę z tureckiego materiału, który w dotyku przypominał aksamit, tyle że był od niego dużo cieńszy. Mech łaskotał ją w kostki. Niezbyt lubiła tę sukienkę, chciałaby mieć taką ładną jak Nicole, w kwiatki w jaskrawych kolorach.

Gdyby poprosiła mamę, na pewno by taką dostała. Mama zawsze jej daje to, co ona chce. To wspomniała.

Bieg przez las sprawił, że obie poczuły głód. Nicole podała Larze batonik czekoladowy, odwinęła z niego sreberko i rzuciła je niedbale na ziemię. Lara zrobiła to samo, chociaż miała

wyrzuty sumienia. Mama ciągle jej wpajała, że na łonie natury nie wolno śmiecić. Niestety, Lara była przynajmniej tak samo niechlujna jak jej najlepsza przyjaciółka.

Przez kilka minut siedziały spocone, jadły i odpoczywały po męczącym biegu. Podczas kilku ostatnich godzin najpierw bawiły się na łące, a potem, gdy zaczęło się robić coraz bardziej gorąco, przeniosły się nad strumień.

Niestety, zmiana miejsca nie przyniosła im ulgi – nawet chłodna woda nie chroniła od upału. Na dodatek zaatakowała je chmara komarów, więc nad strumieniem nie zabawiły zbyt długo.

Pobiegły do lasu, gdzie Nicole wspomniła Larze o nawiedzonym miejscu. Bardzo ją tym zaciękała. Lara tak długo męczyła Nicole, aż ta musiała ją tam w końcu zaprowadzić.

Cała polana zrobiła na Larze niesamowite wrażenie. Nie wynikało to jednak z samego tylko faktu, że znajdowały się na niej ruiny starej posiadłości, o której opowiadała Nicole. Także promienie słońca padające na wywrócone pnie drzew pokryte porostami sprawiały dość upiorne wrażenie. Tak przynajmniej uważała Lara.

Wokół panowała niezwykła cisza. Nawet świergot ptaków zdawał się bardziej oddalony niż w części lasu, przez którą biegły. Oznaczało to, że także ptaki nie odważały się zapuszczać w to miejsce.

Troszkę się jednak boję, pomyślała Lara, choć starała się nie pokazywać tego po sobie.

Wydawało się, że na Nicole cisza i niezwykły nastrój panujący w tym miejscu nie robią wrażenia. Nic dziwnego, ma przecież dwanaście lat. Lara, młodsza o dwa lata i trzy miesiące, uważała, że gdy ktoś jest w takim wieku jak Nicole, nie boi się byle czego.

– Naprawdę chcesz, żebym ci o wszystkim opowiedziała? – spytała Nicole poważnym, zatroskanym głosem.

Pewnie pyta, żeby mnie jeszcze bardziej zaciękać, pomyślała Lara. Nicole umie opowiadać straszne historie. Wie, jak stworzyć przerażający nastrój.

– Jasne – odparła Lara takim tonem, jakby nic nie mogło zrobić na niej wrażenia. – Przecież nie jestem już dzieckiem.

– No to zgoda, ale pamiętaj, że cię ostrzegałam. To naprawdę dość straszna historia – powiedziała Nicole. Pochyliła się w stronę Lary, oparła łokcie na chudych kolanach. Wyglądała w tym momencie jak ktoś, kto szykuje spisek. – Czy widzisz te znaki na kamieniach? Tam dalej?

Lara spojrzała w kierunku, który wskazywała jej Nicole, i skinęła głową.

– Jasne, że widzę. Co to za gwiazdy?

– To nie gwiazdy, głuptasie, tylko magiczne znaki, pentagramy. Ludzie malują je w miejscach, gdzie są złe duchy, żeby te duchy nie mogły takich miejsc opuścić.

Lara poczuła nagle, że nie jest jej już tak gorąco jak poprzednio. Potarła gołe ramię, bo dostała gęsiej skórki.

– A czy tutaj jakieś są? To znaczy duchy?

– Jasne, że są. W każdą majową noc można tu zobaczyć, jak pan Sallinger chodzi dokoła z pochodnią. Co jakiś czas woła żonę i dzieci. Miał małego chłopca i dziewczynkę.

Lara poczuła, że zrobiło się jeszcze chłodniej. Prawie zimno, chociaż promienie słońca nadal padały na pnie drzew leżące na ziemi.

– Dlaczego ich woła? – spytała Lara, choć nie do końca była pewna, czy naprawdę chce usłyszeć odpowiedź na to pytanie. Jeśli jednak mówi się „a”...

– Bo oni też błądzą bez celu. Salinger ich zamordował. Całą trójkę. Tu niedaleko – wyjaśniła Nicole, wskazując na kawałek trawnika, na którym dało się rozpoznać pozostałości fundamentów. – Żonę powiesił na kuchennej lampie, a potem... Chcesz, żebym dalej opowiadała?

Tym razem Lara zdołała jedynie skinąć głową, bo gdyby otworzyła usta, Nicole od razu by zauważyła, jak mocno szczęka zębami.

Nicole uznała to skinienie za odpowiedź. Znowu była w swoim żywiole, oczy jej błyszczały jak poprzedniego roku, w czasie ogniska na obozie dla młodzieży ewangelickiej. Podobnie jak wtedy zniżyła lekko głos, mówiła ciszej i patrzyła Larze prosto w oczy, jakby się jednocześnie zastanawiała, czy nie powinna pożreć swojej młodszej koleżanki.

– Chłopczyka i dziewczynkę zamknął w kuchni na klucz, razem z matką. Potem wziął pochodnię i najpierw podpalił stodołę, a potem dom. Podobno przyglądał się, jak dzieci stukają w okna i płaczą. Obserwował też, jak się palą. Potem przytknął pochodnię do swojego ubrania i podpalił siebie. Moja babcia i jej sąsiedzi znaleźli go gdzieś tutaj. Podobno strasznie wyglądał. Jak przypalona świąteczna pieczeń. Babcia mówiła też, że niezbyt przyjemnie pachniał. Potem...

Harald podkradał się cicho w stronę miejsca, z którego dobiegał śmiech. Kiedy zauważył dziewczynki, przyklęknął na niewielkim wzgórku i obserwował, jak Nicole i Lara o czymś rozmawiają. Musiało to być coś ważnego, bo Nicole mówiła bardzo cicho, a na twarzy Lary, która uważnie jej słuchała, utrzymywał się wyraz powagi.

Lara i jej przyjaciółka nie zauważyły go, a on nie chciał im przeszkadzać. Jeśli ktoś rozmawia w lesie o ważnych rzeczach, oznacza to, że są to przeważnie sprawy, o których inni nie powinni wiedzieć. Kto zrozumie to lepiej niż on?

Coś mu podpowiadało, żeby stąd poszedł. Nie wolno przecież nikogo obserwować z ukrycia. Takich rzeczy się nie robi. Ciekawość to przecież grzech, za który karze Pan.

Z drugiej strony obserwowanie obu dziewczynek sprawiało mu przyjemność. Niestety, nie słyszał ich rozmowy, bo Nicole opowiadała zbyt cicho. Oznaczało to, że ich nie podsłuchuje, więc jeśli pozostanie tu dłużej, nie popełni grzechu.

Przytulił się do chłodnego, miękkiego mchu i leżał. W swojej czarnej koszulce z Batmanem na piersiach, czarnych dżinsach i sportowych butach przypominał jeden z wielu leśnych cieni. Batman też pojawia się w komiksach jako cień.

To dobrze być cieniem. Nikt nie żartuje z cieni, bez względu na to, jak bardzo są głupie. Poza tym cieni nikt nie wysyła do domów opieki. Po prostu się je ignoruje. Czasem tak jest lepiej.

Przyglądał się obu dziewczynkom i obserwował, jak szepczą. Siedziały naprzeciwko siebie: Lara na pniu drzewa, które kiedyś było jodłą, a Nicole na kamieniu, który pochodził z posiadłości Sallingera. Obie miały na sobie letnie sukienki. Ta, którą nosiła Nicole, była bardzo kolorowa. Jednak Haraldowi bardziej się podobała turecka sukienka Lary. Ten materiał świetnie pasował do jej długich czarnych włosów i do koloru skóry, który przypominał mu karmelkowe cukierki.

Tak, Lara to naprawdę ładna dziewczyna. Strasznie mu się podoba. Bardzo wyraźnie to czuł.

– ...dziadek mi opowiadał, jak ten martwy Sallinger później wyglądał. Powiedział, że miał strasznie powykęcane ramio...

– Przestań! – zawołała Lara, zrywając się z miejsca. – Przecież to wszystko się nie wydarzyło. Czy to jedna z twoich strasznych opowieści?

– Wcale nie – zaprotestowała Nicole. – To się naprawdę zdarzyło. Przecież mój dziadek nie kłamie. Zresztą ostrzegałam cię, że to okropna historia.

– Ale przecież żaden ojciec nie zabija swoich dzieci. Żony też nie.

– Ale Sallinger to zrobił – odparła Nicole i żeby wyjaśnić, co ma na myśli, wykonała charakterystyczny gest palcem koło skroni. – To był szaleniec. Głupi jak szczur kanałowy, jak mawiał dziadek. I naprawdę to wszystko zrobił. Widzę, że nie powinnam była ci o tym opowiadać. Teraz nasz mały tchórz ma pietra?

– To nieprawda — zawołała Lara, chociaż Nicole miała oczywiście rację. Jasne, że się boi, i to wcale nie trochę, tylko bardzo. Jeśli się jednak do tego przyzna, Nicole będzie się z niej pewnie śmiała albo – co znacznie gorsze – nie będzie już chciała się z nią bawić. Znajdzie sobie inną najlepszą przyjaciółkę, starszą, która nie jest takim tchórzem jak ona. – Wcale nie jestem tchórzem. Uważam tylko, że o zmarłych nie wolno źle mówić. Moja mama mi to zawsze powtarza. A ona też nie jest tchórzem.

– Ja też nie uważam, że twoja mama jest tchórzem — stwierdziła Nicole i szeroko się uśmiechnęła. – Za to ty nim jesteś.

– Wcale nie! – zawołała Lara, tupiąc sandałem w ściółkę.

– A właśnie, że jesteś. „Umiem wierszyk o koteczku, o tchórzliwym koziołeczku”! Jesteś tchórzem, tchórzem, tchórzem.

Nicole śpiewała to na głos i z rozbawieniem obserwowała, jak Lara coraz bardziej się złości.

– Nie jestem, nie, nie! A ty jesteś głupia!

– No to mi udowodnij – dokuczała jej Nicole. Podeszła bliżej i powtórzyła: – Udowodnij, że nie jesteś tchórzem.

– Jasne, że to zrobię.

– Dobrze – stwierdziła Nicole, rozglądając się z miną mówiącą „Zaraz cię pożrę”. – Jeśli zrobisz, co ci każe, nigdy więcej nie nazwę cię tchórzem.

Lara skinęła szybko głową. Nie na znak zgody, tylko dlatego, że znowu zaczęły jej dzwonić zęby. Było jej już tak chłodno jak zimą. Nie zauważyła jednak, że chłód nie przychodzi z lasu, tylko znajduje się w niej samej.

Jakby ktoś połknął lodówkę z otwartymi drzwiami.

Lara wiedziała, że jest zbyt drobna, aby połknąć lodówkę, bo takie rzeczy zdarzają się tylko na filmach rysunkowych, ale tak się właśnie czuła. Jakby za chwilę miała wymiotować – zrzygać się jak czapla, mawiała Nicole – i chwilę potem ujrzyć przed sobą na ziemi kupkę kostek lodu. W tym momencie zrobiło jej się niedobrze. Przeklęta czekolada!

Mimo to zgodziła się na propozycję Nicole. Teraz jej pokaże, że nie jest żadnym tchórzem. Na pewno nie ona!

Nicole podprowadziła ją do gęstych krzaków. Z bliska widać było dwa zarośnięte stopnie prowadzące w dół i mocne dębowe drzwi z grubymi, porzewiałymi okuciami. Wiodły w głąb miejsca, które przypominało coś w rodzaju pagórka.

– W środku była kiedyś spiżarnia do przechowywania żywności w niskiej temperaturze – wyjaśniła Nicole. Tym razem nie mówiła tak tajemniczym głosem jak przedtem. Było to raczej zwykłe stwierdzenie. „W środku była kiedyś spiżarnia do przechowywania żywności w niskiej temperaturze”. Zupełnie jakby chciała powiedzieć: „Tam dalej stała stodoła, a tutaj dom”. – W czasach, kiedy nie było jeszcze lodówek, przechowywano w niej od zimy do lata lód. Jeśli tam wejdiesz, uznam, że jesteś naprawdę odważna. Nawet ja tam nigdy nie byłam.

Lara wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w swoją najlepszą przyjaciółkę ubraną w kolorową sukienkę w kwiaty.

– Naprawdę tam nie wchodziłaś?

Nicole skrzyżowała palce i przystawiła je do sukienki w miejscu, gdzie pod materiałem zarysowywały się wzgórki. Lara jeszcze takich nie miała.

– Naprawdę nie. Przysięgam.

Przez chwilę Lara nie wiedziała, co w niej zwycięży. Może duma z tego, że za chwilę zrobi coś, na co nie zdobyła się nawet duża Nicole? A może strach przed tym, co czai się za drzwiami?

Uznała, że diuna jest ważniejsza. W końcu ma okazję, aby zaimponować Nicole.

– Zgoda – powiedziała. – Zrobię to.

– Naprawdę?

– Tak.

Nagle Nicole jakby zaczęła żałować swojej propozycji. Tak to przynajmniej odczuła Lara, gdy spojrzała jej w oczy.

– Wiesz co, zaproponowałam ci to tylko dla żartu. Za tymi drzwiami jest ciemno jak w grobie. Co prawda w środku nigdy nie byłam, ale kiedyś zajrzałam. Jest tam ciemno i zimno, a na dodatek śmierdzi.

– Przecież nie jestem tchórzem – odparła Lara, choć tak się właśnie czuła. Nie dała jednak tego po sobie poznać, tylko zeszła schodami w dół. Jakaś sucha gałąź zadrapała ją w łydkę.

– Aj! – syknęła.

– Laro, już wystarczy! Naprawdę nie musisz tego robić. I tak wierzę, że nie jesteś tchórzem.

Mimo to Lara zeszła na sam dół i stanęła przed drzwiami. Niewykluczone, że Nicole tylko tak teraz mówi, a potem, jeśli nie wejdzie do środka, Nicole będzie się z niej śmiać i powie: „Wiedziałam, że nie odważysz się tam wejść”.

Poza tym pojawiło się jeszcze jedno uczucie: ciekawość. Drzwi, za którymi być może coś znajdzie, stanowiły dla niej zbyt dużą pokusę, choć czuła, że ze strachu może popuścić w majtki.

Lara szarpnęła za ciężkie drzwi – zdołała je tylko uchylić. Drewno, z którego je zrobiono, było niemiłe w dotyku, jak papier ścierny, na który ktoś rozlał lepki płyn. Lara odetchnęła głęboko dwa razy, tak jak wtedy, gdy pierwszy raz skakała do wody z wysokości pięciu metrów, a następnie wsunęła się przez szparę do ciemnego pomieszczenia.

Tak, Nicole miała rację. Okropnie tu śmierdzi. Gorzej niż w piwniczce dziadka, gdy na ceglana podłogę spadnie butelka z winem i się rozbije. W środku rzeczywiście panował chłód i było ciemno jak w grobie. I tylko tam, gdzie przez szparę wpadało trochę światła, widać było gliniane podłoże i kamienną ścianę. Poza tym wszędzie panowały zupełne ciemności.

– Wyjdź już stamtąd – usłyszała głos Nicole. Jej przyjaciółka stała oparta o drewniane drzwi i zaglądała przez szparę do środka, zasłaniając światło.

– Dobrze. Tu jest naprawdę strasz...

Lara nie dokończyła, bo nagle pod ciężarem Nicole drzwi się zatrzasnęły. Wprawdzie Nicole nie ważyła zbyt dużo – kiedyś wspomniała nawet, że chłopaki w klasie nazywają ją „Tyczką” i dlatego od tamtej pory objada się w tajemnicy czekoladą – ale chyba zbyt mocno się o nie oparła, bo chciała lepiej zobaczyć Larę, a zwłaszcza samo pomieszczenie. Gdy drzwi się zamknęły, sztaba ryglująca zaskoczyła i Lara znalazła się w zupełnych ciemnościach.

– Otwieraj! – zawołała. Jej głos odbił się od zimnych ścian dziwnym echem.

Jakbym słyszała ducha, który udaje, że to echo mojego głosu, pomyślała.

– Nie da się! – usłyszała głos Nicole.

Lara usłyszała głuche bębnienie w drzwi i stękanie Nicole.

– Nie mogę podnieść tej choleralnej sztaby. Zaklinowała się.

W tym momencie Lara wpadła w panikę. Po raz pierwszy w życiu. Czuła się gorzej niż wtedy, gdy dostała jedynkę i wracała ze szkoły do domu; albo gdy zapomniała odrobić pracę domową; albo niż wtedy, gdy usłyszała huk samolotu lecącego nad podwórkiem szkolnym i tak się przestraszyła, że trochę popuściła w majtki. To, co czuła teraz, było gorsze od wszystkiego, czego doświadczyła w całym swoim życiu.

Krzyczała i waliła pięściami w drzwi. Tak bardzo bała się mroku, że zaczęła sobie wyobrażać, iż w panujących ciemnościach coś nagle wstaje z podłogi i idzie w jej stronę. Wyobrażała sobie, że nigdy już stamtąd nie wyjdzie, bo umrze z głodu albo pragnienia.

– Wypuść mnie stąd! Natychmiast mnie wypuść! Proszę, nie wygłupiaj się!

W niczym jej to jednak nie pomogło. Drzwi nadal były zamknięte. Lara bębniła w nie od środka, a Nicole od zewnątrz. Rzucali się na nie i napierały, ale na próżno. Wyglądało to tak, jakby dwie mrówki próbowały przewrócić starą stodołę stojącą na polu pod lasem.

– Sprowadzę pomoc! – krzyknęła w końcu Nicole.

Dopiero teraz Lara naprawdę się przeraziła. Jeśli Nicole ją tutaj zostawi – bez względu na to, czy faktycznie sprowadzi jakąś pomoc – zostanie sama jak palec. Samiuteńka w ciemnej piwnicy w samym środku lasu, na dodatek w przeklętym miejscu, gdzie przed wielu laty jacyś ludzie namalowali na kamieniach gwiazdy, żeby odpędzić złe duchy szaleńca i rodziny, którą wymordował.

To nie gwiazdy, tylko pentagramy, głuptasie, szepnął jej nagle jakiś straszny głos. Lara nie wiedziała, czy słowa te powstały w jej głowie, czy wypowiedział je ktoś stojący tuż za nią. Ktoś albo coś, co miało długie kudłate włosy, płonące oczy i ostre pazury.

Taaaaaaaaak, baaaaaaaaardzo dłuuuuuuuugie włooooooooosy!

– Nie! Proszę! Nie zostawiaj mnie samej!

Niestety, żadna odpowiedź zza drzwi już do niej nie dotarła.

– Niiieeeeeeeeeeeeeeeeeee!

Lara krzyczała i piszczala, waliła pięściami w drzwi, które nie chciały ustąpić, i wołała Nicole.

Jednak jej już tam nie było.

Z początku Harald myślał, że to tylko zabawa. Na przykład w chowanego, tylko trochę inna.

Obserwował, jak Nicole biegnie przez łąkę i znika w lesie. Jeśli dalej będzie biegła w tym samym kierunku, w końcu dotrze do wsi. Najpierw zobaczy ulicę i stację benzynową firmy ARAL, gdzie jej ojciec prowadzi warsztat samochodowy.

Harald słyszał kroki Lary, ale były jakieś takie przytłumione, jakby dźwięk dochodził spod ziemi. Świetnie jej to wychodzi, pomyślał. Brzmi to bardzo przekonująco. Może nie bawią się w chowanego, tylko na przykład w zabawę o nazwie „Supergirl ratuje dziewczynkę z lochu”?

Może tak być. Nicole też jest blondynką, jak Supergirl z komiksów. Wprawdzie jej kolorowa sukienka nie za bardzo pasuje do tej zabawy – powinna włożyć niebiesko-czerwony kostium z żółtym pasem i czerwone buty; Nicole nie ma też peleryny, ale przecież odpowiedni strój nie zawsze jest konieczny. Wystarczy trochę fantazji. Harald czekał więc w napięciu, jak rozwinię się akcja, którą od pewnego czasu obserwował.

Lara nadal wołała o pomoc, a jej krzyki były teraz o wiele bardziej przejmujące niż wcześniej. Niestety, Supergirl nie zjawiała się z pomocą. Może padła ofiarą „czarnego kryptonitu” – najstraszliwszej broni z planety Krypton, jakiej używa się przeciwko superbohaterom?

A może to nie jest zabawa?

W końcu Harald postanowił to sprawdzić. Nawet jeśli obie dziewczyny go skrzyczą, że psuje im zabawę. Woli zrobić to, niż gdyby miał potem robić sobie wyrzuty, że coś się wydarzyło, a on był zbyt głupi, żeby to zrozumieć.

Harald-Batman zerwał się z ziemi, wbiegł na niewielkie wzniesienie, gdzie znajdowały się ruiny zabudowań, minął kamienie, na których widniały namalowane pięcioramienne gwiazdy, i dotarł do miejsca, z którego dobiegały krzyki Lary.

Miał na sobie grube ubranie, więc się spocił, ale było mu to obojętne, bo przecież Batman też się pocił. Matka zawsze mu powtarzała, że jeśli dalej będzie się ubierał w swoje śmierdzące ciuchy, to dostanie udaru. Matka Batmana tak nie mówiła, ale ona umarła na długo przed tym, jak Bruce Wayne zaczął się tak ubierać. Dla Harald'a nie miało to teraz żadnego znaczenia, bo ujrzał przed sobą ciężkie drzwi prowadzące do piwnicy.

Ze środka dobiegał płacz Lary. Harald od razu zrozumiał, że to nie zabawa. Przecież nikt nie płacze, gdy się bawi. Jeśli ktoś płacze, robi to naprawdę.

Stuknięta Nicole! Dlaczego stąd uciekła?

Harald zszedł na dół i uniósł sztabę ryglującą drzwi.

Kroki. Z zewnątrz usłyszała czyjeś kroki. Dobiegały ze schodów. Ktoś schodzi w dół. Mimo paniki, strachu przed tym „czymś” z kudłatymi włosami i pazurami, „czymś”, co czaiło się za nią w ciemnościach, Lara wiedziała, że to nie są kroki Nicole. Bez względu na to, kto schodził po schodach, była to osoba o wiele większa i cięższa od niej.

Natychmiast przestała szlochać i zachowywała się cicho jak myszka. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach, choć w panujących ciemnościach i w smrodzie nie było to takie łatwe. Zwłaszcza w sytuacji, gdy jedna półkula mózgowa próbowała jej wmówić, że tuż za nią czai się jakiś potwór.

Kroki zbliżyły się do drzwi i ucichły. Lara poczuła, że jej serce bije jak oszalałe. Ciało miała oblane lepkiem potem i trzęsła się, jakby miała drgawki. Z trudem łąpała powietrze. Oddech był krótki, płytki i przyspieszony, kręciło jej się w głowie. W ciemnościach ujrzała małe błyszczące muszki. Wcześniej ich nie widziała.

Przecież to nie są robaczki świętojańskie, usłyszała wewnętrzny głos.

Pewnie, że nie, potwierdził potwór stojący za jej plecami. To strach, kochanie. Nagi strach.

Nagle usłyszała, jak ktoś głośno i szybko dyszy. Ktoś, kto na pewno stał tuż koło niej.

Po drugiej stronie ktoś szarpnął drzwi. Lara usłyszała głośne sapanie.

To mężczyzna! Za drzwiami stoi mężczyzna!

No tak, ale to nie może być Nicole z pomocą, bo nie zdążyłaby wrócić w tak krótkim czasie. Do wsi jest spory kawałek drogi i nawet jeśli ktoś jedzie samochodem, trwa to dłużej.

A może tkwi w tych ciemnościach tak długo, że nawet nie zauważyła, jak szybko minął czas?

Znowu sapanie, potem nastąpił głośny trzask i w końcu drzwi się otworzyły.

Lara patrzyła przed siebie osłepiona blaskiem światła i dopiero po chwili dostrzegła zarysy jakiejś postaci. Musiał to być prawdziwy olbrzym. Był całkiem czarny, jak Czarny Lud z dziecięcej rymowanki, przed którym trzeba jak najszybciej uciekać. Niestety, ona nie była w stanie tego zrobić. Za sobą miała ścianę piwnicy. Pozostała jej tylko jedna droga ucieczki – do przodu, prosto w objęcia ogromnego Czarnego Luda.

Stała więc jak skamieniała i krzyczała na cały głos. Robiła to tak długo, aż w końcu olbrzym na nią skoczył.

Jeśli ktoś musi przez pięć dni w tygodniu borować dziury w stalowych płytach i robi to zawsze w taki sam sposób, jeśli boruje w miejscach, które są już zaznaczone, to po pewnym czasie ktoś taki nabiera sił. Drzwi piwnicy naprawdę trudno było otworzyć, ale Haraldowi w końcu się to udało.

Nie ma się co dziwić, że dla Lary było to zbyt trudne. No bo niby jak miałyby to zrobić? Co tu w ogóle robi w tej śmierdzącej piwnicy?

Lara krzyczała coraz głośniej. Nie były to jednak słowa typowe dla takich sytuacji, jak „Pomocy!” albo „Wypuście mnie!”, tylko jakieś wydłużone dźwięki. Krzyczała tak ostrym głosem, że Harald poczuł ból w uszach. Szybko do niej podbiegł i zatkał jej usta.

– To tylko ja – powiedział cicho, ale Lara nie mogła się uspokoić.

Na pewno się wystraszyła. Nic dziwnego, przecież siedziała w tej piwnicy sama. Harald wiedział, że nie wolno mu teraz zwracać się do niej w niewłaściwy sposób. Mówili mu o tym ci, z którymi mieszkał w domu opieki. Jeśli ktoś tak głośno krzyczy i tupie nogami, trzeba taką osobę objąć, przytulić i przemówić do niej spokojnym głosem. A najlepiej zanucić jakąś melodię.

Harald przyciągnął więc Larę do siebie, przycisnął jej głowę do swojej klatki piersiowej i zanucił Śpij, mój maty, śpij, piosenkę, którą zawsze śpiewała mu mama. Zaczął też łagodnie gładzić Larę po plecach.

Lara nadal się trzęsała, ale przestała krzyczeć i tylko dyszała z głową wciśniętą w koszulkę z Batmanem.

– Widzisz, jak przyjemnie – powiedział Harald łagodnym tonem i nucił dalej.

Niestety, wszystkie jego wysiłki na nic się zdały, bo Lara znowu zaczęła szlochać. Harald poczuł, jak na jego koszulce robi się wilgotna plama. I poczuł jeszcze coś: dotykanie jej pleców i okrągłych pośladków pod sukienką sprawiało mu przyjemność.

Przypomnił sobie słowa Manfreda, że im to sprawia przyjemność.

No właśnie, może Lara potrzebuje teraz takiej przyjemności? Kiedy komuś jest przyjemnie, zaczyna się śmiać i od razu zapomina o wszystkich złych rzeczach. Zapomina też o domu opieki, do którego mama z bratem chcą go wysłać. Poza tym lubi Larę.

– Chodź – szepnął i poczuł, jak drży. – Coś ci pokażę.

Czarny Lud coś do niej powiedział, ale nie zrozumiała. Mówił zbyt cicho i zasłaniał jej ucho ramieniem. Próbowwała złapać trochę powietrza, bo Czarny Lud przycisnął jej głowę swą żelazną dłońią do swojej przepoconej, śmierdzącej kuchnią koszulki.

Strach tłukł się w jej głowie jak dzikie zwierzę i nie pozostawiał zbyt wiele miejsca na przemyślenie całej sytuacji. Próbowwała się bronić, uwolnić z jego objęć, ale Czarny Lud trzymał ją jedną ręką w uścisku jak w imadle. Drugą ręką – która w jej fantazji przybrała kształt owłosionej łapy z ostrymi pazurami – zrywał z niej ubranie. Najpierw jednym ruchem zdarł z niej majtki z obrazkiem tańczącego misia na przedniej stronie, a potem zatkał jej usta i przewrócił na brudną, gliniastą podłogę. Lara krzyknęła i poczuła w ustach błoto. A potem... potem przed jej oczami eksplodowały gwiazdy, a ona poczuła się tak, jakby usiadła w wannie wypełnionej wrzącą wodą.

Okrzyk bólu, który wydostał się z jej ust, odbił się echem od ścian piwnicy. Tym razem była już pewna, że to nie duch naśladuje jej głos. Wiedziała, że to jej własny głos.

Zaczęła kopać na oślep i wreszcie się uwolniła. Próbowwała uciec od potwora na czworakach, słyszała, że dyszy jak parowóz. Niestety, prawie w tej samej chwili owłosiona łapa znowu ją chwyciła, tym razem za kark.

– Neeee! – krzyknęła. Machała rękami i wierzgała nogami. Słyszała, jak jej dłonie uderzają Czarnego Luda po twarzy, jak potwór sapie w ciemnościach. Wyrzucił ją w powietrze, a ona walnęła głową o coś bardzo twardego. Usłyszała odgłos, jaki wydaje orzech kokosowy, gdy ktoś uderza w niego kamieniem i w tej samej chwili ujrzała chmurę lśniących muszek. Tańczyły przed jej twarzą jak oszalałe.

Muszę je odpędzić, pomyślała ostatkiem sił.

I nagle lśniące muszki zniknęły, a ona zapadła się w całkowitą ciemność.

Harald cofnął się o krok i ułożył zwiotczone ciało Lary na błotnistej podłodze.

Co tu się właściwie stało? Przecież było tak przyjemnie. Przynajmniej jemu. Zupełnie inaczej niż wtedy, gdy pociera sobie „tę rzecz na dole” sam, aż tryska z niej biała ciecz, a on odzyskuje spokój.

To, czego zaznał z Larą, było tak wspaniałe, że nie mogło być lepsze. Czuł całkowitą pustkę w głowie, zapomniał o wszystkich troskach, nie miał głupich myśli.

Ale jej się to nie spodobało. Nie sprawiło jej to żadnej przyjemności. Nie chciała tego, choć kobiety na obrazku, który pokazywał mu Manfred, mówiły: „Chcę tego!” – przynajmniej tak pisało w dymku umieszczonym nad ich głowami.

Czyżby Manfred go okłamał? Tak jak wtedy, gdy zażartował sobie w warsztacie i zamiast powiedzieć „spawarka” powiedział „syfmiarka” i potem udawał, że się po prostu

przejęczył? Harald nie bardzo wtedy wierzył, że tak właśnie było, bo przecież Manfred mówi też czasem całkiem mądre rzeczy i nie musi się wstydzić przed panią Petrowski. W przeciwieństwie do niego Manfred już opowiadał pani psycholog o „tej rzeczy na dole” i nawet jej pokazywał, co z nią robi. Tak przynajmniej twierdził.

A może zrobiłem coś nie tak jak trzeba i dlatego Larze się to nie spodobało, zastanawiał się Harald.

Co się teraz stanie, gdy Lara się obudzi, wróci do domu i o tym opowie? Wszyscy będą się z niego śmiać. Matka, Karl, może Annemarie, a na pewno Manfred i personel warsztatu. Wszyscy oni będą się z niego śmiać, bo się okaże, że był za głupi nawet na to, żeby sprawić przyjemność małej dziewczynce.

„Popatrzcie tylko na niego”, powiedzą i będą go pokazywać palcami. „Chce być jak Batman, ale jest zbyt głupi, żeby uprawiać seks. Ta biedaczka uderzyła się w głowę i tak bardzo krwawiła, że została po tym plama na ścianie. Coś takiego na pewno nie sprawia nikomu przyjemności”.

Harald poczuł, jak oczy wypełniają mu się łzami. Nie sprawdził się, i to kolejny raz. Pochylił się nad Larą, pogłaskał ją i delikatnie odgarnął jej zlepione włosy z rany na głowie. Musi jak najszybciej nałożyć opatrunek, wie o tym od Matthiasa, z którym pracuje w warsztacie. Matthias nosi taką śmieszna czapkę w kształcie pierścienia. Jeśli jej nie ma, zaczyna krzyczeć i uderzać głową o ścianę. Robi to celowo. Trzeba mu wtedy nałożyć wielki biały opatrunek na czoło i dopiero na to czapkę.

Harald wiedział, gdzie znajdzie taki opatrunek. Nie u mamy w domu – bo tam by go wyśmiano – tylko w innym miejscu, niedaleko stąd. Nałoży tam Larze opatrunek, a gdy ona się obudzi, porozmawia z nią. Wyjaśni jej, że chciał jej sprawić przyjemność i poprosi, żeby nie była już taka smutna, że znalazła się sama w ciemnej piwnicy.

Wtedy już nikt nie będzie się z niego śmiał.

Zostanie bohaterem.

Jak Batman.

Pierwszą rzeczą, jaka przyszła Larze do głowy po odzyskaniu przytomności, były lśniące białe owady, które wcześniej chciała odpędzić. Teraz już ich nie było, ale nadal słyszała ich brzęczenie. Okropnie bolała ją głowa i coś ją bardzo piekło między nogami.

Uniosła się z ziemi, oparła na łokciach i ujrzała, że nie leży już w piwnicy.

Dobrze знаła to miejsce. Była to stara stodoła stojąca na polu pod lasem. Razem z Nicole często do niej przychodziły, żeby się pobawić, zwłaszcza podczas ostatnich letnich ferii, kiedy padał deszcz. Można tu było odkryć wspaniałe rzeczy. Kiedyś znalazły nawet nowo narodzone kocięta, które kotka ułożyła na klepisku jak kukułki w gnieździe. Powiedziała wtedy do Nicole, że kiedyś, gdy będzie dorosła, też chciałaby mieć takie kocięta. Pozwoli im nawet spać ze sobą w łóżku.

Jednak tym razem było tu strasznie i nawet promienie słońca, które wpadały do środka przez szpary w ścianach i rozświetlały wirujące pyłki kurzu, nie mogły zmienić tego odczucia.

Tylko jak się tu znalazła? Przecież była jeszcze...

Piwnica!

Czarny Lud!

W chwili gdy sobie przypominała, co się wydarzyło, ujrzała Czarnego Luda. Stał przy drewnianej skrzyni przy ścianie i grzebał w niej. Głowę miał ukrytą za pokrywą skrzyni, na której widać było wyblakły rysunek przedstawiający czerwony krzyż. Taki sam, jak na apteczce pierwszej pomocy w łazience. Lara przypominała sobie, jak poprzedniego lata Nicole wyjęła z tej skrzyni stary, zatęchły bandaż i udawała egipską mumię. Znalazła w niej

też butelkę z jakąś mętną czerwoną cieczą, która strasznie śmierdziała, opakowanie plastrów i jeszcze jeden bandaż.

– Cholera! – zaklął Czarny Lud – Cholera! – powtórzył. Zamknął pokrywę i odwrócił się. Lara od razu go poznała.

To stryj Harald! To on jest Czarnym Ludem!

Od razu zrozumiała, dlaczego jej ojciec tak go nie lubił. Aż do tej chwili sądziła, że ojciec nie cierpi swojego brata, bo ten jest głupkiem. Teraz już zna prawdę: stryj Harald jest złym Czarnym Ludem i tata o tym wiedział.

– Żaden plaster już się nie nadaje – powiedział Harald. – Żadnego z nich nie mogę ci przykleić na ranę na głowie.

Lara odpełzła kawałek po zakurzonej podłodze, pozostawiając po sobie krwawy ślad. Ani na chwilę nie spuszczała Haraldą z oczu.

Kiedy wstała, nogi jej się trzęsły jak u nowo narodzonego źrebięcia.

– Czy dalej bardzo cię boli?

Lara nie odpowiedziała, tylko zagryzła wargi. Pieczenie między nogami sprawiało jej coraz większy ból. Mocno się pocila. W stodole było bardzo ciepło i duszno.

Harald podszedł bliżej.

– Jesteś na mnie zła?

Lara cofnęła się o krok i oparła plecami o stojący regał. W środku coś zagrzecotało.

– Zrobiłem to nie tak, jak trzeba. Ale możemy jeszcze raz spróbować, na pewno pójdzie mi lepiej. Tobie też sprawię większą przyjemność i nie będziesz się już na mnie gniewać. Prawda?

Lara nie miała pojęcia, o czym Harald mówi. Widziała tylko, że jest coraz bliżej. Podchodził powoli, krok za krokiem. Zaczęła się strasznie bać.

Znowu sprawi mi ból. Znowu sprawi mi ból. Znowu sprawi mi ból...

Półtora metra przed Larą Harald się zatrzymał. Czowała już jego zapach. Strasznie śmierdział. Jak zły wilk.

– Bardzo cię kocham – powiedział.

Muszę stąd uciec. Natychmiast!

Tylko jak? Harald znowu stał na jej drodze, tak jak wcześniej, w piwnicy. Za plecami ma regał, za nim ścianę. Nie mająk uciec.

– Popatrz – powiedział Harald z uśmiechem. – Znowu jest taki duży.

Pokazał palcem na swoje czarne dzinsy i zaczął je rozpinać.

Lara skorzystała z okazji i szybko rzuciła się w przód. Wystarczy, że koło niego przebiegnie, dopadnie wąsko uchylonych drzwi stodoły, przemknie przez pole, dotrze do lasu, pobiegnie leśną drogą do wsi, a tam będzie już bezpieczna...

...już go prawie minęła, gdy Harald wyciągnął ramię, chwycił ją i jednym ruchem popchnął z powrotem w to samo miejsce przy regale, gdzie stała przed chwilą. Lara uderzyła brzuchem o drewno i poczuła, jak z płuc ulatuje jej powietrze. Nie mogła krzyczeć, ale nawet gdyby jej się to udało, w pobliżu nie było nikogo, kto by ją usłyszał. To dlatego przychodziły tu z Nicole, żeby się pobawić. W tym miejscu mogły biegać do woli i robić, co im się żywnie podoba. Dorośli przychodzili tu tylko w porze żniw.

Poczuła, jak Harald znowu zadziera jej sukienkę, i w tym samym momencie przypomniała sobie, co znajduje się wewnątrz regału.

Narzędzia!

Odsunęła się od regału, potrząsnęła nim i chwyciła ciężki hebel. W tej samej chwili poczuła, jak coś grubego wciska się w nią od tyłu. Odwróciła się i na ślepo zamachnęła się heblem za siebie.

Trafiła. Harald krzyknął i natychmiast ją puścił.

Lara spojrzała na swojego stryja, który stał z opuszczonymi spodniami i spoglądał na nią zdziwionym wzrokiem.

– Dla... dlaczego? – wyjąkał, patrząc na hebel leżący na podłodze.

Lara nie miała odwagi, żeby jeszcze raz spróbować koło niego przebiec. Na pewno by ją złapał i zrobił coś złego. Odwróciła się szybko w stronę regału i wyjęła z niego śrubokręt. Metal był już zardzewiały i tylko czerwony uchwyt wyglądał jak nowy. W obronnym geście wyciągnęła rękę ze śrubokrętem przed siebie.

– Laruniu, ja naprawdę nie chcę cię skrzywdzić. Chcę ci tylko sprawić przyjemność. Popatrz.

Opuścił rękę między nogi, chwycił nią swój sztywny członek i zrobił krok w jej kierunku. Ciągnął za sobą czarne, spuszczone dżinsy, które zostawiały na ziemi szeroki ślad.

Zrobił o jeden krok za dużo.

Lara, która nie panowała już nad swoim młodym umysłem, działała bez zastanowienia. Kiedy Harald zrobił w jej kierunku kolejny krok, pchnęła go śrubokrętem.

Gdyby stał przed nią trochę bardziej wyprostowany i nie był zajęty pokazywaniem swojego członka, którym chciał jej sprawić przyjemność – bo jak twierdził Manfred, do tego właśnie służył – śrubokręt przebiłby prawdopodobnie tylko jego ramię. W najgorszym razie Lara trafiłaby go w boczną część szyi, tuż obok tętnicy.

Niestety, śrubokręt wbił się w twarz, a właściwie w prawe oko. Lara wcale nie miała takiego zamiaru, po prostu tak wyszło. Była przerażona, a strach dodał jej sił.

W chwili gdy ostra końcówka śrubokrętu przebiła jego gałkę oczną, Harald zaczął krzyczeć. I nagle przestał, bo czubek narzędzia przebił cienką kość oczodołu i wbił się w jego mózg. Harald jęknął, okręcił się wokół własnej osi i upadł bezwładnie na ziemię. Leżał i nie ruszał się. Jego członek, który opadł mu na brzuch jak gruby robak, nagle zwiotczał.

Lara nadal stała z wyciągniętym ramieniem. Nie rozumiała, co się przed chwilą stało, bo zapadła w stan, w którym ludzki umysł przestaje funkcjonować. Twarz miała bladą jak kreda, oddychała szybko i gwałtownie i obficie się pociła.

U jej stóp leżał i rzęził Harald, jej stryj, Czarny Lud.

To było naprawdę dziwne uczucie. Nie dlatego, że Harald odczuwał ból. Przeciwnie, czuł się tak, jakby powoli tracił swoje ciało.

Wydawało mu się nawet, że powoli się unosi – a właściwie nie on, tylko to, co ksiądz proboszcz nazywał na lekcji religii duszą – a jego ciało nadal leży na ziemi.

Jedynym okiem, jakie mu pozostało, obserwował, jak drobne pyłki kurzu tańczą nad nim jak jasne radosne gwiazdy. Tuż obok nosa widział czerwony uchwyt śrubokrętu. W świetle, które przedostawało się do środka stodoły przez szpary w ścianach, uchwyt przypominał błyszczący szlachetny kamień.

To cudowne, pomyślał Harald. Chociaż poruszanie okiem sprawia ból, ten szlachetny kamień jest naprawdę przepiękny.

Potem spojrzał w górę. Wydawało mu się, że drewniany sufit, który znajdował się wysoko nad nim, zbliża się do niego, a podłoga coraz bardziej się oddala. Jednak najpiękniejszy był widok twarzy Lary, którą widział tuż nad swoją twarzą. Była niewymownie piękna, chociaż jej obraz zaczął się stopniowo zamazywać.

Mógłby przysiąc, że Lara się do niego uśmiechnęła. Był nawet pewien, że się roześmiała.

Tak, pomyślał uszczęśliwiony. A jednak sprawiłem jej przyjemność. Teraz znowu mnie lubi.

Chciał powiedzieć, że on też ją bardzo lubi, ale nie zdążył, bo chwilę potem ogarnęła go zupełna ciemność.

Czarniejsza niż peleryna Batmana, pomyślał Harald w ostatnim przeblasku świadomości.

Nic, co uczyniła Lara, nie miało sensu. Stała przed swoim stryjem, który leżał rozciągnięty na ziemi, jakby odpoczywał. Twarz miał zupełnie nieruchomą, ręce wyciągnięte wzdłuż ciała na zakurzonej podłodze. Sprawiał wrażenie, jakby wypatrywał czegoś na suficie.

Jego oko jeszcze raz wykonało ruch w prawą stronę, a wtedy śrubokręt tkwiący w prawym oczodole poruszył się. Lara usłyszała nieprzyjemny dźwięk przypominający mlaśnięcie.

Być może to właśnie ten dźwięk sprawił, że otrząsnęła się z szoku. Uświadomiła sobie po prostu, że potwór – Czarny Lud, zły wilk z książki z baśniami – wreszcie nie żyje.

Nagle wybuchła nieprzyjemnym śmiechem, który przeszedł w krzyk. Stała nad ciałem Haralda Baumanna, krzyczała, wrzeszczała i wyła jak oszalałe zwierzę. Chodziła wokół niego, tańczyła i podskakiwała dokoła jak nakręcana żaba.

Trwało to tak długo, aż w końcu padła wyczerpana na kolana.

Drżąc na całym ciele, wpatrywała się w twarz stryja, który za życia był człowiekiem słabym na umyśle. Patrzyła na uchwyt śrubokrętu, który tkwił w jego prawym oczodole jak czerwone sztuczne oko z jakiegoś komiksu.

Na ułamek sekundy dotarło do niej, że zabiła człowieka. Jednak już chwilę później trauma, której doznała na skutek tych wydarzeń, okryła jej umysł czarną ochronną zasłoną.

Na temat tego, co stało się w tym momencie, można jedynie snuć przypuszczenia. Lara też nie potrafiła sobie tego przypomnieć. I chyba lepiej, że tak się stało. Jej umysł zrobił sobie przerwę. Potrzebowała jej, żeby wyprzeć z pamięci wszystkie te wydarzenia i znaleźć ucieczkę w nowym „Ja”.

Nie istnieją świadkowie, którzy mogliby zaświadczyć, w jaki sposób Lara wyparła ze swej pamięci tamte straszne wypadki. Stała się jednak zupełnie inną dziewczynką, a matka zwracała się do niej, używając jej drugiego imienia – Ellen.

Nie istnieją świadkowie... może z wyjątkiem pola porośniętego pszenicą, które dziesięćnaście lat później Lara ponownie ujrzała we śnie razem z czerwoną skrzynką pocztową. Albo polnej drogi, na której mimo świecącego słońca nadal utrzymywało się bajoro pełne baniek przypominających gałki oczne.

Następnego ranka, tuż po wschodzie słońca, Hermann Talbach i dwaj inni mężczyźni ze wsi znaleźli Larę. Ukrywała się w dole wypełnionym korzeniami drzew. Leżała zwinięta w kłębek jak jeź i wpatrywała się w przybyłych mężczyzn szeroko otwartymi oczami. Do piersi przyciskała kawałek drewna porośnięty mchem. Jakby to była lalka.

Rozdział 43

Kiedy Nicole skończyła swą opowieść, poczuła się tak, jakby uszło z niej powietrze. Mark objął szlochającą kobietę ramieniem i dał jej trochę czasu, żeby wypłakała straszne wspomnienia, jakie się w niej nagromadziły przez wszystkie lata.

– Może woli pani zostać teraz sama? – spytał, gdy Nicole się w końcu uspokoiła i upudrowała nos.

– Nie – odparła, kręcąc głową. – Już mi lepiej. Dziękuję – dodała, patrząc na niego zaczerwienionymi oczami.

– Za co?

– Że w końcu to z siebie wyrzuciłam.

Mark skinął głową ze zrozumieniem, wyjął papierosa i przez chwilę się nad czymś zastanawiał.

– Ellen nie lubi, kiedy palę. Wiedziała pani o tym?

– Może dlatego, że jej ojciec sporo palił?

– Możliwe. Każda niechęć do czegoś ma swoją przyczynę. Właśnie teraz mi to przyszło do głowy.

– To, czego nie lubi Lara?

– Nie. Zastanawiam się, co ją doprowadziło do takiego załamania – odparł Mark, drapiąc się po brodzie. – W języku fachowym nazywamy to bodźcem spustowym. Jeszcze kilka dni temu jej tożsamość funkcjonowała jak należy. I nagle przestała. Zadaję sobie pytanie, co było tego przyczyną. Zazwyczaj jest bowiem tak, że autoplastyczny system obrony przed traumą stwarza w przypadku takich zaburzeń twierdzą prawie nie do zdobycia. Osobowość ochronna pełni funkcję cerbera i broni nas przed wspomnieniami, aby w ten sposób uchronić kruchy fragment naszej osobowości przed załamaniem się. Bez interwencji terapeutycznej stopniowe kontrolowanie wypartych wspomnień jest w zasadzie niemożliwe.

Jednak w jej przypadku ten wewnętrzny mur zaczął nagle się kruszyć. I właśnie tego nie rozumiem. Skąd się u niej nagle wzięły te halucynacje?

– Może nam to wyjawisz, gdy znowu zaczniesz mówić?

– Nie sądzę – odparł Mark, potrząsając głową. – Ludzie, którzy po fudze dysocjacyjnej wracają do realnego świata, czasem w ogóle nie pamiętają, co im się w tamtej fazie życia przytrafiło, bez względu na długość jej trwania. Dla nich jest to czymś w rodzaju mentalnej samoobrony.

Nicole spojrzała na niego z przerażeniem.

– Ale to może przecież znaczyć, że kiedy Lara odzyska przytomność, będzie pod względem mentalnym dziewięcioletnią dziewczynką.

Mark potrząsnął głową.

– Do pewnego stopnia ma pani rację, ale nie da się tego na sto procent przewidzieć. Nie słyszałem dotychczas o przypadku, w którym fuga dysocjacyjna utrzymywała się przez tak długi okres. Może się zdarzyć, że podczas terapii część wspomnień i wiedzy, jaką posiadała w czasie, gdy była kobietą o imieniu Ellen, nagle wróci. Jednak na samym początku... Cóż, sądzę, że na samym początku będzie dziewczynką, którą była w chwili, gdy wyparła tamte wydarzenia ze swej pamięci.

– O Boże – jęknęła Nicole, zakrywając usta dłonią. Jej oczy wypełniły się łzami.

– Dlatego powinna trafić w dobre ręce – dodał Mark. – Mamy w Leśnej Klinice znakomitego specjalistę, który powinien się nią zająć. Rozmawiałem już o tym z lekarzem prowadzącym. Kiedy Lara osiągnie stan, w którym będziemy ją mogli przetransportować, przewieziemy ją do Fahlenbergu.

– Do kliniki, w której wcześniej pracowała jako lekarz?

Mark domyślił się, co sugeruje Nicole, ale był przekonany, że jego rozumowanie jest słuszne.

– Po pierwsze: trafi na inny oddział niż ten, gdzie wcześniej pracowała. Po drugie: może się to wydać dziwne tylko dlatego, że chodzi o klinikę psychiatryczną. Gdyby była chirurgiem i musiała przejść operację chirurgiczną, z całą pewnością wolałaby trafić pod opiekę lekarza, który jest ekspertem w swoim fachu. Nie sądzi pani?

Mark zauważył, że nie do końca ją przekonał. Mimo to po chwili zastanowienia Nicole stwierdziła:

– To pan musi o tym zdecydować. To pan jest specjalistą i to pan będzie wiedział, co w tym przypadku jest słuszne.

– Proszę mi wierzyć, że to dla niej najlepsze rozwiązanie – zapewnił Mark i dla wzmocnienia tej deklaracji dodał: – Będę robił wszystko, co w mojej mocy, żeby jej pomóc i znaleźć przyczyny tak gwałtownego załamania nerwowego.

Nicole milczała, spoglądając w zamyśleniu w stronę drzew, gdzie walczyły ze sobą dwa kosy. W końcu popatrzała na Marka.

– A co pana zdaniem było przyczyną?

– Nie mam pojęcia – odparł Mark bezradnie. – Obawiam się, że nie znamy jeszcze całej prawdy.

– Uważa pan, że wydarzyło się coś, co doprowadziło ją do takiego stanu?

Mark spojrział na Nicole i poczuł, że drży. Powoli skinął głową, potwierdzając jej przypuszczenie.

– Tak. Było to coś na tyle strasznego, że po tych wszystkich latach zdołało przełamać blokadę w jej głowie.

Rozdział 44

Mark spędził noc w hotelu. Odrzucił propozycję Nicole, aby zanocować u niej w domu, i ucieszył się, gdy ze zrozumieniem przyjęła odmowę.

Potrzebował spokoju i dystansu, żeby zastanowić się nad wydarzeniami ostatnich dni. Podczas noclegu u Kepplerów doszłoby pewnie do długich rozmów na temat kobiety, która jeszcze rano, gdy jadł z nią śniadanie, nazywała się Ellen Roth, a teraz, jako Lara Baumann, leżała w pojedynczym pokoju szpitala powiatowego i pusty wzrok wbijała w przestrzeń.

Całą noc przesiedział na brzegu łóżka. Chrupał w zamyśleniu słone paluszki znalezione w minibarku i gapił się w sufit, nad którym znajdował się pokój, gdzie nocowała Ellen, gdy jeszcze tak miała na imię.

Długo rozmyślał o tym, co przytrafiło jej się przed dziewiętnastu laty w ruinach posiadłości. Zastanawiał się też, co wyzwoliło w niej wspomnienia o dawnych wydarzeniach. Jak zwykle gdy miał do czynienia z pacjentkami po traumie, ponownie doszedł do wniosku, że choć można spróbować sobie wyobrazić, co się stało, to i tak rzeczywistość z pewnością była o wiele gorsza. Na tyle, że doszło do wykształcenia osobowości ochronnej, którą dla Lary stała się Ellen Roth.

No dobrze, ale co takiego się stało? Co sprawiło, że dawne wspomnienia wróciły? Podobne pytania nie dawały mu spokoju.

Kiedy następnego przedpołudnia przyszedł do szpitala, żeby odwiedzić Larę, Nicole już tam była. Lekarz prowadzący zgodził się na przeniesienie pacjentki do Leśnej Kliniki. Wczesnym popołudniem Larę przewieziono karetką do Fahlenbergu. Mark i Nicole pojechali za nią samochodem Nicole. Okazało się bowiem, że volvo Marka nadaje się tylko do kasacji. Mark musiał je oddać na złom.

Kiedy przyjechali do kliniki, Lara otrzymała osobny pokój na prywatnym oddziale. Stało się tak z polecenia profesora Fleischera. Położono ją tam po to, żeby przez pewien czas mogła się zaaklimatyzować.

Mark i Nicole jeszcze przez chwilę z nią zostali. Choć Lara nie reagowała na ich słowa i tylko leżała, patrząc przed siebie pustym wzrokiem, oboje z nią rozmawiali w nadziei, że przynajmniej część z tego, co do niej mówią, dotrze do jej świadomości i sprawi, że poczuje się bezpieczniej.

Kiedy wyszli z pokoju, Nicole poprosiła Marka, żeby opowiedział jej trochę więcej o tym, co przydarzyło się Ellen w ciągu poprzednich kilku dni. Mark wiedział, jak trudno zrozumieć, co się wydarzyło, i dlatego postanowił, że zabierze ją w te miejsca, które Lara odwiedziła, gdy w swej świadomości była osobą o imieniu Ellen. Czasem jest tak, że to, co wydaje się trudne do zrozumienia, lepiej jest wyjaśnić na miejscu, gdzie się wydarzyło.

Kiedy szli do tunelu, którym kiedyś dowożono zaopatrzenie, Mark opowiedział Nicole o ostatnich wydarzeniach: o wydumanej pacjentce, o spotkaniu z Czarnym Ludem i o tym, że Lara była przekonana, iż torturowano ją w sali terapeutycznej.

Mark starał się nie wymawiać imion Lara i Ellen. Szok wywołany faktem, że kobieta, w której przez ostatnie lata był tak bardzo zakochany, że aż mu to czasem sprawiało ból, nie istniała, jeszcze bardziej go do niej zbliżył.

Szli przez park, a Nicole z uwagą słuchała jego opowieści. Kiedy Mark skończył, nie odezwała się.

Mark domyślił się, że Nicole musi sobie to wszystko poukładać i zrozumieć całe szaleństwo, które kryło się w jego opowieści. To raczej niemożliwe, pomyślał, bo przecież nawet on, psychiatra, miał problemy ze zrozumieniem tej szalonej konstrukcji.

W milczeniu zeszli do tunelu. Tym razem Mark skorzystał z oficjalnego wejścia w jednym z budynków. Korytarzem doszli aż do rozwidlenia. Jedna z odnóg zaprowadziła ich wprost do dawnych sal terapeutycznych.

Przywita! ich smród środków chemicznych i rozbite krzesło oświetlone blaskiem jarzeniówek. Na podłodze pomieszczenia, w którym wykonywano kiedyś zabiegi hydroterapeutyczne, zauważyli kałuże. Nie zdążyły jeszcze wyschnąć po tym, co przytrafiło się Ellen. W kącie leżała pokrywa wanny z kłami. Patrząc na nie, Mark zastanawiał się, co by się stało, gdyby kłamy nie były zardzewiałe i nie popękały, gdy Ellen zaczęła podważać pokrywę od spodu. Czy dotarłoby do jej świadomości, że wcale nie była torturowana? Niewykluczone, ale Mark nie wierzył, że świadomość tego faktu utrzymywałaby się w jej umyśle zbyt długo.

– Straszne miejsce – powiedziała Nicole, czując, że przeszedł ją dreszcz.

– W pewnym uproszczeniu można powiedzieć, że właśnie dlatego tutaj przysła – odparł Mark. – Zachowała się jak małe dziecko, które szuka w piwnicy potwora, aby mu się przeciwstawić.

– Przecież małe dziecko nigdy by czegoś takiego nie zrobiło.

– To prawda, ale mogło być tak, że dorosła część jej osobowości przekonała ją, iż tylko w ten sposób odzyska spokój. Przecież była psychiatrą, i to całkiem dobrym.

– To znaczy, że Lara udała się na miejsce, które wywoływało w niej strach, aby stawić czoła swoim wspomnieniom, których bała się jeszcze bardziej?

– To terapia konfrontacji albo coś w tym stylu – odparł Mark, wzruszając ramionami. – Jak mówiłem, istnieje tylko jedno możliwe wyjaśnienie jej zachowań.

Weszli do pomieszczenia, w którym stał metalowy stół i aparatura do wywoływania elektrowstrząsów. Nicole z przerażeniem zakryła dłońią nos.

– Boże, co to za smród?

– Ona... mam na myśli Ellen... ona...

Mark przerwał, bo nie wiedział, jak to powiedzieć.

– To uboczny efekt niewłaściwie przeprowadzonego elektrowstrząsu – wyjaśnił w bardziej oględny sposób.

Nie zwracając uwagi na ekskrementy pokrywające blat stołu, podszedł do urządzenia. Elektrody zwisały nad podłogą i wyglądały jak pozbawione życia, ponadwymiarowe glisty. Mark dokładnie obejrzał sprzęt. Na pokrętło do regulowania natężenia prądu zauważył tłuste odciski palców. Zostawił je ktoś, kto bardzo się pocił.

Przekręcił włącznik, ale prąd nie popłynął. Urządzenie nie było włączone do kontaktu.

– Tak jak przypuszczałem. Nawet elektrowstrząsy były wynikiem jej urojeń.

– Jednak mimo wszystko... – zaczęła Nicole, lecz nie dokończyła, tylko wyszła do pierwszego pomieszczenia.

Mark westchnął i usiadł na stołku obrotowym.

– Była najzupełniej pewna, że jej prześladowca torturuje ją za pomocą prądu. Tymczasem to, że musi stawić czoła rzeczywistości, było wytworem jej fantazji. Bo przecież wewnątrz wszystko się w niej buntowało przeciwko wspomnieniom o gwałcie i zabójstwie stryja.

– Jest jeszcze coś, czego nie rozumiem. Chodzi mi o tamtą bezimienną pacjentkę. Kim ona jest?

– Tą pacjentką jest Lara. Tak ją sobie właśnie wyobrażała Ellen. Uważała, że Lara by tak wyglądała, gdyby ona, to znaczy Ellen, jej nie ochroniła. Że byłaby zrozpaczona, poraniona, bezbronna i pogrążona w szaleństwie. To dlatego chciała ją chronić, dlatego sama się broniła i wypierała własną tożsamość.

Nicole stała w korytarzu z dłońmi wsuniętymi głęboko w kieszenie spodni. Ze swym zawadiackim wyglądem i jasnymi włosami związanymi w koński ogon sprawiała wrażenie zbuntowanej dziewczyny.

– Czy ona naprawdę wierzyła, że jest jedną ze swoich pacjentek? – spytała.

– Tak, choć trudno w to uwierzyć – odparł Mark. Zapiął kurtkę na zamek błyskawiczny, ale niewiele mu to pomogło, bo w całym pomieszczeniu panował chłód. – Z niewiadomego powodu Ellen wmówiła sobie, że istnieje ktoś o imieniu Lara. Ponieważ jednak jej osobowość uniemożliwiała poznanie prawdy, wytworem jej wyobraźni stała się bezimienna pacjentka: jej – że tak powiem – podopieczna, która uciekała przed swoim prześladowcą. Przed kimś, na kogo silna lekarka powinna uważać. Żeby się upewnić, że to nie ona sama jest Larą, Ellen wymyśliła tę właśnie bezimienną kobietę, która stała się dla niej postacią realną. Była absolutnie przekonana, że kobieta istnieje i że się z nią spotkała. Szkoda, że pani nie widziała raportu lekarskiego, który Ellen napisała na temat swojego drugiego „Ja”.

– Ale mimo to jej szukała – wtrąciła Nicole, która też zaczęła marznąć. – Może to znaczyć, że do pewnego stopnia szukała swojego prawdziwego „Ja”. Czy mam rację?

– Tak – potwierdził Mark. – I właśnie to nie daje mi spokoju. Jeśli bowiem przez dziewiętnaście lat udawało jej się ukrywać Larę przed samą sobą, to dlaczego zaczęła jej nagle szukać? Coś musiało uszkodzić ten mechanizm. Chętnie bym się dowiedział, co to takiego było.

Przez kilka minut panowało niezręczne milczenie i tylko z sąsiedniego pomieszczenia dobiegał odgłos kapiących kropli. W końcu Nicole spytała Marka:

– Czy moglibyśmy już stąd wyjść?

– Tak, oczywiście. Myślę, że odpowiedzi będziemy musieli poszukać gdzie indziej.

Kiedy wyszli na powierzchnię i Mark odprowadził Nicole do samochodu, na dworze było już ciemno.

– Może pani u mnie zanocować – zaproponował. – Mogę odstąpić swoją kanapę albo polecić pokój w pensjonacie, jeśli pani woli.

Nicole machnęła ręką.

– Nie, dziękuję. To miłe z pana strony, ale myślę, że nie mogę Larze w niczym pomóc. Muszę wracać do domu. Mój mąż i dzieci już się pewnie martwią, gdzie się podziewam. Ale Larę będę odwiedzać tak często, jak to będzie możliwe.

Zanim zamknęła drzwi, jeszcze raz zwróciła się do Marka.

– A co pan teraz zrobi?

– Będę szukał odpowiedzi na pytanie, co u Lary wywołało takie, a nie inne reakcje.

Nicole oparła głowę o podgłówek i zamknęła powieki. Mark widział, że próbuje powstrzymać łzy. Kiedy ponownie na niego spojrzała, oczy miała zaczerwienione, ale suche.

– Do tego wszystkiego doszło z mojej winy, prawda?

– Nie – odparł Mark, kręcąc głową. – Obydwe znalazłyście się wtedy w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Za to nie może pani ponosić odpowiedzialności.

– Tak pan tylko mówi. Gdybym wtedy nie... – zaczęła Nicole, ale nie dokończyła zdania, tylko głęboko westchnęła. – Wreszcie udało mi się to z siebie wyrzucić. Wprawdzie nie odczuwam jeszcze całkowitej ulgi, ale myślę, że kiedyś mi się to uda.

Nie czekając na komentarz, zamknęła drzwi i ruszyła. Mark obserwował, jak wyjeżdża z parkingu, skręca w trasę szybkiego ruchu i znika wśród samochodów.

Tej nocy nie spał.

Rozdział 45

Promienie popołudniowego słońca wpadały do szpitalnego pokoju i oświetlały łóżko. Leżała na nim osoba, która wyglądała na istotę z innego świata.

Ciekawe, gdzie przebywa teraz myślami, zastanawiał się Mark, zamykając za sobą cicho drzwi. Kobieta, którą znał i kochał jako Ellen Roth, nazywała się teraz Lara Baumann. Takie imię i nazwisko widniały na tabliczce wiszącej przy drzwiach. Były mu najzupełniej obce, podobnie jak kobieta leżąca w pizamie na łóżku.

Nie pachniała już perfumami Eternity Calvina Kleina, które tak bardzo lubił, tylko środkiem dodawanym do wody dwa razy w tygodniu przez personel szpitala – w dni, kiedy pacjenci są kąpani. Krótka obcięta ciemne włosy – Ellen smarowała je zazwyczaj żelem, co nadawało im świeży wygląd, który świetnie pasował do jej osobowości – przylegały teraz do jej głowy.

Jednak najgorsza była dla niego pustka w jej oczach. Ellen wyglądała jak ktoś, kogo cielesna powłoka pozostaje w jednym miejscu, a jego duch krąży w innym świecie.

Mark domyślał się, że tak właśnie jest. Chętnie by się dowiedział, co to za świat i co sprawiło, że osobowość Ellen Roth całkowicie się rozpadła.

Wiedział niestety, że nie dowie się tego od kobiety, której tożsamość niemal zupełnie zniknęła. Ellen opuściła swoje ciało i przebywała gdzie indziej, gdzie nie istnieje przemoc i gdzie nie musi wyrzucać niczego z pamięci. Taką miał przynajmniej nadzieję.

Wiedział też, że po całym wysiłku, na jaki się zdobyła, i po tym, co oznaczał on dla jej zranionej psychiki, prawdopodobnie niezbyt szybko uda jej się wrócić do świata rzeczywistego. Jeśli w ogóle kiedykolwiek zdoła to uczynić.

Osobowość człowieka to jednak krucha rzecz, pomyślał. Usiadł na łóżku obok Ellen i wziął ją za rękę. Krucha jak szkło. Niekiedy zwykła choroba albo wspomnienie wystarczą, żeby to, co czyni człowieka istotą tak niezwykłą, zniszczyć i zamienić w pustą cielesną powłokę. Przypomniał sobie swoją babkę; wprawdzie dożyła sędziwego wieku, ale cierpiała na chorobę Parkinsona, która uczyniła z niej pozbawionego życia upiora.

Czy jednak powłoka, w którą Ellen przybrała kiedyś swoją tożsamość, jest naprawdę pusta? Może w tych wpatrzonych w pustkę oczach coś się jeszcze kryje?

Mark pogładził ją delikatnie po głowie, ale nie zauważył żadnej reakcji.

– Co się z tobą stało? – spytał cicho. Pytanie to zadał jednak bardziej sobie niż jej.

Siedzieli tak przez godzinę albo dłużej i wpatrywali się w okno.

Od tej pory robili to każdego dnia.

Rozdział 46

Było już późne popołudnie, gdy ktoś zapukał do pokoju lekarzy na Oddziale IX. Po chwili w drzwiach pojawiła się głowa siostry Marion.

– Przepraszam, panie doktorze, wiem, że zaraz kończy pan dyżur, ale jest tu ktoś, kto chciałby z panem porozmawiać.

Mark uniósł głowę znad papierów.

– Kto taki? – spytał. Poruszył w lewo i prawo głową, wydając przy tym nieprzyjemne chrupnięcie, i podrapał się po naprężonym karku.

– Nazywa się Pohl. Pytał o doktora Lorcha.

– Pohl? Nigdy o nim nie słyszałem.

– Twierdzi, że to ważne.

– Dobrze, proszę mu powiedzieć, że zaraz do niego przyjdę.

Mark z trudem tłumił ziewanie. Od kiedy Ellen doznała złamania nerwowego, prawie wcale nie spał. Przez cały czas intensywnie rozmyślał – zwłaszcza nocą, gdy wokół panowała cisza.

W ciągu dnia był przeciążony pracą. Zajmował się własnymi pacjentami i brał zastępstwa na Oddziale IX. Dzięki temu panował jakoś nad burzą myśli, ale czasem on też osiągał granice wytrzymałości nerwowej.

Niestety, musi jeszcze trochę wytrzymać. Wprawdzie Chris wraca z urlopu za trzy dni, ale Mark nie wyobrażał sobie, że od razu przejmie swoje obowiązki, zwłaszcza gdy się dowie całej prawdy o Ellen. Przecież nadal nie wie, co się stało. To będzie dla niego szok. Wszelkie próby skontaktowania się z nim, żeby w delikatny sposób przekazać mu tę przykrą wiadomość, zakończyły się niepowodzeniem.

Mark przeciągnął się, wypił ostatni łyk zimnej kawy i wyszedł na korytarz.

Przy wejściu stał mężczyzna. Mark ocenił, że może mieć około trzydziestu lat.

Miał na sobie luźną koszulę, markowe dżinsy i drogie obuwie sportowe. W oczy rzucała się jego opalenizna. Nie wyglądał na pacjenta Chrisa. Przypominał raczej kogoś, kto przyjechał do szpitala, żeby go zabrać na jogging albo na wspólną sesję w solarium.

– Pan Pohl? – spytał Mark, podając mu rękę. – Nazywam się Mark Behrendt. Doktor Lorch jest w tym tygodniu na urlopie. Czym mogę służyć?

– Dzień dobry – odparł Pohl, ściskając mu dłoń. Mark poczuł się, jakby ktoś wkręcał mu palce w imadło. – Przykro mi, że zabieram panu czas. Powinienem był zadzwonić, ale uznałem, że lepiej będzie, jeśli zajrzę tu osobiście.

– O co chodzi?

– Od wczoraj próbuję się skontaktować z Chrisem. W domu go nie ma, a jego telefon nie odpowiada.

– Chris przebywa na jakiejś australijskiej wyspie, gdzie nie ma zasięgu – odparł Mark, rozcierając dłoń. – W najbliższy weekend powinien być już z powrotem.

– Chris jest w Australii? – spytał Pohl, spoglądając na Marka zdziwionym wzrokiem.

– Tak, prawie od trzech tygodni. Z tego co wiem, towarzyszy w podróży swojemu przyjacielowi. Ma na imię Axel. Więcej niestety nie wiem.

Na twarzy Pohla pojawił się wyraz autentycznego zdumienia.

– Co takiego? Ale to... to niemożliwe.

– Dlaczego nie?

– Bo to ja jestem Axel.

Mark spojrział na niego takim wzrokiem, jakby trafił go piorun. Zmęczenie i napięcie błyskawicznie znikły.

– Słucham? Proszę powtórzyć.

– Nazywam się Axel Pohl. Wczoraj wróciłem do Niemiec, ale Chrisa ze mną nie było. Wprawdzie prosiłem go o to, ale...

– Nic nie rozumiem – przerwał mu Mark. – Czy to znaczy, że Chris nie jest w Australii?

– Na pewno nie był tam ze mną – stwierdził Pohl zdecydowanym głosem. – Panie doktorze, o co tu chodzi? Nigdzie nie mogę go znaleźć, a w hotelu dla personelu dowiedziałem się, że coś się przytrafiło Ellen. Portierka jest tam wprawdzie dość gadatliwa, ale nie do końca zrozumiałem, co mi opowiadała.

– To nie tak łatwo wyjaśnić – odparł Mark, pocierając skroń. Starał się zapanować nad rosnącą ciekawością. – Zwłaszcza po tym, co pan przed chwilą powiedział. Jeśli Chrisa z panem nie było, to co się z nim dzieje?

– Czy wspominał, że wybiera się ze mną na wyspę Hinchinbrook?

– Tak przynajmniej dał do zrozumienia Ellen. Odwiozła go nawet na lotnisko. Po co miałby ją okłamywać?

– No cóż – powiedział Pohl, drapiąc się po brodzie. – Być może miał jakiś powód. Tak mi się wydaje.

Mark poczuł, że puls mu przyspiesza.

– Niby jaki?

– Zanim wyjechałem na urlop, zachowywał się dość dziwnie. Nie wiem dlaczego, bo nie chciałem o tym mówić. Odniosłem jednak wrażenie, że mogło to mieć coś wspólnego z Ellen.

– Czy w jego zachowaniu coś na to wskazywało?

– Nie bezpośrednio. Kiedy spytałem go o plany urlopowe, odparł, że musi się jeszcze zająć jakąś prywatną sprawą i dlatego nie może ze mną lecieć. Potem od razu zmienił temat, jakby niezręcznie mu było o tym rozmawiać. Nie chciałem go dalej wypytywać, ale jego zachowanie wydało mi się strasznie dziwne. Zupełnie do niego nie pasowało. Pewnie sam pan go dobrze zna i wie, że Chris nie ma właściwie żadnych tajemnic.

Mark zmarszczył czoło. Czyżby się mylił, a jego teoria dotycząca choroby Ellen jest błędna? Może Chris odgrywa w tej historii zupełnie inną rolę niż ta, którą mu wcześniej przypisywał? Tylko jaką?

– Jak pan sądzi, o co mu chodziło? Może pokłócił się z Ellen?

Pohl miał niepewną minę.

– Nie wiem. Kiedy ich ostatnio razem widziałem, coś mnie tknęło. Coś wisiąło w powietrzu jak ciemna chmura i wyraźnie to czułem.

Mark instynktownie pomyślał o Czarnym Ludzie. Jak to Ellen powiedziała? „Praktycznie rzecz biorąc, może to być każda osoba z mojego bliskiego otoczenia. Wie, dokąd chodzę biegać, gdzie mieszkam, zna numer mojej komórki i wie, jak bardzo lubiłam Sigmunda”.

Mark poczuł, jak przeszedł go dreszcz.

– Czy był pan dziś w domu Chrisa? – spytał.

– Nie – odparł Pohl, kręcąc głową. – Pomyślałem, że może przełożył urlop i znajdę go w klinice. Znamy się z Chrisem jeszcze z wojska. Jeśli jemu albo Ellen przytrafiło się coś złego, musi mi pan o tym powiedzieć.

– Jeszcze przed kilkoma minutami byłem święcie przekonany, że podróżuje razem z panem. Coś tu się nie zgadza – stwierdził Mark, drapiąc się po karku.

– Kiedy rozmawiałem z tamtą portierką... – zaczął Pohl i przełknął ślinę. – Krążą pogłoski, że Ellen nie żyje. Czy to prawda?

– Nie – odparł Mark. – To znaczy, pod względem fizycznym, cielesnym. To dość skomplikowana sprawa.

– Czy Chris ma z tym cokolwiek wspólnego?

Mark wzdrygnął się.

– Obawiam się, że tak – stwierdził. – Nie potrafię jednak dokładnie powiedzieć, w jaki sposób. Najlepiej będzie, jeśli on sam nam to wyjaśni. Co by pan powiedział, gdybyśmy razem pojechali do jego mieszkania i tam spróbowali dowiedzieć się prawdy? Po drodze opowiem, co się wydarzyło. Przynajmniej o tym, o czym wiem.

Pohl zmarszczył czoło, spuścił oczy i przez chwilę milczał. W końcu skinął głową.

– Zgoda. Pojedźmy tam.

Mark wrócił do biura i wziął kurtkę. Kiedy brał klucz z biurka, przewrócił filiżankę z resztką zimnej kawy. Czarna ciecz rozlała się na biurko i podłogę. Widok ten przypomniał mu krew kota, którą opisywała mu Ellen. Przypomniał też sobie jeszcze jedno zdanie, które wtedy powiedziała.

„Doszło do tego, że zaczęłam podejrzewać nawet Chrisa”.

Rozdział 47

Ostatnie promienie zachodzącego słońca wczepiały się w ściany domu doktora Lorcha jak palce pijaka. W końcu ześlizgnęły się z nich i roztopiły w ciemnościach.

Axel Pohl zaparkował samochód po przeciwnej stronie ulicy i głęboko odetchnął. Wydawało się, że blask ulicznych lamp zmazał z jego twarzy całą opaleniznę.

– Przecież to chore – skomentował opowieść Marka. – Całkowicie chore. Zawsze mi się wydawało, że takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach. Czy Ellen nic nie pamięta?

– Na razie jest w stanie całkowitej apatii – odparł Mark. – Wiem, że to wszystko brzmi niewiarygodnie.

– Uważa pan, że to Chris mógł wyzwolić w Ellen taką reakcję? – spytał Pohl, patrząc przenikliwie na Marka. – Twierdzi pan, że prowadził z nią jakieś psychologiczne gierki, bo mu się wydawało, że coś z nią nie jest w porządku?

– Nie wiem, ale musiał istnieć jakiś powód, dla którego ją oszukał.

– To naprawdę dziwne – powiedział Pohl, drapiąc się po głowie. – To niepodobne do Chrisa Lorcha, którego znam. To nie ten typ człowieka, który działa w ukryciu. Poza tym od zawsze nie cierpiał kłamstw. Zdefiniuj problem, staw mu czoło i nie uciekaj przed nim – tak brzmiało jego motto. Chris zawsze mi pomagał, zwłaszcza w okresie, gdy rozstałem się z Sabiną. Dlatego nie potrafię sobie wyobrazić sytuacji, w której Chris udaje psychopatę, aby poddać Ellen terapii szokowej.

– Dopóki nie dowiemy się, co się wydarzyło, nie powinniśmy takiej ewentualności wykluczać – odparł Mark. – Może próbował ją skonfrontować z jej najgorszym koszmarem i wszystko wymknęło mu się spod kontroli? Mogło też być zupełnie inaczej. W każdym razie na pewno nie bez powodu wmawiał jej, że wyjeżdża do Australii.

Pohl pokiwał w zamyśleniu głową i odpiął pas bezpieczeństwa.

– Chodźmy sprawdzić, czy już wrócił.

Wysiedli z samochodu i podeszli pod dom, który stał na zachodnim skraju małej wioski o nazwie Ulfingen w pobliżu góry Mägdeberg. Dom stanowił przykład dawnej sztuki budowlanej szwabskich mistrzów i miał co najmniej sto lat. Kiedy Chris odziedziczył go po ojcu, dokonał licznych zmian zarówno w środku, jak i na zewnętrznej fasadzie. Mark przypomniał sobie rozmowy z Chrisem na temat nowoczesnych systemów izolacji cieplnej, obiegu wody, baterii słonecznych i nieszkodliwych dla środowiska urządzeń grzewczych. Chris często rozmawiał na ten temat z innymi lekarzami na stołówce w przerwie na lunch. Jednak mimo nowinek technicznych, które zastosował Chris, dom nie stracił swego dawnego uroku. Tylko panele słoneczne na dachu wyglądają na tle całości jak ciało obce.

Kiedy przeszli przez ogrodowe drzwi, Mark poczuł, że nagle sztywnieją mu mięśnie. Na widok ciemnych okien w jego głowie włączył się sygnał alarmowy. Nie wiedział dlaczego, ale miał wrażenie, że ktoś ich obserwuje.

Trzy razy naciskali guzik dzwonka, ale nikt im nie otworzył. W domu panowały całkowite ciemności.

– Panowie do kogo?

Obaj odwrócili się jak na komendę i ujrzeni starszego mężczyznę. Stał przy drzwiach prowadzących do ogródka i trzymał jamnika na smyczy. Ze swoją łysiną i białą brodą skojarzył się Markowi ze Świętym Mikołajem, który zapomniał zabrać z domu czerwoną czapę.

– Do pana Lorcha.

– Nie ma go w domu. W tym tygodniu pana doktora nie będzie. A kim panowie jesteście?

– Jego przyjaciółmi – odparł Pohl, a Mark dodał, że kolegami z pracy.

– No to kim w końcu? Przyjaciółmi czy kolegami z pracy?

– Ja jestem jego kolegą z pracy, a pan Pohl jest jego przyjacielem – westchnął Mark. – A pan, jak widać, jest jego czujnym sąsiadem. W takim razie może nam pan powie, kiedy widział pan doktora Lorcha ostatni raz?

– Jakies trzy tygodnie temu – odparł człowiek o wyglądzie Świętego Mikołaja. – Oboje wyjechali chyba na urlop, ale nic mi o tym nie wspominali. A przecież każdy się cieszy, jeśli sąsiad zwraca uwagę na dom. Mamy tu taki sąsiedzki program dozoru, jeśli pan wie, co mam na myśli.

Mężczyzna wskazał przy tym z dumą na jamnika, jakby zamiast niego prowadził na smyczy dobermana.

Mark i Pohl wymienili spojrzenia, podziękowali mężczyźnie za informacje i wsiedli z powrotem do samochodu.

– Coś mi tu nie gra – powiedział Mark. – Pan też chyba odniósł takie wrażenie. Mam rację?

Pohl skinął głową.

– Zgadza się. Po co Chris miałby udawać, że musi zadbać o Ellen, żeby potem na długie tygodnie zniknąć mi z oczu? Coś się tu nie zgadza.

– I co teraz? – spytał Mark.

– Domyślam się, że myśli pan o tym samym – odparł Pohl i skinął głową w kierunku domu Chrisa. Starszy mężczyzna nadal stał tam z psem i przyglądał im się podejrzliwie. – Przejedziemy się po okolicy, a potem spróbujemy wejść do domu od tyłu. Niech pan sięgnie do schowka, musi tam być latarka. Jeśli nie, mam zapasową w bagażniku.

Zaparkowali w bocznej uliczce i podeszli pod tylną ścianę domu. Uważali przy tym, aby nie natknąć się na kolejnego strażnika uczestniczącego w sąsiedzkim programie dozoru.

Mark spojrział na oszklony taras, o którym wcześniej tak często opowiadała mu Ellen – gdy jeszcze nią była. Podeszedł do drzwi tarasowych, które prowadziły na podest wyłożony terakotą.

– Czy jest tu jakieś urządzenie alarmowe? – spytał szeptem Mark.

– Nie – odparł Pohl, kręcąc głową.

– Skąd pan wie?

– Prowadzę sklep ze sprzętem elektrycznym – odparł Pohl z szerokim uśmiechem. – Gdyby Chris chciał tu takie urządzenie zamontować, kupiłby je u mnie.

Mimo tych zapewnień Mark zauważył, że Pohla opuściła wcześniejsza pewność siebie.

– Mówiąc szczerze, nie czuję się zbyt dobrze, robiąc coś takiego – stwierdził.

– Ja też nie – zapewnił go Mark. – Ale nie mam innego pomysłu, żeby się dowiedzieć, gdzie w tej chwili przebywa Chris. Może właśnie w domu znajdziemy jakieś wskazówki.

– Nie będzie zachwycony, jeśli nas tu nakryje.

– Ale przynajmniej czegoś się dowiemy.

– Znowu ma pan rację – westchnął Pohl. – W takim razie, skoro już się tu razem włamujemy, odłóżmy konwenanse na bok i mówmy sobie na ty.

– W porządku – zgodził się Mark.

Obejrzał drzwi, ale nie wiedział, jak je otworzyć od zewnątrz. Skinął głową Axelowi, przyłożył łokieć do jednej z szybek w drzwiach i uderzył w nią. Dźwięk tłukącego się szkła zabrzmiał głośniejsz, niż Mark się spodziewał. Prerażony czekał na to, co się teraz zdarzy. Na szczęście wokół panowała cisza. Prawdopodobnie wszyscy mieszkańcy Ulfingen byli w tej chwili zajęci tym samym, to znaczy siedzieli wygodnie na kanapie i oglądali telewizję.

Mark wsunął ostrożnie rękę przez otwór w drzwiach i otworzył je od wewnątrz. Przeszli przez okruszki szkła i taras, który przypominał w tej chwili raczej składzik z rolkami tapet, puszkami farb i stołem do smarowania tapet. W końcu weszli do salonu. W świetle latarek

pokój wydał im się bardzo duży i zrobił na nich upiorne wrażenie. Wszędzie pachniało świeżą farbą.

– Chris?

Na dźwięk własnego głosu Mark się wzdrygnął.

– Chris, jesteś tutaj?

Cisza.

– Można się było tego spodziewać – stwierdził Axel, wzruszając ramionami.

Mark podszedł do stolika przy kanapie. Na stosie gazet i katalogów reklamowych leżał rozłożony folder turystyczny. Na tylnej okładce znajdował się napis:

WYJAZDY INDYWIDUALNE – NAJKORZYSTNIEJSZE CENY AUSTRALIA, NOWA ZELANDIA, WYSPIY COOKA

Mark wziął folder do ręki i spojrzał na otwartą stronę ze zdjęciem przedstawiającym przepiękną plażę. Jak to często bywa na tego rodzaju zdjęciach, na pierwszym planie znajdowała się ogromna muszla i jasna plaża. Podpis pod zdjęciem brzmiał następująco:

HINCHINBROOKISLAND – URLOP W RAJU

Kiedy Mark odkładał folder na miejsce, drżały mu ręce.

– Co jest? – spytał Axel, oświetlając latarką tytułową stronę folderu. Kiedy przeczytał jej treść, gwizdnął przez zęby. – A więc jednak!

– Musieli tu siedzieć razem na kanapie – szepnął Mark i od razu wyobraził sobie, jak Chris i Ellen siedzą objęci i rozmawiają o wymarzonym urlopie w r a j u. Obok folderów stała pusta butelka po czerwonym winie Merlot i dwa brudne kieliszki. Niemi świadkowie, którzy potwierdzali jego domysły.

– Popijali wino i rozmawiali o czarodziejskiej australijskiej wyspie – mruknął Mark bardziej do siebie niż do Axela. – Tyle że Chris wcale tam nie poleciał. I dlatego chcę się dowiedzieć, dlaczego nam to wmawiał.

Ostrożnie przeszli do kuchni. Okno przy stole wychodziło na niewielki ogródek. Ujrzeni w nim trzy grządki dziczających warzyw, które nadal czekały, aż ktoś się nimi zajmie.

– Czujesz? – szepnął do Marka Axel. – Coś tu pachnie.

– Tak – potwierdził Mark. – Jakiś taki słodko-gryzący zapach.

Mark wstrzymał oddech i w milczeniu przesunął światłem latarki po kuchennych meblach. Z ciemności wyłoniły się nieumyte talerze i filiżanki. Słychać było brzęczenie much.

Mark ruszył w stronę, z której dobiegało. Kiedy promień światła latarki dotarł do zmywarki do naczyń, jego ręka zadrżała. Stał tam garnek, a jego zawartość pokrywała gruba warstwa białej pleśni.

Mark wydał okrzyk pełen obrzydzenia. Jednocześnie poczuł ulgę. Cofnął się o krok i powiedział:

– To było kiedyś ravioli.

Axel spojrzał mu przez ramię.

– Raczej pierogi z mięsem – odparł.

– Dlaczego tak myślisz?

– Chris lubi tę potrawę. To lokalny przysmak, a on jest nieodrodnym synem tego regionu.

Mark ponownie zajrzał do garnka.

– Wszystko wskazuje na to, że od dłuższego czasu nikt tutaj nie gotował.

Wzdrygnął się i przeszedł przez salon do przedpokoju.

– Sprawdźmy na górze – zaproponował Axel.

Na piętrze znajdowała się sypialnia i dwa pomieszczenia. Ich wyposażenie wskazywało na to, że miały to być gabinety Chrisa i Ellen. Doktor Ellen Roth nie będzie już potrzebować żadnego gabinetu, pomyślał Mark.

Obok gabinetów była łazienka.

Eternity.

Już na samą myśl o perfumach Ellen serce Marka zaczęło bić przyspieszonym rytmem. Przez chwilę zdawało mu się, że jest bardzo blisko niej, choć zarazem było mu wstyd, że włamał się do tego domu. Każde z tych pomieszczeń przypominało mu, że jest intruzem. Obaj z Pohlem niczego tu nie zgubili, a przecież...

Sam zaczynam odpędzać od siebie niektóre myśli, stwierdził. Wmawiam sobie, że chodzę po jej domu jak jakiś szpieg, chociaż dobrze wiem, że jesteśmy tu z zupełnie innego powodu.

Coś tu nie gra.

Coś się tu wydarzyło.

Czuję to.

Zaczynam odpędzać od siebie tę myśl, bo się boję tego, co tu znajduję.

Axel rozejrzał się po sypialni i wrócił do Marka.

– Znalazłeś coś?

– Nie, ani śladu Chrisa. Nic nie wskazuje na to, żeby tu ostatnio był.

– Ja też nic nie znalazłem – odparł Pohl. – Udało mi się za to znaleźć dowód na to, że Chris nie wyjechał. Na szafie w sypialni leży jego walizka na kółkach.

– I co z tego? Przecież mógł zabrać inną.

– Na pewno nie nasz poczciwy Chris. Z tą walizką objechał już pół świata. Bali, Hongkong, Irlandię, Włochy. Trzyma się tylko dzięki nalepkom z różnych krajów. Na pewno by ją zabrał, nawet do Australii. Nigdy nie udało mi się go przekonać, żeby podróżował z plecakiem. Możesz mi wierzyć.

– Okej – westchnął Mark. – W takim razie prawdopodobnie nie wyjechał. Ale co to może znaczyć? Może pokłócił się z Ellen? Może wyjechał w wielkim pośpiechu?

– Gotów jestem przyjąć takie wyjaśnienie – stwierdził Axel. – Brzmi to w każdym razie bardziej wiarygodnie niż jakaś gra w Czarnego Luda.

Axel podszedł do schodów. Mark schodził po nich zamyślony.

– I co teraz? – spytał. – Przeszukaliśmy wszystkie pomieszczenia.

– Nie wszystkie – odparł Axel, otwierając obite tapetą drzwi pod schodami. – Wprawdzie nie sądzę, żebyśmy w piwnicy znaleźli jakiś punkt zaczepienia, ale tam też powinniśmy zajrzeć.

Kiedy otwarli drzwi, z piwnicy buchnął kwaskowaty zapach wina. Mark poczuł też inną woń, ale nie potrafił jej bliżej określić. Przypominała zapach mieszanki wysokoprocentowego alkoholu, nadgniętego drewna i zepsutych owoców.

– Kontakt nie działa – stwierdził Axel po kilku nieudanych próbach włączenia światła. – Sprawdź bezpieczniki. Skrzynka jest z tyłu, za garderobą.

Kiedy Axel wyszedł, Mark zszedł ostrożnie kamiennymi schodami w dół. Wszystko wskazywało na to, że Chris nie zaczął jeszcze remontu piwnicy. W świetle latarki Mark zauważył na stopniach kilka puszek z farbą. Jedna z nich się przewróciła i farba się z niej wylała.

Przypominała zaschniętą krew. Był to przerażający widok.

LAKIER BEZBARWNY DO DREWNA – przeczytał Mark na etykiecie. Nic dziwnego, że tu tak mocno pachnie, pomyślał.

Na niższym stopniu stała aluminiowa drabina oparta o ścianę, a na kolejnym skrzynka z narzędziami, na której leżała wiertarka.

Na samym dole panowały zupełne ciemności. Dopiero po chwili światło latarki zdołało się przez nie przebić.

Mark dostrzegł dwa kartony. Na jednym z nich ktoś czarnym mazakiem napisał „Książki Chrisa”, a na drugim – dziecięcą kredką „Różne rzeczy”. Napis na drugim pudle wykonała osoba o charakterze pisma takim samym, jaki miała Ellen. Obok tekstu Mark zauważył emotikonek symbolizujący uśmiech. On też wskazywał na to, że słowa „Różne rzeczy” napisało dziecko. Uśmiechnięta buźka pokazywała język, miała odstające uszy i trzy włosy sterczące na głowie jak antenki.

Karton z napisem „Różne rzeczy” był otwarty i o wiele starszy niż te, które Mark widział na wyższych kondygnacjach.

Mark zobaczył w nim lalki, zabawki z gałganków i mnóstwo zakurzonych książek. Autorką większości z nich była angielska pisarka Enid Blyton. Mark znalazł wśród nich kilka książek z serii *The Famous Five* oraz *St. Clare's*. Poza tym rzuciły mu się w oczy dwa albumy ze zdjęciami: jeden o koniach, drugi o kotach.

Książki dla dziewczynek, pomyślał. *Typowe książki dla dziewczynek z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Książki, które w dzieciństwie czytała jako Lara.*

Przypomniała mu się książka z baśniami, a w niej obrazek Czerwonego Kapturka, który ucieka przerażony na widok złego wilka. Przypomniał sobie też pentagram, który Lara namalowała na tym obrazku kredką świecową, aby w ten sposób odegnać zło.

Przed kilkoma dniami przypomniał sobie, co Ellen opowiadała mu o tej książce, gdy zabrał ją z podziemnego parkingu. Odwiedził potem antykwariat Alexandra Eschenberga i odkupił od niego tę książkę. Właściciel był na tyle uprzejmy, że odsprzedał mu ją za dziesięć euro, bo tyle samo zapłacił Chrisowi.

Zakup był swego rodzaju aktem rozpacz, jakby Mark spodziewał się, że książka kryje odpowiedź na pytania dotyczące stanu, w jakim znajdowała się Lara. Od tamtego czasu często oglądał ten obrazek, studiował go całymi godzinami z nadzieją, że w końcu znajdzie jakiś punkt zaczepienia, coś, co będzie wykraczać poza symbolikę wykorzystania dziewczynki.

Ellen była przekonana, że książka jest przesłaniem od Czarnego Luda. Jednak prawda była taka, że leżała ona w kartonie z napisem „Różne rzeczy”. Mark w zamyśleniu spojrzął na pudło.

Co się z tobą stało, gdy znalazłaś tę książkę w starym kartonie? Przeraziłaś się? Tak, na pewno. Ale przecież udało ci się w dużej mierze wyprzeć przeszłość ze świadomości, więc skąd mogłaś wiedzieć, kim jest Czerwony Kapturek z obrazka?

Z tego samego powodu zły wilk nie mógł się zamienić w twoich snach w czarnego psa.

Mam rację? Tak to właśnie było?

Chris też musiał zauważyć, że książka ożywiła w Ellen jakieś wspomnienia. Mark próbował sobie wyobrazić, jak mogła na to zareagować. Nagle aż się wzdrygnął z przerażenia.

To przecież oczywiste! Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? Teraz już nawet wiem, co się wtedy zdarzyło!

Mark przypomniał sobie poblądlą twarz Ellen i jej niezwykle poirytowanie, gdy spotkał ją w stołówce kliniki i chciał sobie z niej zażartować. Było to w poniedziałek, przed czterema tygodniami. Dokładnie na tydzień przed rzekomym wyjazdem Chrisa do Australii. Uznał wtedy, że Ellen jest zmęczona i przepracowana, bo razem z Chrisem przez cały weekend remontowali dom. Jednak teraz doszedł do wniosku, że znalazł prawdziwy powód jej poirytowania. W tamten weekend Ellen na pewno znalazła tę książkę i od tej pory nie dawała jej ona spokoju. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jej mechanizm obronny nadal sprawnie funkcjonował i utrzymywał ją w przekonaniu, że jest kobietą o imieniu Ellen, a nie Larą, ale świadomość zaczęła jej podpowiadać, że coś się nie zgadza.

Być może właśnie to miał na myśli Chris, gdy powiedział Axelowi, że musi coś wyjaśnić. Chris zauważył niepokój Ellen i na pewno starał się dociec jego przyczyny. Jeszcze w tym samym tygodniu sprzedał książkę w antykwariacie. Eschenberg przypomniał sobie o tym, gdy Mark go o to zapytał.

Chris mógł tę książkę po prostu wyrzucić do pojemnika na śmieci, ale Mark domyślił się, dlaczego tego nie zrobił. Odpowiedzi dostarczył mu sam antykwariusz. Eschenberg przypomniał sobie, że Chris powiedział mu wtedy, iż chce za otrzymane za nią pieniądze zamienić złe wspomnienie na nowe i piękne. Wydało mu się to dość niejasne, ale nie przywiązywał do słów Chrisa zbyt wielkiej wagi. O wszystkim przypomniał sobie dopiero wtedy, gdy na twarzy młodej kobiety, która później go odwiedziła, ujrzał przerażenie – zaraz potem wybiegła z antykwariatu.

Mark przypomniał sobie, co psychiatria nazywa „Umową” między Opiekunem a Klientem. Przecież Chris też jest psychiatrą. Może obiecał Ellen, że usunie z jej życia książkę, która wzbudza w niej tyle strachu, i zastąpi ją czymś przyjemnym? Może Chris miał nadzieję, że tym symbolicznym aktem sprawi jej ulgę i dzięki temu Ellen będzie w stanie porozmawiać z nim o przyczynach swego strachu?

Na jego miejscu próbowałbym zrobić to samo, pomyślał Mark. Sprzedałbym książkę, żeby za uzyskane pieniądze zamienić negatywne wspomnienie w pozytywne. Na przykład poprzez zakup prezentu albo wyjazd w egzotyczną podróż. Zrobiłbym coś, co by się jej spodobało. Potem spróbowałibyśmy razem znaleźć przyczynę jej strachu.

Na myśl o tym Mark znowu się wzdrygnął.

Czy przypomina Chrisa? Może Ellen się w nim zakochała, gdy Chrisa nie było w pobliżu?

Przeszedł go dreszcz, ale natychmiast odrzucił tę myśl. O wiele ważniejsze jest to, co zdarzyło się potem. Coś musiało pójść źle i Chris gdzieś zniknął. Tylko dlaczego i gdzie?

Zastanawiał się nad tą sprawą, gdy nagle usłyszał kroki. To Axel schodził na dół.

– Bezpieczniki są w porządku. To chyba coś nie tak z przewodami. Za to znalazłem coś w garderobie. Popatrz.

Axel oświetlił latarką przedmiot, który trzymał w ręce. Na jego widok Mark wzdrygnął się. Była to czarna maska narciarska, taka sama, jaką według Ellen nosił Czarny Lud.

Ale przecież sama zapewniała, że Chris nie jest człowiekiem w masce.

– Może Chris ją zakłada, gdy uprawia jogging – zasugerował Axel. – Kiedy ktoś biega po lesie zimą, może porządnie zmarznąć.

– Tak – odparł Mark i skinął odruchowo głową. – To całkiem możliwe.

– Nadal upierasz się przy teorii o psychologicznych gierkach?

– Nie jestem pewien, ale na razie nie mogę jej całkowicie wykluczyć. A może ty masz jakiś pomysł?

Axel wzruszył ramionami.

– Już sam nie wiem, co myśleć. Znalazłeś tu cokolwiek?

– Tylko pudełko, w którym Ellen trzymała swoje książki dla dzieci – odparł Mark. Gdy wypowiedział to zdanie, na coś nastąpił i usłyszał chrzęst pod nogami. Odwrócił się i skierował promień światła na podłogę.

– Co jest? – spytał Axel, podchodząc bliżej.

– Okruchy szkła. To chyba z butelki po winie.

Axel oświetlił latarką półkę z winem. Prawa połowa stojących w rzędzie butelek była oczyszczona z kurzu i pajęczyn. Kiedy przesunął światło latarki dalej, ich oczom ukazał się widok, który sprawił, że Markowi krew zastygła w żyłach.

– O cholera! – jęknął Axel.

To był Chris. Stał oparty plecami o ścianę jak jakiś pijak, tuż przy półce z winem, niecałe trzy kroki od Marka. W świetle latarki jego krótko obcięte włosy lśniły prawie biało, jakby od

dnia ich ostatniego spotkania Chris postarzał się o lata. Gdyby jego ciało nie było zniekształcone przez proces gnilny, można by pomyśleć, że się upił i zasnął na stojąco.

Mark patrzył w stężoną twarz zmarłego jak sparaliżowany. Niegdyś niebieskie oczy pokryła mleczna powłoka, szczęka opadła, jakby Chris krzyczał coś bezgłośnie, a niezliczona liczba żyłek tworzyła niebieskawą siatkę pod skórą zdeformowaną pęcherzami gnilnymi.

Kiedy Chris żył, bardzo dbał o swój wygląd. Tymczasem śmierć zmieniła go w przerażającą parodię siebie samego. Koszula, która podkreślała jego wysportowaną sylwetkę, opinała nabrzmiałą klatkę piersiową, jakby chciała ukryć ten przerażający widok.

Także markowe dzinsy były rozdęte jak ponadwymiarowy flak od kiełbasy i przesiąknięte płynami, które wydzieliły się w procesie gnicia przez wszystkie pory. Ciało pozostawało w pozycji stojącej tylko dlatego, że Chris nadział się karkiem na odstający od ściany gwóźdź.

Mark zaczął się krztusić. Miał wrażenie, jakby całe pomieszczenie wokół niego zawiroowało. Usłyszał, jak Axel biegnie schodami na górę, a chwilę potem dobiegł go charakterystyczny odgłos: Axel wymiotował na stopnie.

Mark też miał ochotę stamtąd uciec, ale nie mógł oderwać wzroku od Chrisa. Wyrządził mu krzywdę, uważał go za kłamcę, a przecież jego rzekoma podróż była niczym innym, jak tylko wytworem chorej wyobraźni.

Mark zrozumiał, że uwierzył Ellen tylko dlatego, iż chciał jej wierzyć. Przecież to takie oczywiste.

Cóż innego mogło być dla Lary na tyle straszne, że nie mogła już wspierać swojego alter ego – Ellen? Zabiła Chrisa.

Mark nie znał się na patologii, ale był przekonany, że na klatce piersiowej Chrisa lekarz dokonujący obdukcji znajdzie dwa krwiaki. Będą od siebie oddalone na taką samą odległość jak rozłożone dłonie Lary. Powstały, gdy w chwili nagłego przyływu siły Ellen nadział Chrisa na gwóźdź.

Ale dlaczego to zrobiła? Może w afekcie? Czyżby oboje...

Mark wydał cichy okrzyk, bo w tym samym momencie domyślił się prawdy. Odwrócił się i oświetlił latarką sufit. W końcu znalazł to, czego szukał. Gołą żarówkę wiszącą na kawałku drutu. Wykręcił ją z oprawki i oświetlił latarką. Żarówka była przepalona.

Przez głowę przeleciało mu błyskawicznie mnóstwo różnych obrazów: żarówka, karton, butelka wina, kieliszki stojące na stoliku przy kanapie, rozbita butelka na podłodze, półka na książki, zwłoki Chrisa.

Za pieniądze pochodzące ze sprzedanej książki kupił butelkę wina, poszedł do biura podróży i przyniósł z niego foldery. Siedzieliście na kanapie i marzyliście o tym, co zrobicie, gdy skończycie remont domu. Śmiaлиście się, piliście wino i nabraliście ochoty na drugą butelkę. Razem zeszliście do piwnicy.

Nie czułaś się tu zbyt dobrze, prawda? Przez cały czas myślałaś o Czerwonym Kapturku, którego znalazłaś dwa dni wcześniej. Wtedy tamte wspomnienia były nadal głęboko ukryte, ale powoli się już za tobą skradały.

Usunęliście pajęczyny z półki, zdjęliście z niej butelkę wina i właśnie wtedy to się stało. Wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Przepaliła się żarówka. Staliście w ciemnościach. Ty stałaś w ciemnościach, w piwnicy, jak kiedyś, w lesie. Nagle ktoś cię dotknął. Bardzo się przestraszyłaś i nie skojarzyłaś, że to Chris.

Może chciał cię podtrzymać na duchu, bo wpadłaś w panikę. Na pewno krzyczałaś, jak wtedy, w piwnicy Sallingerów. Potem ujrzałaś przed sobą Czarnego Luda. Tym razem wystarczyło ci sił, bo teraz jesteś już dorosłą kobietą.

A gdy sobie uświadomiłaś, co zrobiłaś, znowu stałaś się Ellen. Silną, walczącą kobietą, dla której czymś strasznym jest to, gdy ktoś pozbawia ją kontroli nad samą sobą.

– Czy to ona to zrobiła? – spytał Axel, pochylając się nad stopniami schodów, po których ściekały jego wymiociny. – Czy to Ellen go zabiła?

– Nie – odparł Mark. – Zabiła go Lara, która potem znowu stała się Ellen. Tym razem nie wystarczyło jej sił, żeby odeprzeć potęgę zła. Piwnica jej umysłu, w której Ellen ukryła przed sobą historię Lary, przepełniła się.

Mark był już tak osłabiony, że zsunął się powoli na zakurzoną podłogę wyłożoną kafelkami. Szlochając, ukrył twarz w dłoniach. Oczami wyobraźni widział przed sobą Ellen.

Teraz już wiesz, zdawała się do niego mówić. Teraz już wiesz i dobrze, że tak jest.

Mark zawył i opuścił ramię na kolano. Latarka upadła mu koło buta, strumień światła oświetlał zepsutą żarówkę. To ta cholerna zepsuta żarówka była kroplą, która przepełniła czarę.

Był to tak makabryczny zbieg okoliczności, że Mark miał ochotę głośno się roześmiać. Dokonał odkrycia: znalazł bodziec, który wywołał reakcję. Mały kawałek wolframu, który pękł w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

W tym momencie Mark usłyszał łomotanie do drzwi i krzyki dochodzące z parteru.

– Jeszcze nam tego brakowało – jęknął Axel, gdy usłyszał, że z góry ktoś woła:

– Nie ruszać się! Policja!

Rozdział 48

Wczesnym rankiem Mark i Axel opuścili komisariat i wyszli na wolność. Prawie przez całą noc przesłuchiwał ich komisarz policji, niejaki Kronenberg. Wypytywał ich o to, co się wydarzyło w domu doktora Lorcha. Z początku traktował ich jak podejrzanych, ale Mark szybko mu wyjaśnił okoliczności, w jakich doszło do śmierci Chrisa.

Komisarz przysłuchiwał mu się ze zdumieniem i ciągle zadawał pytania. Kiedy w końcu wszystkiego się dowiedział, wszyscy trzej odczuwali to samo: zmęczenie, zdumienie i szok.

Mark wyszedł na ulicę, oparł się o latarnię i zaczął wdychać świeże ranne powietrze. Axel spoglądał na niego podkrążonymi i zaczerwienionymi oczami. Tak samo wyglądają chirurdzy po nocnej zmianie.

– Mogę tylko powiedzieć, że jest to najbardziej niezwykła historia, o jakiej kiedykolwiek słyszałem.

Mark potarł dłonią skroń. Był wyczerpany jak nigdy przedtem, a zarazem zbyt wzburzony, żeby w ciągu kilku najbliższych godzin zasnąć. Kiedy zaczął przetrząsać kieszenie kurtki w poszukiwaniu papierosów, Axel podsunął mu paczkę marlboro. Mark wyjął jednego. Pohl podał mu ogień, sam też włożył papierosa do ust i spojrzął w niebo.

Od wschodu sunęły kłęby chmur przypominające kształtem stado owiec. Poranna zorza otuliła je radosnym fioletem.

Jakie to nierzeczywiste, pomyślał Mark. Tak, to chyba najlepsze określenie. W dzisiejszych czasach wszystko wydaje się nierzeczywiste. Tylko czy ktoś jest w stanie stwierdzić, co jest, a co nie jest rzeczywiste?

Zdawało się, że Axel jest pogrążony w podobnych rozmyślaniach. Zdradzał to jego wzrok, gdy zwrócił się do Marka z pytaniem:

– Czy ona ma jeszcze jakąkolwiek szansę na normalne życie?

– Szansa istnieje zawsze. To tylko kwestia czasu. Jeśli zrozumie, że jest Larą, a nie Ellen, będzie jej można pomóc. Będzie miała szansę na nowy początek.

– Ale do końca nie jesteś pewien?

Mark rzucił papierosa na ziemię i rozdeptał go czubkiem buta, trochę mocniej, niż to było konieczne.

– Zadaję sobie to pytanie od chwili, gdy zrozumiałem, co się z nią stało. Nie jestem jeszcze pewien. W najgorszym wypadku do końca życia będzie cierpieć na zaburzenia. Nie jest to takie nieprawdopodobne, jeśli weźmiemy pod uwagę, jak długo trwała jej fuga. Mogło być tak, że przez długi czas była zupełnie nieświadoma swojego prawdziwego „Ja” i dlatego może już nigdy nie odnaleźć swojej prawdziwej tożsamości. Jednak ciągle wierzę, że tak nie jest, choć do końca nie mogę tego wykluczyć.

– A ty? – spytał w zamyśleniu Axel. – Jak się po tym wszystkim czujesz?

Mark wzruszył ramionami i spojrzął na rozdeptany niedopałek.

– Nie mam pojęcia. Myślę, że muszę najpierw nabrać pewnego dystansu do wszystkiego. Niedawno zaproponowano mi stanowisko w innej klinice. Chyba zadzwonię i spytam, czy oferta nadal jest aktualna.

– A dlaczego nie chcesz tu zostać, żeby się nią zająć? Trafiłaby w najlepsze ręce.

– O, nie! – odparł Mark, kręcąc energicznie głową. – Byłbym dla niej chyba najgorszym z możliwych terapeutów. I wcale nie chodzi o moją zranioną dumę albo o to, że dałem się zwieść, bo nie zauważyłem jej zaburzeń. Prawdziwy powód jest taki, że któregoś dnia mógłbym wpaść na pomysł, aby z Lary uczynić Ellen. Albo kogoś, kogo chciałbym w niej widzieć. I nawet gdybym starał się z tym walczyć, mógłbym – nawet całkiem podświadomie – próbować zachować coś z dawnej Ellen. Tym samym pozbawiłbym Larę szansy. W tej

sprawie jestem, jak to się ładnie mówi, zainteresowaną stroną. – Mark westchnął głęboko. – Uważam, że uczyniłem już dla niej wszystko, co mogłem. Rozumiesz, co mam na myśli?

Axel spojrzał na niego badawczym wzrokiem.

– Domyślam się, że się w niej kochałeś?

Tymczasem nad horyzontem wzeszło poranne słońce, zamieniając surrealistyczny fiolet w jasne światło dzienne. Dzięki temu to, co było nierzeczywiste, stało się realne.

Mark wsunął dłonie do kieszeni spodni i przeszedł kawałek, nie oglądając się na Axela. Kiedy dotarł do rogu ulicy, zatrzymał się i zaczął obserwować ruch uliczny. Wszędzie słychać było dźwięki klaksonów i ryk samochodów. Zaczynał się nowy dzień.

W tym samym momencie Mark poczuł niezwykle spokój. Nagle zrozumiał, że to, czy wszystko dobiegło nieodwołalnie do końca, nie ma już znaczenia. Bez względu na to, co przyniesie nowy dzień, już na zawsze coś mu pozostanie. Coś, czego nikt mu nie odbierze. Drobnie wspomnienie, które będzie od tej pory chronił jak skarb: usta Ellen na jego ustach.

„Ale drugiego już nie będzie” – powiedziała wtedy Ellen. Teraz, gdy już jej nie ma, te słowa stały się ostateczne.

Mimo to Mark czuł, że nigdy nie był tak blisko niej jak właśnie w tej chwili.

Epilog

Pora obiadu na prywatnym oddziale Leśnej Kliniki.

Siostra Elisabeth otworzyła metalowy wózek. Jeden z pielęgniarzy przywiózł go wcześniej windą z tunelu, którym dostarczane jest zaopatrzenie. Elisabeth poczuła silny zapach jedzenia. Jedno spojrzenie pod przykrywkę garnka wystarczyło, aby odkryła, że w środku są pieczone zrazy z sosem i ziemniakami. Obok stała miseczka, a w niej budyń posypany poziomkami, czekoladowy albo migdałowy.

Elisabeth wzięła z wózka tacę z jedzeniem i sztuccami, a gdy się odwróciła, stanęła twarzą w twarz z siostrą Marion z Oddziału IX. Marion trzymała w ręce bukiet kwiatów.

– Witaj, Marion – powiedziała Elisabeth. – Co tutaj robisz?

– Chciałabym odwiedzić panią Roth – odparła Marion i szybko się poprawiła: – Panią Baumann, oczywiście.

– To ładnie z twojej strony. Od kiedy doktor Behrendt wyjechał, nikt oprócz jej przyjaciółki jej nie odwiedza. Właśnie niosę jej jedzenie.

– Mogę cię zastąpić – zaproponowała Marion.

– Dobrze, ale będziesz musiała ją nakarmić. Nadal jest apatyczna.

– Nie ma sprawy – odparła z uśmiechem Marion. Skinęła głową i zaproponowała, że wstawi kwiaty do wazonu. Wzięła tacę i poszła do pokoju Lary na końcu korytarza. Tuż przed drzwiami zawahała się. Dziś spotkają się po raz pierwszy od długiego czasu.

Widok kobiety siedzącej bez ruchu obok okna wywarł na niej szokujące wrażenie. Marion bardzo ją lubiła jako lekarzkę i dlatego przez ostatnie tygodnie często się za nią modliła. Teraz, gdy przed nią stała, miała wrażenie, że widzi obcą osobę.

– Dzień dobry – mówi Marion, ale kobieta siedząca przy oknie zdaje się nie zauważać jej obecności.

Marion ostrożnie do niej podchodzi, stawia tacę na stoliku, podsuwa krzesło i siada przy niej. Widok nieruchomej kobiety wywiera na niej niesamowite wrażenie. Wydaje jej się, że w oczach Lary coś się dzieje. Może w środku trwa właśnie wielkie sprzątanie? Kto wie?

– Przyniosłam pani coś dojedzenia – mówi cichym głosem.

– Jest pani na pewno głodna. Odkąd ostatni raz się widziałyśmy, jeszcze bardziej pani schudła.

Marion wbija widelec w kawałek mięsa, dmucha na nie i ostrożnie podsuwa Larze pod usta. Kiedyś jej się zdawało, że tak dobrze ją zna. A teraz został z niej tylko milczący cień.

– Proszę się dać namówić, przecież musi pani coś zjeść – mówi Marion, głaszcząc ją z miłością po rozczochranych włosach.

– Inaczej nigdy nie wróci pani do sił.

Kobieta nie porusza się. Marion muska kartoflem jej wargi.

– Myślałam, że pani lubi ziemniaki, Ellen?

W tym momencie kobieta odwraca głowę i spogląda na nią. Marion zauważa z radością, że kobieta naprawdę patrzy na nią, a nie przez nią. W jej spojrzeniu jest coś, co przypomina Marion nieśmiałe dziecko, które budzi się po długim śnie.

Kobieta coś mruczy.

– Co pani powiedziała? Nie zrozumiałam.

Marion przysuwa ucho do jej ust i słyszy, jak kobieta szepcze:

– Lara. Mam na imię Lara.

Uwagi i podziękowania

Postacie i wydarzenia opisane w tej książce są fikcyjne. Jakikolwiek podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone. Istnieją jednak cztery wyjątki. Za wzór dla tych postaci posłużyła czwórka moich ukochanych przyjaciół. Nie zdradzę, o kogo chodzi, ale na pewno się, chłopaki, domyślicie.

Leśna Klinika, w której rozgrywa się część akcji, w rzeczywistości nie istnieje. Działa jednak klinika, która w dużej części posłużyła mi za wzór.

Na mapie Niemiec nie ma miasta o nazwie Fahlenberg ani wsi Ulfingen. Wymyśliłem je ze względu na drażliwy temat tej książki. Uznałem, że to słuszna decyzja.

Istnieje za to miejscowość Alpirsbach, ale w tym przypadku pozwoliłem sobie na pewną dowolność. Jej mieszkańcy na pewno się domyślą jaką.

Legenda związana z posiadłością Sallingera jest oparta na prawdziwej historii. Niektóre fakty oraz nazwisko właściciela i nazwa miejsca, gdzie posiadłość się znajdowała, zostały zmienione.

Dziękuję wszystkim, którzy pomogli mi doprowadzić moją powieść do postaci, w jakiej została wydrukowana. Przede wszystkim mojemu przyjacielowi, Andreasowi Eschbachowi, któremu zawdzięczam więcej, niż jestem w stanie wyrazić słowami.

Dziękuję moim agentom, Romanowi Hockemu i Uwe Neumahrowi, za ich niezamierzony wkład w poszukiwanie właściwego wydawnictwa, które by zechciało moją książkę wydać, oraz Markusowi Naegelemu, który czytywał maszynopis. Dziękuję mu za wysiłek, jaki w to włożył, za wspaniałą współpracę i ufność, jaką od pierwszego dnia we mnie pokładał.

Angeli Kuepper dziękuję za rzeczową krytykę i wsparcie. Nauczyła mnie, że czasem trzeba ponieść ofiarę, jeśli książka ma być naprawdę dobra. Pisanie bywa ciężką pracą, ale jest także najwspanialszym zajęciem na Ziemi.

Ogromną pomoc w zdobywaniu konkretnych informacji okazały mi następujące osoby: pani Rana Kalkan, dyplomowany psycholog, pani Ost z biura paszportowego w miejscowości, w której mieszkam, „Mr X”, który dostarczył mi informacji o działaniu hakerów, a także Reiner Sowa, który przekazał mi szczegółowe dane na temat procesu rozkładu ciała. Jeśli mimo to w treść książki zakradł się jakiś błąd, jest to wyłącznie moja wina.

Dziękuję Marianne Eschbach, Ursuli Poznański, Kerstin Jakob, Rainerowi Wekwerthowi i Thomasowi Thiemeyerowi. Wszyscy oni czytali ostateczną wersję mojej książki. To wspaniałe mieć takich przyjaciół!

Wielkie dzięki dla Mo Hayder. Zwłaszcza za to, co pewnego kwietniowego deszczowego wieczoru dała mi na drogę w Londynie.

Największe podziękowania należą się mojej żonie Anicie. Bez jej cierpliwości, wyrozumiałości i niewzruszonej wiary we mnie z pewnością bym tej książki nie napisał.

Wulf Dorn
październik 2008 roku